

TOM KNOX



# SEKRET GENEZYS

BEYSKOTLIWY THRILLER Z RYTUALNYMI MORDERSTWAMI  
I TAJEMNICAMI HISTORII W TLE



**Tom Knox**

# **Sekret Genezis**

Tytuł oryginalny *The Genesis Secret*  
Przełożyła Aleksandra Górka

Wydawca Rebis 2010  
ISBN 978-83-7510-413-4

## Od autora

*Sekret Genezis* jest fikcją literacką. Jednak większość pojawiających się tu religijnych, historycznych i archeologicznych informacji opiera się na faktach i jest zgodna z prawdą.

W szczególności:

Göbekli Tepe [wym. Goubekli Tepej] to stanowisko archeologiczne w południowo-wschodniej Turcji, w pobliżu Şanhurfy (dawnej Edessy) w miejscu pradawnego sanktuarium sprzed mniej więcej dwunastu tysięcy lat. Cały kompleks świątynny składający się z głazów, słupów i rzeźb został celowo zakopany osiem tysięcy lat przed naszą erą. Do dziś nie wiadomo dlaczego.

Na terenach sąsiadujących z Göbekli Tepe, wśród Kurdów południowej Turcji i północnego Iraku występuje grupa starodawnych wierzeń znana jako kult aniołów. Niektórzy z ich wyznawców czczą boga zwanego Malek Taus.

## **Podziękowania**

Wyrazy wdzięczności kieruję do Klause Schmidta i reszty pracowników Niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Göbekli Tepe, moich redaktorów i kolegów: Eda Grenby'ego, Davida Suttona, Andrew Collinsa i Boba Cowana, wszystkich pracowników agencji William Morris London, zwłaszcza zaś mojej agentce Eugenie Furniss oraz Jane Johnson z HarperCollins UK.

Chciałbym także podziękować mojej córce Lucy — za to, że mnie nie zapomniała, kiedy zniknąłem na kilka miesięcy, żeby napisać tę książkę.

*Potem Abraham sięgnął ręką po nóż, aby zabić swego syna.*

Księga Rodzaju, 22, 9

[Wszystkie cytaty z Pisma Świętego zamieszczone w książce pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, wyd. IV, Pallottinum, Poznań-Warszawa 1989.]

# 1

Alan Greening był zalany. Przez całą noc pił w Covent Garden: zaczął w Punchu, gdzie uraczył się trzema czy czterema piwami w towarzystwie starych kumpli ze studiów. Potem przenieśli się do Lamb & Flag, pubu na tej wypasionej alei w pobliżu Garrick Club.

Jak długo tam zabawili, żłopiać piwsko? Nie pamiętał. Bo później poszli jeszcze do Roundhouse, gdzie natknęli się na kilku ludzi z jego biura. I w pewnym momencie przerwali się z piwa na mocny alkohol: wódkę, gin, whisky.

Wtedy popełnili fatalny błąd. Tony rzucił: „Chodźmy popatrzeć na dziewczyny”. Roześmiali się, zgodzili, powlekli kawałek St Martin's Lane i kupili sobie wejściówki do Stringfellows. Bramkarz nie palił się, żeby ich wpuścić, przynajmniej na początku. Patrzył nieufnie na sześciu młodzieńców, którzy ewidentnie ruszyli w tango już jakiś czas temu, a teraz przeklinali i rechotali, i to zdecydowanie za głośno.

Kłopoty.

Ale Tony pomachał mu przed nosem częścią swojej obfitej premii z City, stową lub więcej, i ochroniarz się uśmiechnął. Powiedział: „Oczywiście, proszę pana” i potem...

Co się zdarzyło potem?

Pamiętał wszystko jak przez mgłę. Stringi, uda, drinki. Uśmiechające się łotewskie dziewczęta, sprośne dowcipy o rosyjskich futerkach, jakąś Polkę z bajecznymi piersiami i ogromne morze kasy puszczone na to i owo.

Jęknął. Jego przyjaciele opuszczali klub jeden po drugim, padając z nóg wprost do wnętrza taksówek. W końcu został już tylko on, ostatni klient w lokalu. Wsadzał kolejne dychy za stringi Łotyszki, która wirowała na rurze, obracając drobnym ciałem, kiedy on gapił się na nią bezradnie, z uwielbieniem, w osłupieniu i zaćmieniu umysłu.

Mniej więcej o czwartej nad ranem Łotyszka przestała się uśmiechać, raptem zapaliły się światła, a bramkarze chwycili go pod ramiona i

stanowczo odprowadzili w kierunku drzwi. Wprawdzie nie wyrzucili go na ulicę jak pijaka z salonu w jakimś starym westernie — ale różnica była niewielka.

A teraz dochodziła piąta rano, za oczyma czuł już pierwsze pulsowanie zbliżającego się kaca i musiał się dostać do domu. Był na Strandzie, a chciał się znaleźć w łóżku.

Czy zostało mu dość pieniędzy na taksówkę? Karty kredytowe zostawił w domu, ale tak — chwając się, Alan przejrzał kieszenie — tak, miał jeszcze trzy dychy w portfelu, wystarczy na taryfę do Clapham.

Czy raczej powinno wystarczyć. Tyle że w pobliżu nie było żadnych taksówek. Miejsce było zupełnie wymarłe, najgorsza pora z możliwych: piąta rano na Strandzie, za późno dla imprezowiczów, za wcześnie dla sprzątaczy.

Alan rozglądał się po okolicy. Łagodna kwietniowa mżawka padała na błyszczące szerokie chodniki londyńskiego śródmieścia. Przejeżdżał duży czerwony autobus nocny, ale w złym kierunku: w stronę ulicy Świętego Pawła. Alan usiłował opanować pijacki zamęt w głowie. Może pójść na Victoria Embankment? Tak. Tam zawsze są taksówki.

Wziął się w garść i skręcił w lewo w jakąś boczną uliczkę: Craven Street, jak głosiła tabliczka. Wprawdzie pierwszy raz widział tę nazwę, ale nie miało to znaczenia. Droga biegła w dół w stronę rzeki i musiała doprowadzić go wprost na wybrzeże.

Szedł dalej. Uliczka wyglądała na starą, stało tam mnóstwo georgiańskich domów. Nadal mżyło w najlepsze. Pierwsze oznaki wiosennego poranka rysowały się błękitem na niebie nad szczytami starych kominów. W okolicy nie było widać żywej duszy.

I wtedy to usłyszał.

Jakiś dźwięk.

Ale nie zwykły dźwięk. Brzmiał jak jęk. Ludzki jęk, choć jakby zniekształcony, stłumiony. Dziwny.

A może mu się tylko zdawało? Powiódł wzrokiem po bruku, drzwiach zabudowań, oknach. Żywej duszy. Wszystkie budynki dokoła były biurowcami. Albo bardzo starymi domami zamienionymi w biurowce. Kto mógłby tu przebywać o tej porze? Jakiś ćpun? Bezdomny? Stary pijaczyna leżący w rynsztoku?

Alan postanowił nie zwracać uwagi. To właśnie robi rasowy londyńczyk. Nie zwraca uwagi. Życie w tym ogromnym, szalonym, zdumiewającym mieście jest i tak dość wyczerpujące bez pogłębiania codziennego stresu

sprawdzaniem źródeł dziwnych nocnych jęków. Zresztą, poza wszystkim, Alan był pijany: pewnie to sobie roił.

I wtedy usłyszał znowu: wyraźnie. Straszliwy, mrozący krew w żyłach jęk bólu. Brzmiał prawie jak wołanie o pomoc. Tyle że zamiast „pomocy” słychać było coś jakby „omossyy”.

Co jest, kurwa, grane? Alan spłynął potem. Teraz już się bał. Nie chciał wiedzieć, kto — lub co — mogło wydać taki dźwięk. Mimo to musiał sprawdzić. Wszystkie odruchy moralne nakazywały mu pomóc.

Stał w mżawce i myślał o swojej mamie. Co by powiedziała? Ze trudno, nie ma rady. To prosty moralny imperatyw: ktoś cierpi, więc trzeba mu pomóc.

Popatrzył w lewo. Zdawało mu się, że głos dochodzi z rzędu starych georgiańskich budynków z ciemnoczerwonej cegły z wytworknymi starymi oknami. Na froncie jednego z nich widniał szyld: drewniana tabliczka połyskująca od deszczu w świetle latarni. „Muzeum Benjamina Franklina”. Nie był pewien, kim był Benjamin Franklin. Jakiś Amerykaniec: pisarz czy ktoś. Ale to nie miało tak naprawdę znaczenia. Alan był pewien, że jęki dobiegają z tego budynku. Ponieważ drzwi były otwarte. O piątej rano w sobotę.

Przez szparę widział dochodzące ze środka przyćmione światło. Zacisnął pięści raz, potem drugi. Później podszedł do drzwi i pchnął je.

Otworzyły się na oścież. W holu za nimi panował spokój. W rogu stała kasa, stolik zasłany ulotkami i tabliczka z napisem „Pokazy wideo tędy”. Wnętrze oświetlały słabo nocne lampki.

Wydawało się, że w muzeum panuje niczym niezmacony spokój. Drzwi były wprawdzie otwarte, ale w środku było cicho jak makiem zasiał. Żadnych oznak włamania.

„Oomossyy”.

Znowu. Mrozący krew w żyłach jęk. Tym razem Alan usłyszał wyraźnie, skąd dochodzi: piwnica.

Serce ścisnęło mu się ze strachu. Opanował jednak jakoś nerwy i poszedł zdecydowanym krokiem na koniec korytarza, gdzie, jak się okazało, znajdowały się małe drzwi, za nimi zaś wiodące w dół skrzypiące drewniane schody, którymi zszedł wolno i wkroczył do niskiej piwnicy.

Z sufitu zwisała goła żarówka. Światło było mdłe, ale wystarczająco jasne. Omiótł wzrokiem wnętrze. Podłoga została niedawno rozkopana, w rogu widać było duży czarny dół, głęboki na metr lub więcej.



I wtedy Alan zauważył krew.

Trudno było ją przeoczyć: duża, lepka, jaskrawopurpurowa plama rozbryzgana na czymś bardzo białym. Na kupce czegoś białego.

Co to jest? Pióra? Łabędzie pióra? Co?

Alan podszedł i trącił kopczyk czubkiem buta. Włosy. Jak się zdawało, ludzkie. Sterta siwych ludzkich włosów. A na niej krew niczym sok wiśniowy na cytrynowym sorbecie. Niczym poroniony płód owcy na śniegu.

— Omoosyyy!

Jęk dochodził teraz z bardzo bliska, zza ściany. Alan jeszcze raz zwalczył ogarniające go przerażenie i otworzył małe niskie drzwi prowadzące do pomieszczenia obok.

Wnętrze tonęło w mroku, który rozpraszał jedynie wąski pas światła, rzucany przez żarówkę za jego plecami. Złowieszczy jęk odbijał się od ścian. Alan wymacał kontakt i nacisnął włącznik. Pokój zalało światło.

Na środku pomieszczenia leżał na podłodze nagi stary mężczyzna z głową ogoloną do gołej skóry. Brutalnie ogoloną — sądząc po widocznych otarciach i skaleczeniach. Alan domyślił się, że to jego włosy widział wcześniej.

Wtedy starzec się poruszył. Leżał z twarzą skierowaną w drugą stronę, ale kiedy rozbłysło światło, odwrócił się i popatrzył na Alana. Przedstawiał sobą przerażający widok. Alan się wzdrygnął. W nabiegłych krwią wybałuszonych oczach malowały się przemożny strach i ból.

W jednej chwili z Alana wyparował cały alkohol: czuł się teraz trzeźwy wręcz do mdłości. Widział już przyczynę cierpienia mężczyzny. Pocięty nożem tułów był jedną wielką raną. Na cienkiej pomarszczonej białej skórze wykarbowano jakiś wzór.

Ale dlaczego jęki starca brzmiały tak dziwnie? Niewyraźnie? Rozległ się kolejny jęk. Alan poczuł, jak nogi się pod nim uginają.

Usta starca były pełne krwi. Ściekała mu po brodzie niczym sok z truskawek. Spływała z pomarszczonych warg i kapiała na podłogę. Kiedy jęknął, napłynęło jej jeszcze więcej, z bulgotem obryzgując podbródek.

Na tym jednak nie dość było zgrozy.

Starzec trzymał coś w dłoni. Otworzył ją powoli i bez słowa wyciągnął w kierunku Alana, jakby wręczał prezent.

Alan popatrzył w dół.

We wnętrzu dłoni leżał bezwładnie ludzki język.

## 2

Na suku HaCarmel panował duży ruch. Bazar roił się od jemeńskich handlarzy przypraw kłócących się z kanadyjskimi syjonistami, izraelskich gospodyń oglądających jagnięce żeberka oraz syryjskich Żydów rozstawiających stojaki z płytami CD libańskich pieśniarek. Między stolikami z pikantnymi czerwonymi przyprawami, piramidami metalowych puszek zielonej oliwy oraz wielkim straganem z alkoholami, gdzie sprzedawano dobre wino ze wzgórz Golan, kłębiły się tłumy.

Rob Luttrell torował sobie drogę wśród ciżby na drugi koniec rynku. Chciał napić się piwa w Bik Bik, knajpce serwującej browar i kiełbasę, swoim ulubionym miejscu w Tel Awiwie. Uwielbiał patrzeć na izraelskich celebrytów chroniących się przed paparazzi za przeciwsłonecznymi okularami. Kilka dni temu jedna naprawdę ponętna gwiazdka nawet się do niego uśmiechnęła. Może rozpoznała w nim dziennikarza.

Rob lubił także tamtejsze czeskie piwo: serwowane w plastikowych kuflach doskonale smakowało z kawałkami salami domowej roboty i maleńką pitą z pikantnym kebabem.

— Szalom — powiedział Samson, turecki barman.

Rob z miejsca zamówił piwo. Potem przypomniał sobie o dobrych manierach i dodał: „Proszę” oraz: „Dziękuję”. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie zaczyna dawać mu się we znaki nuda. Siedział tu już od sześciu tygodni, rozkoszując się *dolce far niente* po sześciu miesiącach spędzonych w Iraku. Może za długo?

Owszem, potrzebował przerwy. Owszem, lubił wracać do Tel Awiwu — przepadał za jego dynamizmem i atmosferą rozgorączkowania. Zgoda, jego londyński redaktor naczelny okazał wielką wspaniałomyślność, pozwalając mu na te trochę wolnego, żeby „doszedł do siebie”. Ale teraz Rob znowu rwał się do akcji. Może jeszcze jeden wypad do Bagdadu. Albo do Gazy — już zaczynały lecieć tam iskry. W Gazie zresztą zawsze leciały iskry.

Wziął łyk piwa z półlitrowego plastikowego kufła, a potem poszedł na przód baru na wolnym powietrzu, żeby popatrzeć na nadbrzeżny bulwar i szaroniebieskie Morze Śródziemne. Piwo było zimne, złote i dobre. Rob obserwował, jak jakiś surfer walczy z falami.

Czy jego naczelny wreszcie się kiedyś odezwie? Sprawdził komórkę. Z wyświetlacza popatrzyło na niego cyfrowe zdjęcie jego małej córeczki. Poczuł wyrzuty sumienia. Nie widział jej od... od kiedy? Stycznia czy lutego? Od ostatniego pobytu w Londynie. Ale co mógł na to poradzić? Jego eks bez przerwy zmieniała plany, jakby chciała utrudnić mu kontakt z małą. Tymczasem on był spragniony widoku Lizzie jak wody albo jedzenia. Nie opuszczało go wrażenie, że czegoś — albo kogoś — mu w życiu brak. Czasami łapał się na tym, że się uśmiecha do córki, tyle że jej w pobliżu nie było.

Odniósł pusty kufel do baru.

— Do jutra, Sam. Nie zjedz wszystkich kebabów.

Samson się zaśmiał. Rob wysupłał kilka szekli i ruszył w kierunku nabrzeża. Przebiegł ruchliwą jezdnię, mając nadzieję, że ujdzie z życiem przed brawurowymi izraelskimi kierowcami, próbującymi zepchnąć się nawzajem do morza.

Telawiwska plaża była jego ulubionym miejscem rozmyślań. Za sobą miał drapacze chmur, a przed sobą szumiące fale i ciepłą, rześką bryzę. A teraz musiał pomyśleć o żonie i dziecku. Byłej żonie i pięcioletniej córeczce.

Gdy tylko gazeta odwołała go z Bagdadu, chciał polecieć prosto do Londynu. Ale Sally raptem znalazła sobie nowego chłopaka i twierdziła, że potrzebuje więcej „swobody”, więc postanowił siedzieć kamieniem w Tel Awiwie. Nie wyrywał się do Anglii, jeśli nie mógł zobaczyć Lizzie. Siedzenie tam samemu byłoby zbyt bolesne.

Ale tak naprawdę kogo mógł winić za tę sytuację? Rob zachodził w głowę, w jakim stopniu sam się przyczynił do rozwodu. Owszem, Sally romansowała na boku... ale jego przecież stale nie było. Tyle że na tym polegała jego praca. Był korespondentem zagranicznym: o to zabiegał przez dziesięć lat w Londynie. Tak zarabiał na życie. A teraz miał trzydzieści pięć lat i przygotowywał relacje z całego Bliskiego Wschodu — nie narzekał na brak tematów.

Zastanawiał się, czy nie wrócić do baru na kolejne piwo. Popatrzył w lewo. Na błękitnym niebie majaczyła sylwetka hotelu Dan Panorama: wspaniała betonowa bryła z efektownym szklanym atrium. Z tyłu mieścił się

ogromny parking z mnóstwem stanowisk dla samochodów, dość osobliwie ulokowany w samym środku miasta. Przypomnił sobie historię tego miejsca: kiedy w 1948 roku wybuchła wojna izraelsko-arabska, był to główny teren miejskich starć między żydowskim Tel Awiwem a arabską Jaffą. Po wygranej izraelskie władze zrównały z ziemią zdewastowane w czasie działań wojennych budynki. I teraz na ich miejscu znajdował się wielki parking.

Podjął decyzję. Wprawdzie nie może zobaczyć Lizzie, ale może przynajmniej zarobić trochę pieniędzy, żeby miała co jeść i była bezpieczna. Postanowił zatem, że pojedzie do swojej klitki w Jaffie i trochę poszpera w poszukiwaniu informacji. Znajdzie kilka innych elementów tej libańskiej historii. Albo wyśledzi dzieciaki z Hamasu ukrywające się w kościele.

Różne pomysły przelatywały mu przez głowę, kiedy ruszył łukiem plaży w kierunku zabudowań za nią: portu starożytnej Jaffy.

Zadzwoiła komórka. Rob zerknął z nadzieją na wyświetlacz. Numer był wprawdzie brytyjski, ale nie należał ani do Sally, ani do Lizzy, ani do żadnego z jego przyjaciół.

Dzwonił jego londyński naczelny.

Rob poczuł napływającą adrenalinę. To jest to! Chwila, którą najbardziej w swojej pracy lubił: niespodziewany telefon od szefa. Jedź do Bagdadu, jedź do Kairu, jedź do Gazy, nadstaw trochę karku. Uwielbiał tę wieczną niepewność, gdzie rzuca go za chwilę. Przyprawiające o dreszcze wrażenie niekończącej się improwizacji, jakby jego życie było jedną wielką relacją na żywo. Nic dziwnego, że małżeństwo się rozpadło. Odebrał połączenie.

— Robbie!

— Steve?

— Siemasz.

Jak zawsze londyński slang redaktora na chwilę skonfundował Roba. Miał w sobie jeszcze dość z przedstawiciela amerykańskiej klasy średniej, by zakładać, że redaktorzy „Timesa” zawsze posługują się pierwszej wody oksfordzką angielszczyzną. Tymczasem naczelny mówił niczym robotnik portowy z Tilbury, a kłął jeszcze siarczyściej. Rob podejrzewał nawet czasami, że Steve trochę udaje — żeby się wyróżnić spośród swoich bardziej wyrefinowanych kolegów z Oxbridge. Świątek dziennikarski opierał się na rywalizacji.

— Robbie, stary. Co porabiasz?

— Stoję na plaży i gadam z tobą.

— Kurwa. Chciałbym mieć taką robotę.

— Miałeś. Ale cię awansowano.

— Racja. — Steve się roześmiał. — Pytam, jakie masz plany. Zleciliśmy ci coś?

— Ee-ee.

— No tak, racja, racja. Dochodzisz do siebie po tej pierdolonej chryi z bombą.

— Czuję się już okay.

Steve zagwizdał.

— Paskudnie to wyglądało. Tam, w Bagdadzie.

Rob nie chciał wracać myślą do zamachu.

— No to... Steve... gdzie...

— Kurdystan.

— Że jak? Bomba!

Z miejsca poczuł podekscytowanie i ślad lęku. Iracki Kurdystan. Mosul! Nigdy jeszcze nie był w tym rejonie, a tematy leżały tam na ulicy — nic, tylko brać! Iracki Kurdystan!

Ale wtedy Steve wtrącił:

— Nie gorączkuj się tak.

Rob poczuł, jak jego euforia słabnie. W głosie Steve'a pobrzmiwał dziwny ton. Nie chodziło o korespondencję wojenną.

— Steve?

— Co wiesz o archeologii, stary?

Rob przeniósł wzrok na morze. Jakiś parolotniarz szybował nad falami.

— O archeologii? Nic. Dlaczego pytasz?

— No, chodzi o... te wykopaliska... w południowo-wschodniej Turcji. Tureckim Kurdystanie.

— Wykopaliska?

— Taa. Ciekawa rzecz. Ci niemieccy archeolodzy odkryli.

— Jakieś bohomyzy w jaskiniach? Stare gnaty? Cholera. — Rob poczuł, jak uchodzi z niego powietrze.

— No już, już. Daj spokój.

— Co?

— Nie możesz ciągle robić Gazy. A nie chcę cię posyłać w żaden niebezpieczny rejon. Nie teraz — mówił z troską, prawie po bratersku. Niebywałe. — Jesteś jednym z moich najlepszych reporterów. W Bagdadzie nieźle oberwałeś. Jak na razie dostałeś wystarczająco w kość. Nie sądzisz?

Rob czekał. Wiedział, że Steve jeszcze nie skończył. I rzeczywiście, za chwilę dodał:

— Więc proszę cię, uprzejmie jak diabli, żebyś wziął dupę w troki i rzucił okiem na te wykopaliska w Turcji. Jeśli łaska.

Rob wyczuł sarkazm: nie było to trudne. Roześmiał się.

— W porządku, Steve. Ty tu rządzisz. Popatrzę sobie na te wykopki. Kiedy mam jechać?

— Jutro. Prześlę ci mailem instrukcje.

Jutro? Niewiele czasu. Już był myślami przy samolotach i pakowaniu.

— Dobra, spokojna głowa, Steve, dam radę. Dzięki.

Redaktor milczał. Dopiero po chwili rozległ się w słuchawce jego głos:

— Jeszcze jedno, Rob...

— Tak?

— Nie żartuję sobie z tym zleceniem. To nie są tylko... zwykłe wykopki.

— Słucham?

— W tutejszych mediach jest o tym głośno. Musiało ci to umknąć.

— Nie czytam prasy archeologicznej.

— A ja owszem. Teraz to w dobrym tonie.

— No i?

Nadmorskie powietrze było ciepłe.

— Rozchodzi się o to — ciągnął Steve — no wiesz, to miejsce w Turcji. Ci Niemcy znaleźli...

Rob czekał. Zapadła chwila ciszy. Potem naczelny wreszcie wydusił:

— No... to nie tylko gnaty i takie tam gówno, Robbie. Tylko coś naprawdę dziwnego.

### 3

Na pokładzie samolotu do Stambułu Rob sączył rozwodniony gin z tonikiem z małego przezroczystego plastikowego kubka z mieszadełkiem. Przeglądał wydruk e-maila od Steve'a i trochę znalezionych w sieci informacji na temat tureckich wykopalisk.

Miejsce nazywało się Göbekli Tepe. Przez blisko godzinę myślał, że wymawia się to „Tip”, ale potem na jednym z wydruków znalazł zapis fonetyczny: Tepej. Göbekli... Tepej. Powiedział pod nosem „Göbekli Tepej” i schrupał miniaturowego precelka.

Czytał dalej.

Była to tylko jedna z bardzo wielu bardzo starych budowli odkopywanych obecnie na terenie tureckiego Kurdystanu. Nevali Cori, Çayönü, Karahan Tepe. Wiek niektórych nie mieścił się w głowie. Osiem tysięcy lat albo więcej. Ale czy to naprawdę tak dużo? Rob nie miał pojęcia. Jak stary jest Sfinks? Stonehenge? Piramidy?

Dopiewszy drinka, rozsiadł się wygodnie i zadumał nad swoimi brakami w wiedzy ogólnej. Dlaczego nie znał odpowiedzi na podobne pytania? Najwyraźniej dlatego, że nie skończył studiów. W przeciwieństwie do swoich kolegów po fachu, którzy mieli dyplomy Oxfordu, Sorbony, Uniwersytetu Londyńskiego, Kalifornijskiego, Monachijskiego lub Teksasńskiego itp. , Rob dysponował tylko własnym mózgiem i umiejętnością szybkiego czytania — pochłaniania i przyswajania w lot informacji. Z nauką dał sobie spokój w wieku lat osiemnastu. Pomimo rozpaczliwych błagań wychowującej go samotnie matki odrzucił propozycje kilku college'ów i uniwersytetów i z miejsca zajął się dziennikarstwem. Ale czy można go było za to winić? Przełknął kolejnego precelka. Nie miał wyboru. Mama w Londynie, zdana tylko na siebie, ojciec w Stanach, zresztą był z niego kawał kanalii. Rob dorastał w nędzy nieciekawych przedmieść Londynu. Od małego jak najszybciej chciał zdobyć pieniądze i prestiż. Nigdy nie przypominał tych bogatych dzieciaków, którym zazdrościł jako chłopiec, mogących sobie

pozwolić na czteroletnią labę, żeby palić trawkę, chodzić na balangi i niespiesznie płynąć w kierunku ciepłej posadki. On zawsze czuł konieczność parcia do przodu, pięcia się w górę. I to prędko.

To samo pragnienie szybkiego rozwoju rządziło jego życiem uczuciowym. Kiedy pojawiła się Sally, pogodna, ładna i mądra, uchwycił się szczęścia i stabilizacji, jakie mógł mu dać związek z nią. Narodziny ich córeczki, niedługo po pośpiesznym ślubie, wydawały się najlepszym dowodem na to, że postąpił mądrze. Dopiero poniewczasie uświadomił sobie, że jego praca, związana z ciągłymi wyjazdami, może być w konflikcie ze stabilizacją i spokojem domowego ogniska.

Miejsce w klasie ekonomicznej linii El Al było jak zwykle niewygodne. Rob próbował usadowić się swobodniej i potarł oczy. Potem poprosił stewardesę o jeszcze jeden gin z tonikiem. Na wzmocnienie i zalanie robaka.

Sięgnął do torby pod stopami i wyciągnął dwie książki z najlepszej księgarni w Tel Awiwie: jedną o tureckiej archeologii i drugą o człowieku prehistorycznym. Czekał go trzygodzinny postój w Stambule, a potem kolejny lot do Şanhurfy, gdzieś w dziczy wschodnich rejonów Anatolii. Miał pół dnia, żeby się z nimi zapoznać.

Kiedy wylądowali w Stambule, był już pod dobrą datą i za pan brat z najnowszymi dziejami archeologicznymi Anatolii. Szczególnie ważne zdawało się stanowisko zwane Çatalhöyük. Wymawiało się to tfatal Højyk. Odkryte w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku było jedną z najstarszych odkopanych osad na świecie — być może liczącą sobie nawet dziesięć tysięcy lat. Ściany budynków pokrywały wizerunki byków, lampartów i myszołówów. Zatrzęsienie myszołówów. Bardzo stare symbole religijne. I bardzo dziwne wizerunki.

Rob obejrzał zdjęcia Çatalhöyük. Przerzucił jeszcze kilka stron. Kiedy wylądowali na stambulskim lotnisku, zabrał z pasa transmisyjnego bagaże i zaczął torować sobie drogę wśród tłumu tureckich biznesmenów o obwisłych policzkach. Zatrzymał się przy małym kiosku, gdzie kupił jakąś amerykańską gazetę z jedną z najświeższych relacji z Göbekli Tepe. A potem skierował się prosto do wyjścia, żeby poczekać na następny lot. Siedząc w hali odlotów, czytał dalej o wykopaliskach.

Nowożytna historia Göbekli Tepe zaczęła się w 1964 roku, kiedy zespół amerykańskich archeologów przeczesywał odległą prowincję południowo-wschodniej Turcji. Jego członkowie natknęli się na kilka dziwnie wyglądających pagórków pokrytych tysiącami krzemienych odłupków —



nieomyślny znak pradawnej ludzkiej aktywności. Nie podjęli jednak prac wykopaliskowych. Jak ujmował to autor artykułu w gazecie: „Zapewne czują się teraz jak wydawca, który odrzucił pierwszy maszynopis Harry'ego Pottera”.

Starając się nie zwracać uwagi na pochrapującą na siedzeniu obok Turczynkę, Rob czytał dalej.

Trzydzieści lat po zaprzepaszczeniu szansy przez Amerykanów doglądający stada miejscowy pasterz zauważył coś dziwnego: kilka głazów o niezwykłym kształcie wystających ze spalonej słońcem ziemi. To były kamienie Göbekli Tepe.

„Tepej”, powtórzył w myślach Rob w ramach przypomnienia. „Tepej”. Podszedł do automatu, kupił dietetyczną colę, potem wrócił na miejsce i kontynuował lekturę.

Wieść o ponownym odkryciu miejsca dotarła do uszu kustoszy z położonego pięćdziesiąt kilometrów dalej miasta Şanhurfa. Kierownictwo muzeum skontaktowało się z odpowiednim ministrem, który z kolei nawiązał kontakt z Niemieckim Instytutem Archeologicznym z siedzibą w Stambule. I tak oto w 1994 roku tureckie władze powierzyły „doświadczonemu niemieckiemu archeologowi Franzowi Breitnerowi” przeprowadzenie wykopalisk.

Rob przebiegł wzrokiem resztę artykułu. Przekrzywił gazetę, żeby mieć lepszy widok. Na stronie zamieszczono fotografię Breitnera, niżej zaś cytat z jego wypowiedzi: „Byłem zaintrygowany. To miejsce już i tak miało wartość emocjonalną dla miejscowych. Samotne drzewo rosnące na najwyższym wzgórzu uchodzi za święte. Myślałem, że może wpadliśmy na trop prawdziwej sensacji”.

Zbrojny w to przekonanie Breitner przyjrzał się miejscu dokładnie. „Od pierwszej chwili wiedziałem, że jeśli natychmiast nie odejdę, spędzę tu resztę życia”.

Rob popatrzył na mężczyznę ze zdjęcia. Wyglądał na wniebowziętego. Jak człowiek, który zgarnął szóstkę w totka.

„Linie tureckie oznajmiają start lotu TA628 do Şanhurfy... ”

Rob chwycił paszport, kartę pokładową i wszedł na pokład samolotu — na wpół pusty. Najwyraźniej niewiele osób podróżowało do Şanhurfy. Na sam kraniec dzikiej wschodniej Anatolii; do niebezpiecznego, tonącego w kurzu, burzącego się Kurdystanu.

Podczas lotu przebrnął przez resztę materiałów i książek o archeologicznych dziejach Göbekli. Niesamowite głazy, odkryte przez pasterza, okazały się płaskimi, podłużnymi zwieńczeniami megalitów, wielkich ochrowych kamieni, pokrytych dziwacznymi delikatnymi reliefami z wizerunkami zwierząt i ptaków. Myszołowów i sępów oraz niezidentyfikowanych owadów. Częstym motywem były też wijące się węże. Same słupy zdaniem ekspertów przedstawiały najpewniej ludzi, o czym miały świadczyć prostopadłe do boków stylizowane ramiona.

Jak dotąd odkopano czterdzieści trzy głazy. Tworzyły kamienne kręgi o średnicy od pięciu do dziesięciu metrów. Dokoła nich znajdowały się skalne półki, niewielkie wnęki i mur z suszonych cegieł.

Rob analizował zdobyte informacje. Wszystko to brzmiało w miarę interesująco. Ale największe emocje wzbudzał przede wszystkim wiek znaleziska. Göbekli Tepe było zdumiewająco stare. Według Breitnera kompleks liczył sobie przynajmniej dziesięć, może jedenaście tysięcy lat. Czyli pochodził mniej więcej sprzed ósmego-dziewiątego tysiąclecia przed naszą erą.

Jedenaście tysięcy lat? Liczba przyprawiała o zawrót głowy. Ale czy naprawdę to taka zamierzchna przeszłość? Rob zajrzał do książki historycznej, żeby porównać wiek Göbekli z wiekiem innych zabytków. Stonehenge zbudowano około dwóch tysięcy lat p. n. e. Sfinksa może tysiąc lat wcześniej. Przed odkryciem Göbekli Tepe najstarszy kompleks megalityczny znajdował się na Malcie — zbudowano go około trzy i pół tysiąca lat przed naszą erą.

Göbekli Tepe było zatem o pięć tysięcy lat starsze od wszystkich innych podobnych konstrukcji. Rob jechał do jednej z najstarszych ludzkich budowli na świecie. Może najstarszej.

Poczuł, jak jego dziennikarski radar zaczyna się obracać. Najstarsza budowla świata odkryta w Turcji? Hmm. Może nie czołówka, ale trzecia strona — całkiem możliwe. Tytuł pięknymi wielkimi wołami. Co więcej, pomimo prasowych relacji, wyglądało na to, że żaden zachodni dziennikarz nie pofatygował się tu osobiście. Wszystkie artykuły w europejskich mediach bazowały na relacjach z drugiej albo trzeciej ręki pochodzących z tureckich agencji prasowych. Rob będzie pierwszy u źródła.

Podróż wreszcie dobiegła końca. Samolot został wprowadzony w przechył, obniżył lot, potoczył się po pasie i zatrzymał na płycie lotniska w Şanhurfi. Na zewnątrz panowała ciemna, bezchmurna noc. Tak pogodna, że

przez okna samolotu wydawało się, że jest chłodno. Ale kiedy otworzyły się drzwi i opadły schodki samolotu, Rob poczuł falę nieznośnie gorącego powietrza. Jakby ktoś właśnie otworzył ogromny piec. To był upalny rejon. Bardzo upalny. Znajdowali się w końcu rzut beretem od wielkiej Pustyni Syryjskiej.

Lotnisko było maleńkie. Rob lubił takie. Miały specyficzną atmosferę, której brakowało wielkim, bezosobowym nowoczesnym portom lotniczym. A to w Şanhurfie okazało się specyficzne w dwójnasób. Bagaze przytaszczył własnoręcznie do hali przylotów gruby brodac w poplamionym podkoszulku, odprawa paszportowa ograniczała się zaś do przejścia obok mężczyzny na wpół drzemiącego przy rozchwianym stoliku.

Na lotniskowym parkingu ciepły, pylasty wiatr trącał liście wybujających palm. Kilku taryfiarzy z postoju mierzyło Roba wzrokiem. Przyjrzał się im i dokonał wyboru. „Do Şanhurfy”, rzucił do jednego z młodszych.

Zarośnięty mężczyzna się uśmiechnął. Miał na sobie dżinsową koszulę, wprawdzie wystrzępioną, ale czystą. Sprawiał wrażenie sympatycznego. Sympatyczniejszego od swoich kolegów, którzy ziewali i soplowali. Co więcej, mówił po angielsku. Po krótkiej rozmowie o stawce i lokalizacji hotelu uścisnęli sobie ręce, taksówkarz wziął bagaże Roba, cisnął je po męsku do bagażnika, potem usiadł za kółkiem, skinął głową i oświadczył:

— Urfa! Nie Şanhurfa. Urrfa!

Rob rozparł się na siedzeniu taksówki. Teraz poczuł się nagle bardzo zmęczony. Podróż z Tel Awiwu była długa. Jutro pójdzie i obejrzy te dziwne wykopaliska. Ale teraz potrzebował snu. Jednak taksówkarz najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę.

— Chcesz piwo? Znam dobre miejsce.

Rob jęknął w duchu. Za oknem migały ciemne płaskie pola.

— Nie, dzięki.

— Kobiety? Znam dobrą kobietę!

— Eee, nie. Nie bardzo.

— Dywan. Chcesz dywan. Mam brata...

Rob westchnął i zerknął na wsteczne lustro. Zobaczył w nim uśmiechniętą od ucha do ucha twarz. Chłopak żartował.

— Bardzo zabawne.

Taksówkarz się roześmiał.

— Jebane dywany! — Potem, nie odrywając oczu od drogi, odwrócił się i wyciągnął rękę. Rob ją uścisnął. — Moje imię Radewan — powiedział

młodzieniec. — A twoje?

— Robert. Rob Luttrell.

— Witam, mister Robert Luttrell.

Rob się roześmiał i odpowiedział „Czołem”. Byli już na przedmieściach. Wzdłuż pustej, zarzuconej śmieciami jezdni stały latarnie i zakłady wulkanizacyjne. Neonowy szyld stacji benzynowej Conoco jarzył się czerwienią w gęstniejącym, dusznym mroku. Po obu stronach drogi wznosiły się betonowe bloki mieszkalne. Wszystko spowijał upał. Mimo to w kuchennych oknach blokowiska Rob widział sylwetki kobiet w hidżabach.

— Trzeba ci kierowcy? Jesteś w interesach? — spytał Radewan.

Rob przez chwilę zastanawiał się nad propozycją. Dlaczego nie? Gość był sympatyczny, miał poczucie humoru.

— Jasne. Przyda mi się kierowca i tłumacz. Na jutro. Może dłużej.

Zadowolony Radewan wałnął jedną dłonią w kierownicę, drugą zapalił papierosa. Żadna tak naprawdę nie spoczywała na kółku. Rob pomyślał, że jeszcze chwila, a zjadą z drogi i uderzą prosto w mały rzęsiście oświetlony meczet, ale wtedy chłopak chwycił kierownicę i znaleźli się z powrotem na drodze. Między jednym a drugim sztachnięciem gryzącego papierosowego dymu trajkotał.

— Potrafię pomóc. Jestem dobry tłumacz. Znam kurdyjski, angielski, turecki, japoński, niemiecki.

— Mówisz po niemiecku?

— *Nein*.

Rob ponownie się roześmiał. Zaczynał naprawdę lubić tego faceta, zwłaszcza że ten pokonał szesnaście kilometrów w dziesięć minut bez dachowania i teraz znajdowali się już w centrum miasta. Jak okiem sięgnąć widać było pozamykane na głucho budki z kebabem i nocne cukierenki sprzedające baklawę. Robowi mignął jakiś mężczyzna w garniturze i drugi w galabii. Dwójka dzieciaków przejechała obok na motorowerach. Kilka młodych kobiet w dżinsach i kolorowych chustach na głowie chichotało z jakiegoś dowcipu. Ze skrzyżowania dochodził dźwięk klaksonów. Hotel Roba mieścił się w samym środku miasta.

Radewan patrzył na Roba w lusterku.

— Mister Rob, ty Anglik?

— Tak jakby. — Rob nie chciał się rozwodzić nad meandrami swojego pochodzenia, nie teraz. Był zbyt zmęczony. — Można powiedzieć.

Radewan się wyszczerzył.

— Ja lubię Anglik. — Potarł kciukiem o palec wskazujący, jakby prosił o pieniądze. — Są bogaci. Anglik bardzo bogaci!

Rob wzruszył ramionami.

— No... niektórzy.

Radewan obstawał przy swoim.

— Dolary i euro! Dolary i funty! — Ponownie odsłonił zęby. — Okay, wiozę pana jutro. Gdzie jechać?

— Göbekli Tepe. Znasz to miejsce? — Cisza. Rob spróbował raz jeszcze. — Göbekli Tepe?

Radewan nie odpowiedział, zahamował tylko gwałtownie.

— Pana hotel — rzucił obcesowo.

Jego uśmiech raptem gdzieś zniknął.

— Eee... to my spotkać się jutro? — spytał Rob, przechodząc na łamaną angielszczyznę. — Radewan?

Turek skinął głową. Pomógł Robowi zanieść bagaże do wejścia i zawrócił do taksówki.

— Mówisz... mówisz, że chcesz Göbekli Tepe?

— Tak.

Zmarszczył czoło.

— Göbekli Tepe złe miejsce, panie Rob.

Rob stał w drzwiach do hotelu, czując się tak, jakby grał w filmowej adaptacji *Drakuli* Brama Stokera. — Ej, to tylko wykopaliska, Radewan. Zawieziesz mnie tam czy nie?

Radewan splunął na jezdnię. Potem wszedł do taksówki i wychylił się przez okno.

— Dziewiąta jutro rano.

Samochód odjechał z piskiem opon i zniknął w przesiąkniętej zapachem stęchlizny wrzawie ulic Şanhurfy.

Następnego ranka po śniadaniu złożonym z jaj na twardo, owczego sera i trzech daktyli Rob wszedł do taksówki. Wyjechali z miasta. Po drodze spytał Radewana, co ma przeciwko Göbekli Tepe.

Z początku taksówkarz był opryskliwy. Wzruszał ramionami i mamrotał coś pod nosem. Ale gdy ruch na drodze zelżał i z okien roztoczył się widok na szerokie nawadniane pola, rozgadał się.

— Nie jest dobre.

— Dlaczego?

— Göbekli Tepe mogłoby być bogate. Wzbogacić kurdyjski naród.

— Ale?

Radewan zaciągnął się ze złością trzecim papierosem.

— Widzisz to miejsce, te ludzie?

Rob wyjrzał przez okno. Przejeżdżali przez małą wioskę lepianek. Ulicą płynął otwarty ściek, usmolone dzieci bawiły się wśród śmieci. Machały do nich. Za wioską rozciągało się pole bawełny, gdzie kobiety w lawendowych hidżabach na głowach pochylały się, doglądając zbiorów w pyłe, brudzie i palącym słońcu. Przeniósł wzrok na kierowcę.

Radewan cyknął z niezadowoleniem.

— Kurdyjscy ludzie biedni. Weź ja: jeżdżę na taksówce. A znam języki. Mimo to taryfiarz.

Rob pokiwał głową. Był świadom ciężkiej doli Kurdów, ich walki o niezależność.

— Turecki rząd, oni trzymają nas w nędzy...

— Tak, jasne — powiedział Rob. — Ale nie rozumiem, jaki to ma związek z Göbekli Tepe.

Taksówkarz pstryknął niedopałkiem przez okno. Znowu jechali wśród rozległych pól, zdezelowana toyota trzęsła się na spowitej kurzem gruntowej drodze. Na horyzoncie w oddali majaczyły niebieskie góry rozedrgane w rozgrzanym powietrzu.

— Göbekli Tepe mogło być jak piramidy albo jak... Stonehenge. Ale oni chcą to trzymać cicho. Tu mogło być dużo, dużo turystów, płacić pieniądze Kurdom. Ale nie. Turecki rząd nie pozwolić. Nawet nie wsadzą drogowskazów, nie zbudują droga tutaj. Jakby tajemnica. — Zakaszłał i splunął przez okno, potem podniósł szybę, żeby nie wpuścić unoszącego się pyłu. — Göbekli Tepe złe miejsce — powiedział raz jeszcze i ucichł.

Rob nie wiedział, co powiedzieć. Przed nimi w kierunku Syrii rozciągały się niskie, żółtobrazowe wzgórza. Minęli kolejną kurdyjską wioskę ze smukłym brązowym minaretem wznoszącym się nad dachami z blachy falistej, niczym wieżyczka nad obozem jenieckim. Rob chciał powiedzieć, że jeśli coś hamuje rozwój Kurdów, to najprawdopodobniej przede wszystkim ich obyczaje, zaściankowość i religia. Ale nie sądził, żeby Radewan był w nastroju na taką rozmowę.

Jechali dalej w milczeniu. Droga stała się jeszcze gorsza, a półpustynny krajobraz bardziej nieprzyjazny. Wreszcie Radewan ze zgrzytem pokonał kolejny zakręt, Rob uniósł głowę i zobaczył samotną morwę, ostro rysującą się na tle bezchmurnego nieba. Taksówkarz skinął głową, powiedział

„Göbekli" i zatrzymał się ostro. Odwrócił się do Roba i uśmiechnął, ni stąd, ni zowąd nagle znowu w dobrym humorze. Potem wysiadł z samochodu i otworzył mu drzwi niczym szofer. Rob poczuł się lekko zażenowany. Nie chciał szofera.

Radewan wszedł z powrotem do auta, wziął gazetę z wielkim zdjęciem jakiegoś piłkarza. Najwyraźniej miał zamiar poczekać. Rob rzucił „do widzenia" i dodał pytając: „Trzy godziny?" Chłopak się uśmiechnął.

Rob się odwrócił, ruszył z boczem wzgórza i wspinał się na szczyt. Za nim rozciągało się trzydzieści kilometrów zakurzonych wiosek, pustkowi i spalonych słońcem pól bawełny. Przed nim natomiast roztaczał się zdumiewający widok. W samym środku jałowego pustkowia wyrastało siedem pagórków. Na stoku największego uwijały się dziesiątki rozproszonych robotników i archeologów. Taszczyli wiadra z kamieniami i kopali w ziemi. Widać było namioty, buldożery i teodolity.

Rob szedł dalej, czując się jak intruz. Niektórzy z kopiących przerwali pracę i odwracali się, żeby na niego popatrzeć. Kiedy skrępowanie już zaczynało mu się dawać we znaki, podszedł do niego sympatyczny pięćdziesięciokilkuletni Europejczyk. Rob rozpoznał w nim Franza Breitnera.

— *Willkommen* — powiedział Niemiec bezceremonialnie, jakby już się znali. — Pan jest tym dziennikarzem z Anglii?

— Tak.

— To się panu poszczęściło.

## 4

Korytarze szpitala Świętego Tomasza jak zawsze roiły się od ludzi. Nadkomisarz Mark Forrester przeciskał się między uwijającymi się pielęgniarkami, plotkującymi krewnymi oraz staruszkami na wózkach z kropłówkami zwieszającymi się ze stalowych stelaży i zachodził w głowę, już po raz trzeci tego ranka, czy da radę stawić czoło temu, co go czekało.

Musiał obejrzeć okaleczonego mężczyznę. Ciężka sprawa. Napatrzył się już na mnóstwo nieprzyjemnych widoków — miał czterdzieści dwa lata, z czego ostatnie dziesięć spędził w policji — ale ta sprawa była wyjątkowa.

Zobaczył strzałkę do oddziału intensywnej opieki medycznej, pokonał dziarsko ciąg schodów, podszedł do recepcji, pomachał legitymacją przed nosem dziewczyny o słodkiej buzi i usłyszał, że ma poczekać.

Kilka sekund później pojawił się, ściągając gumowe rękawiczki z dłoni, lekarz o orientalnych, chińskich rysach twarzy.

— Doktor Sing?

— Komisarz Forrester?

Forrester skinął głową i wyciągnął rękę do medyka. Ten uścisnął ją niepewnie, jakby miał do przekazania złe wiadomości. Nadkomisarz wpadł w lekki popłoch.

— Żyje jeszcze?

— Tak. Ledwie.

— Co mu jest?

Lekarz popatrzył gdzieś nad ramieniem Forrestera.

— Pełna glosektomia.

— Przepraszam?

Lekarz westchnął.

— Wycięto mu cały język. Nożycami...

Forrester popatrzył przez plastikowe drzwi na główną część oddziału.

— Chryste, słyszałem, że źle to wygląda, ale... — Gdzieś za tymi drzwiami znajdował się jego jedyny świadek. Ciągle żywy. Tyle że bez



języka.

Lekarz kręcił głową.

— Stracił mnóstwo krwi. Nie tylko z... języka. Sprawcy pocięli mu także cały tułów. I ogolili głowę.

— Sądzi pan więc... ?

— Sądzę, że gdyby im nie przeszkadzono, wyglądałoby to znacznie gorzej. — Lekarz popatrzył badawczo na komisarza. — Chcę powiedzieć, że gdyby ten alarm samochodowy się nie włączył, prawdopodobnie by go zabili.

Forrester wypuścił powietrze z płuc.

— Usiłowanie zabójstwa.

— To pan jest policjantem. — Lekarz zrobił zniecierpliwioną minę.

Forrester skinął głową.

— Mogę go zobaczyć?

— Sala trzydzieści siedem. Tylko krótko, proszę.

Forrester jeszcze raz uściśnął dłoń lekarza, choć nie wiedział dlaczego. Potem przeszedł przez drzwi, ominął nosze na kółkach zastawione stertą basenów i zapukał do pokoju numer 37. W odpowiedzi ze środka dobiegł jęk. Co powinien zrobić? Potem sobie przypomniał: mężczyźnie odcięto język. Otworzył drzwi z westchnieniem. Była to prosta, mała sala z telewizorem zawieszonym na stalowym wysięgniku w kącie. Odbiornik był wyłączony. W pokoju unosił się zapach kwiatów i czegoś mniej przyjemnego. W łóżku leżał leciwy mężczyzna i spoglądał na Forrestera dzikim wzrokiem. Miał ogoloną do gołej skóry głowę, na której widniała płatanina skaleczeń i zaschniętych ran, przypominająca nieco mapę połączeń kolejowych. Usta starca były zamknięte, ale w ich kącikach tkwiły ślady skrzepniętej krwi niczym wyschnięty brązowy sos na szyjce starej butelki. Tułów pacjenta pokrywały bandaże.

— David Lorimer?

Mężczyzna skinął głową. I patrzył. Nie odrywał od Forrestera wzroku.

To oszalałe spojrzenie dało nadkomisarzowi do myślenia. W ciągu swojej kariery widział już wiele przestraszonych twarzy, ale z takim wyrazem absolutnej zgrozy, jaki malował się w oczach starca, zetknął się po raz pierwszy.

David Lorimer coś wybełkotał. I zaraz zaniósł się kaszlem, a z ust strzeliły mu kropelki krwi. Forrester poczuł wyrzuty sumienia.

— Proszę. — Uniósł dłoń. — Nie chcę pana denerwować. Przyszedłem... tylko coś sprawdzić.

Oczy mężczyzny były pełne łez jak u przerażonego dziecka.

— Przeżył pan straszny koszmar, panie Lorimer. My tylko... Ja tylko... chcę pana zapewnić, że zrobimy wszystko, żeby złapać tych ludzi.

Oświadczenie zabrzmiało żenująco banalnie. Ten człowiek został brutalnie okaleczony, sterroryzowany i odchodził od zmysłów ze strachu. Odcięto mu nożycami język. Wykarbowano wzory na żywej skórze. Forrester poczuł się jak idiota. Chciał powiedzieć „przyskrzynimy tych skurwieli”, ale miejsce nie było odpowiednie do tego typu chojrackiej bufonady. W końcu usiadł na plastikowym krzeselku w nogach łóżka i uśmiechnął się ciepło do mężczyzny, w nadziei, że ten się uspokoi.

Wydawało się, że mu się udało. Po minucie lub dwóch oczy starca nie wyglądały już na tak przerażone. Lorimer wskazał nawet trzęsącą się ręką na jakieś papiery leżące na szafce przy łóżku. Forrester wstał, podszedł do stolika i wziął je. Był to plik odręcznych notatek.

— Pańskie?

Lorimer pokiwał głową. Z zaciśniętymi ustami.

— Rysopisy napastników?

Ponownie potaknął.

— Bardzo dziękuję, panie Lorimer.

Forrester wyciągnął rękę, poklepał go po ramieniu i z miejsca zawstydził się tego gestu. Staruszek naprawdę wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

Chowając zapiski do kieszeni, nadkomisarz czym prędzej opuścił salę. Wyszedł z oddziału, zbiegł po schodach i wypadł przez obrotowe drzwi na ulicę. Kiedy znalazł się na pełnym zieleni nabrzeżu, poczuł przesiąknięte deszczem powietrze późnej wiosny i odetchnął z ulgą. Atmosfera zgrozy panująca na szpitalnej sali, malująca się w szeroko rozwartych oczach starca była zbyt przytłaczająca.

Ruszył wzdłuż Tamizy i po jakimś czasie przeszedł na drugą stronę rzeki, mijając po lewej żółtą, gotycką bryłę Westminsteru. Idąc, czytał zapiski nagryzmołone niepewną ręką staruszka.

David Lorimer pracował jako dozorca. W Domu Benjamina Franklina. Miał sześćdziesiąt cztery lata i zbliżał się do emerytury. Mieszkał samotnie w pokoiku nad muzeum. Ubiegłej nocy około czwartej nad ranem obudził go stłumiony brzęk rozbitej na dole szyby. Mieszkał na zaadaptowanym strychu, musiał zatem zejść przez cały budynek do piwnicy. Tam natknął się na piątkę czy szóstkę nieznanymi mężczyzn, przypuszczalnie młodych, w

kominiarkach na głowach. Włamali się do środka, raczej fachowo, i rozkopywali podłogę w piwnicy. Jeden z nich mówił z „wytwornym akcentem”.

I to na dobrą sprawę wszystko, co zawierały zapiski Lorimera. Podczas napaści uruchomił się w pobliżu alarm jakiegoś samochodu — prawdopodobnie czystym, choć cudownym, trafem — i mężczyźni, którzy właśnie kierowali tułów i szyję Lorimera, wzięli nogi za pas. Dozorca miał szczęście, że uszedł z życiem. Gdyby ów młodzieniec, Alan Greening, tam nie zabłądził i go nie znalazł, wykrwawiłby się na śmierć.

W głowie Forrestera roilo się od domysłów. Skręcając w prawo na Strandzie, ruszył cichą neoklasycystyczną uliczką w stronę Domu Benjamina Franklina. Budynek odgradzony był plastikową biało-niebieską taśmą policyjną. Na zewnątrz stały dwa radiowozy, posterunkowy w mundurze pilnował wejścia, a grupka dziennikarzy z dyktafonami kryła się pod daszkiem pobliskiego biurowca z kubkami kawy na wynos w dłoniach.

Kiedy Forrester się zbliżył, podeszła do niego jedna z dziennikarek.

— Komisarzu, czy to prawda, że ofierze wycięto język?

Forrester odwrócił się, uśmiechnął beznamyślnie i nic nie odpowiedział.

Dziennikarka, młoda i ładna, spróbowała raz jeszcze.

— Czy sprawa ma tło neofaszystowskie?

To dało Forresterowi do myślenia. Odwrócił się i popatrzył na dziewczynę.

— Konferencja prasowa jest jutro.

Było to kłamstwo, ale skuteczne. Odwrócił się, zanurkował pod taśmą i pokazał odznakę. Posterunkowy otworzył drzwi i Forrester z miejsca poczuł charakterystyczny świdrujący w nozdrzach chemiczny zapach ekipy kryminalistycznej. Woń proszku daktyloskopijnego i oparów cyjanoakrylanów. Silikonowego żelu i superglue. Minął majestatyczny georgiański hol z portretami Benjamina Franklina i zszedł wąskimi schodami do piwnicy.

Na dole panował ruch. Dwie dziewczyny z sekcji kryminalistycznej w zielonych papierowych jednorazowych fartuchach i maskach pracowały w jednym końcu. Na podłodze widać było wyraźne, lepkie i ciemne plamy krwi. Z drugiego końca pomachał mu sierżant Boijer z dochodzeniówki. Forrester uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Kopali tutaj — powiedział Boijer.

Blond włosy miał świeżo obcięte i komisarzowi nie umknęło, że zapewne u drogiego fryzjera.

— Dlaczego?

Sierżant wzruszył ramionami.

— Pojęcia nie mam, sir. — Machnął ręką w stronę wykopanych kamiennych płyt. — Ale nieźle się narobili. Przeniesienie tego gówna i wydziabanie takiej dziury musiało zająć kilka godzin.

Forrester pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć naruszonej ziemi i głębokiemu, wilgotnemu dołowi.

Boijer gadał za jego plecami.

— Widział pan tego dozorcę?

— Mhm. Biedak.

— Lekarz powiedział mi, że próbowali go zabić. Powoli.

Forrester odpowiedział, nie odwracając się.

— Myślę, że zamierzali wykrwawić go na śmierć. Miał szczęście, że najpierw uruchomił się alarm, a potem jeszcze pojawił ten chłopak, inaczej umarłby z utraty krwi.

Boijer skinął głową.

Forrester się wyprostował.

— Zatem mamy tu usiłowanie zabójstwa. Lepiej pogadaj z Aldridge'em. Będzie chciał starszego śledczego i całą resztę. Zorganizować centrum koordynacyjne.

— A te rany na tułowiu?

— Co niby?

Forrester się odwrócił. Boijer trzymał jakieś zdjęcie i krzywił się.

— Nie widział pan tego? — Podał mu fotografię. — Lekarz zrobił fotkę obrażeń. Dziś rano przesłał e-mailem na posterunek, nie miałem kiedy panu pokazać.

Forrester zerknął. Zobaczył biały tułów dozorczy, miękki i słaby. Nacięcia były nierówne, ale sam znak czytelny. Dwa zachodzące na siebie trójkąty. Żydowska gwiazda Dawida. Wykarbowana na żywym ciele.

— Więc to są te nowe płaskorzeźby opisane w artykule?

— *Ja.*

Rob znajdował się w centrum wykopalisk, obok Breitnera. Stali nad dołem i patrzyli na znajdujące się niżej ustawione w krąg głazy w kształcie litery T: megality. Dokoła nich prace szły pełną parą: tureccy robotnicy usuwali i odgarniali ziemię, schodzili po drabinach, toczyli beczki z gruzem po schodniach. Słońce prażyło niemiłosiernie.

Płaskorzeźby były dziwne — a mimo to znajome, bo Rob oglądał wcześniej w gazecie ich zdjęcia. Na jednym z gładów widać było lwy i kilka omszałych ptaków, może kaczek, na drugim coś, co przypominało skorpiona. Na blisko połowie megalitów znajdowały się podobne reliefy, wiele z nich było poważnie zniszczonych, inne całkiem dobrze zachowane. Rob zrobił kilka zdjęć aparatem telefonicznym, potem nagryzmolił parę słów w notesie i najlepiej jak potrafił naszkicował dziwny kształt gładów.

— Ale to oczywiście jeszcze nie wszystko. *Komm* — powiedział Breitner.

Ruszyli skrajem dołu do kolejnego, w którym znajdowały się trzy następne ochrowe słupy otoczone kamiennym murem. Na klepisku między nimi połyskiwały szczątki czegoś, co wyglądało na płytki ceramiczne. Jakaś blondynka, przechodząc obok z plastikową torebką pełną małych krzemieni, powiedziała Robowi *Guten Tag*.

— Mamy tu wielu studentów z Heidelbergu.

— A reszta robotników?

— Wszyscy Kurdowie. — Błyszczące oczy spochmurniały na chwilę za szklami okularów. — Są oczywiście także inni eksperci, paleobotanicy i dwaj czy trzej spece od innych dziedzin. — Wyjął chusteczkę i otarł pot z łysiny. — A to jest Christine...

Rob się odwrócił. Od strony namiotów szła w ich kierunku drobna, ale fertyczna osóбка w spodniach khaki i nieskazitelnie białej koszuli. Wszyscy inni tutaj byli uwalani wszechobecnym beżowym pyłem z rozkopanych

pagórków. Ale nie ona. Rob poczuł, jak się spina, sztywnieje z napięcia — jak zawsze, gdy przedstawiano go atrakcyjnej młodej kobiecie.

— Christine Meyer. Moja ekspertka od kości.

Mała, ciemnowłosa kobieta wyciągnęła rękę.

— Osteoarcheolog. Zajmuję się antropologią organiczną. Szczątki ludzkie itd. Choć jeszcze nie znaleźliśmy niczego w tym rodzaju.

Rob rozpoznał francuski akcent. Jakby czytając w jego myślach, Breitner wtrącił:

— Christine studiowała w Cambridge u Isobel Previn, ale jest z Paryża, więc tworzymy tu bardzo międzynarodowe towarzystwo...

— Owszem, jestem Francuzką. Ale przez wiele lat mieszkałam w Anglii.

— Rob Luttrell — uśmiechnął się dziennikarz. — Mamy podobny życiorys. To znaczy ja urodziłem się w Stanach, ale od dziesiątego roku życia mieszkam w Londynie.

— Przyjechał, żeby napisać o Göbekli! — Breitner zachichotał. — Chcę mu pokazać wilka!

— Krokodyla — poprawiła Christine.

Archeolog wybuchnął śmiechem, odwrócił się i ruszył dalej. Rob popatrywał na tych oboje, zdezorientowany.

— *Komm*. Pokażę panu.

Panowie obeszli dokoła wykopy i zwały ziemi. Rob się rozglądał. Gdzie spojrzeć — megality. Niektóre nadal na wprost zakopane. Inne pochylone pod różnymi kątami.

— Nie sądziłem, że to jest takie wielkie — wymruczał.

Wąska ścieżka sprawiła, że musieli iść gęsiego. Zza jego pleców Christine odpowiedziała:

— Georadar i magnetometry sugerują, że pod tymi pagórkami może się znajdować jeszcze jakieś dwieście pięćdziesiąt gładów. Niewykluczone, że więcej.

— Obłąd.

— Tak, to obłądne miejsce.

— I, zdaje się, obłądnie stare, prawda?

— Prawda.

Idący z przodu Breitner teraz niemal gnał. Rob pomyślał, że przypomina chłopca wyrywającego się, żeby pokazać rodzicom swoją nową kryjówkę. Christine ciągnęła:

— Prawdę mówiąc, dosyć trudno było określić wiek kompleksu.

Dotarli do stalowej drabiny i Christine stanęła obok Roba.

— O, w ten sposób. — Ześlizgnęła się z wawo na dół. Najwyraźniej nie wzdragała się ubrudzić, mimo nieskazitelnej koszuli.

Rob ruszył jej śladem, choć z trochę mniejszą werwą. Stali teraz na dole jednej z jam. Dokoła, niczym posępni strażnicy, wznosiły się megality. Rob zastanawiał się, jak by to było znaleźć się tu w nocy, ale szybko przegnał tę myśl. Wyjął notes.

— Wspominałaś o ustalaniu wieku?

— Tak. — Christine ściągnęła brwi. — Do niedawna nie mieliśmy pewności, jak stare jest to miejsce. To znaczy wiedzieliśmy, rzecz jasna, że bardzo stare, ale czy jest to neolit preceramiczny A czy PPNB...

— Przepraszam?

— W zeszłym tygodniu udało nam się wreszcie określić metodą radiowęglową wiek węgla drzewnego znalezionej na jednym z megalitów.

Rob zapisał to.

— I okazało się, że ma dziesięć albo jedenaście tysięcy lat, zgadza się? Tak przeczytałem w „Chicago Tribune”.

— To nieprecyzyjna informacja. Metoda radiowęglowa jest jedynie szacunkowa. Żeby uzyskać bliższe dane, porównaliśmy analizę radiowęglową z odłupkami krzemiennymi, które tu znaleźliśmy, i materiałami krzemiennymi z Nemrik i Byblos: typami grotów et cetera. Biorąc pod uwagę to i inne dane, sądzimy, że wiek Göbekli jest w istocie bliższy dwunastu tysiącom lat.

— To stąd ta ekscytacja?

Popatrzyła na niego i odgarnęła ciemne włosy z oczu. Potem się roześmiała.

— Myślę, że Franz bardzo chce, żebyś rzucił okiem na jego jaszczurkę.

— Wilka — poprawił Breitner, przystając przy kolejnym na wpół odkopanym głazie w kształcie litery T.

Na dolnej części megalitu znajdowała się długa na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów płaskorzeźba jakiegoś zwierzęcia. Delikatnie rzeźbiona, sprawiała osobliwe wrażenie — jakby dopiero co wyszła spod dłuta. Zwrócona ku ziemi kamienna szczęka rozchylała się w warknięciu. Rob popatrzył na Breitnera i stojącego za jego plecami robotnika. Turek spozierał na profesora z, jak się zdawało, gniewem w oczach, może nawet nienawiścią. Było to szokujące spojrzenie. Kiedy zauważył, że Rob mu się

przygląda, gwałtownie się odwrócił i wspiął po drabinie. Rob przeniósł wzrok na Breitnera, który stał całkowicie nieświadomy tej wymiany spojrzeń.

— Odkryliśmy go nie dalej jak wczoraj.

— Co to przedstawia?

— Uważam, że wilka, sądząc po łapach.

— A ja uważam, że krokodyla — powiedziała Christine.

Archeolog się roześmiał.

— Rozumie pan? — Zsunął z powrotem połyskujące w jaskrawym słońcu okulary na oczy i przez chwilę Rob czuł podziw dla tego mężczyzny czerpiącego taką radość i zadowolenie ze swojej pracy. Breitner ciągnął: — Ja, wy i ci robotnicy jesteście pierwszymi ludźmi, którzy oglądają to od czasów... końca epoki lodowej.

Rob zamrugął. Zabrzmiało to bardzo sugestywnie.

— Ta płaskorzeźba jest dla nas absolutną nowością — dodała Christine.

— Nikt nie wie, co przedstawia. Nikt nie może jej autorytatywnie zinterpretować. Twój domysł jest tak samo dobry jak wszystkie inne.

Rob popatrzył na paszczę zwierzęcia.

— Mnie to wygląda na kota. Albo wściekłego królika.

Pocierając brodę, Breitner powiedział:

— Kotowate? A wie pan, nie przyszło mi to do głowy. Może rzeczywiście jakiś dziki kot...

— Mogę wspomnieć o tym w reportażu?

— *Ja, natürlich* — odrzekł archeolog, ale już bez uśmiechu. — A teraz chyba... pora na herbatę.

Rob skinął głową: bardzo chciało mu się pić. Breitner poprowadził ich z powrotem przez płataninę osłoniętych dołów, otwartych jam, pokrytych brezentem rowów i robotników taszczących wiadra. Za ostatnim wzniesieniem rozciągał się bardziej płaski teren zastawiony ogrodowymi namiotami z czerwoną wykładziną. Ze stojącego w rogu samowara nalali słodkiej tureckiej *çay* do trzech filiżanek w kształcie tulipana. Z namiotu roztaczał się spektakularny widok na bezkresne żółte równiny i niskie, pokryte pyłem wzniesienia rozchodzące się faliście w stronę Syrii i Iraku.

Siedzieli, gawędząc, przez kilka minut. Breitner wyjaśniał, że kiedyś okolica Göbekli była żyzną krainą — nie pustynną jałowizną, którą stała się później.

— Dziesięć czy dwanaście tysięcy lat temu panowały na tym terenie znacznie korzystniejsze warunki, nie było tak sucho. W rzeczywistości było



tu wprost pięknie: sielsko. Stada zwierzyny, sady dzikich drzew owocowych, rzeki pełne ryb... Dlatego na głazach widzimy płaskorzeźby zwierząt, które teraz już tu nie występują.

Rob to zanotował. Chciał się dowiedzieć więcej, ale nagle podeszło dwóch tureckich robotników i spytali Breitnera o coś po niemiecku. Rob znał język na tyle, by wyłapać sens: chcieli kopać znacznie głębiej, żeby odsłonić kolejny megalit. Profesor najwyraźniej niepokoił się o bezpieczeństwo tak poważnych prac. W końcu westchnął, wzruszył ramionami i oddalił się, żeby zająć się kwestią na miejscu. Rob widział, że kiedy profesor się podniósł, jeden z robotników odprowadził go wściekłym spojrzeniem: na jego twarzy malował się dziwny ponury grymas. Zdecydowanie wyczuwało się tu napięcie. Dlaczego? Zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o swoich odczuciach Christine teraz, gdy zostali sami. Z tej odległości z wykopalisk dochodziły przytłumione odgłosy prac: Rob słyszał jedynie ciche pobrzękiwanie szpachelek i szpadli i od czasu do czasu jakieś inne dźwięki niesione gorącym pustynnym wiatrem. Już, już miał zadać pytanie, kiedy odezwała się Christine:

— Co myślisz o Göbekli?

— To rzeczywiście niesamowite miejsce.

— Ale czy masz świadomość jak bardzo?

— Tak sądzę. A nie mam?

Popatrzyła na niego sceptycznie.

— Może w takim razie mi wyjaśnisz?

Christine upiła nieco herbaty z filiżanki w kształcie tulipana.

— Pomyśl w ten sposób, Rob. Musisz pamiętać o wieku tego stanowiska. Dwanaście tysięcy lat.

— I...?

— I przypomnieć sobie, co wtedy robili ludzie.

— Co masz na myśli?

— Ci, którzy zbudowali to miejsce, należeli do ludów łowiecko-zbierackich.

— Byli jaskiniowcami?

— Poniekąd. — Posłała mu bezpośrednie, szczere spojrzenie. — Przed Göbekli Tepe nie mieliśmy pojęcia, że tacy wcześni, prymitywni ludzie byli w stanie zbudować coś podobnego, że potrafili tworzyć dzieła sztuki i zaawansowanej architektury. I mieli skomplikowane rytuały religijne.

— Bo byli tylko jaskiniowcami?

— Właśnie. Göbekli Tepe stanowi rewolucję w naszych wyobrażeniach. Totalny przewrót. — Dopięła herbatę. — Zmienia nasz ogląd całej historii ludzkości. To najważniejsze wykopaliska na świecie od półwiecza i jedno z największych odkryć archeologicznych w dziejach.

Rob był pod wrażeniem i zaintrygowany. Czuł się także trochę jak uczeń na lekcji.

— Jak oni to zrobili?

— Dobre pytanie. Ludzie z łukami i strzałami, którzy nawet nie znali ceramiki czy uprawy roli. Jak zbudowali tę ogromną świątynię?

— Świątynię?

— O tak, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest to świątynia. Nie znaleźliśmy tu żadnych śladów zamieszkania, choćby najbardziej prymitywnych domostw, tylko te stylizowane przedstawienia łowów. Ceremonialne albo rytualne obrazy i symbole. Znaleźliśmy też nisze na kości, do obrządków grzebalnych. Dlatego Breitner myśli, że to jest świątynia, pierwszy budynek o charakterze sakralnym na świecie, wzniesiony z myślą o świętowaniu łowów i oddawaniu czci zmarłym. — Uśmiechnęła się. — A ja uważam, że ma rację.

Rob odłożył długopis. Pomyślał o błysku w oku Breitnera i jego radosnej minie.

— To chyba pogodny człowiek, prawda?

— A pan by nie był? Urodził się pod najszcześniejszą archeologiczną gwiazdą. Dane mu jest odkopywać naprawdę wyjątkowe miejsce.

Rob pokiwał głową i zanotował coś jeszcze. Entuzjazm Christine był niemal równie zaraźliwy jak Breitnera. A jej wywody zdecydowanie bardziej klarowne. Rob nadal nie całkiem podzielał ich pełne podziwu zdumienie „całkowitą rewolucją w wyobrażeniach”, jaką stanowiło Göbekli, ale zaczynał mu kiełkować w głowie pomysł na spektakularny artykuł. Druga strona głównego wydania, na bank. Albo jeszcze lepiej — obszerny tekst w kolorowym dodatku, ilustrowany zdjęciami płaskorzeźb. Nastrojowe ujęcia głazów nocą. Powaleni pyłem robotnicy...

Potem przypomniał sobie reakcję Radewana na wspomnienie o wykopaliskach i gniewne spojrzenie robotnika. A także lekką zmianę nastroju Breitnera, kiedy mówili o artykule Roba. I napięcie przy namiocie. Christine stała przy samowarze, napełniając filiżanki kolejną porcją gorącego, słodkiego naparu. Zastanawiał się, czy poruszyć ten temat. Kiedy wróciła, powiedział:

— Christine, wiem oczywiście, że te prace są niezwykle i w ogóle. Ale czy aby wszyscy podzielają tę opinię?

— Co masz na myśli?

— Hmm... Doszły mnie pewne słuchy od miejscowych... o panujących nastrojach. Niezbyt dobrych. To miejsce niepokoi wielu ludzi. Mojego kierowcę na przykład.

Christine wyraźnie zeszywniała.

— Mów dalej.

— Mój taksówkarz. — Rob postukał długopisem w podbródek. — Radewan. Kiedy wczoraj wspomniałem coś o Göbekli, poniosło go trochę. Ale nie chodzi tylko o niego. O całą atmosferę. A sam Breitner jest chyba... nastawiony... ambiwalentnie. Raz czy dwa, kiedy omawiałem z nim mój tekst, odniosłem wrażenie, że szczególnie podoba mu się moja tu obecność... Choć często się uśmiecha... — Urwał. — Można by myśleć, że chciałby, żeby świat się dowiedział o tym, co tu robi, prawda? A on jakby miał z tym problem.

Christine nic nie odrzekła, więc Rob też milczał. Stara dziennikarska sztuczka.

Podziałała. Skrępowana ciszą dziewczyna nachyliła się w jego stronę.

— Okay. Masz rację. Jest tu... są... — Urwała, jakby bijąc się z myślami.

Wietrzyk od strony pustyni zrobił się jeszcze gorętszy, choć było to prawie niemożliwe. Rob czekał i sączył herbatę.

Wreszcie westchnęła.

— Będziesz tu przez tydzień, tak? To ma być poważny artykuł?

— Tak.

Skinęła głową.

— W porządku. Odwiozę cię do Şanhurfy. Z powodu upału prace na stanowisku kończą się zawsze o pierwszej, wielu ludzi wraca wtedy do domu. Zwykle ja też. Możemy porozmawiać w moim samochodzie. Prywatnie.

## 6

Na zakurzonej parkingu Rob dał Radewanowi suty napiwek i powiedział, że wróci do hotelu na własną rękę. Taksówkarz popatrzył na niego, potem na zwitek banknotów w swojej dłoni, następnie na Christine stojącą tuż za dziennikarzem. Wyszczrzył się do niego znacząco, wycofał samochód, zwiększył obroty i zawołał przez okno:

— Może jutro, panie Rob?

— Może jutro.

Odjechał.

Wóz Christine okazał się zardzewiałym land-roverem. Otworzyła od środka drzwiczki pasażera i pośpiesznie uprzątnęła z siedzenia zalegającą tam stertę dokumentów — podręczników i periodyków naukowych — ciskając je jak popadnie na tył. Potem dodała gazu i ruszyli szybko w kierunku głównej drogi, zjeżdżając ze wzgórz na wypalone słońcem żółte równiny.

— Więc... o co chodzi? — Rob musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć chrzęst podskakujących na kamieniach opon.

— Zasadniczo o politykę. Musisz pamiętać, że to Kurdystan. Kurdowie uważają, że Turcy grabią ich dziedzictwo. Wywożą co lepsze zabytki do muzeów w Ankarze i Stambule. Głowy nie dam, że nie jest to prawda.

Rob obserwował promienie słońca migoczące na powierzchni kanału irygacyjnego. Czytał, że ten region jest obiektem wielkiego rolniczego projektu, Programu Nawadniania Anatolii Południowo-Wschodniej, którego celem jest przywrócenie pustynnych terenów do życia za pomocą wód Eufratu. Projekt wzbudzał kontrowersje, ponieważ zakładał zatopienie dziesiątków starożytnych unikatowych stanowisk archeologicznych. Choć na szczęście nie Göbekli. Zerknął na Christine, która gwałtownie zmieniała bieg.

— Nie ma natomiast wątpliwości, że rząd nie pozwala miejscowym na czerpanie profitów z Göbekli Tepe.

— Z powodów?

— Z powodów jak najbardziej archeologicznie uzasadnionych. Ostatnie, czego Göbekli teraz trzeba, to tysiące pałętających się wszędzie turystów. Więc rząd nie postawił żadnych drogowskazów, nie pali się do naprawiania dróg dojazdowych. A to oznacza, że możemy pracować w spokoju. — Ostro skręciła kierownicą i przyspieszyła. — Ale rozumiem też kurdyjski punkt widzenia. Musiałeś mijać po drodze kilka wiosek.

Rob skinął głową.

— Parę.

— Warunki sanitarne pozał się Boże. Nie ma tam nawet bieżącej wody. Na dobrą sprawę szkół też. Bieda aż piszczy. A Göbekli Tepe, przy odpowiedniej promocji, mogłoby się stać kurą znoszącą złote jajka. Przynieść mnóstwo pieniędzy regionowi.

— I Franz znalazł się między młotem a kowadłem?

— Właśnie. Musi znosić presję ze wszystkich stron. Naciski, żeby wykopaliska przebiegały jak należy, naciski, żeby przyspieszył prace, naciski, żeby zatrudniał jak najwięcej miejscowych. A nawet żeby kierował tym wszystkim dalej.

— To dlatego ma taki mieszany stosunek do medialnego szumu?

— Oczywiście jest bardzo dumny z tego, co odkrył. Chciałby, żeby świat się dowiedział. Pracuje tu od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. — Christine zwolniła, pozwalając przejść przez drogę kozie, potem z powrotem wcisnęła gaz. — Zwykle archeolodzy jeżdżą po całym świecie. Ja od skończenia Cambridge sześć lat temu pracowałam już w Meksyku, Izraelu, Francji. A Franz spędził tu ponad połowę swojej kariery. Więc owszem, bardzo chciałby poinformować o tym świat. Ale jeśli to zrobi, jeśli Göbekli stanie się naprawdę sławne, tak sławne jak powinno być, wtedy jakaś gruba ryba w Ankarze może uznać, że to Turek powinien tym wszystkim zawiadywać. I spijać śmietankę.

Teraz Rob trochę lepiej rozumiał sytuację. Ale to nadal nie wyjaśniało dziwnej atmosfery panującej na wykopaliskach. Wyraźnej niechęci robotników. A może coś mu się tylko roziło?

Dotarli do głównej asfaltowej drogi i wśród gęstniejącego ruchu, ruszyli do Şanhurfy. Wyprzedzając ciężarówki z owocami i pojazdy wojskowe, rozmawiali o zainteresowaniach Christine: ludzkich szczątkach. O tym, jak badała w Teotihuacan pozostałości ofiar rytualnych mordów. O jej pracy na Tel Gezer i Megiddo w Izraelu. Szczątkach neandertalczyków we Francji.

— Prehistoryczni hominidzi żyli na terenach południowej Francji przez setki tysięcy lat, niby ludzie jak my, choć niezupełnie.

— Mówisz o neandertalczykach?

— Tak, ale też *Homo erectus* i *Homo antecessor*. A nawet *Homo heidelbergensis*.

— Eee... okay...

Christine się roześmiała.

— Znowu namąciłam? W porządku, pokażę ci coś naprawdę odjazdowego. Jeśli to cię nie ruszy, to chyba już nic.

Kierowali się w stronę centrum Şanhurfy. Na wzgórzach majaczyła plątanina betonowych domów, wzdłuż zakurzonych, tonących w słońcu promenad ciągnęły się rzędy wielkich sklepów i biur. Niektóre uliczki były bardziej zacienione i starsze: kiedy przedzierali się przez korki, Rob zauważył fragment arkad z czasów imperium osmańskiego, wejście na gwarny, ciemny targ, meczety ukryte za kruszejącymi kamiennymi murami. Miasto najwyraźniej dzieliło się na część starą, bardzo starą, i nowe dzielnice rozciągające się aż na tereny półpustynne.

Popatrzył na lewo i zobaczył duży teren parkowy z połyskującymi stawami, kanałami i wykwintnymi pawilonami herbacianymi: urokliwa oaza w brudzie i wrzawie dużego kurdyjskiego miasta.

— Park Gölbasi — wyjaśniła Christine. — A to są stawy rybne Abrahama. Miejscowi wierzą, że prorok Abraham sam je zarybił karpami. To miasto jest cudowne, jeśli się lubi historię. Ja je uwielbiam...

Samochód przejechał przez wąskie uliczki starego miasta. Odbiwszy kierownicą w lewo, Christine skierowała go na szeroką, wznoszącą się w górę drogę i wjechała w bramę prowadzącą do ocienionego drzewami budynku. Umieszczona na fasadzie tabliczka informowała: Muzeum Şanhurfy.

W środku natknęli się na trzech nieogolonych mężczyzn popijających czarną herbatę. Na widok Christine wstali i przywitali się z nią serdecznie. Gawędziła z nimi przez chwilę po turecku lub kurdyjsku. W każdym razie w języku, którego Rob nie rozumiał.

Po tej wymianie uprzejmości przeszli przez wewnętrzne drzwi do małego muzeum, gdzie Christine zaprowadziła Roba do posągu. Blisko dwumetrowa rzeźba z kremowego kamienia przedstawiała mężczyznę z oczyma z czarnego kamienia.

— Wykopano ją w Şanhurfie dziesięć lat temu, kiedy kładziono fundamenty pod budynek banku w pobliżu stawów rybnych. Została znaleziona wśród pozostałości neolitycznego kompleksu sakralnego sprzed może jedenastu tysięcy lat. Jest to więc prawdopodobnie najstarszy odkryty posąg człowieka. Na całym świecie. Najstarszy autoportret w kamieniu w dziejach. I stoi tu sobie ot tak, przy gaśnicy.

Rob popatrzył na kolosa. Wykute w kamieniu oblicze patrzyło beżmiernie smutno, ze ściskającym serce żalem.

Christine wskazała na twarz:

— Oczy są z obsydianu.

— Masz rację. Jest niezwykły.

— A nie mówiłam? Przekonałam cię.

— Ale co, u licha, to tu robi? Znaczy się, jeśli jest taki sławny, dlaczego nie znajduje się w Stambule, dlaczego nie słyhać o nim w mediach. Nic mi się nie obilo o uszy!

Christine wzruszyła ramionami, co sprawiło, że srebrny krzyżyk zamigotał na jej opalonej skórze.

— Może Kurdowie mają rację. Może Turcy nie chcą, żeby szczylic się swoim dziedzictwem. Kto wie?

Kiedy wyszli do pełnego zieleni ogrodu, opowiedział jej o spojrzeniu robotnika na wykopalisku, o malującej się w nim wyraźnej nienawiści. Dziwnej atmosferze panującej na miejscu.

Christine zmarszczyła czoło. Przez kilka minut chodziła, pokazując Robowi najróżniejsze porzrzucone w ogrodzie skarby przeszłości: rzymskie nagrobki i rzeźby z czasów imperium osmańskiego. Kiedy zbliżali się do samochodu, wskazała na jeszcze jeden posąg: wizerunek człowieka-ptaka z rozłożonymi skrzydłami. Miał wąską twarz o skośnych oczach, okrutną i złowrogą.

— To znaleziono w pobliżu Göbekli. Myślę, że przedstawia jakiegoś asyryjskiego demona pustyni. Może demona wiatru Pazuzu. Asyryjczycy i Mezopotamczycy czcili setki demonów, to raczej przerażająca mitologia. Lilith, porywająca dzieci, Adramelech, demon ofiar. Wielu z nich kojarzono z pustynnym wiatrem i ptakami pustyni...

Rob był pewien, że gra na czas. Cekał, żeby odpowiedziała na pytanie.

Raptem się do niego odwróciła.

— W porządku, masz rację. Na wykopaliskach panuje ciężka atmosfera. To dziwne. Nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkałam, a pracowałam

już w różnych miejscach na całym świecie. Robotnicy są do nas nieprzyjaźnie nastawieni. Dobrze ich opłacamy, a mimo to ta niechęć się utrzymuje.

— To ma coś wspólnego z napięciami turecko-kurdyjskimi?

— Nie. Nie wydaje mi się. A przynajmniej nie tylko z tym. — Poprowadziła ich do zaparkowanego pod drzewem figowym samochodu. — Chodzi o coś więcej. Notorycznie dochodzi do dziwnych wypadków. Upadające drabiny. Spadające rzeczy. Psujące się samochody. To nie może być przypadek. Czasami nawet wydaje mi się, że miejscowi chcą, żebyśmy przestali, wyjechali. Zupełnie jakby...

— Ukrywali coś?

Zaczerwieniła się.

— To głupie. Ale tak jakby usiłowali coś ukryć. I jest coś jeszcze. Równie dobrze mogę ci powiedzieć.

Rob zastygł z otwartymi do połowy drzwiczkami.

— Co?

Odpowiedziała, dopiero gdy wsiedli.

— Franz kopie nocami. Na własną rękę, z kilkoma robotnikami. — Uruchomiła silnik i potrząsnęła głową. — Nie mam bladego pojęcia dlaczego.



Nadkomisarz Forrester siedział przy swoim zabałaganionym biurku w New Scotland Yardzie. Przed sobą miał rozłożony plik zdjęć okaleczonego mężczyzny, Davida Lorimera. Okropny widok: dwa trójkąty brutalnie wycięte na piersi wśród krwi spływającej po skórze.

Gwiazda Dawida.

Lorimer. Z pochodzenia Szkot, nie Żyd. Czy napastnicy mogli wziąć go za Żyda? Czy sami są Żydami? Albo nazistami? Czyżby ta dziennikarka miała rację? Tło neonazistowskie? Forrester odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na dokumentację fotograficzną miejsca zdarzenia: piwniczna podłoga, brązowoczarna ziemia rozkopana łopatami i szpadlami. Wykopany przez napastników dół był bardzo głęboki. Ewidentnie czegoś szukali. I to nie szczędząc trudu. Znaleźli? Dlaczego zawracali sobie głowę torturowaniem staruszka, który im przeszkodził? Dlaczego go nie ogłuszyli, nie związali albo po prostu nie zabili? Skąd to wymyślne, rytualne okrucieństwo?

Forrestera naszła chęć na coś mocniejszego. Wziął jednak tylko łyk czarnej herbaty z wyszczerbionego kubka z wizerunkiem angielskiej flagi, potem wstał i podszedł do okna. Z dziesiątego piętra roztaczał się wspaniały widok na Westminster i śródmieście Londynu. Duże stalowe koło rowerowe Londyńskiego Oka z kosmicznymi szklanymi kapsułami. Gotyckie pinakle katedry westminsterskiej. Popatrzył na nowy budynek wznoszący się gdzieś na Victorii, usiłując dociec, w jakim jest stylu. Od małego pociągała go architektura, jako nastolatek złożył nawet papiery na stosowną uczelnię, ale szybko zrezygnował, kiedy się dowiedział, że nauka trwa siedem lat. Siedem lat bez stałego źródła dochodów? Jego rodzicom nie było to w smak, jemu również. Wstąpił więc do policji. Ale nadal uważał, że jak na laika wie całkiem sporo na ten temat. Potrafił odróżnić wrenesans od renesansu, formy postmodernistyczne od neoklasycznych. To był jeden z powodów, dla których lubił pracować i mieszkać w Londynie pomimo całego jego zgiełku: bogactwo architektury.

Dopił resztkę herbaty, wrócił do biurka, przerzucił raporty, które starszy śledczy rozdał podczas porannego nabożeństwa — wyznaczonego na dziewiątą rano spotkania w sprawie przestępstwa na Craven Street. Monitoring nie zarejestrował podejrzanych postaci w okolicy. Nie zgłosili się żadni naoczni świadkowie mimo powtarzanych przez cały dzień apelów. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny były na wagę złota w każdym śledztwie. Jeśli w tym okresie nie pojawiły się znaczące tropy, wiadomo było, że sprawa będzie trudna. Teraz też się to potwierdziło. Ekipa kryminalistyczna raz po raz rozkładała bezradnie ręce: napastnicy starannie zatarli nawet odciski butów. Działali sprytnie i sprawnie. Jednak znaleźli czas, żeby torturować i wymyślnie okaleczyć starca. Dlaczego?

Zachodząc w głowę, otworzył Google, wpisał „Dom Benjamina Franklina” i dowiedział się, że budynek postawiono na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych osiemnastego wieku. Był zatem, jak Forrester wcześniej się domyślał, jednym z najstarszych domów w okolicy, z oryginalną boazerią, profilowanymi gzymsami oraz salonem na pierwszym piętrze „z ząbkowaniem”. Były też schody dwubiegowe z rzeźbionymi belkami policzkowymi i krzywulcami w kształcie doryckich kolumn. Otworzył kolejne okno, żeby sprawdzić, co to są krzywulce i ząbkowanie.

Nic ciekawego.

Reszta opisu była mniej więcej w tym samym stylu. Craven Street stanowiła reminiscencję wczesnogeorgiańskiego Londynu: fragment osiemnastowiecznego, spływającego ginem miasteczka wepchnięty między słoweńskich pożeraczy ognia i nowozelandzkie śpiewaczki operowe nowoczesnego Covent Garden a wędrownych narkomanów i rozkrzyczanych taksjarszy brudnego Charing Cross.

Te informacje nie na wiele się zdały. A może chodziło o Franklina? Czy istnieje jakiś związek między nim a napastnikami? Forrester wrzucił w wyszukiwarkę hasło „Benjamin Franklin”. Mgliście kojarzył go jako gościa, który odkrył elektryczność za pomocą latawca, czy jakoś tak. W Internecie znalazł resztę.

„Benjamin Franklin, 1706-1790, amerykański mąż stanu, jeden z najślawniejszych «Ojców Założycieli» Stanów Zjednoczonych. Wybitny publicysta, filozof, polityk, drukarz, naukowiec i wynalazca. Czołowa postać w dziejach fizyki z uwagi na dorobek naukowy w dziedzinie elektryczności”.

Forrester przesunął tekst dalej, z lekkim poczuciem niższości.

„Urodził się w Bostonie, w stanie Massachusetts, terminował jako uczeń drukarski u starszego brata, później został redaktorem gazety, drukarzem i kupcem w Filadelfii. Wiele lat spędził w Anglii i Francji, znał pięć języków. Był wieloletnim członkiem wolnomularstwa, do liberalnego kręgu jego znajomych należeli też Joseph Banks, botanik, I sir Francis Dashwood, brytyjski minister skarbu. Przez wiele lat był także tajnym agentem... ”

Forrester ziewnął i zamknął okno. No więc facet był wszechstronny, do tańca i do różańca. I co z tego? Czy to jest powód, żeby wieki później rozkopywać piwnicę w jego domu? Albo okaleczać dozorcę muzeum? Sprawdził godzinę na monitorze komputera. Miał ochotę na lunch, a jak dotąd niewiele zdziałał. Nienawidził tego uczucia — cały ranek strawiony bez rezultatu. Było to nad wyraz irytujące.

W porządku, pomyślał. Może spróbować z innej beczki? Wpisał w Google „Piwnica muzeum Benjamina Franklina”.

I proszę, bingo! Komisarz poczuł przypływ adrenaliny. Szybko przebiegł wzrokiem ekran. Pierwsza ze stron, które się wyświetliły, zawierała artykuł z „Timesa” datowany na 11 lutego 1998 roku.

Kości w domu „Ojca Założyciela”.

*Robotnicy pracujący w domu Ojca Założyciela Stanów Zjednoczonych Benjamina Franklina przy Craven Street dokonali makabrycznego odkrycia: znaleźli osiem ludzkich szkieletów zakopanych pod kamienną podłogą piwnicy na wino.*

*Według wstępnych ocen kości liczą sobie mniej więcej dwieście lat i zostały zakopane w czasie, kiedy budynek zajmował Franklin, który mieszkał w nim w latach 1757-1762 i 1764-1775. Większość szczątków nosi ślady sekcjonowania, piłowania i cięcia. Na jednej z czaszek widać kilka wywierconych otworów. „Nie jestem w stanie dzisiaj wykluczyć możliwości przestępstwa. Możliwe, że trzeba będzie wszcząć dochodzenie” — powiedział wczoraj Paul Knapman, koroner okręgu Westminster.*

*Przedstawiciele Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Benjamina Franklina utrzymują, że kości nie mają związku z żadną zbrodnią czy praktykami okultystycznymi. Ich zdaniem zostały najprawdopodobniej zakopane przez Williama Hewsona, który mieszkał w domu przez dwa lata i urządził na jego tyłach małą pracownię anatomii. Podkreślają, że choć zapewne Franklin wiedział, czym się zajmuje Hewson, sam najpewniej nie uczestniczył w sekcjach, ponieważ był zdecydowanie bardziej fizykiem niż medykiem.*

Forrester opadł na oparcie krzesła. Piwnicę już kiedyś rozkopano. Z zaskakującymi rezultatami. Czy to dlatego pojawili się tam teraz „jego” napastnicy? I co ma oznaczać „związek ze zbrodnią czy praktykami okultystycznymi”. Okultyzm...

Komisarz się uśmiechnął. Teraz już cieszył się perspektywą lunchu. Niewykluczone, że zwęszył pierwszy trop.

## 8

W Şanhurfie zapadł już łagodny, ciepły wieczór. W hotelowym holu Rob zobaczył czekającą na niego Christine: siedziała na skórzanym fotelu i starała się nie wciągać do płuc dymu rozchodzącego się od trzech siedzących obok i ćmiących cygara tureckich biznesmenów. Wyglądała jak zawsze szykownie: eleganckie dzinsy, sandały, biały top pod rozpinanym kardiganem w kolorze akwamaryny.

Wybierali się do Franza Breitnera na kilka drinków i proszoną kolację dla uczczenia wielkiego sukcesu ostatniego sezonu wykopalisk: określenia wieku Göbekli Tepe.

— Czy to daleko?

— Dwadzieścia minut spacerkiem — odpowiedziała Christine. — Samochodem jakieś pół godziny. To tuż za targiem.

Restauracje i kafejki zaczynały się budzić do życia po odrętwieniu popołudnia. Zapach pieczonej jagnięciny z obracających się różnów rozchodził się po tonących w kurzu ulicach. Rozbrzmiewały klaksony taksówek, jakiś kaleka w wózku inwalidzkim zachwalał wczorajszą prasę z Ankary, sprzedawcy orzeszków pistacjowych rozstawiali oszklone stragany na kółkach. Rob pożądliwie napawał się egzotyką scenerii.

— Może powinniśmy zanieść Franzowi wino?

Christine się roześmiała.

— W Şanhurfie?

Minęli wieżę zegarową i weszli na stare miasto. Rob omiół wzrokiem starożytne kolumnady, budki z zabawkami z jaskrawego plastiku, niezliczone punkty sprzedaży telefonów komórkowych. Stojące pod gołym niebem kafejki pełne były przysadzistych Kurdów palących nargile, jedzących rachatłukum i gapiących się surowo na Christine. Nikt nie pił alkoholu.

— Nie sprzedają tu niczego mocniejszego? Nigdzie?

Robowi zrzęda mina. Od trzech dni nawet nie powąchał piwa czy wina. Miał świadomość, że pije za dużo, ale tak radził sobie z zawodowym stresem.

Zwłaszcza po Bagdadzie. A trzy dni bez procentów wystarczyły, by utwierdzić go w tym, co i tak już wiedział: nie jest stworzony do wstrzemięźliwości.

— Z tego, co wiem, jest kilka sklepów monopolowych na przedmieściach. Ale tutaj to tak jak z kupowaniem trawki w Anglii. Wszystko pod stołem.

— Jezu.

— A czego się spodziewałeś? To muzułmańskie miasto.

— Byłem w kilku islamskich miastach, Christine. Ale myślałem, że Turcja jest krajem świeckim.

— Ludziom się zdaje, że Kurdowie ulegają wpływom zachodniej kultury — Uśmiechnęła się. — Nie ulegają. Zwłaszcza ci tutaj. Niektórzy z nich są skrajnie konserwatywni.

— Chyba po prostu przywykłem do Palestyny i Libanu. Nawet w Egipcie można kupić pieprzone piwo.

Christine objęła go pocieszająco i uścisnęła. Uśmiechała się sarkastycznie, ale przyjaźnie.

— Dobra wieść jest taka, że Franz ma mnóstwo gorzałki. Przywozi ze Stambułu.

— Chwalić Pana.

— *Bien sur*. Wiem, jacy są dziennikarze. Zwłaszcza angielscy dziennikarze.

— Amerykańscy, Christine.

— Czeka, spójrz: stawy rybne.

Dotarli do uroczej zielonej oazy w sercu miasta. Małe herbaciarnie skrzyły się w promieniach zachodzącego słońca, turecka młodzież spacerowała, trzymając się za ręce, po ścieżkach wysadzanych drzewami. Za stawami piękne kamienne arkady meczetu błyszcząły jak stare złoto.

Christine i Rob przyglądali się dużej rodzinie: mężczyznom w workowatych spodniach i kobietom w czarnych czarczafach. Rob pomyślał, że muszą się zlewać potem w tym upale, i z miejsca oburzył się w ich imieniu. Christine jednak zdawała się nieporuszona widokiem.

— Według Biblii tu urodził się Hiob, a także Abraham.

— Co proszę?

— W Urfie. — Christine pokazała na strome wzgórze wznoszące się za stawami i ogrodami, na którego szczycie majaczyły ruiny zamku — między dwiema korynckimi kolumnami wisiała bezwładnie na bezwietrznym upale

ogromna turecka flaga. — Niektórzy badacze uważają, że tak naprawdę jest to Ur chaldejskie, o którym mówi Księga Rodzaju. Akadowie, Sumerowie, Hetyci, wszyscy tu żyli. Najstarsze miasto świata.

— Myślałem, że jest nim Jerycho.

— No nie. — Christine zachichotała. — Jerycho! Jerycho to młokos. Urfa jest znacznie starsza. Na starym mieście za bazarem można spotkać ludzi, którzy nadal mieszkają w skalnych jaskiniach. — Christine popatrzyła z powrotem na stawy. Kobiety w czarczafach rzucały chleb ławicy podekscytowanych ryb. — Te karpie są czarne, ponieważ powstały z prochów Abrahama. Mówi się, że ten, kto zobaczy białą rybę w stawie, trafi do nieba.

— Fantastycznie. A możemy już teraz pójść coś zjeść?

Christine się zaśmiała. Znowu. Rob lubił ten jej pogodny śmiech. Po prawdzie ją samą też bardzo polubił: jej naukową pasję, inteligencję, pogodę ducha. Naszła go nagle chęć podzielenia się z nią najskrytszymi myślami, pokazania zdjęcia małej Lizzie, ale szybko odpędził ten pomysł.

Tymczasem ona gestykulowała z entuzjazmem.

— Dom Breitnera jest na tym wzgórzu, tuż za bazarem. Jeśli chcesz, możemy rzucić okiem na sam targ. Jest tam autentyczny karawanseraj, szesnastowieczny, zbudowany przez Abbasydów, z kilkoma starszymi elementami i... — Zerknęła na niego i zachichotała. — Albo możemy pójść prosto do Franza i napić się piwa.

Droga biegnąca za bazarem była krótka, ale stroma. Z naprzeciwnika schodzili mężczyźni pchający srebrne tace na kółkach z herbatą i oliwkami i wszyscy co do jednego gapili się na Christine. Po drugiej stronie ulicy na chodniku stała, nie wiedzieć czemu, pomarańczowa sofa. Wąskie zaułki wypełniał zapach gorącego praśnego chleba. A w samym środku tego wszystkiego znajdował się bardzo stary i bardzo piękny dom z balkonami i ażurowymi okiennicami.

— Dom Breitnera. Polubisz jego żonę.

Christine miała rację. Derya, żona Franza, rzeczywiście przypadła Robowi do gustu: była żywiołową, świecką i inteligentną trzydziestokilkuletnią kobietą ze Stambułu; nie miała czarczafu ani nawet hidżabu, za to doskonale władała angielskim. Kiedy nie droczyła się z Franzem o jego łysinę czy obsesję na punkcie „menhirów”, zabawiała przybyłych na kolację archeologów. Jedzenie smakowało wyśmienicie: wyborny bufet zimnych jagnięcych kiełbasek, ryżowych gołąbków w liściach

winogron, przepysznych ciasteczek orzechowych, grubych, ciągnących się kawałków baklawy i zielono-różowych kawałków świeżuteńkiego arbuza. Co więcej, zgodnie z obietnicą Christine, było mnóstwo lodowatego tureckiego piwa — i kilka butelek przyzwoitego wina z Kapadocji. Przez tych kilka godzin Rob czuł się zrelaksowany, wesoły i szczęśliwy i z zadowoleniem przysłuchiwał się, jak archeolodzy kłócą się o Göbekli.

Domyślał się, że z uwagi na niego prowadzili spór głównie w języku angielskim, choć trzech z czwórki mężczyzn było Niemcami, czwarty Rosjaninem, a Christine Francuzką.

Racząc się trzecim kawałkiem baklawy, którą popijał piwem Efez, Rob starał się śledzić dyskusję. Jeden z archeologów, Hans, pytał Franza o brak ludzkich szczątków.

— Jeśli to kompleks grzebalny, to gdzie się podziały kości?

Franz się uśmiechnął.

— Znajdziemy je. Mówiłem ci.

— Tak. W zeszłym sezonie.

— I poprzednim — powiedział drugi mężczyzna, stojący obok z talerzem zielonych oliwek i białego owczego sera.

— Wiem. — Franz beztrąsko wzruszył ramionami. — Wiem!

Siedział na skórzanym krześle, największym w salonie. Za jego plecami znajdowały się wychodzące na ulicę Şanhurfy otwarte okna. Rob słyszał dochodzące zza nich odgłosy wieczornego życia miasta. Jakiś mężczyzna krzyczał na swoje dzieci w domu naprzeciwko. W pobliskiej kafejce ryczał telewizor, sądząc po wiewatach i gwizdach klientów, nadawali transmisję jakiegoś meczu piłkarskiego. Może spotkanie miejscowego Dyarbakiru z Galataserajem. Turcy przeciwko Kurdom. Coś na kształt rywalizacji między Realem Madryt a Barceloną. Tylko o wiele bardziej zajadłej.

Derya wyłożyła kolejną porcję baklawy, prosto ze srebrnego pudełka z cukierni. Rob zastanawiał się, czy nie padnie z przejedzenia. Franz mówił coś do swoich współpracowników, żywo gestykulując.

— Ale jeśli nie jest grobowcem czy kompleksem grzebalnym, to czym w takim razie? *Ja?* Nie ma pozostałości osadnictwa, śladów zamieszkania, nic. To musi być świątynia, co do tego wszyscy się zgadzamy. Ale świątynia ku czci kogo, jeśli nie przodków? Martwych łowców? Nie?

Dwóch pozostałych specjalistów wzruszyło ramionami.

Franz dodał:

— A po co są te nisze, jeśli nie na kości?



— Zgadzam się z Franzem — powiedziała Christine, podchodząc. — Uważam, że przynoszono tam zwłoki myśliwych i poddawano ekskarnacji...

Rob beknął elegancko.

— Przepraszam. Czemu?

Franz wyjaśnił.

— Ekskarnacji. Zeszkieletowaniu. Oczyszczeniu z ciała. Zaratusztrianie, parsowie nadal to praktykują. A niektórzy są zdania, że w ogóle zaratusztrianizm wywodzi się z tego obszaru.

— Na dobrą sprawę wszystkie religie się stąd wywodzą — dodała Christine. — Ekskarnacja to rytuał pogrzebowy, tak zwany ryt ekspozycji, w którym zwłoki umieszcza się w specjalnym miejscu i czeka, by ciało zostało pożarte przez dzikie zwierzęta, sępy i ptaki drapieżne. Tak jak mówi Franz, nadal jest praktykowany przez wyznawców zoroastryzmu w Indiach. Nazywamy to podniebnym pochówkiem: zwłoki zostawia się bogom nieba. W rzeczywistości w wielu wczesnych mezopotamskich wierzeniach czczono bogów pod postacią myszołowów czy orłów. Jak ten asyryjski demon, którego widzieliśmy w muzeum.

— Ekskarnacja jest bardzo higieniczna jako forma pochówku — wtrącił się paleobotanik Iwan, najmłodszy z zebranych.

Franz pokiwał energicznie głową i powiedział:

— Poza tym kto wie, może kości później przenoszono. A może przemieszczono je, kiedy Göbekli zostało zakopane. To mogłoby wyjaśniać brak szkieletów na miejscu.

Rob się pogubił.

— Co ma pan na myśli? Zakopane?

Franz odłożył pusty talerz na wyfroterowany do połysku parkiet. Kiedy podniósł wzrok, miał na twarzy pełen zadowolenia uśmiech jak ktoś, kto szykuje się do zdradzenia smakowitej plotki.

— To jest właśnie, mój przyjacielu, największa zagadka. Artykuł, który pan czytał, o tym nie wspomina.

Christine się roześmiała.

— Masz usprawiedliwienie, Rob.

— Około ośmiu tysięcy lat przed naszą erą — Franz zrobił efektowną pauzę dla zwiększenia napięcia — całe Göbekli Tepe zostało pogrzebane. Zakopane. Całkowicie zasypane ziemią.

— Ale... skąd to wiecie?

— Te pagórki nie powstały tam w sposób naturalny. Nie są rezultatem przypadkowego nagromadzenia się ziemi. Cały kompleks skaralny został celowo, z premedytacją przykryty tonami ziemi i gliny około ośmiu tysięcy lat przed Chrystusem. Ukryty.

— Zdumiewające.

— O wiele bardziej, gdy się pomyśli, ile pracy to musiało wymagać. I jak było bezsensowne.

— Bo... ?

— Wyobraźmy sobie przede wszystkim trud wzniesienia całego kompleksu! Zbudowania kamiennych kręgów Göbekli, pokrycia ich rzeźbami, fryzami, rytami, to musiało zająć dziesięciolecia, może nawet setki lat. I to wszystko w okresie, kiedy średnia długość życia wynosiła dwadzieścia lat. — Franz otarł usta serwetką. — Sądzymy, że ludzie, którzy budowali ten kompleks, mieszkali w skórzanych namiotach i żywili się miejscową zwierzyną. Pokolenie za pokoleniem. I wszystko to bez znajomości ceramiki, uprawy roli czy narzędzi poza krzemiennymi pięściakami.

Christine podeszła krok bliżej.

— Nie wiem, czy już nie zanudziłam Roba podobnymi opowieściami.

Rob podniósł dłoń.

— Nie, to wcale nie jest nudne. Słowo. — Nie kłamał. Z każdą chwilą miał coraz więcej materiałów do reportażu. — Proszę mówić dalej, Franz.

— *Jawohl*. Rozumie pan więc, że mamy tu prawdziwą zagadkę. Wielką, wielką zagadkę. Jeśli ci praludzie poświęcili setki lat na wzniesienie świątyni, grobowca, kompleksu cmentarnego, czemu, u licha, dwa tysiące lat później postanowili ukryć swoje dzieło pod tonami ziemi? Przecież to musiała być robota równie katorżnicza jak budowa Göbekli. Czyż nie?

— Bez wątpienia. Zatem dlaczego to zrobili?

Franz klepnął się dłońmi po udach.

— Właśnie. Nie mamy pojęcia. Nikt nie ma. Ustaliliśmy to dopiero w tym miesiącu, więc nie było czasu, żeby się zastanowić. — Wyszczrzył się. — Niesamowite, *ja*?

Derya zaproponowała Robowi kolejną butelkę piwa. Wziął ją i podziękował. Dobrze się bawił. Nie spodziewał się, że archeologia może być tak zajmująca i intrygująca. Myślał o zagadce pogrzebanej świątyni. Potem patrzył, jak Christine rozmawia z kolegami w drugim końcu salonu, i poczuł maleńkie, niedorzeczne ukłucie zazdrości. Zdławił je szybko.

Przyjechał tu, żeby napisać artykuł, a nie zawracać sobie głowę jakąś żalostną i skazaną na klęskę miłością. Zwłaszcza że temat artykułu okazywał się nadspodziewanie ekscytujący. Najstarsza świątynia świata odkryta obok najstarszego miasta świata. Zbudowana przez lud nieznaną koła: przez ludzi epoki kamienia obdarzonych zdumiewającym wyczuciem sztuki...

A potem ten wspaniały neolityczny monument, ten kurdyjski Carnac, tureckie Stonehenge — Rob już wyobrażał sobie gotowy reportaż, pisał w głowie kolejne ustępy — potem całe to cholerne miejsce zostaje z premedytacją zagrzebane pod zwałami prehistorycznej ziemi, ukryte na wieczne czasy jak jakiś potworny sekret. I nikt nie wie dlaczego.

Podniósł głowę. Wyłączył się na co najmniej dziesięć minut, pogrążony w dziennikarskiej zadumie. Zaabsorbowany pracą. Miał to szczęście, że lubił swoją pracę.

Przyjęcie osiągnęło punkt kulminacyjny. Ktoś wyciągnął starą gitarę i towarzystwo odśpiewało kilka piosenek. Następnie w ramach strzeżennego raz i drugi połało się raki i Rob czuł, że robi się zbyt pijany. Uznał, że czas wracać, zanim się skompromituje, zasnawszy na drewnianej podłodze. Podszedł więc do okna, żeby wziąć parę haustów świeżego powietrza i przygotować się do opuszczenia gościnnego domu.

Gwar na ulicach zdecydowanie przycichł. Miasto późno kładło się spać, ponieważ przesypiało całe gorące popołudnie — ale teraz dochodziła druga w nocy i nawet Şanhurfa była już pogrążona we śnie. Panowała cisza, jedynie sprzed domu Franza dochodziły jakieś odgłosy. Na ulicy, tuż pod eleganckimi oknami Breitnera stało trzech mężczyzn. Niskimi głosami śpiewali dziwną pieśń, jakby chorał. Co dziwniejsze, przed nimi stał ustawiony na kozłach stolik z trzema migoczącymi w ciemnościach świecami.

Przez jakieś pół minuty Rob patrzył na mężczyzn i pełgające płomienie. Potem się odwrócił i zobaczył, że Christine stoi w odległym kącie salonu, gawędząc z Deryą. Przywołał ją gestem dłoni.

Wyjrzała przez okno, popatrzyła na mężczyzn nieprzerywających monotonnego śpiewu i nic nie odrzekła.

— Ładne, prawda? — zapytał cicho. — Chyba jakiś hymn albo pieśń religijna?

Ale kiedy się odwrócił, żeby na nią spojrzeć, zobaczył, że na jej poblądłej nagle twarzy maluje się napięcie.

Wyglądała na przerażoną.

## 9

Rob się pożegnał i wyszedł razem z Christine.

Trzej śpiewający mężczyźni zdmuchnęli już świece, złożyli stolik i zaczęli właśnie oddalać się ulicą. Jeden z nich się obejrzał i popatrzył na Francuzkę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Rob pomyślał, że być może ciemność utrudniała rozszyfrowanie jego spojrzenia. Gdzieś w oddali tęsknie zaszczekał pies. Wysoko na niebie nad najbliższym minaretem wznosił się księżyc. W powietrzu wyczuwało się woń ścieków.

Wziąwszy Roba pod rękę, Christine poprowadziła ich przez pogrążony w mroku zaułek na szerszą, nieco lepiej oświetloną ulicę. Rob czekał na jakieś wyjaśnienia, ale szli w milczeniu. Za najdalszymi blokami zamajaczył skrawek pustyni. Ciemnej, bezkresnej, prastarej i martwej.

Pomyślał o megalitach w Göbekli stojących gdzieś tam w poświacie księżycy, wystawionych na widok publiczny po dziesięciu tysiącach lat ukrycia, i nagle, po raz pierwszy od chwili przybycia do Şanhurfy, zrobiło mu się zimno.

Milczenie trwało już trochę za długo.

— Dobra — powiedział, uwalniając się od ramienia dziewczyny. — O co tam chodziło? Z tym śpiewem. — Wiedział, że jest obcesowy, ale był zmęczony, rozdrażniony i czuł początki kaca. — Christine. Powiedz mi. Wyglądałaś jak... jakbyś ujrzała asyryjskiego demona wiatru.

To miał być żart rzucony z myślą o rozładowaniu napięcia. Nie zadziałał. Christine ściągnęła brwi.

— *Pulsa Dinura.*

— Że jak?

— To śpiewali ci mężczyźni. Modlitwę.

— *Pulsa... Di...*

— *Nura.* Bicze ognia. Z aramejskiego.

Rob był znowu pod wrażeniem.

— Skąd wiesz?

— Znam trochę aramejski.

Znajdowali się teraz na wysokości stawów rybnych. Ciemna sylweta starego meczetu majaczyła niewyraźnie w mroku. Z parkowych ścieżek zniknęły już spacerujące pary. Skręcili w lewo, kierując się w stronę hotelu i położonego tuż obok mieszkania Christine.

— Dobra, więc śpiewali jakiś aramejski hymn, to ładnie. Uliczne występy.

— To nie jest hymn. A to nie były żadne pieprzone uliczne występy.

Ta nagła gwałtowność zbiła go z pantałyku.

— Przepraszam, Christine...

— *Pulsa Dinura* to starodawna klątwa. Przekleństwo pustyni. Mezopotamskich pustkowi. Pojawia się w niektórych wersjach w Talmudzie, świętej księdze Żydów, napisanej w czasie niewoli babilońskiej. Kiedy Żydzi zostali wygnani na tereny dzisiejszego Iraku. Rob, jest bardzo zła i bardzo stara.

— Okay. — Nie wiedział, jak powinien zareagować. Zbliżali się do hotelu. — A co ona robi? Ta *Pulsa Dinura*?

— Ma przyzywać anioła zniszczenia. Bicz ognia. Musieli kierować ją pod adresem Franza. W przeciwnym razie po co by ją śpiewali pod jego oknami?

Znowu ogarnęła go fala irytacji.

— Dobra, więc go przeklinają. Co z tego? Nawet jeśli. Pewnie nie płaci im dość szekli. Wielkie rzeczy, to przecież tylko jakaś abrakadabra, zwykłe zabobony. Tak?

Przypomniał sobie w tej chwili krzyżyk na szyi Christine. Może ją uraził? Jak bardzo jest wierząca? Albo przesądna? On sam był zatwardziałym ateistą. Nie potrafił zaakceptować nieracjonalności religii i przesądów, które czasem bardzo go irytowały, choć uwielbiał Bliski Wschód, kolebkę tych wszystkich wierzeń. Podobały mu się też namiętności i spory, jaki wzbudzały. Dziwny paradoks.

Christine milczała. Rob spróbował jeszcze raz:

— Jakie to ma znaczenie?

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

— Dla niektórych ludzi ogromne. W Izraelu na przykład.

— To znaczy?

— *Pulsa Dinura* w ciągu ostatnich lat została użyta parę razy przez Żydów.

— I?

— Kilku ultra-ortodoksyjnych rabinów na przykład. W październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku wezwali anioła śmierci przeciwko Icchakowi Rabinowi, przywódcy izraelskiemu. — Urwała. Rob próbował ustalić znaczenie daty. Christine go wyprzedziła. — Został zamordowany w ciągu miesiąca.

— Tak. Interesujący zbieg okoliczności.

— Kilku innych rabbich rzuciło *Pulsa Dinura* na następnego premiera, Ariela Szarona, w dwa tysiące piątym roku. Parę miesięcy później zapadł w śpiączkę po wylewie krwi do mózgu.

— Szaron miał siedemdziesiąt siedem lat. I był gruby.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Jasne. To tylko... zbieg okoliczności.

— Właśnie. Ni mniej, ni więcej.

Stali w holu jego hotelu. Rozmowa przerodziła się prawie w kłótnię. Rob tego żałował. Lubił Christine. Bardzo. Nie chciał jej urazić. zaproponował — z zapalem — że odprowadzi ją te pięćset metrów do jej mieszkania — ale ona — grzecznie — odmówiła. Popatrzyli na siebie. Potem przelotnie się uścisnęli. Zanim odeszła, rzuciła:

— Tak jak mówisz, Robercie, to tylko zbieg okoliczności. Ale Kurdowie wierzą, że klątwa działa. Mnóstwo ludzi na Bliskim Wschodzie tak uważa. Cieszy się złą sławą. Sprawdź w Internecie. Fakt, że została użyta przeciwko Franzowi Breitnerowi, oznacza, że niektórzy ludzie naprawdę chcą jego śmierci.

Co powiedziawszy, odwróciła się i odeszła.

Rob przez kilka minut patrzył na jej niknącą postać. Potem ponownie zadygotał. Od pustyni wiał wiatr i noc robiła się coraz zimniejsza.

## 10

Nadkomisarz Forrester siedział na kanapie w przytulnym pokoju tuż przy Muswell Hill, w podmiejskiej dzielnicy północnego Londynu. Miał wizytę u terapeutki.

Podejrzewał, że trąca to trochę banałem. Policjant z nerwicą, sfiksowany gliniarz. Ale nie przejmował się. Sesje pomagały.

— Zatem jak ci minął tydzień?

Psychoterapeutka, doktor Janice Edwards, miała trochę ponad sześćdziesiąt lat i była elegancka w przyjemny dla oka sposób. Forresterowi odpowiadał jej wiek. Mógł się po prostu wygadać, wyrzucić z siebie, co chciał, mówić bez żadnych zahamowań. A potrzebował tego. Nawet kosztem pięćdziesięciu funtów za godzinę. Czasem opowiadał o pracy, czasem o żonie, czasami o innych sprawach. Poważniejszych. Bardziej przygniatających. Jednak jak dotąd nigdy nie dotarł do sedna. Jego córka. Może któregoś dnia mu się uda.

— No — powtórzyła doktor Edwards gdzieś zza jego głowy. — Jak wyglądał ten tydzień?

Patrząc beznamiętnie w okno, z rękoma złożonymi na brzuchu, Forrester zaczął opowiadać o sprawie z Craven Street. O dozorczy, okaleczeniu, niesamowitości sprawy.

— Nie mamy żadnych świadków. Sprawcy przepadli bez śladu, jak kamień w wodę. Używali skórzanych rękawic. Ekipa kryminalistyczna nie znalazła śladów DNA. Rana po nożu też niewiele mówi. Standardowe ostrze. Zero linii papilarnych. — Potarł głowę. Terapeutka mruknęła, sygnalizując, że słucha. Mówił dalej: — Ucieszyłem się, kiedy ustaliłem, że piwnica, którą rozkopali, była już kiedyś... że trzy lata temu znaleziono tam jakieś stare kości... ale to nie był żaden trop, raczej, sądzę, zwykły zbieg okoliczności. I nadal nie mam pojęcia, czego tam szukali. Może to był po prostu wyglup, jakaś studencka zgrywa, która przybrała tragiczny obrót, może sprawcy byli naćpani... — Forrester uświadomił sobie, że gada bez ładu i składu, ale miał

to gdzieś. — Więc znalazłem się w ślepych zaułku. Mam w szpitalu człowieka bez języka, a ślad się urwał i... no tak właśnie wyglądał mój tydzień, raczej gówniany i tak naprawdę to... wszystko... — przerwał.

Czasami podczas sesji tak się działo. Człowiek nie mówił niczego ważnego, a potem nagle się zamykał. Ale Forrester poczuł ni stąd, ni zowąd nagły przypływ żalu i złości. Może pod wpływem zapadającego na zewnątrz zmierzchu, może ciszy pomieszczenia. Może na myśl o tym biednym pobitym i zmaltratowanym staruszku. Ale teraz naprawdę chciał porozmawiać o czymś głębszym, czymś znacznie trudniejszym. Naprawdę istotnym. Może już pora porozmawiać o Sarah.

Ale w pokoju nadal panowała cisza. Forrester myślał o córce. Zamknął oczy. Usiadł wygodnie. I myślał o Sarah. o jej ufnych niebieskich oczach. Wesołym śmiechu. Pierwszych słowach. Jabłko. *Ja-po*. O ich pierwszym dziecku. Była taka piękna. A potem...

A potem... Sarah. O, Sarah.

Potażał oczy. Nie potrafił o tym mówić. Jeszcze nie. Mógł myśleć: zresztą myślał o niej bez przerwy. Ale rozmawiać nie potrafił. Jeszcze nie.

Miała siedem lat. W pewien zimowy wieczór wyszła z domu. Po prostu wyszła przez drzwi, kiedy nikt nie patrzył. A potem szukali jej i szukali, i policja jej szukała, i sąsiedzi, i wszyscy.

Znaleźli. Na środku drogi, pod wiaduktem autostrady. I nikt nie wiedział, czy to było morderstwo, czy po prostu spadła z mostu. Bo ciało było tak zmiażdżone. Przejechane w ciemnościach przez całą masę samochodów, ciężarówek. Ich kierowcy pewnie myśleli, że najechali na jakąś oponę.

Pocił się. Nie myślał o tych wydarzeniach tak intensywnie od miesięcy, może lat. Wiedział, że nie może tego w sobie dłużej dusić. Że powinien to z siebie wyrzucić. Ale nie potrafił. Odwrócił się lekko i powiedział:

— Przepraszam, pani doktor. Po prostu nie potrafię. Nie ma godziny, żebym o tym nie myślał, rozumie pani. Ale... — Przełknął ślinę.

Słowa uwięzły mu w gardle. Za to myśli gnały jak szalone. Każdego dnia zadawał sobie pytanie, nawet teraz: Czy ktoś ją znalazł i zgwałcił, a potem rzucił z wiaduktu, czy po prostu spadła — ale jeśli tak, to jak do tego doszło? Czasami zdawało mu się, że wie. W głębi duszy podejrzewał, że została zamordowana. Był policjantem. Znał się na rzeczy. Ale nie było żadnych świadków, żadnych dowodów. Może nigdy nie będą mieli pewności. Westchnął i popatrzył na terapeutkę. Miała pogodną twarz. Pogodną twarz i sześćdziesiąt pięć lat, siwe włosy, spokojny uśmiech.



— Nie przejmuj się — powiedziała. — Nadejdzie taki dzień...

Forrester pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Po prostu czasami jest mi ciężko. Zona jest w depresji, odpycha mnie w nocy. Nie kochaliśmy się od miesiący, ale przynajmniej żyjemy.

— No i macie syna.

— Tak. Mamy syna. Chyba czasami człowiek powinien bardziej się cieszyć z tego, co jest, niż boleć nad tym, czego nie ma. Znaczą się, jak mówią alkoholicy w AA? Trzeba udawać, żeby się udało. Te wszystkie bzdury. Chyba właśnie to muszę robić. Udawać czasami, że wszystko jest okay. — Znowu urwał i w ciepłym pokoju zaległa cisza. Słyszał tylko odgłosy ruchu ulicznego stłumione przez okna i zasłony. W końcu się wyprostował. Godzinna sesja dobiegła końca. — Dziękuję, doktor Edwards.

— Proszę. Ustaliliśmy już, że będziemy sobie mówić po imieniu. Przychodzisz tu już od pół roku.

— Dzięki, Janice.

Uśmiechnęła się.

— Widzimy się w przyszłym tygodniu?

Podniósł się, uściśnięli sobie dłonie. Czuł się oczyszczony, było mu nieco lżej na sercu.

Jechał do Hendon w spokojnym, przyjemnie melancholijnym nastroju. Kolejny dzień. Przeżył kolejny dzień. Bez picia czy wydzierania się.

Kiedy otworzył drzwi mieszkania, usłyszał syna. Zona oglądała w kuchni serwis informacyjny. W powietrzu unosił się zapach makaronu i pesto. To dobrze. Wszystko dobrze. Pocałowała go, powiedział jej, że był na sesji, a ona się uśmiechnęła prawie pogodnie.

Przed kolacją wyszedł do ogrodu i skręcił małego jointa. Bez poczucia winy. Stojąc na patio, wypalił trawkę: wydmuchiwał niebieski dym w rozgwieżdżone niebo i czuł, jak rozluźniają mu się mięśnie karku. Potem wrócił do domu i pomagał synowi ułożyć puzzle na podłodze w bawialni. A potem zadzwonił telefon.

W kuchni żona odcedzała makaron. Gorąca para. Zapach pesto.

— Słucham?

— Nadkomisarz?

Forrester z miejsca rozpoznał lekko fiński akcent podwładnego.

— Boijer, właśnie siadam do kolacji.

— Przykro mi, proszę pana, ale odebrałem przed chwilą dziwny telefon...

— Tak?

— Od jednego z moich znajomych, Skeldinga, wie pan, Nialla.

Forrester wyteżał przez moment pamięć, potem sobie przypomniał: wysoki gość pracujący w ogólnokrajowej bazie danych przestępstw. Kiedyś poszli w trójkę na drinka.

— Tak, pamiętam. Skelding. Robi w HOLMES.

— Zgadza się. Przed chwilą zadzwonił i powiedział, że mają nowe zabójstwo, na wyspie Man.

— I?

— Sprzątnięto jakiegoś gościa. Bardzo brutalnie. W wielkim domostwie.

— Wyspa Man to kawał drogi stąd.

Boijer znowu się zgodził. Forrester patrzył, jak żona oblewa makaron jaskrawozielonym pesto. Wyglądało trochę jak żółć, ale pachniało smakowicie. Odchrząknął zniecierpliwiony.

— Już mówiłem, Boijer, mam na stole pyszną kolację i...

— Tak, przykro mi, sir, ale sęk w tym, że zanim gość zginął, napastnicy wycięli mu na piersi...

— Chcesz powiedzieć...

— Tak, sir. Zgadza się. Gwiazdę Dawida.

## 11

Dzień po prośzonej kolacji u Franza Rob zadzwonił do domu byłej żony. Odebrała Lizzie. Jeszcze nie umiała sprawnie posługiwać się telefonem. Rob zawołał do słuchawki:

- Kochanie, mów do mikrofonu!
- Halo, tatusiu. Halo.
- Koch...

Już na sam dźwięk jej głosu ogarnęło go dojmujące poczucie winy. A także fala szczęścia z prostego faktu, że ma córkę. Oraz silne pragnienie jej chronienia. A potem poczuł kolejny przypływ winy, że nie jest przy niej w Anglii, żeby ją chronić.

Ale niby przed czym? Jest bezpieczna na przedmieściach Londynu. Nic jej nie grozi.

Kiedy Lizzie w końcu dobrze przyłożyła słuchawkę do ucha, rozmawiali przez blisko godzinę i Rob obiecał przesłać jej zdjęcia miejsca, w którym przebywa. Potem niechętnie odłożył słuchawkę i uznał, że czas zabrać się do pracy. Rozmowy z córką często tak na niego działały: to było niemal jak instynkt, rodzaj reakcji wrodzonej. Myśl o obowiązkach rodzinnych wzbudzała w nim odruch pracy: iść i zarabiać pieniądze, żeby wykarmić potomstwo. Pora napisać artykuł.

Ale Rob był w nie lada rozterce. Postawił telefon na podłodze, położył się na łóżku i myślał. Intensywnie. Cała historia okazywała się znacznie bardziej złożona, niż się spodziewał. Złożona i interesująca. Po pierwsze, aspekt polityczny: rywalizacja kurdyjsko-turecka. Po drugie, napięcie na wykopaliskach i wśród miejscowych, ich niechęć... ta klątwa... No i jeszcze potajemne nocne prace Franza? O co w tym wszystkim chodzi?

Wstał, podszedł do okna i je otworzył. Znajdował się na najwyższym piętrze hotelu. Słuchał nawoływań do modłów dochodzących z pobliskiego meczetu. Zaśpiew muezina brzmiał ostro, może nawet dziko, ale przy tym jakoś hipnotyzująco. Jedyne w swoim rodzaju odgłos Bliskiego Wschodu,

nie do podrobienia. Do narastającej pieśni przyłączały się kolejne głosy. Całe miasto rozbrzmiewało już wezwaniem do modłów.

Co zatem napisze w swoim artykule? Z jednej strony miał ogromną ochotę zostać i zbadać rzecz gruntowniej. Dotrzeć do sedna sprawy. Ale co by to miało na celu, tak naprawdę? Czy aby nie zaspokojenie własnej zachcianki? Nie miał do dyspozycji całej wieczności. A jeśli uwzględni te wszystkie dziwne i niepokojące kwestie, zmieni, a może nawet zepsuje cały reportaż. W najlepszym razie zagmatwałyby całą relację i przez to mogły jej zaszkodzić. Czytelnik miałby mętlik w głowie i pretensje do autora.

Co więc powinien napisać? Odpowiedź była oczywista. Jeśli będzie się trzymał tylko materiału historycznego, który sam w sobie był niesamowity, poradzi sobie. Człowiek odkrywa najstarszą świątynię świata zakopaną dwa tysiące lat później w tajemniczych okolicznościach.

To wystarczy. Historia palce lizać. A z kilkoma niezłymi fotkami kamieni, płaskorzeźb plus jakiegoś złego Kurda i Franza w okularach oraz Christine w bojówkach będzie też świetnie się prezentować.

Christine. Zastanawiał się, czy jego z trudem tłumiona chęć przedłużenia pobytu nie ma przypadkiem czegoś wspólnego z nią. Z jego z trudem tłumionym pożądaniami. Zastanawiał się, czy ona się domyśla jego uczuć. Prawdopodobnie. Kobiety mają nosa do takich spraw. Mimo to Rob nie miał zielonego pojęcia, czy jej się podoba. To objęcie... I sposób, w jaki wzięła go wczoraj pod ramię...

Dość. Wrzucił do plecaka długopisy, notesy oraz okulary przeciwsłoneczne i opuścił pokój. Chciał po raz ostatni wpaść na wykopaliska, zadać jeszcze kilka pytań. Będzie miał dość materiału. Siedzi tu już od pięciu dni. Czas ruszać dalej.

Radewan jak zwykle stał przed hotelem; oparty o samochód sprzeczał się z innymi taksówkarzami o politykę czy piłkę nożną. Podniósł głowę i uśmiechnął się na widok stojącego w słońcu Roba. Ten skinął mu głową. Odbywali teraz swój mały powitalny rytuał.

— Chcę pojechać w złe miejsce.

Radewan się zaśmiał.

— Na to złe miejsce? Robi się, panie Rob.

Otworzył mu drzwi i Rob wskoczył do środka, czując przypływ energii i determinacji. Dokonał właściwego wyboru. Napisze artykuł, wystawi fakturę na zwrot kosztów, wróci do Anglii i będzie się domagał możliwości spędzenia odpowiedniego czasu z córką.

Droga do Göbekli minęła bez przygód. Radewan dłużył w nosie i wieszał psy na Turkach. Rob gapił się na pustkowia rozciągające się w kierunku Eufratu i niebieskiego masywu Taurusu. W końcu polubił tę pustynię, mimo że działała mu na nerwy. Była taka stara, znużona, złowroga, surowa. Pustynia demonów wiatru. Co jeszcze skrywają te pagórki? Dziwna myśl. Rob zapatrzył się w nagie pustkowie.

Szybko dojechali na miejsce. Radewan zaparkował z piskiem łysych opon. Wychylił się przez okienko, kiedy Rob oddalał się w kierunku stanowiska.

— Trzy godziny, panie Rob?

Rob się zaśmiał.

— Mhm.

Na wykopaliskach panował ruch, jakiego jeszcze nie oglądał. Kopano nowe rowy, głębokie doły, ukazywały kolejne megality. Rob zrozumiał, że Franz chce za wszelką cenę zrobić jak najwięcej, zanim sezon wykopaliskowy dobiegnie końca. Trwał bardzo krótko: w pełni lata na stanowisku robiło się zbyt gorąco, a zimą było za bardzo wystawione na działanie czynników atmosferycznych. Naukowcom zaś tak czy owak przydawało się dziewięć miesięcy egzegezy i pracy laboratoryjnej, kiedy zajmowali się obróbką i analizą materiału znalezionego podczas trwającego kwartału kopania. Tak wyglądał archeologiczny rok: trzy miesiące rycia w ziemi, dziewięć miesięcy myślenia. Całkiem miło.

Franz, Christine i paleobotanik Iwan dyskutowali o czymś w namiocie. Pomachali Robowi na powitanie. Przysiadł się do nich i dostał herbatę. Bardzo podobał mu się proces jej przygotowywania, rytualne podzwanianie łyżeczek, brzęk — filiżanek w kształcie tulipana, smak słodkiej, ciemnej *çay*. Gorący czarny napar okazał się zaskakująco orzeźwiający w suchym pustynnym słońcu.

Zaraz nad pierwszą filiżanką herbaty Rob poinformował o swoich planach. Ze już kończy, a to jest jego ostatnia wizyta. Mówiąc to, patrzył na Christine. Zdawało mu się, że dostrzega na jej twarzy cień żalu. Nastrój mu się nieco poprawił. Ale potem przypomniał sobie, po co przyjechał. Musiał zadać jeszcze parę pytań, wyjaśnić kilka ostatnich kwestii. Po to się tu pojawił. Tylko po to.

Zgodnie z arkanami sztuki dziennikarskiej powinien umieścić wykopaliska w szerszym kontekście. Przeczytał jeszcze kilka dodatkowych pozycji historycznych — na temat prahistorii — chcąc osadzić Göbekli

gdzieś na tej płaszczyźnie. Zobaczyć, jak się wpisuje, jak jaśniej w mozaice szerszych losów świata — ewolucji człowieka i cywilizacji.

Franz chętnie pospieszył z pomocą.

— To w tym rejonie — pokazał ręką na żółte wzgórza za otwartymi namiotami — wszystko się zaczęło. Ludzka cywilizacja. Pierwsze pismo, klinowe, narodziło się niedaleko stąd. Wytop miedzi w Mezopotamii. Pierwsze prawdziwe miasta też powstały właśnie na tych terenach. Bez końca mogłaby ci o tym opowiadać Isobel Previn.

W pierwszej chwili Rob nie bardzo wiedział, kto zacz. Zaraz jednak skojarzył — Isobel Previn, opiekunka naukowa Christine w Cambridge. Jej nazwisko pojawiało się często w różnych pozycjach historycznych — Previn pracowała ze sławnym Jamesem Mellaertem, angielskim archeologiem, który prowadził wykopaliska w Çatalhöyük. Rob lubił czytać o Çatalhöyük — tym bardziej że tak szybko je odkopano. Trzy lata machania szpadlami i niemal całość osady została odsłonięta. To był heroiczny, hollywoodzki okres w dziejach archeologii. Teraz, z tego co Rob widział, tempo pracy siadło. Namnożyło się ekspertów od różnych dziedzin — archeometalurgów, zooarcheologów, etnohistoryków, geomorfologów — i wszystko się znacznie skomplikowało. Opracowanie dużego, rozbudowanego stanowiska mogło trwać nawet kilka dziesięcioleci.

Göbekli Tepe było właśnie takim stanowiskiem: Franz kopał tu od 1994 roku i zdaniem Christine wszystko wskazywało, że spędzi tu resztę kariery. Całe życie zawodowe w jednym miejscu. Ale z drugiej strony było to nie byle jakie miejsce: najbardziej niezwykle stanowisko archeologiczne na świecie. Co najpewniej tłumaczyło, dlaczego Franz sprawiał wrażenie takiego wniebowziętego przez większość czasu. Teraz też się uśmiechał — naświatlając Robowi początki ceramiki i uprawy roli. Obie narodziły się dopiero po powstaniu Göbekli. I również niedaleko.

— Pierwsze ślady uprawy roli pochodzą z terenów dzisiejszej Syrii. Gordon Childe nazwał przejście od wędrownego, koczowniczego trybu życia, związanego ze zbieractwem i łowiectwem do osiadłego rewolucją neolityczną. Została zapoczątkowana niedaleko na południe stąd. Abu Hureyra, Tell Aswad, w takich miejscach. Więc jak widać, to jest naprawdę kolebka cywilizacji. Obróbka metalu, garncarstwo, rolnictwo, hutnictwo, pismo, to wszystko narodziło się w pobliżu Göbekli. *Ja?*

— Tak — wtrąciła Christine — choć mamy też pewne przesłanki, by podejrzewać, że już trzynaście tysięcy lat temu uprawiano ryż na obszarze

dzisiejszej Korei.

Iwan, który dotąd milczał, też się przyłączył:

— Są też pewne ślady przemawiające za tym, że ceramika mogła się narodzić, a potem zaniknąć, jeszcze wcześniej na Syberii.

Rob się odwrócił.

— Przepraszam? — Franz sprawiał wrażenie lekko zirytowanego wtrętem kolegi, ale Rob był zaintrygowany.

— Proszę mówić dalej.

Iwan spiekł raka.

— Eee... mamy dowody z terenów wschodniej Syberii, i może dzisiejszej Japonii, na istnienie jeszcze wcześniejszej cywilizacji. Jakiegoś północnego ludu. Najprawdopodobniej wymarł, bo późniejszych śladów brak. Nie wiemy. Nie mamy pojęcia, dokąd mogli wywędrować.

Franz wyglądał na wkurzonego.

— *Ja, ja, ja*, Iwan. Tak czy siak, to tu wszystko się tak naprawdę zaczęło. Na Bliskim Wschodzie. Tutaj. — Dla podkreślenia walnął dłonią w stół, aż łyżeczki zabrzęczały o spódki. — Wszystko. Wszystko się tu zaczęło. Pierwsze piece do wypalania gliny. W Syrii i Iraku. Hetyci zaczęli jako — pierwsi pozyskiwać żelazo z rudy. W Anatolii. Pierwsze udomowione świnie pochodzą z Çayönü, pierwsze wioski powstały w Anatolii, zaś... zaś pierwsza świątynia oczywiście w...

— Göbekli Tepe!

Wszyscy się roześmiali. Napięcie znikło i rozmowa toczyła się dalej. Rob sumiennie robił notatki, podczas gdy archeolodzy gawędzili sobie o udomowieniu zwierząt i rozmieszczeniu „zbrojników mikrolitycznych”. Dyskusja obfitowała w fachowe terminy i była mało zrozumiała, ale mu to nie przeszkadzało. Uzyskał potrzebne kawałki układanki. Nie był to kompletny obraz — kilka luk pozostało — ale dobry i frapujący i musiał wystarczyć. Poza wszystkim, Rob był dziennikarzem, nie historykiem. Nie przyjechał tu po gruntowną wiedzę, ale po barwną impresję. Jak to mówią, że czym niby jest dziennikarstwo? „Pierwszym szkicem historii”. [Philip Graham, wydawca i współwłaściciel „Washington Post” (przyp. tłum.).] Tylko tego od niego oczekiwano i tylko to zamierzał zrobić: napisać pierwszy szkic.

Przez prawie pół godziny robił notatki. W końcu podniósł wzrok. Naukowcy, nie chcąc mu przeszkadzać, rozpięchli się po stanowisku, żeby zająć się tym, czym się zajmowali w przerwach między słownymi

potyczkami: przesiewaniem ziemi, badaniem starych kamieni. Siedzeniem w kabinach i dalszymi sporami. Rob wstał, potarł zeszywniały kark i postanowił przede wszystkim przejść się jeszcze trochę po okolicy. Zarzucił plecak na ramię i lawirując między dołami, sektorami i kamieniami, obszedł najbliższe wzniesienie.

Za głównym terenem wykopaliska rozciągało się ogromne puste pole zarzucone krzemiennymi odłupkami. Christine pokazała mu to miejsce podczas jego poprzedniej wizyty. Rob nie mógł wtedy wyjść ze zdziwienia na widok leżącej sobie jak gdyby nigdy nic takiej masy narzędzi z epoki kamienia łupanego. Sprzed dwunastu tysięcy lat. Było ich tam dosłownie tysiące. Wystarczyło się pochylić, żeby po krótkim poszukiwaniu wygrzebać jakiś prastary topór, grot strzały czy nóż.

Rob postanowił właśnie tak zrobić: zamarzyła się mu pamiątka. Słońce paliło go w plecy, kiedy klęczał w kurzu. Poszczęściło mu się już po kilku minutach. Oglądał znalezisko, ostrożnie obracając je w palcach: grot strzały, wprawnie, nawet doskonale obrobiony. Rob wyobraził sobie człowieka, który go wykonał dwanaście tysięcy lat temu. Jak w przepasce na biodrach trzusi się w słońcu. Z łukiem przerzuconym przez muskularną pierś. Człowiek pierwotny. A przy tym ktoś, kto stworzył wspaniałą, wielką świątynię i ozdobił ją pełnymi artyzmu płaskorzeźbami. Co za paradoks. Jaskiniowiec, który zbudował katedrę! I co za doskonały wstęp do artykułu. Ładny, sugestywny obraz.

Wstał i wsunął grot do zamykanej na zamek kieszeni plecaka. Prawdopodobnie łamał właśnie ze sto tureckich przepisów, kradnąc prahistoryczny artefakt, ale nie wyglądało na to, by Göbekli Tepe wiele ubyło przez zniknięcie tego jednego kawałka krzemienia. Zarzuciwszy plecak na ramiona, zerknął po raz ostatni na pozbawioną drzew, pofałdowaną równinę, spaloną niegasnącym słońcem. Pomyślał o Iraku, leżącym gdzieś tam dalej. Nie tak daleko. Gdyby wsiadł do samochodu i kazał Radewanowi się wieźć, byłby na irackiej granicy w ciągu kilku godzin.

Przez głowę przeleciało mu widmo Bagdadu. Twarz zamachowca. Przełknął z trudem. Niemile wspomnienie. Odwrócił się, ruszył z powrotem i wtedy właśnie to usłyszał. Mrożący krew w żyłach krzyk.

Brzmiał jak skowyt torturowanego zwierzęcia. Jakby ktoś przeprowadzał wiwisekcję na żywej małpie. Przerazająco.

Przyspieszył kroku. Rozległy się wrzaski. Co się dzieje? Potem ktoś jeszcze raz krzyknął. Rob zaczął biec z plecakiem obijającym się mu o plecy.



Nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo oddalił się od stanowiska. Gdzie jest centrum wykopalisk? Pagórki dokoła niczym się od siebie nie różniły. W przejrzystym pustynnym powietrzu głosy niosły się daleko. Nie tylko głosy: krzyki i jęki. Jezu. Coś się naprawdę stało. Rob skręcił w lewo, potem w prawo i wbiegł na szczyt wzgórza. Zobaczył stanowisko. Dokoła odgradzonego wykopu, jednego z nowych rowów, zebrał się tłum robotników. Przepychali się.

Ślizgając się na zapiaszczonym rumowisku, zgramolił się jakoś na dół i precyzyjnie przeczesał przez tłum, który czuć było potem i strachem. Odsunawszy brutalnie na bok ostatniego mężczyznę, dotarł do krawędzi rowu i popatrzył w dół. Wszyscy tam patrzyli.

Na końcu wykopu znajdował się nowy stalowy pał, jeden z ostro zakończonych słupów, używanych do podtrzymywania brezentu. Na ów pał nabity był Franz Breitner. Twarzą do dołu, prosto przez lewą górną część klatki piersiowej. Z rany sączyła się krew. Christine stała obok i mówiła do niego. Stojący za nimi Iwan krzyczał jak oszalały do słuchawki telefonu. Dwóch robotników z desperacją próbowało wyciągnąć stalowy pał z ziemi.

Rob popatrzył na Franza. Chyba jeszcze żył, ale rana była potworna, przebiegała prawdopodobnie prosto przez płuco. Nabicie na pał. W Iraku napatrzył się na różne obrażenia, widział też podobne. Słupy czy dźwigary wbijające się w ludzi na skutek jakiejś eksplozji, przeszywające im piersi i głowy, przekłuwające na wylot.

Rob wiedział, że archeolog nie przeżyje. Zanim dotrze tu karetka, minie co najmniej godzina. Między Ankarą a tym odludziem najpewniej nie kursowały żadne helikoptery medyczne. Franz Breitner umrze tutaj, na miejscu, w wykopie. W otoczeniu niemych głazów Göbekli Tepe.

## 12

W stawach rybnych Abrahama karpie miały się gorączkowo, dopominając się o maleńkie kawałeczki pity, które Rob rzucał do wody. Obserwował je jak zahipnotyzowany. Ich pełna desperacji żarłoczność była odrażająca.

Przyszedł tu, żeby się uspokoić — był to jedyny znany mu w tym gwarnym mieście zaciszny skrawek zieleni. Ale spokój nie nadchodził. Patrząc na ciskające się ryby, przetrawiał w głowie wydarzenia poprzedniego dnia. Potworny widok Franza nadzianego na pal. Gorączkowe rozmowy telefoniczne. Wreszcie brzemienną w skutki decyzję, by przeciąć słup na pół i zawieźć Franza do Şanhurfy — ciągle nabitego — samochodem Christine.

Rob ruszył za nimi taksówką Radewana. Zdezelowana toyota jechała za land-roverem po wzgórzach i przez równiny do szpitala uniwersyteckiego w nowej dzielnicy miasta. Tam na nieco obskurnym korytarzu Rob czekał razem z Christine, Iwanem i łkającą żoną Franza. Był tam jeszcze, kiedy wreszcie pojawili się lekarze z łatwą do przewidzenia wieścią: Franz Breitner umarł.

Karpie walczyły teraz o ostatni kawałek chleba. Kąsały się. Rob odwrócił wzrok. Zobaczył tureckiego żołnierza z pistoletem maszynowym: opierał się niedbale o jeepa zaparkowanego na skraju parku i patrzył na Roba spode łba.

W mieście panował niepokój — i nie miało to nic wspólnego ze śmiercią Breitnera. Doszło do zamachu bombowego — jakiś zamachowiec samobójca wysadził się trzysta kilometrów na wschód stąd w turecko-kurdyjskim Dyarbakirze, głównym ośrodku kurdyjskiego separatyzmu. Nikt nie zginął, jednak obrażenia odniosło dziesięć osób, a sytuacja w rejonie znowu się zaogniła. Po południu na ulicach roiło się od policji i wojska.

Rob westchnął, znużony. Czasami miało się wrażenie, że przemoc jest wszechobecna. Nie do uniknięcia. A on chciał jej uniknąć.

Przeszedł przez drewniany mostek nad maleńkim kanałem i usiadł przy drewnianym stoliku herbaciarni. Niemal natychmiast pojawił się kelner,

wycierając ręce o wiszący u pasa ręcznik. Rob zamówił wodę, herbatę i trochę oliwek. Naprawdę musiał bodaj na chwilę oderwać myśli od Franza Breitnera. Widoku krwi w samochodzie Christine, pala wystającego z tułowia archeologa...

— Sir?

Kelner podał herbatę. Zabrzęczała łyżeczka. Kostka cukru rozpuściła się w ciemnoczerwonym płynie. Słońce świeciło między drzewami małego parku. Jakiś chłopiec w koszulce Manchesteru United bawił się piłką na murawie. Jego matkę spowijał czarny czador.

Rob dopił herbatę. Czas przejść do działania. Wziął komórkę, sprawdził czas w Londynie i wystukał numer.

— No — odezwał się Steve z właściwą sobie szorstkością.

— Cześć, mówi...

— Robbie! Mój archeologiczny wysłannik. Jak tam głązy?

Pogodny gwarowy akcent szefa trochę poprawił Robowi humor. Zastanawiał się, czy go zniszczyć, opowiadając o wczorajszych wydarzeniach. Zanim się zdecydował, Steve powiedział:

— Podobały mi się notatki, które mi przysłałeś. Nie mogę się już doczekać artykułu. Kiedy mija termin?

— No, niby minął wczoraj, ale...

— Zuch chłopak. Do piątej widzę u siebie plik.

— Tak, ale...

— I przyślij kilka fotek. Ładne ujęcia ka...

— Steve, wyniknął pewien problem.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Wreszcie. Rob skorzystał z okazji i zaczął. Opowiedział Steve'owi o tajemnicach i problemach, z jakimi borykali się prowadzący wykopaliska, o niechęci robotników i klątwie śmierci, zajadłości lokalnej polityki i zagadkowych pracach prowadzonych nocą. Wyjaśnił redaktorowi, że nie wspominał o tym wcześniej, bo nie był pewien, czy ma to znaczenie.

— A teraz jesteś? — burknął Steve.

— Tak. Ponieważ...

Rob popatrzył na stojący na wznoszącym się na klifie zamek z wielką czerwoną turecką flagą. Wziął głęboki oddech. Potem zrelacjonował Steve'owi straszliwą śmierć Breitnera. Naczelnny powiedział tylko:

— Jezus. Co z tobą?

— Nie rozumiem.

— Wysłałem cię tam, bo myślałem, że odpoczynek dobrze ci zrobi. W jakiejś ładnej i spokojnej okolicy. Tylko kilka pierdolonych głązów. Zero ryzyka. Żadnych czających się kłopotów.

— Tak, a...

— A ty lądujesz w samym środku jakiejś wojny domowej ze zgrają diabelskich klech, a potem na twoich oczach z jakiegoś szkopa robią kebab. — Steve zachichotał. — Przepraszam, stary, nie powinienem robić sobie podśmichówek. Niezła chujnia. Co chcesz teraz zrobić?

Rob bił się z myślami. Co chce zrobić? Nie wiedział.

— Nie jestem pewien... chyba przydałyby mi się instrukcje od naczelnego. — Wstał z telefonem przyciśniętym do ucha. — Steve, ty jesteś szefem. Nie wiem, co mam zrobić. Powiedz mi, a ja to zrobię.

— Zaufaj instynktowi.

— To znaczy?

— Zaufaj sobie. Masz nosa. Potrafisz zwąchać temat niczym jebany tropowiec. — Ton Steve'a był stanowczy. — No więc powiedz mi: jest tu temat?

Rob ani przez chwilę nie miał wątpliwości. Odwrócił się, zerknął na kelnera i ręką poprosił o rachunek.

— Tak. Myślę, że tak.

— No więc masz odpowiedź. Zrób to. Powęsz trochę. Zostań przynajmniej jeszcze ze dwa tygodnie.

Rob pokiwał głową. Czuł zawodowe podekscytowanie — ale z domieszką smutku. Śmierć Breitnera była taka potworna. A on tak pragnął pojechać do domu i zobaczyć się z córką. Zdecydował się na małe wyznanie.

— Ale, Steve, chcę się zobaczyć z Lizzie.

— Z córeczką?

— Mhm.

— Mięczak. — Steve się zaśmiał. — Ile ma lat?

— Pięć.

Redaktor zamilkł. Rob popatrywał na stary meczet połyskujący po drugiej stronie stawów rybnych. Christine powiedziała mu, że kiedyś był to kościół — kościół krzyżowców.

— W porządku, Rob, gdy zrobisz ten kawałek, wyślemy cię prosto do domu. Pierwszą klasą, zgoda?

— Dzięki.

— Chętnie promujemy rodzicielstwo w „Timesie”. Ale tymczasem musisz coś dla mnie zrobić.

— Co?

— Przyślij mi tekst o samych głązach. Potrzebuję go na czwartek. Wstawię tam mały zwiastun, że będzie ciąg dalszy. Możemy z tego zrobić całą serię. Od naszego człowieka w epoce kamienia. Wśród demonów pustyni.

Rob roześmiał się trochę wbrew sobie. Steve zawsze potrafił poprawić mu nastrój swoim nieskrywanym dziennikarskim cynizmem i wisielczym poczuciem humoru.

— Trzymaj się, Steve.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni, czując się o niebo lepiej. Czekala go praca: artykuł do napisania, trop do zbadania. A potem będzie mógł wreszcie zobaczyć się z córką.

Opuszczając parkową oazę, wyszedł na kurdyjską ulicę i z miejsca doleciały go wrzaski taksówkarzy. Jakiś mężczyzna prowadził osła ciągnącego wózek załadowany po brzegi arbuzami. Panował tu taki ruch i harmider, że Rob niemal nie usłyszał dzwonka telefonu. Poczuł tylko wibracje.

— Tak?

— Robert?

Christine. Przystanął na zakurzonym chodniku. Biedna Christine. Musiała zawieźć Franza do szpitala. Nie pozwoliła, żeby zrobił to ktoś inny. Rob widział jej samochód cały umazany krwią, krwią jej przyjaciela. Makabryczny, wstrząsający widok.

— Wszystko w porządku, Christine?

— Tak, tak, dziękuję. Czuję się okay.

Nie brzmiało, jakby czuła się okay. Rob starał się wyrazić współczucie, nic innego nie przyszło mu na myśl. Ale nie była zainteresowana. Mówiła półsłówkami, urywanym tonem, jakby starała się ukryć emocje.

— I co, odlatujesz dzisiaj wieczorem?

— Nie — odpowiedział. — Muszę napisać coś więcej. Zostaję jeszcze przynajmniej na tydzień, może dwa.

— Świetnie. Możemy się spotkać? W karawanseraju? Rob był skonsternowany.

— Dobrze, ale...

— Teraz?

Zgodził się, nadal zbity z tropu. Połączenie zostało przerwane. Skreślił w lewo, ruszył pod górkę w rozgwar targowiska.

Był to jeden z prawdziwych arabskich bazarów tak szybko znikających z Bliskiego Wschodu. Pełen mrocznych alejek, usmolonych kowali, zachwalających towar sprzedawców dywanów i wejść do maleńkich meczetów. Ostre promienie słońca wpadały do środka niczym oszczepy przez dziury w dachu z blachy falistej. W ciemnych starych zakamarkach ostrzyściele noży wystrzeliwali złote iskry w powietrze przesiąknięte zapachem korzennych przypraw. A w samym środku tego galimatiasu, znajdował się autentyczny staroświecki karawanseraj: chłodny i rozległy dziedziniec z pięknymi kamiennymi arkadami i stoliczkami do kawy. Miejsce, gdzie ubijano interesy i wymieniano się plotkami, gdzie kupcy targowali się o jedwab, a ojcowie żenili synów, może od tysiąca lat.

Wychodząc na gwarny otwarty plac, przecesał wzrokiem morze stolików i ludzi. Bez trudu wyłowił Christine. Była tam jedyną kobietą.

Miała wymizerowaną twarz. Rob usiadł naprzeciwko. Popatrzyła mu głęboko w oczy, jakby czegoś w nich szukała. Nie miał pojęcia czego. Milczała.

— Słuchaj, Christine, strasznie... strasznie mi przykro z powodu Franza. Wiem, że się przyjaźniliście i...

— Proszę. Nie. — Siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, starając się stłumić łzy, gniew, może coś jeszcze. — Wystarczy. To bardzo miło z twojej strony, ale wystarczy. — Podniosła oczy i Rob z zakłopotaniem uświadomił sobie, że jej oczy są w kolorze topazowego brązu. Ciemne i smutne. Piękne i przepełnione łzami. Odchrząknęła, żeby oczyścić gardło. Potem powiedziała:

— Myślę, że Franz został zamordowany. — Co?

— Byłam tam, Rob. Widziałam. Wywiązała się kłótnia.

Karawanseraj wypełnił głośny trzepot zrywających się do lotu gołębi. Mężczyźni popijali turecką kawę, siedząc na szkarłatnych dywanikach. Rob odwrócił się z powrotem do Christine.

— Kłótnia nie jest równoznaczna z morderstwem.

— Widziałam, Rob. Popchnęli go.

— Jezu.

— Właśnie. To nie był wypadek: z premedytacją zepchnęli go prosto na zerdź.

Rob ściągnął brwi.

— Byłaś na policji?

Christine zbyła ten pomysł machnięciem ręki jak uprzykrzoną muchę.

— Tak. Nie chcieli słuchać.

— Jesteś pewna?

— Na dobrą sprawę wyprowadzili mnie z posterunku. No wiesz, jestem tylko kobietą

— Palanty.

— Może. — Christine posłała mu wymuszony uśmiech. — Ale dla nich to też nie jest łatwa sytuacja. Robotnicy są Kurdami, w policji pracują Turcy. Implikacje polityczne są nie do uniknięcia. A wczoraj doszło do zamachu w Dyarbakirze.

— Widziałem wiadomości telewizyjne.

— Więc — ciągnęła Christine — wyobraź sobie, że aresztowaliby teraz, ot tak, masę Kurdów pod zarzutem morderstwa... Teraz to nie takie proste. O Boże. — Złożyła czoło na skrzyżowanych rękach.

Rob zastanawiał się, czy się rozpłacze. Za jej plecami nad arkadami karawanseraju wznosił się minaret. Do szczytu przymocowano duże czarne głośniki, chwilowo nieme.

Wzięła się w garść i usiadła prosto.

— Chcę wiedzieć, zbadać to.

— Co masz na myśli?

— Muszę poznać prawdę. Dlaczego kopał nocami, dlaczego chcieli go zabić. Franz był moim przyjacielem. Chcę ustalić, dlaczego zginął. Pojedziesz ze mną? Zamierzam wrócić do Göbekli i przejrzeć jego materiały, notatki, prace...

— Przecież policja chyba wszystko zabrała?

— Wiele rzeczy trzymał w ukryciu — powiedziała Christine. — Ale ja wiem gdzie. W małej szafce w swojej kabinie na stanowisku. — Nachyliła się do niego, jakby się do czegoś przyznawała. — Rob, będziemy musieli się włamać. I to ukraść.

## 13

Podczas lotu na wyspę Man nieźle nimi rzucało, na szczęście trwał krótko. Na lotnisku Ronaldsway Forrestera i Boijera powitał w hali przylotów zastępca komendanta policji oraz sierżant w mundurze. Forrester się uśmiechnął. Uścisnęli sobie dłonie i przedstawili się: zastępca komendanta nazywał się Hayden.

Poszli na parking. Forrester i Boijer popatrzyli na siebie i porozumiewawczo skinęli głowami na widok białego hełmu sierżanta, zupełnie innego od tych używanych w Anglii.

Forrester był świadom specjalnego statusu wyspy. Królewska kolonia, z własnym parlamentem, flagą, dziedzictwem starych tradycji wikińskich i odrębną policją, Man oficjalnie w ogóle nie wchodziła w skład Zjednoczonego Królestwa. Dopiero kilka lat temu zniesiono tu karę chłosty; starszy oficer śledczy w Londynie dokładnie zaznajomił Forrestera z nieco niezwykłymi procedurami obowiązującymi podczas wizyty na wyspie.

Na zewnątrz było chłodno, w powietrzu czuło się deszcz. Cała czwórka rażno ruszyła do dużego wozu Haydena. Jechali w milczeniu przez ziemie uprawne przedmieść Douglas, stolicy wyspy położonej na zachodnim wybrzeżu. Forrester opuścił szybę i wyjrzał, starając się wysondować atmosferę miejsca.

Bujne, zielone pola, deszczowe dąbrowy, malutkie szare kapliczki: wyglądało to bardzo brytyjsko i celtycko. Podobnie jak stłoczone wokół plaży domy i co bardziej sztywne biurowce Douglas, przywodziły Forresterowi na myśl szkockie Hebrydy. Jediną oznaką, że znajdują się poza obszarem Zjednoczonego Królestwa, była flaga Man, z symbolem trójnożnego człowieka na jaskrawoczerwonym tle, falująca na niosącym fale deszczu wietrze na kilku budynkach.

Ciszę w samochodzie przerywała z rzadka kurtuazyjna wymiana zdań. W pewnej chwili Hayden odwrócił się, popatrzył na Forrestera i oświadczył:



— Oczywiście nie ruszaliśmy ciała z miejsca zbrodni. Nie jesteśmy amatorami.

Uwaga była co najmniej dziwna. Forrester się domyślił, że funkcjonariusze tej maleńkiej policji — wszystkiego dwie setki policjantów — chyba krzywym okiem patrzą na jego obecność. Gruba ryba z metropolii. Wścibiający nos londyńczyk.

Ale Forrester miał poważne zadanie do wykonania: musiał zobaczyć miejsce zdarzenia. Chciał od razu przystąpić do pracy. Zgodnie z procedurami czy nie.

Samochód gwałtownie skręcił, wyjechał z miasta i ruszył węższą drogą z wysokim lasem po prawej stronie i lekko wzburzonym Morzem Irlandzkim po lewej. Forrester zauważył moło, latarnię morską, kilka łódek podskakujących na szarych falach i jeszcze jedno wzgórze. A potem samochód przejechał przez okazałą bramę i zajechał pod duży, stary, zwieńczony blankami budynek.

— Fort Świętej Anny — wyjaśnił Hayden. — Teraz mieszczą się tu biura.

Miejsce zostało odgrodzone policyjną taśmą. Forrester zobaczył, że na frontowym trawniku rozstawiono namiot, mignął mu policjant wnoszący do budynku starego kodaka do zdjęć odcisków palców. Gramoląc się z samochodu, zastanawiał się nad umiejętnościami tutejszej policji. Kiedy po raz ostatni mieli do czynienia z zabójstwem? Pięć lat temu? Pięćdziesiąt? Pewnie większość czasu spędzali na przymykaniu palaczy trawki. I niepełnoletnich amatorów procentów. No i gejów. Czy przypadkiem stosunki homoseksualne nie były tu nadal przestępstwem?

Weszli prosto do budynku przez frontowe drzwi. Dwóch młodych mężczyzn w maseczkach ochronnych na twarzy popatrzyło na Forrestera. Jeden z nich trzymał puszkę proszku aluminiowego. Weszli do innego pokoju. Nadkomisarz chciał ruszyć za technikami, ale Hayden dotknął jego ramienia.

— Nie — powiedział. — W ogrodzie.

Dom był ogromny, ale pozbawiony charakteru. Został brutalnie przerobiony na biura: usunięto oryginalne elementy wystroju, zainstalowano świetlówki, szare ścianki działowe, szafki na dokumenty i sprzęt komputerowy. Na niektórych biurkach stały modele łodzi i promów. Na ścianach wisiało parę map morskich, biura należały przypuszczalnie do jakiegoś towarzystwa żeglugowego albo firmy projektowej.

Idąc za zastępcą komendanta, Forrester wszedł do korytarza, z którego wielkie szklane drzwi wychodziły na obszerny ogród na tyłach, ze wszystkich stron obrzeżony wysokim żywopłotem; za nim rozciągało się zadrzewione wzniesienie. W różnych miejscach widniały toporne wykopy. Na środku zniszczonej murawy stał duży, żółty namiot kryminalistyczny, z zasuniętymi dokładnie połami.

Hayden otworzył szklane drzwi i poprowadził ich kilkanaście metrów do namiotu, po czym się odwrócił.

— Gotowi?

Nadkomisarz zachnął się zniecierpliwiony:

— Tak, oczywiście.

Hayden odsunął połą wejścia.

— Kurwa — rzucił Forrester.

W środku znajdowały się zwłoki mężczyzny, na oko trzydziestokilkuletniego. Leżały plecami do wejścia, zupełnie nagie. Ale to nie dlatego Forrester rzucił mięsem. Głowę ofiary zakopano w ziemi, reszta ciała wystawała na zewnątrz. To ułożenie robiło jednocześnie komiczne i potworne wrażenie. Komisarz z miejsca się domyślił, że przyczyną zgonu było uduszenie. Zabójcy wykopali dół, siłą włożyli tam głowę mężczyzny, następnie zasypali ją ziemią, przerywając dopływ tlenu. Paskudna, dziwna, nieludzka śmierć. Kto i dlaczego chciałby zrobić coś takiego?

Boijer chodził dokoła zwłok wstrząśnięty. Choć w namiocie panowała niższa temperatura niż w smaganym wiatrem ogrodzie, od zwłok szedł już wyraźny zapaszek. Forrester żałował, że nie ma maski Sirchie, która stłumiłaby smród rozkładu.

— Jest gwiazda — powiedział Boijer.

Forrester obszedł ciało i popatrzył. Na piersi mężczyzny wycięto gwiazdę Dawida, rana wyglądała na głębszą i paskudniejszą niż obrażenia zadane dozorczy.

— Kurwa — powiedział jeszcze raz Forrester.

Stojący obok Hayden uśmiechnął się, po raz pierwszy tego ranka.

— Cóż, cieszę się, że macie podobne odczucia. Już myśleliśmy, że jesteśmy odosobnieni — stwierdził.

Trzy godziny później Forrester i Boijer w dużym namiocie przed rezydencją pili kawę z plastikowych kubków. Siedzieli sami — funkcjonariusze lokalnej policji przygotowywali konferencję prasową w

budynku. Zwłoki zostały wreszcie zabrane, po trzydziestu sześciu godzinach, do prosektorium w biurze koronera.

Boijer zerknął na Forrestera.

— Mam wrażenie, że miejscowi patrzą na nas krzywym okiem.

Forrester zachichotał.

— Coś mi się zdaje, że aż do wczoraj mieli jeszcze własny język.

— I koty — dodał Boijer, dmuchając na kawę. — Czy to nie stąd pochodzą te koty bez ogonów?

— Manksy. Tak.

Boijer wyjrzał przez trzepoczącą połę wejścia policyjnego namiotu na wielki, biały budynek.

— Po co nasz gang mógł tu przyjechać?

— Bóg raczy wiedzieć. A skąd ten sam symbol na ciele ofiary? — Forrester przełknął kolejny łyk kawy. — Co jeszcze o niej wiemy? Rozmawiałeś z oficerem nadzorującym miejsce zdarzenia?

— Projektant jachtów. Pracował na piętrze.

— W niedzielę?

Boijer skinął głową.

— Mhm. Zwykle w weekendy nie ma tu żywej duszy. Ale facet odrabiał jakiś dzień wolnego.

— Czyli po prostu miał pecha?

Boijer odgarnął z fińskich niebieskich oczu fińskie blond włosy.

— Tak samo jak facet z Craven Street. Pewnie usłyszał jakiś hałas.

— I zszedł na dół. A nasi uroczy zabójcy postanowili go pociąć, a potem wsadzić mu głowę w ziemię niczym bramkę do krokietów.

— Niezbyt ładnie.

— A co z monitoringiem?

— Nic. — Boijer wzruszył ramionami. — Któryś z miejscowych powiedział mi, że kamery niczego nie zarejestrowały, żadna. Nul.

— Jasne. To samo będzie z odciskami palców i butów. Zero śladów. Ci goście są stuknięci, ale nie głupi. Wprost przeciwnie.

Forrester wyszedł z namiotu i popatrzył na dom przez lekką mżawkę. Budynek był olśniewająco biały. Świeżo odmalowany. Prawdziwy punkt orientacyjny dla miejscowych żeglarzy.

Wysoka, biała i zwieńczona blankami budowla wznosiła się tuż nad mołem i portem. Nadkomisarz przyjrzał się krenelażom i szczeblinowym oknom. Zachodził w głowę, co może łączyć osiemnastowieczny dom w

Londynie z pochodzącą z tego samego wieku rezydencją na wyspie Man. W tym momencie coś go uderzyło. Może się myli. Zmrużył oczy. Coś było nie tak z tym budynkiem. To nie był oryginał — Forrester znał się wystarczająco na architekturze, żeby to poznać. Murarka była zbyt równiutka, okna wszystkie co do jednego nowe — dziesięcio-, najwyżej dwudziestoletnie. Budynek był ewidentnie podróbką, i to niezbyt udaną. I bardzo możliwe, że zabójcy też o tym wiedzieli. Nowoczesne wnętrze domu nie zostało naruszone. Rozkopano jedynie ogród. Sprawcy ewidentnie znowu czegoś szukali. Ale nie w środku, tylko w ogrodzie. Najwyraźniej wiedzieli, gdzie szukać. Najwyraźniej wiedzieli, gdzie nie szukać. Najwyraźniej wiedzieli całkiem sporo.

Forrester uniósł kołnierz, osłaniając się przed zimną mżawką.

Ściemniało się już, kiedy wsiadali do land-rovera. Godziny szczytu. Po przejechaniu kilkuset metrów samochód zatrzymał się na dobre. Ugrzęźli w korku.

Christine opadła na oparcie i westchnęła. Włączyła radio, ale zaraz wyłączyła. Potem popatrzyła na Roba.

— Powiedz mi coś więcej o Robercie Luttrellu.

— To znaczy co?

— O pracy. Życiu. No wiesz...

— Zanudzę cię.

— Spróbuj.

Streścił jej w zarysie ostatnie dziesięć lat swojego życia. Pospieszny ślub, szybkie przyjście na świat dziecka, odkrycie, że Sally go zdradza, nieuchronny rozwód.

Słuchała z uwagą.

— Nadal czujesz gniew z tego powodu?

— Nie, ja też miałem w tym swój udział. To znaczy częściowo była to moja wina. Byłem w ciągłych rozjazdach. Czują się samotna... I nadal ją podziwiam, w pewnym sensie.

— Nie bardzo rozumiem.

— Sally studiuje prawo — wyjaśnił. — To wymaga nie lada odwagi i polotu. Przekwalifikować się po trzydziestce. Podziwiam to. Więc to nie jest tak, że jej nienawidzę czy coś... — Wzruszył ramionami. — Po prostu się różniliśmy. I za wcześnie pobraliśmy.

Christine pokiwała głową, potem spytała o jego amerykańską rodzinę. Opisał losy swoich szkocko-irlandzkich przodków, emigrację do Utah w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Mormonizm.

Land-rover wreszcie ruszył. Rob popatrzył na Christine.

— A ty?

Ruch rzeczywiście zmalął. Wcisnęła pedał gazu, przyspieszyła.

— Francuzka żydowskiego pochodzenia.

Rob już wcześniej się tego domyślił po nazwisku: Meyer.

— Połowa mojej rodziny zginęła podczas Holokaustu. Ale reszta przeżyła. Francuscy Żydzi w miarę dobrze przetrwali wojnę. Stosunkowo.

— A twoja mama i tato?

Christine wyjaśniła, że matka była nauczycielem akademickim w Paryżu, ojciec stroicielem fortepianów. Zmarł piętnaście lat temu.

— Ale prawdę rzekłszy — dodała — nie przypominam sobie, żeby zajmował się strojeniem, nawet kiedy jeszcze żył. Po prostu wysiadywał beczynnie w mieszkaniu, wszczynając awantury.

— To tak jak mój. Tyle że on był jeszcze łajdakiem.

Christine zerknęła na niego. Niebo w oknie za nią było szafirowo-purpurowe. Malowniczy pustynny zmierzch. Ujechali już dobry kawałek od Sanhurfy.

— Powiedziałaś, że twój tata był mormonem?

— Jest.

— Byłam kiedyś w Salt Lake City.

— Tak?

— Kiedy pracowałam w Meksyku, w Teotihuacan, wybrałam się na urlop do Stanów.

Rob się roześmiał.

— Do Salt Lake City?

— Do Utah. — Uśmiechnęła się. — No wiesz: parki Canyonlands, Arches.

— Aha. — Skinął głową. — To brzmi sensowniej.

— Cudowna okolica. Tak czy siak, musieliśmy lecieć przez Salt Lake City.

— Najnudniejsze z wielkich miast Ameryki.

Wyprzedziła ich wojskowa ciężarówka z żołnierzami nonszalancko rozpartymi z tyłu, niewyraźnymi w zmroku. Jeden z nich pomachał i wyszczerzył się na widok Christine, ale go zignorowała.

— Nie jest to Nowy Jork, ale raczej mi się podobało.

Rob pomyślał o Utah i Salt Lake City. Jedyne, co pamiętał, to posępne, szare niedziele, kiedy chodzili Mormon Tabernacle Choir.

— To dziwne — dodała Christine. — Ludzie naśmiewają się z mormonów. Ale wiesz co?

— Tak?

— Salt Lake City to jedyne duże miasto w Ameryce, w którym czułam się zupełnie bezpieczna. Człowiek może iść ulicą o piątej nad ranem i nikt na niego nie napadnie. Mormoni nie napadają na ludzi. To mi się podoba.

— Ale za to jedzenie mają koszmarnie... i noszą spodnie z poliestru.

— Tak, racja. A w niektórych miastach w stanie nie można nawet kupić kawy. Tego szatańskiego napoju. — Uśmiechnęła się pogodnie. Przez otwarte okna land-rovera wpadało ciepłe pustynne powietrze. — Ale mówię serio. Mormoni są mili. Przyjacielscy. To zasługa ich religii. Dlaczego ateści szydą z ludzi wierzących, jeśli wiara czyni ich lepszymi?

— Jesteś wierząca, prawda?

— Tak.

— Ja nie.

— Domyśliłam się.

Roześmiali się.

Rob odchylił się na oparciu, lustrując horyzont. Mijali betonową budę, którą już wcześniej widział. Była oblepiona plakatami tureckich polityków.

— Czy gdzieś tu nie powinien być zakręt?

— Tak. Tuż przed nami.

Zwolniła, zbliżając się do skrzyżowania. Rob myślał o jej wierze: katolicyzmie, jak wyznała. Nadal wprawiało go to w konsternację. Wiele rzeczy u Christine Meyer wprawiało go w konsternację: na przykład jej miłość do Şanhurfy mimo bardzo patriarchalnego stosunku miejscowych do kobiet.

Zjechali z asfaltowej szosy i telepali się teraz drogą z tłucznia w absolutnych ciemnościach. W światłach samochodu migąły pojedyncze krzaki, gołe skały, raz chyba nawet gazela, która zaraz smyrgnęła w ciemność. Maleńka wioska migotała jedynie kilkoma światełkami na zboczu wzgórza. Rob z trudem wyłowił z ciemności wieżę minaretu tonącą w zmierzchu. Księżyc właśnie wschodził.

Spytał Christine prosto z mostu o jej stosunek do islamu. Wyjaśniła, że podobają jej się pewne jego elementy. Zwłaszcza muezini.

— Naprawdę? — zdziwił się Rob. — To całe zawołanie? Mnie wydaje się zbyt nachalne. To znaczy, nie żebym go nie cierpiał, ale po prostu... czasami...

— A ja uważam, że jest poruszające. Błagalny krzyk duszy do Boga. Powinieneś przysłuchać się dokładniej.

Skręcili po raz drugi obok ostatniej, pogrążonej w ciszy kurdyjskiej wioski. Jeszcze tylko kilka kilometrów i zobaczą niskie wzniesienia Göbekli Tepe rysujące się w księżycowej poświacie. Land-rover wziął ostatni zakręt. Rob nie bardzo wiedział, co zastaną po „wypadku” na miejscu. Radiowozy? Bariery? Nic?

Rzeczywiście na drodze ustawiono barierkę, niebieską. Było na niej napisane POLICJA i ZAKAZ WSTĘPU. Po turecku i angielsku. Rob wysiadł z samochodu i odsunął ją na bok. Christine przejechała i zaparkowała.

Miejsce było opustoszałe. Robowi kamień spadł z serca. Jediną oznaką, że doszło tu do tragedii, była nowa plandeka rozwieszona nad rowem, gdzie zginął Franz, i wrażenie pustki pod otwartym namiotem. Zabrano stamtąd mnóstwo rzeczy. Duży stół został przeniesiony albo rozebrany. Sezon wykopaliskowy definitywnie dobiegł końca.

Rob popatrzył na megality. Kiedyś nawet się zastanawiał, jak by to było znaleźć się pośród nich w nocy. I nagle oto, całkiem niespodziewanie, miał okazję to sprawdzić. Ledwo było je widać. Księżyc już wzeszedł i rzucał na wszystko białą poświatę. Rob poczuł dziwną chęć, żeby zejść do rowów. Dotknąć megalitów. Przytknąć policzek do chłodu prastarych kamieni. Przebiec palcami po rzeźbieniach. Od dawna miał na to ochotę. Po prawdzie, od kiedy tylko je zobaczył.

Christine podeszła do niego od tyłu.

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— No to chodźmy. Zróbmy to szybko. To miejsce... trochę mnie przeraża nocą.

Rob zauważył, że dziewczyna odwraca wzrok od sektora, w którym zginął Franz. Zrozumiał, jak trudna musiała być dla niej ta wizyta.

Przeszli szybko wzniesieniem. Na lewo znajdowała się niebieska plastikowa kabina: prywatne biuro Franza. Na drzwiach wisiała nowa kłódka.

— Cholera — westchnęła Christine.

Rob zastanowił się chwilę. Potem pobiegł z powrotem do land-rovera, otworzył tylne drzwi i szukał po omacku. Wrócił z podnośnikiem. Pustynny wiatr był ciepły, kłódka połyskiwała w świetle księżyca. Odskoczyła z trzaskiem, kiedy wsunął podnośnik w pałąk i obrócił.

Wnętrze kabiny było małe i pustawe. Christine omiotła je światłem latarki. Na półce leżała zapasowa para okularów. Na blacie biurka zalegała



gruba warstwa kurzu i kilka porozrzucanych podręczników. Policja zabrała niemal wszystko.

Christine przyklękła, potem westchnęła raz jeszcze.

— Zabrali tę cholerną szafkę.

— Serio?

— Była schowana tutaj, przy małej lodówce. Zniknęła.

Rob poczuł głębokie rozczarowanie.

— Więc po sprawie? — Zmarnowali tylko czas, przyjeżdżając tutaj.

Christine wygładała na bardzo zasmuconą.

— Zbierajmy się, zanim ktoś nas przyłapie. Włamaliśmy się na miejsce zbrodni — powiedziała.

Rob podniósł podnośnik. Kiedy szedł do samochodu, obok skrytych w cieniu dołów, ponownie poczuł ten dziwny impuls, by podejść i dotknąć kamieni. Położyć się obok nich na ziemi.

Christine otworzyła drzwiczki land-rovera od strony kierowcy. W środku zapaliło się światło. W tej samej chwili Rob uchylił tylne drzwi, żeby schować podnośnik. I natychmiast dostrzegł połyskujący w świetle błyszczący mały notes. Leżał na tylnym siedzeniu, czarny, raczej kosztowny z wyglądu. Podniósł go, otworzył i zobaczył nazwisko Breitner, napisane drobnym, starannym charakterem pisma.

Obszedł samochód i nachylił się do środka przez drzwiczki od strony pasażera, żeby pokazać Christine znalezisko.

— Jezu! — krzyknęła. — To właśnie to! Notes Franza. Tego szukałam. To w nim zapisywał... wszystko.

Rob podał jej notatnik. Ze skupioną miną przerzucała strony, mrużąc:

— Widziałam, jak to robił. Ukradkiem. To był jego wielki sekret. Dobra robota!

Rob zajął miejsce pasażera.

— Ale co robił w twoim samochodzie?

Gdy tylko zadał to pytanie, poczuł się jak głupek. Odpowiedź była oczywista. Musiał wypaść Franzowi z kieszeni, kiedy Christine wiozła go do szpitala. Albo świadom, że umiera, leżąc i krwawiąc na tylnym siedzeniu, archeolog wyjął go i zostawił. Celowo. Wiedząc, że ona go znajdzie.

Rob potrząsnął głową. Jeszcze chwila, a stanie się fanatykiem spiskowej teorii dziejów. Musi się wziąć w garść. Sięgnął na lewo i trzasnął drzwiczkami tak mocno, że samochód się zatrzęsł.

— Łups — powiedziała Christine.

— Przepraszam.

— Coś wypadło.

— Że co?

— Kiedy trzasnąłeś drzwiami, coś wypadło z notesu.

Christine szukała po omacku na podłodze pod pedałami. Wreszcie wyprostowała się, trzymając coś w palcach.

Suche źdźbło trawy. Rob zrobił wielkie oczy.

— Po kiego licha coś takiego trzymał?

Ale Christine tylko patrzyła w skupieniu na trawę.

## 15

Kiedy wracali do miasta, jechała jeszcze szybciej niż zwykle. Na przedmieściach, gdzie brudna pustynia wdzierała się między pierwsze bloki mieszkalne z szarego betonu, zobaczyli niezbyt udaną wersję przydrożnego baru: przy ustawionych na zewnątrz plastikowych stoliczkach piło piwo kilku kierowców ciężarówek. Z minami winowajców.

— Może browar?

Christine zerknęła w bok.

— Dobry pomysł.

Zjechała w prawo i zaparkowała. Wysiadała z samochodu i ruszyła do stolika pod obstrzałem spojrzeń tirowców.

Wieczór był ciepły, dokoła nagich żarówek zawieszonych na zewnątrz wirowały muchy i inne owady. Rob zamówił dwa piwa Efez. Rozmawiali o Göbekli. Co jakiś czas z hukiem przejeżdżały mknące do Damaszku, Rijadu czy Bejrutu wielkie ciężarówki: oślepiały światłami, zagłuszały rozmowy i przyprawiały żarówki o drżenie i dygot. Christine przerzucała strony notesu. Z przejęciem, niemal gorączkowo. Rob popijał ciepłe piwo z wyszczerbionego kufła i milczał.

Teraz z nieszczęśliwą miną kartkowała notatki wte i wewte. Wreszcie, po dłuższej chwili, rzuciła notes na stolik i westchnęła.

— Sama nie wiem... Bez ładu i składu.

Rob odstawił piwo.

— Przepraszam?

— Zapiski są bardzo chaotyczne. — Cmoknęła z niezadowoleniem. — Co jest dziwne. Bo Franz nie był chaotyczny. Raczej skrupulatny. Sam to określał mianem „teutońskiej efektywności”. Był bardzo wnikliwy i dokładny. Zawsze... zawsze. — Jej brązowe oczy na chwilę posmutniały. Sięgnęła zdecydowanym ruchem po piwo, wzięła łyk i powiedziała: — Sam zobacz.

Rob przejrzał początkowe strony.

— Moim zdaniem wygląda w porządku.

— Tutaj. — Pokazała. — Owszem, początek jest klarowny. Wykresy stanowiska. Występujące zbrojniki mikrolityczne. Ale tutaj... spójrz...

Rob przerzucał strony, dopóki go nie zatrzymała.

— Widzisz, od tego miejsca widać zmianę. Zaczyna bazgrać jak kura pazurem. A rysunki i te bezładne gryzmoły. O, i tu. Co mają znaczyć te liczby?

Rob przyjrzał się dokładniej. Prawie wszystkie notatki były w języku niemieckim. Charakter pisma z początku bardzo schludny, w miarę postępów zapisków stawał się coraz mniej czytelny. Na ostatniej stronie znajdowała się lista jakichś numerów. Potem kilka słów o kimś, kto nazywał się Orra Keller. Rob przypomniał sobie, że znał kiedyś w Anglii dziewczynę, która miała na imię Orra. Żydówkę. Kim więc była ta Orra Keller? Spytał Christine, ale tylko wzruszyła ramionami. Spytał o liczby — wzruszyła ponownie. Zwrócił też uwagę na rysunek: nabazgrany szkic jakiegoś pola i drzew.

Oddał notes Christine.

— Czego dotyczą te zapiski? Mój niemiecki jest kiepski.

— Cóż, większość z tego jest nieczytelna. — Otworzyła notes przy końcu. — Ale pisze o pszenicy, tutaj. I o jakiejś rzece, która zmienia się w więcej rzek. O, tu.

— O pszenicy? Niby dlaczego?

— Bóg jeden wie. A ten rysunek to chyba jakaś mapa. Tak mi się zdaje. Z górami. Jest tu napisane: „Góry” ze znakiem zapytania. A to są chyba rzeki. A może chodzi o drogi. Naprawdę trudno się połapać.

Rob dopił piwo i gestem poprosił właściciela baru o dwa następne. Droga na Damaszek przejechała kolejna srebrna ciężarówka. Niebo nad Şanhurfą miało kolor brudnopomarańczowo-czarny.

— A co z tą trawą?

Christine skinęła głową.

— Właśnie. Dziwne. Po co ją przechowywał?

— Sądziś, że się czegoś bał? Ze dlatego te zapiski są takie nieskładne?

— Niewykluczone. Pamiętasz *Pulsa Dinura*?

Rob się wzdrygnął.

— Trudno o czymś takim zapomnieć. Myślisz, że wiedział o przekleństwie?

Christine wyłowiła pływającego w piwie owada. Potem spojrzała twardo na Roba.

— Myślę, że tak. Musiał słyszeć, jak śpiewali za oknem. A był ekspertem od mezopotamskich wierzeń. Od klątw i demonów. To była jedna z jego specjalizacji.

— Zatem miał świadomość, że jest w niebezpieczeństwie?

— Prawdopodobnie. Co mogłoby tłumaczyć chaos w notatkach. Autentyczny strach. A jednak... — Położyła notes płasko na dłoni, jakby chciała oszacować jego wagę. — Dorobek całego życia.

Rob rozumiał jej smutek. Christine odłożyła notatnik.

— To miejsce jest straszne, chociaż sprzedają tu piwo. Możemy stąd iść?

— Z przyjemnością.

Zostawiwszy kilka monet na spodku, wrócili do land-rovera i szybko odjechali. Po chwili Christine powiedziała:

— Nie wierzę, że chodziło tylko o strach, to się nie trzyma kupy. — Odbiła kierownicą, wyprzedzając rowerzystę: starszego mężczyznę w galabii. Przed nim siedział w poprzek ramy śniadoskóry chłopiec. Pomachał w ich stronę, szczerząc się do białej kobiety z Zachodu.

Rob zauważył, że Christine wiezie ich bocznymi uliczkami, a nie zwykłą trasą powrotną do centrum.

Wreszcie się odezwała:

— Franz był sumienny i opanowany. Nie sądzę, by jakaś klątwa mogła go wprowadzić w stan takiego zdenerwowania. Nic nie mogłoby go aż tak wytrącić z równowagi.

— No to jak to sobie tłumaczysz?

Jechali teraz przez nowocześniejszą część miasta. Wyglądała niemal z europejska. Ładne, czyste bloki, kobiety na ulicach, nie wszystkie w hidżabach. Rob zobaczył jaskrawo oświetlony supermarket, na którym widniała reklama jakiegoś sera w języku niemieckim i tureckim. Obok znajdowała się kawiarenka internetowa: widział migające ekrany i zarysy głów.

— Myślę, że miał jakąś teorię. Lubował się w teoriach.

— Zauważyłem.

Christine uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od drogi.

— Sądzę, że miał jakąś teorię na temat Göbekli. Tak mi się wydaje na podstawie notatek.

— Czego dokładnie miałyby dotyczyć?

— Może ustalił, dlaczego Göbekli zostało zakopane. W końcu to wielka zagadka. Jeśli czuł, że wpadł na jej rozwiązanie, to mogło go wprowadzić w stan

poruszenia.

Wyjaśnienie nie trafiło Robowi do przekonania.

— Ale dlaczego tego po prostu nie zapisał, nie pisał nikomu ani słowa?

Samochód się zatrzymał. Christine wyciągnęła kluczyki ze stacyjki.

— Słuszna uwaga — orzekła, patrząc na Roba. — Bardzo trafna. Dowiedzmy się zatem. Chodź.

— Gdzie?

— Mieszka tu nasz przyjaciel. Może będzie mógł nam pomóc.

Zaparkowali przed nowym budynkiem mieszkalnym z ogromnym szkarłatnym plakatem reklamowym turku cola na ścianie. Christine wbiegła po schodkach i wcisnęła oznaczony numerem przycisk. Czekali. Po chwili rozległ się brzęczyk i weszli do środka. W milczeniu wjechali windą na dziesiąte piętro.

Kiedy stanęli na podeście, drzwi mieszkania były już uchylone. Rob ruszył za Christine. Zajrzał do mieszkania i aż podskoczył: tuż za drzwiami stał paleobotanik Iwan, ten z przyjęcia. Przyczajony.

Grzecznie skinął im głową, ale minę miał wyraźnie nieprzyjazną. Prawie podejrzliwą. Wprowadził ich do głównego pokoju. Wystrój był bardzo surowy: mnóstwo książek i kilka obrazów. Ekran stojącego na biurku eleganckiego laptopa pokazywał tapetę z megalitami z Göbekli. Na gzymsie kominka stała piękna niewielka kamienna rzeźba, która wyglądała jak jeden z mezopotamskich demonów wiatru. Robowi przemknęło przez głowę, czy aby Iwan jej nie ukradł.

Usiedli bez słowa. Gospodarz nie zaproponował im herbaty ani wody, zajął tylko miejsce naprzeciwko, popatrzył twardo na Christine i spytał:

— Tak?

Wyjęła notes i położyła na stoliku. Iwan spojrzał na niego, potem przeniósł wzrok na Christine. Jego młoda, słowiańska twarz była doskonale obojętna. Jak u kogoś, kto stara się ukryć emocje. Albo kogoś, kto jest przyzwyczajony do ich ukrywania.

Christine sięgnęła do kieszeni, wyjęła źdźbło trawy i położyła je bardzo delikatnie na wierzchu notesu. Rob nie odrywał wzroku od twarzy Iwana. Nie miał pojęcia, o co tu chodzi, ale wyczuwał, że jego reakcja jest ważna. Na widok źdźbła Rosjanin lekko się wzdrygnął. Rob nie potrafił dłużej wytrzymać przytłaczającego milczenia.

— Ej, kochani, o co chodzi? Co się dzieje?

Christine zerknęła na niego, jakby prosząc, żeby się wstrzymał. Ale Rob nie miał ochoty się wstrzymać. Chciał wiedzieć, co się dzieje. Po co przyjechali tutaj tak późno wieczorem? Żeby siedzieć w ciszy i gapić się na jakiś kawałek zieleniny?

— Samopsza — powiedział Iwan.

Christine się uśmiechnęła.

— Jednak. Samopsza. Tak.

Iwan potrząsnął głową.

— A ty tego nie wiesz, Christine?

— No... nie miałam pewności. Ty jesteś ekspertem.

— No to teraz już masz. A ja jestem bardzo zmęczony.

Christine zabrała źdźbło.

— Dziękuję, Iwan.

— Nie ma za co. — Podniósł się. — Do widzenia.

Szybko odprowadził ich do drzwi. Na progu rozejrzał się po korytarzu, jakby spodziewał się zobaczyć kogoś, kogo wcale nie chciał widzieć. Potem zatrzęsął drzwiami.

— No, raczej nie grzeszy uprzejmością.

— Ale dostaliśmy to, po co przyszliśmy.

Wezwali windę i zjechali na dół. Cała ta tajemniczość irytowała Roba.

— W porządku — powiedział, kiedy odetchnęli ciepłym, przesiąkniętym spalinami powietrzem na zewnątrz. — Proszę, Christine. Samopsza. Ki diabeł?

Nie patrząc na niego, wyjaśniła:

— Najstarsza odmiana pszenicy na ziemi. Pierwsze wyhodowane zboże, jeśli wolisz.

— No i?

— Rośnie tylko tutaj. Odegrała podstawową rolę w rozwoju rolnictwa. Kiedy człowiek zaczął uprawiać ziemię.

— No i?

Odwróciła się. Brązowe oczy jej błyszczały.

— Franz myślał, że to jest wskazówka. Głowę daję, że tak. W takim razie ja też tak myślę.

— Wskazówka do czego?

— Do wyjaśnienia, dlaczego zakopano świątynię.

— Ale jak kawałek trawy może to wyjaśnić?

— Później. No, chodź. Widziałeś, jak Iwan się rozglądał. Zbierajmy się.

— Sądysz, że jesteśmy śledzeni?

— Może niezupełnie śledzeni. Obserwowani. Nie wiem. Może to tylko paranoja.

Rob przypomniał sobie Franza nabitego na żerdź i szybko wskoczył do samochodu.



## 16

Forrester obudził się zlany potem. Zamrugał ze zdziwieniem na widok spłowiejących zasłon pokoju hotelowego w Douglas. Jeszcze przez chwilę koszmar trwał, nadając absurdalny, ale namacalnie złowieszczy charakter elementom wystroju wnętrza: drzwi od szafy uchyliły się, ziejąc czernią ze środka, telewizor, przysadzisty i brzydki, śledził go złym okiem z kąta.

Co mu się śniło? Przetarł zaspane oczy i przypomniał sobie: ten sam koszmar co zwykle oczywiście. Małe ciało. Wiadukt. Potem łup, łup samochodów przejeżdżających po „oponie”.

Łup, łup, łup.

Łup, łup, łup.

Wstał, podszedł do okna i odciągnął zasłony. Z zaskoczeniem skonstatował, że na zewnątrz jest już widno: bardzo widno. Niebo było białe i czyste, na ulicach panował ruch, a on właśnie zasnął i spóźni się na konferencję prasową.

Dotarł na miejsce w ostatniej chwili. Pokażna sala tętniła już gwarem. Miejskowa policja zarekwirowała największe pomieszczenie w Forcie Świętej Anny. Do garstki miejscowych dziennikarzy dołączyło spore grono wysłanników prasy o zasięgu ogólnokrajowym. Z tyłu szwendały się dwie ekipy wiadomości telewizyjnych z kamerami cyfrowymi, wielkimi słuchawkami i długimi szarymi mikrofonami. Forresterowi mignęła znajoma twarz: blond korespondentka CNN z Londynu. Widział ją już na kilku konferencjach wcześniej.

CNN? Ktoś najwyraźniej dał cynk londyńskim mediom o makabrycznym charakterze zabójstwa. Przyjrzał się dokładniej zebranym na sali osobom. Na przedzie siedzieli trzej policjanci: zastępca komendanta Hayden w towarzystwie dwóch młodszych mężczyzn po bokach. Duży niebieski ekran za ich plecami informował: POLICJA WYSPY MAN.

Zastępca komendanta uniósł dłoń.

— Może zaczniemy. — Wprowadził dziennikarzy w okoliczności zbrodni, opisując odkrycie zwłok i lakonicznie przedstawiając sposób, w jaki głowa ofiary została zakopana w ziemi.

Jedna z dziennikarek wydała stłumiony okrzyk.

Hayden urwał, pozwalając, by zgromadzeni oswoili się z makabrycznym szczegółem. Potem zaapelował do ewentualnych świadków o kontakt z policją. Na koniec wystąpienia przebiegł wzrokiem po sali:

— Czy macie państwo pytania?

Kilka rąk wystrzeliło w górę.

— Młoda dama z tyłu.

— Angela Darvill, CNN. Sir, czy zdaniem policji zachodzi jakiś związek między tym zabójstwem a niedawnym zajściem na Covent Garden?

Tego Hayden się nie spodziewał. Zauważalnie się wzdrygnął, rzucił okiem na Forrestera, który wzruszył ramionami. Nie było tu dobrego wyjścia. Jeśli prasa zwąchała już powiązanie, po sprawie. Mogą prosić przedstawicieli mediów, by nie ujawniali tego faktu, tak by zabójcy nie wiedzieli, że policja łączy te dwa zdarzenia, ale nie sposób było odwołać tego, co ktoś ewidentnie powiedział.

Hayden przyjął do wiadomości wzruszenie ramion Forrestera i przeniósł wzrok z powrotem na amerykańską dziennikarkę.

— Pani Darvill, owszem, zachodzą tu pewne wspólne okoliczności. Ale wszystko, co wykracza poza to stwierdzenie, jest czystą spekulacją. Nie chciałbym się w to teraz zagłębiać. Bylibyśmy wdzięczni za państwa dyskrecję w tej kwestii, co, jestem pewien, świetnie rozumiecie.

Rozejrzał się po sali, szukając kolejnego pytającego. Ale Angela Darvill ponownie podniosła rękę.

— Czy sprawa ma tło religijne?

— Nie rozumiem.

— Gwiazda Dawida wycięta na piersi. W obu przypadkach.

Miejscowi dziennikarze odwrócili się i popatrzyli na Amerykankę. Pytanie ich zdeprymowało, na całej sali zawrzało. Hayden nic nie wspomniał o „kształcie” ran ciętych.

Na sali ucichło, kiedy zastępca komendanta odpowiedział:

— Pani Darvill. Prowadzimy śledztwo w sprawie brutalnej i bardzo poważnej zbrodni. Czas mija. A zatem myślę, że powinniśmy dać szansę zadania pytania pozostałym. Tak?

— Brian Deley, „Douglas Star”.

Miejscowy pismak pytał o potencjalny motyw zabójstwa i Hayden powiedział, że na chwilę obecną nie jest znany. Tych dwóch wymieniło jeszcze kilka pytań i odpowiedzi. Potem podniósł się reporter z gazety ogólnokrajowej i poprosił o informację na temat ofiary. Komendant wyjaśnił, że zamordowany był mieszkańcem miasta, cieszącym się sympatią lokalnej społeczności, miał żonę i dzieci. Zapalony żeglarz. Hayden powiódł wzrokiem po sali, kolejno patrząc przybyłym w oczy.

— Niektórzy z tu zgromadzonych mogą nawet kojarzyć jego jacht, *Syrenę*. Często żeglował ze swoim synkiem Jonnym. — Uśmiechnął się smutno. — Chłopiec ma zaledwie dziesięć lat.

Przez kilka sekund panowała cisza.

Forrester pomyślał, że tutejsza policja jak na razie spisuje się na medal. Komendant zręcznie grał na emocjach. To jedyny sposób, żeby skłonić świadków do zgłoszenia się: apelować do serca, nie do rozumu. A naprawdę potrzebowali świadków. Ponieważ nie mieli żadnych śladów, DNA, odcisków. Nic.

Hayden wskazał na łysiejącego mężczyznę w anoraku.

— Kolega w rogu? Pan...

— Harnaby. Alisdair. Radio Trystyka.

— Tak?

— Czy zdaniem policji zbrodnia może mieć coś wspólnego z niezwykle historią budynku?

Hayden bębnił palcami w blat stołu.

— Nic mi nie wiadomo o żadnej niezwyklej historii.

— Chodzi mi o sposób, w jaki fort został zbudowany. Może to ma jakieś znaczenie? Wie pan, te wszystkie legendy...

Palce policjanta znieruchomiały.

— W tej chwili, panie Harnaby, prowadzimy śledztwo wielotorowo i nie wykluczamy żadnego z tropów. Tuszę jednak, że nie będziemy się zajmować legendami. I tylko tyle mogę państwu powiedzieć. — Podniósł się. — Wzywają nas obowiązki, zatem pozwolicie, że się pożegnamy. W namiocie przed budynkiem możecie państwo napić się kawy.

Forrester popatrzył dokoła. To była dobra, profesjonalna konferencja prasowa, mimo to czuł wewnętrzny niepokój. Coś mu nie dawało spokoju. Popatrzył na Harnaby'ego. O czym ten gość mówił? Niezwykła historia budynku? To szło w parze z wnioskami Forrestera. Coś było z fortem nie tak. Architektura, ten imitatorski styl budynku: coś tu nie grało.

Alisdair Harnaby pochylał się właśnie, żeby wyjąć spod krzesła niebieską plastikową torbę.

— Pan Harnaby?

Odwrócił się, jego okulary w cienkich oprawkach połyskiwały refleksami jarzeniowego światła.

— Nadkomisarz Forrester. Jestem z Londynu.

Harnaby patrzył na niego zdezorientowany. Forrester dodał:

— Scotland Yard. Ma pan chwilę?

Mężczyzna odłożył torbę, Forrester usiadł obok.

— Zaciekawilo mnie to, co pan powiedział. O niezwykłych dziejach budynku. Mógłby mi pan je przybliżyć?

Harnaby skinął głową z błyszczącymi oczyma. Powiódł wzrokiem po opustoszałej sali.

— To, co pan widzi dzisiaj, to jest w istocie dość nieudolna kopia poprzedniego budynku.

— Rozumiem, zatem...

— Pierwotny Fort Świętej Anny został zburzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Nazywany był także Whaley's Folly.

— A zbudował go... ?

— Jeruzalem Whaley. Lubieżnik.

— Kto?

— Bysior. Hulaka. Arystokratyczny łajdak.

— Ktoś w rodzaju playboya?

— I tak, i nie. — Harnaby się uśmiechnął. — Mam tu na myśli prawdziwy sadyzm od pokoleń dziedziczony z krwią.

— Na przykład?

— Ojcem Whaleya był Richard Chappell Whaley. Ale Irlandczycy nazywali go Podpalaczem Whaleyem.

— Bo...

— Należał do anglo-irlandzkiej arystokracji. Protestanckiej. I lubił podpalać kościoły irlandzkich katolików. Gdy ci byli w środku.

— Głupie pytanie.

— Cóż, owszem. — Harnaby się wyszczerzył. — A odpowiedź niesmaczna. Podpalacz Whaley należał także do irlandzkiego klubu Hellfire. Była to straszliwa zgraja chuliganów, nawet jak na owe czasy.

— Rozumiem. A co z Jeruzalemem Whaleyem, jego synem?

Harnaby ściągnął brwi. W sali panowała teraz taka cisza, że Forrester słyszał plaskanie drobnych kropel deszczu o szyby wysokich okien.

— Tom Whaley? Kolejny bysior. Równie brutalny i bezwzględny jak jego ojciec. Ale nagle się zmienił. Po powrocie z długiej podróży na wschód, do Jerozolimy. Stąd jego przezwisko: Jeruzalem Whaley. Wydawało się, że ta wyprawa go odmieniła. Złamała.

Forrester ściągnął brwi.

— Jak?

— Wiemy tylko, że Whaley wrócił jako inny człowiek. Zbudował ten dziwny zamek: Fort Świętej Anny. Spisał pełne skruchy wspomnienia. A potem zmarł, zostawiając zamek i mnóstwo długów. Cóż za fascynujący życiorys. Absolutnie fascynujący. — Harnaby urwał. — Proszę mi wybaczyć, panie komisarzu, ale czy aby nie mówię za dużo? Czasami za bardzo mnie ponosi. Pasjonuję się miejscowym folklorem. Mam program w radiu poświęcony lokalnej historii, rozumie pan.

— Proszę nie przepraszać. To bardzo interesujące. Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy przetrwały jakieś pozostałości pierwotnego budynku?

— O, niestety. Kamień na kamieniu się nie ostał. Wszystko zrównano z ziemią. — Harnaby westchnął. — To były lata siedemdziesiąte! Zburzyliby katedrę Świętego Pawła, gdyby mogli. Zaiste, wielka szkoda. Jeszcze kilka lat i budynek by się uchował.

— Zatem nic nie zostało?

— Niestety. Chociaż... — Twarz Harnaby'ego spochmurniała. — Niby jest jeszcze coś.

— Co?

— Tak się zastanawiam... Krąży taka legenda. Raczej dość osobliwa. — Chwycił swoją torbę. — Pokażę panu! — Kołysząc się na boki, ruszył w stronę drzwi.

Forrester poszedł za nim do frontowego ogrodu, gdzie wiał zimny wiatr i mżyło. Popatrzył w lewo; zobaczył Boijera stojącego przy namiocie policyjnym. Mijała go właśnie dziewczyna z CNN ze swoją ekipą. Forrester wskazał na Angelę Darvill i bezgłośnie nakazał podwładnemu: pogadaj z nią, ustal, co wie. Boijer skinął głową.

Harnaby brnął przez grząską murawę przed budynkiem. Kiedy trawnik ustąpił miejsca żywopłotowi i murom, ukląkł, jakby miał zamiar pociąć.

— Proszę spojrzeć!

Forrester przykucnął obok i przyjrzał się wilgotnej, ciemnej ziemi.

Harnaby się uśmiechnął.

— Proszę! Widzi pan? Tutaj grunt jest ciemniejszy niż tam.

Miał rację. Wydawało się, że kolor ziemi lekko się różni. Ta z murawy była bardziej torfiasta i ciemniejsza niż ta dalej od domu.

— Nie rozumiem? Dlaczego?

Harnaby pokręcił głową.

— Irlandzka.

— Przepraszam?

— Ziemia. Nie pochodzi stąd. Ponoć z Irlandii.

Forrester zamrugął. Zaczęło intensywniej padać, ale nie zwracał na to uwagi. W głowie widział obracające się wskazówki zegara spraw. Obracające się całkiem szybko.

— Może pan to wyjaśnić?

— Bysior Whaley był impulsywnym człowiekiem. Kiedyś założył się z kimś, że wskoczy z okna drugiego piętra na konia i przeżyje. Przeżył, ale koń zdechł. — Harnaby zachichotał. — Tak czy owak, legenda głosi, że zanim przeprowadził się na wyspę Man, zakochał się w Irlandce. Ale pojawił się pewien problem.

— To znaczy?

— Kontrakt małżeński panny młodej przewidywał, że może ona mieszkać tylko na irlandzkiej ziemi. Był rok tysiąc siedemset osiemdziesiąty szósty, a Whaley właśnie kupił ten dom. Za wszelką cenę chciał tu sprowadzić ukochaną, obchodząc postanowienia umowy. — Oczy Harnaby'ego błyszczały.

Forrester pomyślał przez chwilę.

— I żeby żona mieszkała na irlandzkiej ziemi, przetransportował całe jej tony z Irlandii. To chce pan powiedzieć?

— Ni mniej, ni więcej. Przywiózł ogromny ładunek ziemi na wyspę Man i w ten sposób wypełnił śluby. Przynajmniej tak głosi legenda.

Komisarz położył dłoń na ciemnym, mokrym gruncie.

— Więc nowy budynek wzniesiono na tej samej irlandzkiej ziemi. Takiej jak ta tutaj?

— Niewykluczone.

Forrester się podniósł. Zastanawiał się, czy zabójcy znali tę dziwaczną historię. Miał niezachwiane wrażenie, że tak. Ponieważ zignorowali budynek, a zajęli się tym, co według legendy było jedyną pozostałością po pierwotnym forcie: ziemią, na której go postawiono.

Forrester miał jeszcze jedno pytanie.

— Dobrze, panie Harnaby, ale skąd dokładnie miała niby pochodzić ta ziemia? "»

— Nie wiadomo. — Dziennikarz zdjął okulary, by ztrzeć krople deszczu ze szkła. — Jednakże kiedyś miałem hipotezę, że została przywieziona z okolic Montpelier House.

— Czyli?

Harnaby zamrugał.

— Siedziby irlandzkiego klubu Hellfire.

Pojechali do dzielnicy, w której mieszkała Christine. Zaparkowali gwałtownie na rogu. Rob wysiadł z land-rovera i rozejrzał się dokoła. U wylotu ulicy wznosił się meczet, jego smukłe i strzeliste minarety były skąpane w jaskrawozielonym świetle jupiterów. Obok dużego czarnego bmw dyskutowało dwóch wąsatych mężczyzn w garniturach. Popatrzyli przelotnie na Roba i Christine, potem wrócili do gniewnej wymiany zdań.

Christine poprowadziła Roba do zakurzonej klatki schodowej nowoczesnego bloku. Winda była zajęta albo zepsuta, więc pokonali trzy piętra na piechotę. Mieszkanie okazało się duże, przestronne i widne, i niemal pozbawione mebli. Na polakierowanym parkiecie leżały w równych kupkach książki, setki ich były upchnięte na regałach. Po jednej stronie stało duże stalowe biurko i skórzana kanapa, wiklinowy fotel znajdował się naprzeciwko.

— Nie lubię przeładowanych mieszkań — wyjaśniła Christine. — Dom to maszyna do mieszkania.

— Le Corbusier.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, a on odpowiedział jej uśmiechem. Podobało mu się to mieszkanie. Było bardzo w stylu Christine. Proste, intelektualne, eleganckie. Przyjrzał się wiszącemu na ścianie dużemu zdjęciu. Przedstawiało dziwną, niesamowitą wieżę z pomarańczowozłoty ch cegieł w otoczeniu bezładnych ruin na tle bezkresnej pustyni.

Usiedli obok siebie na sofie. Christine ponownie wyciągnęła notes i jeszcze raz przeglądała gryzmoły Breitnera.

— No więc. — Rob nie mógł się powstrzymać. — Pszenica samopsza?

Ale Christine nie słuchała, trzymała notes bardzo blisko przy twarzy.

— Ta mapa... — myślała na głos. — Te liczby i te tutaj... Kobieta Orra Keller... Może...

Rob czekał, aż odpowie na pytanie. Bez skutku. Pocztał powiew wiatru: wychodzące na ulicę okna były otwarte. Słyszał dochodzące z zewnątrz



odgłosy. Podeszedł do okna i popatrzył w dół.

Wąsacze nadal stali na ulicy, ale teraz tuż pod blokiem Christine. Inny mężczyzna w ciemnym anoraku majaczył w drzwiach sklepu naprzeciwko: dużego salonu wystawienniczego motorowerów Hondy. Wąsaci podnieśli wzrok, kiedy Rob wychylił się z okna. Bez słowa mierzyli go wzrokiem. Po prostu patrzyli w górę. Ten w sklepie także. W sumie trzech mężczyzn gapiło się na Roba. Zaczął się zastanawiać, czym to grozi. Ale po chwili uznał, że wpada w paranoję. Niemożliwe, żeby cała Şanhurfa ich śledziła, ci trzej to po prostu zwykli ludzie. Zbieg okoliczności, nic więcej. Przymknął okno i rozejrzał się po pokoju.

Może któraś z książek stojących na półkach mogłaby pomóc. Przejechał kciukiem po kilku tytułach: *Syryjski epipaleolit*, *Nowoczesna mikroanaliza elektronowa*, *Antropofagia doby prekolumbijskiej*. Niezupełnie bestsellery. Zobaczył bardziej ogólnikową pozycję. *Encyklopedia archeologii*. Wysunął ją z półki, odszukał indeks tematyczny i z miejsca znalazł: pszenica samopsza, strona 97.

Okazało się, że jest to rodzaj dziko rosnącej trawy. Według informacji zamieszczonych w encyklopedii występowała naturalnie na terenach południowo-wschodniej Anatolii. Zerknął na mapkę na sąsiedniej stronie, która pokazywała, że samopsza rośnie na terenach w okolicach Şanhurfy. Wyglądało na to, że w bardzo niewielu regionach poza tym. Rob czytał dalej.

Trawa niższych gór i pogórzy. Odegrała podstawową rolę w początkach rolnictwa, w przejściu od łowiectwa-zbieractwa do uprawy roli. Razem z pszenicą płaskurką była prawdopodobnie „pierwszą znaną formą życia udomowioną przez człowieka”. I do tego udomowienia doszło w południowo-wschodniej Anatolii i sąsiednich rejonach. W pobliżu Şanhurfy.

Strona, którą czytał, odsyłała do kolejnego hasła: początków rolnictwa. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że temat odgrywa istotną rolę w zagadce Göbekli, Rob stworzył encyklopedię na następnym artykule. Przeleciał szybko wzrokiem strony. Świnie i kury. Psy i bydło. Płaskurka i samopsza. Jego uwagę przykuły ostatnie akapity.

„Wielka zagadka początków rolnictwa sprowadza się nie do pytania «jak», ale «dlaczego». Wiele dowodzi, że przejście na wczesne rolnictwo wymagało od pierwszych ludów rolniczych ogromnego wysiłku, zwłaszcza w porównaniu z relatywnie swobodnym i zasobnym stylem życia łowców-zbieraczy. Zachowane pozostałości szkieletów pokazują, że pierwotni rolnicy częściej padali ofiarą różnych chorób niż ich polujący przodkowie, nadto żyli

krócej i w trudniejszych warunkach. Podobnie rzecz się przedstawiała z udomowionymi zwierzętami, które w początkowym okresie rozwoju hodowli miały słabszą budowę ciała i odporność niż ich dzicy przodkowie". Rob pomyślał przez chwilę o małym kłosie pszenicy, potem czytał dalej. „Współcześni antropolodzy także potwierdzają, że łowcy-zbieracze-wiedli stosunkowo beztroskie życie, trudząc się nie więcej niż dwie czy trzy godziny dziennie. Rolnicy tymczasem musieli pracować przez lwią część dnia, zwłaszcza wiosną i latem. Większość prac w prymitywnej uprawie roli jest wyczerpująca i monotonna". Ostatnie zdania artykułu brzmiały: „Tak wyglądała uderzająca zmiana warunków życia, jaka nastąpiła z chwilą pojawienia się rolnictwa. Niektórzy badacze definiują ją w kategoriach upadku: od edeńskiej wolności myśliwego do codziennego znoju rolnika. Podobne spekulacje w sposób oczywisty wykraczają poza sferę nauki, niemniej jednak ten artykuł... "

Rob zamknął książkę. Słyszał trzepotanie zasłon. Chłodny, melancholijny pustynny wiar naprawdę przybrał na sile. Wsunął książkę z powrotem na półkę i na chwilę przymknął oczy. Znowu poczuł zmęczenie. Chciał się położyć spać, kołyszany przez ten cudowny powiew, jego cichą i delikatną skargę.

— Robert! — Christine z uwagą studiowała ostatnią stronę notesu.

— Słucham?

— Te numery. Jesteś dziennikarzem. Znasz się na takich rzeczach. Co myślisz?

Rob usiadł obok niej i popatrzył na ostatnie strony notesu. Figurowała tam „mapa". Jedna rozedrgana linia, przechodząca w cztery, które być może symbolizowały rzeki. Faliste szlaczki reprezentowały chyba góry. Albo morze. Prawdopodobnie góry. Był też bardzo uproszczony symbol drzewa. Może miał oznaczać las? Widać było także jakieś zwierzę. Konia albo świnie. Breitner zdecydowanie nie był Rembrandtem. Rob pochylił się bliżej. Numery sprawiały dziwaczne wrażenie. Na jednej stronie znajdował się rząd cyfr. Wiele z nich powtarzało się też na mapie. Nad rysunkiem figurował znak kompasu z numerem 28 przy strzałce pokazującej wschód. Obok jednej z falistych linii stała liczba 211. Przy symbolu drzewa napisano 29. Niżej jeszcze 61 i 62, a także kilka znacznie większych liczb: 1011, 1132. Następnie ta uwaga, gdzie pojawiała się Orra Keller, potem już nie było liczb. W ogóle niczego. Zapiski urywały się nagle w połowie strony.

Co to wszystko mogło znaczyć? Rob zaczął dodawać do siebie liczby. Zaraz jednak przestał, bo stwierdził, że to bez sensu. Może wiązały się z wykopaliskiem: może to kod na oznaczenie poszczególnych znalezisk, rysunki zaś pokazują miejsca, gdzie zostały wykopane... Wcześniej zakładał, że mapka przedstawia Göbekli. To było oczywiste rozwiązanie. Ale jakoś nie trzymało się kupy. W pobliżu Göbekli przepływała tylko jedna rzeka: Eufrat, i to dobre pięćdziesiąt kilometrów dalej. Poza tym na szkicu nie było widać żadnego symbolu Göbekli — niczego, co odnosiłoby się do megalitów.

Uświadomił sobie, że pogrążył się w rozmyślaniach na dobrych kilka minut. Christine na niego patrzyła.

— Dobrze się czujesz?

Uśmiechnął się.

— No to nam zabił ćwieka. To naprawdę jest frapujące.

— Prawda? Zupełnie jak łamigłówka.

— Zastanawiałem się, czy te numery mogą oznaczać znaleziska? Przedmioty, które wykopaliscie w Göbekli? Pamiętam, że widziałem jakieś liczby na tych małych torbach... tych, do których wkładacie groty i te inne?

— Nie. Niezły pomysł, ale nie. Znaleziska są numerowane, kiedy idą do magazynu w muzeum. Nadajemy im oznaczenia cyfrowo-literowe.

Rob czuł, że ją zawiódł.

— Aha. To tylko taka hipoteza.

— Hipotezy są dobre. Nawet kiedy są złe.

Rob ziewnął ponownie. Dość się napracował jak na jeden dzień.

— Masz coś do picia?

To proste pytanie podziałało na Francuzkę bardzo ożywczo.

— Mój Boże. — Wstała. — Strasznie przepraszam. Wychodzę na fatalną gospodynię. Napij się whisky?

— Bardzo chętnie.

— Single malt?

— Jeszcze chętniej.

Patrzył, jak znika w kuchni. Kilka chwil później wróciła, niosąc na tacy kufel wypełniony lodem, dwie przysadziste szklaneczki, wodę mineralną i wysoką butelkę szkockiej. Postawiła szklaneczki na biurku, odkręciła butelkę glenlivet i nalała na wysokość trzech palców. W świetle stojącej lampy ciemny trunek mienił się różnymi odcieniami bursztynu.

— Lodu?

— Wody.

— *Commes les Britanniques.*

Nalała trochę mineralnej z plastikowej butelki, podała Robowi szklaneczkę i usiadła obok. Szkło było zimne w dotyku, jakby stało w lodówce. Nadal słyszał głosy dochodzące zza okna. Wąsacze sprzecali się już od godziny. O co? Westchnął i przycisnął zimną szklanekę do czoła, obracając ją na boki.

— Zmęczony?

— Tak. A ty nie?

— Owszem. Może prześpisz się u mnie? Sofa jest bardzo wygodna.

Rob przez chwilę rozważał propozycję: myślał o wąsaczach na zewnątrz. O ciemnej postaci kręcącej się w drzwiach sklepu. Nie chciał zostać sam i naprawdę nie miał ochoty iść taki kawał do hotelu.

— Tak, jeśli to nie kłopot.

— Oczywiście, że nie.

Przełknęła szybko resztkę szkockiej, potem zakrzętnęła się, szykując mu kołdrę i poduszki.

Rob był tak zmęczony, że zasnął, gdy tylko Christine zgasła światło. Od razu pojawił się jakiś majak. Śniły mu się liczby, Breitner i pies. Czarny pies przemykający ścieżką i gorące słońce. Jakiś pies. Jakaś twarz.

Pies.

Ze snu wyrwał go huk.

Zerwał się z sofy. Na zewnątrz było jasno. Jak długo spał? Co to był za hałas? Półprzytomny zerknął na zegarek. Dziewiąta rano. W mieszkaniu panowała cisza. Ale to powtarzające się dudnienie, co to jest?

Podbiegł do okna.

## 18

Wychylił się przez okno. Miasto tonęło w zgiełku. Rojnymi ulicami paradowali handlarze pieczywem, niosąc na głowach wielkie tace z bułeczkami, słodkimi wypiekami i preclami z sezamem. Po chodnikach sunęły motorowery, lawirując między śniadymi uczennicami z torbami przerzuconymi przez ramię.

Rob ponownie usłyszał huk. Przeczesał wzrokiem okolicę. W sklepie trochę dalej jakiś mężczyzna kroił baklawę nożem do pizzy. I znowu: łup!

Wtedy zobaczył motocykl: starego, czarnego angielskiego triumpfa strzelającego z gaźnika. Właściciel zszedł z maszyny i ze złością kopał ją raz za razem lewą nogą. Rob miał się właśnie cofnąć, kiedy zobaczył coś jeszcze.

Policję. Z dwóch stojących na ulicy samochodów wysiadali trzej policjanci. Dwoch miało na sobie mundury z widocznymi plamami potu, trzeci elegancki niebieski garnitur i bladoróżowy krawat. Podeszli do wejścia do bloku Christine, osiemnaście metrów niżej, i zatrzymali się. Jeden przycisnął guzik domofonu.

W mieszkaniu rozległ się bardzo głośny dźwięk dzwonka.

Christine wyłoniła się z sypialni, całkowicie ubrana.

— Christine, policja...

— Wiem. Wiem — powiedziała. — Dzień dobry, Robercie.

Na jej twarzy malowało się napięcie, ale nie strach. Podeszła do domofonu i otworzyła drzwi na dole.

Rob włożył buty. Kilka chwil później policjanci siedzieli już w mieszkaniu — i na karku — Christine.

Ten wygarniturzony był bardzo uprzejmy, elokwentny, lekko złowrogi i młody, ledwo po trzydziestce. Zerknął z zaciekawieniem na Roba.

— Pana nazwisko?

— Rob Luttrell.

— Ten brytyjski dziennikarz?

— Cóż, amerykański, ale mieszkam w Londynie.

— Świetnie. To się doskonale składa. — Funkcjonariusz uśmiechnął się, jakby dostał niespodziewanie duży czek. — Jesteśmy tu, by porozmawiać z panią Meyer o zabójstwie jej przyjaciela Franza Breitnera. Ale chcielibyśmy także z panem zamienić kilka słów. Może później?

Rob skinął głową. Spodziewał się spotkania z policją, ale miał idiotyczne poczucie winy, że został zdybany akurat tutaj: w mieszkaniu Christine o dziewiątej rano. Być może wygarniturzony chciał wykorzystać jego skrepowanie. Uśmiechał się dwuznacznie i z wyższością. Podszedł do biurka, potem posłał Robowi kolejne wyniosłe spojrzenie.

— Nazywam się Kiribali. Ponieważ najpierw chcielibyśmy porozmawiać z panią Meyer, i to na osobności, najlepiej by było, gdyby pan mógł wyjść na jakąś godzinę.

— No cóż, zgoda.

— Ale proszę nie odchodzić daleko. Najwyżej godzina. Potem zajmiemy się panem. — Znowu gadzi uśmiech. — Czy to panu odpowiada, panie Luttrell?

Rob popatrzył na Christine. Skinęła smutno głową. Jeszcze raz poczuł się winny: tym razem dlatego, że zostawiał ją samą z tym odrażającym typem. Ale nie miał wyjścia. Chwycił marynarkę i opuścił mieszkanie.

Następną godzinę spędził, spływając potem na plastikowym siedzeniu w gwarnej kawiarence internetowej, starając się nie zwracać uwagi na postępującego po prawej stronie starszego mężczyznę w stroju piekarza ściągającego lesbijskie porno.

Sam zajął się liczbami z notesu Breitnera. Wpisał je do każdej dostępnej wyszukiwarki, przedstawiał je i zamieniał na wszystkie możliwe sposoby. Co mogą oznaczać? Z pewnością są wskazówką, może kluczem. Być może to po prostu paginy, numery stron. Ale jakiej książki? No i chyba są zbyt wysokie: 1013?

Turecki piekarz skończył surfować. Z nadąsaną miną przeszedł szybko obok Roba, który ponownie spojrzął na ekran i jeszcze raz przedstawił cyfry. O co w tym wszystkim chodzi? Czy to mogą być współrzędne geograficzne? Lata kalendarzowe? Wyniki datowania metodą radiowęglową? Nie miał pojęcia.

Czuł instynktownie, że najlepszą metodą na rozgryzienie takiej łamigłówki jest porzucenie jej na jakiś czas: pozwolenie, by zajęła się nią podświadomość. Niczym komputer szumiący gdzieś w tle. Znany, wypróbowany sposób. Rob czytał kiedyś o naukowcu nazwiskiem Kekule,

który zmagał się z problemem budowy molekularnej benzenu. Męczył się bezskutecznie całymi miesiącami. Nagle pewnej nocy przyśnił mu się wąż z ogonem w pysku: starożytny symbol, tak zwany uroboros.

Kekule obudził się, przypomniał sobie sen i zrozumiał, że przemówiła jego podświadomość: molekula benzenu tworzy pierścień, koło — niczym wąż pożerający własny ogon. Jak uroboros. Pospieszył do laboratorium sprawdzić tę hipotezę. Rozwiązanie, które mu się przyśniło, okazało się słuszne.

Ot, moc podświadomości. Zatem może lepiej zrobi, jeśli tymczasem zostawi problem w umysłowej piwnicy, pozwoli mu fermentować. Jest nadzieja, że wtedy wyjaśnienie zagadki liczb Breitnera pojawi się nagle, kiedy będzie zajęty czymś innym: gdy będzie brał prysznic, golił się, spał lub prowadził samochód. Albo rozmawiał z policją...

Policja! Sprawdził czas. Minęła godzina. Zapłacił właścicielowi kafejki i ruszył szybko do mieszkania Christine.

Drzwi otworzył jeden z umundurowanych policjantów. Christine siedziała na sofie, ocierając oczy. Drugi z funkcjonariuszy podawał jej chusteczki. Rob się najeżył.

— Proszę się nie niepokoić, panie Luttrell. — Kiribali siedział na biurku z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Mówił nonszalanckim, aroganckim tonem. — Nie jesteśmy w Iraku. Ale dla panny Meyer rozmowa o śmierci jej przyjaciela była dość nieprzyjemna.

Christine popatrzyła nieufnie na policjanta i Rob zobaczył w jej oczach niechęć. Potem poszła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiribali obciągnął oślepiająco białe mankiety koszuli i machnął wypielegnowaną dłonią w kierunku sofy, pokazując Robowi, by usiadł. Dwaj pozostali policjanci stanęli po przeciwnej stronie pokoju. Niemi strażnicy. Kiribali uśmiechnął się do Roba.

— Zatem jest pan człowiekiem pióra?

— Tak.

— Pięknie! Rzadko mam okazję rozmawiać z prawdziwym pisarzem. To jest takie prymitywne miasto. No bo, rozumie pan, Kurdowie... — Westchnął. — Raczej daleko im do... uczonych. — Postukał długopisem w brodę. — Studiowałem literaturę angielską w Ankarze. To dla mnie prawdziwa przyjemność, panie Luttrell.

— Cóż, jestem tylko dziennikarzem.

— Hemingway też był tylko dziennikarzem.

— Zgoda. Ja jestem tylko pismakiem.

— Ależ niepotrzebna skromność. Jest pan literatem. W dodatku angielskim. — Jego oczy miały ciemnogrnatowy kolor. Rob zastanawiał się, czy nie nosi kolorowych soczewek. Emanował próżnością. — Uwielbiam amerykańską poezję. Zwłaszcza kobiecą. Emily Dickinson. I Sylwię Plath. Zna je pan? — Popatrzył na Roba z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. — „Niby parowóz, niby parowóz sapiąc wiozący mnie jak Żyda... myślę, że mogłabym być Żydówką”. [Sylvia Plath, *Tatuś*, przeł. Jan Roztworowski, w: Sylvia Plath, *Poezje wybrane*, WL, Kraków 2004, str. 65-67 (przyp. tłum.).] — Uśmiechnął się swobodnie. — Czyż to nie są jedne z najbardziej zatrważających wersów w literaturze?

Rob nie wiedział, co odrzec. Nie chciał dyskutować o poezji z policjantem.

Kiribali westchnął.

— Może kiedyś jeszcze będzie okazja o tym porozmawiać. — Machał długopisem między pacami. — Teraz mam tylko kilka pytań. Wiem, że nie był pan naocznym świadkiem domniemanego zabójstwa. W konsekwencji...

I zaczęło się przesłuchanie. Było pobieżne, by nie rzec symboliczne. Niemal bezsensowne. Turek na dobrą sprawę puszczał jego odpowiedzi mimo uszu, jeden z policjantów apatycznie włączał i wyłączał dyktafon. Na koniec Kiribali zadał kilka osobistych pytań. Relacja Roba z Christine najwyraźniej bardziej go interesowała.

— Ona jest Żydówką, prawda?

Rob skinął głową. Kiribali uśmiechnął się, zadowolony, jakby właśnie się rozwiązał jego największy problem, potem odłożył długopis, układając go dokładnie wzdłuż skraju biurka. Pstryknął palcami, śpiący policjanci ożywili się i cała trójka ruszyła do drzwi. Przystanąwszy na progu, Kiribali poprosił Roba, żeby powtórzył Christine, że być może będzie musiała odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań „kiedyś w przyszłości”. Po tych słowach zniknął, zostawiając za sobą toksyczną smugę zapachu wody kolońskiej.

Rob się odwrócił. W drzwiach sypialni stała Christine. Znowu wyglądała na opanowaną i rozluźnioną. Miała na sobie białą koszulę i spodnie khaki.

— Co za totalny palant.

Christine wzruszyła ramionami z rezygnacją.

— *Peut-être*. Po prostu wykonuje swoją pracę.

— Doprowadził cię do łez.

— Mówiąc o Franzu. Tak. Nie zdarzyło mi się to od kilku dni.



Rob podniósł swoją marynarkę, ale zaraz ją odłożył. Popatrzył na notes Breitnera leżący na biurku. Nie wiedział, co teraz zrobić. Nie wiedział, gdzie zmierza ani dokąd zaprowadzi go ta historia, wiedział tylko, że jest w nią zamieszany i być może nawet grozi mu niebezpieczeństwo. A może to zwykła paranoja? Przeniósł wzrok na zdjęcie na ścianie. Cóż za niesamowita wieża. Christine poszła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Charan.

— Gdzie to jest?

— Nie tak daleko stąd, jakąś godzinę drogi. — Oczy jej rozbłysły. — Wiesz co, mam pomysł. Chciałbyś ją obejrzeć? Jeszcze raz wyjechać z Urfy? Wolałabym chyba być gdzie indziej. Wszędzie, byle nie tu.

Rob skinął głową z entuzjazmem. Z każdym dniem pobytu w kurdyjskiej części Turcji czuł, że pustynia coraz mocniej go pociąga. Ascetyczność pustynnych cieni, cisza nagich dolin: wszystko mu się podobało. Teraz zaś wizja bezludnej głuszy wydawała się szczególnie zachęcająca w porównaniu z czajeniem się w gorącej Şanhurfie.

— Zbierajmy się.

Droga była długa, a krajobraz na południe od miasta nawet jeszcze surowszy niż pustynia otaczająca Göbekli. Wielkie żółte równiny rozciągały się aż po rozedrgany szary horyzont, piaszczyste pustkowia oblegały samotną, rozpadającą się kurdyjską wioskę. Słońce paliło. Rob opuścił do końca szybę, ale powietrze nadal było gorące, jakby na samochód skierowano kilka lamp lutowniczych.

— Latem zdarza się, że temperatura dochodzi tu do pięćdziesięciu stopni — powiedziała Christine, zmieniając bieg z donośnym zgrzytem. — W cieniu.

— W głowie się nie mieści.

— Oczywiście nie zawsze tak było. Klimat zmienił się dziesięć tysięcy lat temu. Jak ci mówił Franz...

Przez jakieś pięćdziesiąt kilometrów rozmawiali o notesie Breitnera: o mapie, gryzmołach i oczywiście o liczbach. Ale żadne z nich nie miało nowych pomysłów. Podświadomość Roba najwyraźniej wzięła sobie wolne. Zasada, która zadziałała w wypadku profesora Kekule, tym razem nie wypaliła.

Podjechali do wojskowej blokady drogowej. Krwistoczerwona turecka flaga zwisała apatycznie w słońcu południa. Jeden z żołnierzy wstał, ze

znudzoną miną sprawdził paszport Roba, łypnął przelotnie na Christine przez okno samochodu i gestem ręki pozwolił im jechać dalej rozpaloną drogą.

Pół godziny później Rob zobaczył nagle dziwną wieżę majaczącą na horyzoncie. Był to rozłupany filar ogromnej, wysokiej na siedem pięter budowli z wypalanych cegieł.

— Co to jest?

Christine zjechała z głównej drogi w stronę wieży.

— Należy do najstarszej islamskiej uczelni na świecie. Charan. Ma co najmniej tysiąc lat. Teraz, jak widzisz, jest w ruinie.

— Wygląda jak wieża z kart tarota. Ta, w którą uderza piorun.

Christine pokiwała głową w roztargnieniu. Parkując wóz, patrzyła przez okno na rząd domków z glinianymi dachami w kształcie kopuł. Na przylegającym podwórku troje dzieci kopało szmaciankę. Kozy pobekiwały w lejącym się z nieba żarze.

— Widzisz je?

— Te lepianki? Mhm.

— Stoją tu być może od trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Charan jest potwornie stare. Według legendy Adam i Ewa mieli się tu osiedlić po wyrzuceniu z raju.

Rob przez chwilę myślał o nazwie miasta: Charan. Wywoływała w nim głęboko uśpione wspomnienie ojca czytającego na głos Biblię.

— Jest o nim mowa w Genezis.

— Słucham?

— W Księdze Rodzaju — powtórzył. — Rozdział 11, wers 13. Abraham tu żył. W Charanie.

Christine uśmiechnęła się.

— Jestem pod wrażeniem.

— Ja nie. Wolałbym nigdy nie słyszeć tych bzdetów. Tak czy siak — dodał — to skąd to niby wiadomo?

— Co wiadomo?

— Że to właśnie jest miasto, w którym zamieszkali Adam i Ewa po upadku? Dlaczego nie Londyn? Albo Hongkong?

— Nie wiem. — Uśmiechnęła się, słysząc sarkazm w jego głosie. — Ale nie ma wątpliwości, tak jak mówisz, że wczesne przekazy o Abrahamie wywodzą się z tego regionu. Abraham jest silnie kojarzony z Şanhurfą. I, tak, to w Charanie objawił mu się Bóg.

Rob ziewnął, wysiadł z samochodu i rozejrzał się po okolicy. Christine dołączyła do niego. Razem patrzyli, jak parchata czarna koza czochra się o przeżarty rdzą stary autobus, który, nie wiedzieć czemu, na jednym z boków pobrudzony był krwią. Rob się zastanawiał, czy miejscowi chłopcy nie urządzili sobie w pojeździe prowizorycznej ubojni. To było dziwne miejsce.

— No to ustaliliśmy, że stąd pochodził Abraham. I był ojcem... trzech monoteistycznych religii?

— Tak. Judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Dał początek im wszystkim. A kiedy opuścił Charan, udał się do ziemi Kanaan, niosąc słowo Boga, wspólnego Boga Biblii, Talmudu i Koranu.

Rob słuchał tego z nieokreślonym, ale uporczywym wrażeniem niepokoju. Oparł się o samochód i rozmyślał: napływało do niego coraz więcej wspomnień z dzieciństwa. Ojciec czytający urywki Księgi Mormonów. Wujkowie cytujący Księgę Koheleta. „Ciesz się młodością swojej”. To był jedyny ustęp z Biblii, który Robowi się podobał. Przytoczył go teraz na głos, potem dodał:

— A co z ofiarą? Tym zamordowaniem syna? — Szukał potwierdzenia w inteligentnej twarzy Christine. — Kojarzę jakąś historię o Abrahamie i jego synu, zgadza się?

Skinęła głową.

— Ofiarowanie Izaaka. Prorok Abraham miał zaszlachtować własnego syna w ramach ofiary, której zażyczył sobie Jahwe. Ale Bóg powstrzymał ostrze.

— No proszę. Ładnie ze strony staruszka.

Christine się roześmiała.

— Chcesz tu zostać czy wolisz obejrzeć coś jeszcze bardziej niesamowitego?

— Jedźmy, mamy dobrą passę.

Wskoczyli z powrotem do samochodu. Christine wrzuciła bieg i odjechali. Rob rozparł się wygodnie na siedzeniu i patrzył, jak krajobraz rozplywa się w pyle i piasku. Co jakiś czas na falujących pagórkach pojawiał się samotny zdewastowany budynek albo zrujnowany zamek z czasów imperium osmańskiego. Albo przemykający samotnie pustynny demon. I nagle, rzecz niebywała, krajobraz stał się jeszcze surowszy, droga bardziej wyboista. Nawet niebo jakby pociemniało, przybierając barwę złowieszczej purpury. Upał był niemal nie do wytrzymania. Samochód posuwał się z

klekotem obok płowóżółtych wzniesień i po gorących, zrytych koleinami drogach. Bezkresnego jałowego pustkowiec nie zakłócało żadne drzewo.

— Sogmatar — powiedziała wreszcie Christine.

Zbliżali się do maleńkiej wioski: kilka betonowych budynków zagubionych w cichej dolinie w samym środku spalonej słońcem pustki.

Przed jednym z domostw rzucał się w oczy zaparkowany duży jeep, było też kilka innych samochodów, ale na uliczkach i podwórkach wkoło nie było widać nikogo. Robowi natychmiast nasunęło się na myśl skojarzenie z Los Angeles. Wielkie samochody, palące słońce i żywej duszy.

Niczym miasto ogarnięte zarazą.

— Kilku bogatych Urfańczyków ma tu domki letniskowe — powiedziała Christine. — Razem z Kurdami.

— Dlaczego ktoś w ogóle chciałby mieszkać w takim miejscu?

— Ma swoją atmosferę. Zobaczysz.

Wyszli z samochodu prosto w piec dusznego skwaru. Christine szła przodem, gramoląc się przez rozpadające się resztki starych murów, porozrzucane rzeźbione bloki marmuru. Te ostatnie przypominały rzymskie kapitele.

— Tak — powiedziała Christine, uprzedzając pytanie Roba. — Byli tu Rzymianie, Asyryjczycy też. Wszyscy tu byli.

Zbliżyli się do dużego, ciemnego otworu w osobliwym, przysadzistym budynku, wykutym dosłownie w skale. Weszli do środka. Minęło kilka sekund, zanim oczy Roba przyzwyczyły się do panującego tam mroku.

W środku unosił się wszechogarniający smród koziego gówna. Ostry, podszyty wilgocią i przytłaczający.

— To pogańska świątynia ku czci bóstw lunarnych — wyjaśniła Christine. Wskazała kilka grubo ciosanych postaci wyrzeźbionych w ścianach tonącego w mroku wnętrza. — Tu jest bóg księżyca, widać jego rogi, spójrz, sierp księżyca.

Mocno kruszejąca postać miała rodzaj hełmu: dwa rogi tworzące kształt księżyca w nowiu tkwiły na jej głowie. Rob przesunął dłonią po kamiennym obliczu. Było ciepłe i dziwnie lepkie w dotyku. Odsunął rękę. Rozpadające się wizerunki starych bóstw patrzyły na niego zniszczonymi oczyma. Dokoła było tak cicho, że słyszał bicie własnego serca. Ich uszu dochodziły jedynie ledwie słyszalne odgłosy z zewnątrz: podzwanianie dzwoneczków kóz i poświstywanie pustynnego wiatru. Oślepiający blask słońca na zewnątrz sprawiał, że pomieszczenie wydawało się jeszcze ciemniejsze.

— Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest.

Podeszła do ściany naprzeciwko.

— Świątynia pochodzi z drugiego wieku naszej ery. Chrześcijaństwo rosło wtedy w siłę, ale tutaj ludzie nadal czcili dawne bóstwa. Z rogami. Uwielbiam to miejsce.

Rozejrzał się dokoła.

— Bardzo ładnie. Powinnaś kupić tu sobie mieszkanie.

— Zawsze jesteś sarkastyczny, kiedy czujesz się nieswojo?

— Możemy się napić kawy?

Christine zachichotała i wyprowadziła go ze świątyni.

— Chcę ci pokazać jeszcze jedno miejsce.

Rob poczuł prawdziwą ulgę, opuściwszy parną, cuchnącą ciemność. Ruszyli w górę po rumowisku i gorącej ziemi. Odwrócił się na moment dla złapania tchu i zobaczył dziecko patrzące na nich z jednej z biednych chałup: małą, ciemną twarzyczkę w rozbitym oknie.

Christine stanęła na szczycie rumowiska.

— Świątynia Wenus.

Rob pokonał ostatnie metry wzniesienia i stanął obok niej. Wiatr tutaj był rzeński, choć nadal piekielnie gorący. Roztaczał się stąd widok na niezwykle krajobraz. Kilometry niekończącego się pofałdowanego pustkowia. Zwietrzałe skupiska martwych skał. Góry poznaczone czarnymi oczodołami jaskiń. Rob przypuszczał, że mieszczą się tam następne świątynie i pogańskie sanktuaria. Jedno bardziej zdewastowane od drugiego. Popatrzył na klepisko, na którym stali, podłogę świątyni pod gołym niebem.

— A to kiedy zostało zbudowane?

— Przypuszczalnie przez Asyryjczyków albo Kananejczyków. Nikt nie wie na pewno. Jest bardzo stare. Najpierw zajęli to Grecy, potem Rzymianie. Z pewnością składano tu ofiary z ludzi. — Pokazała na żłobienia biegnące w rzeźbionej skale poniżej. — Spójrz. Tędy spływała krew.

— Okay.

— Te wszystkie wczesnolewantyńskie religie lubowały się w rytualnych mordach.

Rob popatrzył na pustynne wzgórza i małą wioskę w dole. Dziecko o śniadej twarzyczce zniknęło, rozbite okno było puste. Jeden z samochodów odjeżdżał z Sogmataru drogą w dolinie, która biegła korytem wyschniętej starej rzeki.

Spróbował wyobrazić sobie siebie w roli składanej na ołtarzu ofiary. Nogi skrępowane szorstkim sznurem, ręce unieruchomione na plecach, śmierdzący oddech kapłana na twarzy, a potem uderzenie bólu, ostrze zanurzające się w klatce piersiowej...

Odetchnął głęboko i nadgarstkiem otarł pot z czoła. Pora wracać. Machnął ręką w kierunku samochodu. Christine skinęła głową i zaczęli schodzić ze wzgórza do czekającego land-rovera. Ale w połowie zbrocza Rob się zatrzymał. Popatrzył na wzniesienie.

I nagle, ni stąd, ni zowąd już wiedział. Zrozumiał znaczenie liczb.

Tych z notesu Breitnera.

## 19

Pogoda była nadal pod psem. Ołowianoszare niebo wyglądało równie posępnie jak zielone, smagane wiatrem pola niżej. Boijer, Forrester i Alisdair Harnaby jechali dużym samochodem na południe wyspy. Przed nimi sunęło inne długie czarne auto z zastępcą komendanta Haydenem i jego współpracownikami.

Forrester czuł narastający niepokój. Czas mijał: przeciekał mu między palcami. A każda stracona minuta przybliżała ich do kolejnej makabry. Następnego nieuchronnego zabójstwa.

Westchnął ciężko. Niemal ze złością. Ale przynajmniej już coś mieli: pierwszy trop. Jakiś farmer zauważył coś dziwnego w odległym zakątku wyspy, daleko na południe, w pobliżu Castletown. Forrester namówił Alisdaira Harnaby'ego, żeby zabrał się z nimi na przesłuchanie, dziennikarz mógł dostarczyć więcej informacji z zakresu historii, a komisarz przeczuwał, że tło historyczne jest istotne.

Ale najpierw Forrester chciał się dowiedzieć, co powiedziała dziewczyna z CNN. Boijer wyjaśnił, że Angela Darvill usłyszała o wypadku na Craven Street „od jakiegoś pismaka z «Evening Standard»”.

— Zatem sama powiązała obie sprawy — stwierdził Forrester. — Słusznie.

— Tak, sir. Ale powiedziała coś jeszcze. Ponoć zdarzył się jeszcze podobny przypadek, a właściwie dwa. W stanie Nowy York i Connecticut. W Nowej Anglii.

— Co to znaczy podobny?

— Taki sam rodzaj wymyślnych tortur.

— Gwiazda Dawida?

Boijer zaprzeczył i dodał:

— Ale cięcie ciała tak. I obdzieranie ze skóry. Powiedziała, że to jedna z najpotworniejszych zbrodni, jakie przyszło jej relacjonować.

Forrester opadł na oparcie i wyjrzał przez okno. Jak okiem sięgnąć rozciągały się niskie wzgórza w kolorze spokojnej zieleni. Od czasu do czasu na tym wiejskim pustkowiu migały zabudowania gospodarcze małej farmy i niskie pochyłe drzewa o dziwnie powyginanych i połamanych przez wiatr konarach. Sceneria przypomniała mu urlop, który spędził na Skye. Tamtejszy krajobraz też miał w sobie to melancholijne piękno; melancholijne piękno ocierające się o prawdziwy, dręczący smutek. Forrester przegonił z głowy myśl o córce i spytał:

— Kto popełnił te zabójstwa?

— Nie ustalono. Ale to naprawdę dziwne. Takie podobieństwo, znaczy się.

Droga przed nimi zamieniła się w wyżłobiony koleinami gościniec prowadzący wśród targanych wiatrem żywopłotów na farmę. Oba samochody stanęły. Pięciu policjantów i historyk amator ruszyli ścieżką w stronę niskiego, białego wiejskiego domu. Boijer zerknął na swoje buty, teraz mokre od gliny, i cmoknął poirytowany z charakterystyczną dla młodych próżnością.

— Cholera. Szlag by to.

— Powinieneś zabrać kalosze, Boijer.

— Nie wiedziałem, że będziemy uprawiać wędrówki, sir. Czy mogę wnioskować o zwrot kosztów w ramach odszkodowania?

Forrester roześmiał się z przyjemnością.

— Zobaczą, co się da zrobić.

Jeden z towarzyszących Haydenowi funkcjonariuszy w białych hełmach zapukał do drzwi, które po chwili otworzył zaskakująco młody mężczyzna. Forrester zastanawiał się, dlaczego słowo „farmer” zawsze ewokuje obraz faceta w średnim wieku wymachującego motyką albo śrutówką. Ten, który stał przed nimi, miał przystojną twarz i góra dwadzieścia pięć lat.

— Witam, witam. Zastępca...

— Komendanta policji — dokończył Hayden. — We własnej osobie. A pan to zapewne Gary.

— Tak. Gary Spelding. Rozmawialiśmy przez telefon. Wchodźcie, panowie. Barowa pogoda!

Stłoczyli się w cieplej, przytulnej sosnowej wiejskiej kuchni. Na talerzu leżały herbatniki; Boijer z entuzjazmem chwycił jednego.

Forrester uświadomił sobie nagle, ilu ich tam zjechało. Pięć osób to zbyt dużo. Ale wszyscy chcieli się dowiedzieć, co to za trop, co Spelding widział.



Nad dwoma dzbankami herbaty, przygotowanej przez jego uśmiechniętą żonę, zdał relację z tego, co widział. Tego popołudnia, kiedy doszło do zabójstwa, naprawiał bramę na swojej farmie. Uporał się z robotą i miał już wracać do domu, kiedy zobaczył „coś dziwnego”. Forrester słuchał, pozwalając, by herbata stygła.

— Wielką brykę z napędem na cztery koła. Terenówkę.

Hayden z zainteresowaniem pochylił się nad kuchennym stołem.

— Gdzie dokładnie?

— Na drodze na końcu farmy. Balladoole.

Wtrącił się Harnaby:

— Wiem, gdzie to jest.

— Od czasu do czasu pojawiają się tu oczywiście letnicy. Plaża jest o rzut beretem stąd. Ale ci ludzie byli inni. — Spelding obrócił swój kubek i uśmiechnął się do Haydena. — Pięciu młodych mężczyzn w kombinezonach monterów telefonicznych.

— Przepraszam? — rzucił Boijer.

Spelding odwrócił się do podwładnego Forreстера.

— Wszyscy mieli na sobie zielone kombinezony z logo mańskiej telekomunikacji. Operatora komórkowego.

Forrester postanowił wziąć przesłuchanie we własne ręce.

— I co robili?

— Po prostu chodzili po mojej ziemi. Uznałem, że to dziwne. Bardzo dziwne. Tak. — Wziął łyk herbaty. — Zwłaszcza że nie mamy tutaj żadnych masztów ani w ogóle zasięgu. Komórki tu nie działają. Więc zachodziłem w głowę, co tu niby robią. I wszyscy co do jednego byli młodzi. Dwudziestoletnie szczeniaki. Ale zrobiło się już prawie ciemno i bardzo zimno, więc nie mogli być surferami.

— Rozmawiał pan z nimi?

Spelding lekko się zarumienił.

— No, chciałem. Chodzili po mojej ziemi przecież. Ale kiedy podszedłem bliżej, popatrzyli na mnie...

— Jak?

— Paskudnie. — Rumieniec na jego twarzy się pogłębił. — Jakoś tak źle. Groźnie. No więc pomyślałem sobie: lepsza rozważa niż odwaga. Dość tchórzliwie, przykro mi. A potem widziałem waszą konferencję prasową w wiadomościach i zacząłem się zastanawiać...

Hayden dopił resztkę herbaty. Popatrzył na Forrestera, potem z powrotem na Speldinga.

W ciągu półgodziny uzyskali od farmera resztę informacji. Szczegółowe opisy mężczyzn — jak się okazało, wszyscy byli wysocy i młodzi. Opis samochodu: czarna toyota landcruiser, choć Spelding nie pamiętał rejestracji. Ale przynajmniej był to już jakiś trop. Przełom. Forrester wiedział, że to prawdopodobnie są mężczyźni, których szukają. Podszywanie się pod pracowników telekomunikacji było dobrą przykrywką. Maszty telefoniczne stały wszędzie, wszyscy chcieli mieć dostęp do sieci bez ograniczeń. Można było udawać, że się pracuje późno wieczorem, bez wzbudzania podejrzeń: „Mamy awarię sieci”.

Ale sprawcy przyjechali w okolice, gdzie nie ma zasięgu. Dlaczego to zrobili? Czy to mógł być ich pierwszy błąd? Forrester poczuł przyływ nadziei. W tej robocie trzeba mieć fart. Może mu się wreszcie poszczęściło.

Przesłuchanie dobiegło końca. Dzbanek był pusty. Na zewnątrz wieko szarych chmur nieco się uniosło i promienie słońca padały ukosem na mokre pola. Policjanci unieśli nogawki, chroniąc spodnie przed błotem, kiedy szli z farmerem w kierunku Balladoole Road.

— O tam — powiedział Spelding. — To tam ich widziałem.

Wszyscy popatrzyli przez pofalowane błotniste pole, obrzeżone niewielką wiejską dróżką. Jakaś smętna krowa popatrywała na Boijera. Za nią rozciągał się długi, falisty płacheć piasku, a potem lodowatoszare morze oświetlone przez przelotne pobłyski słońca.

Forrester wskazał na ścieżkę.

— Dokąd prowadzi?

— Do morza. Tylko.

Przeszedł przez bramę, w ślad za nim ruszył Boijer i reszta towarzystwa, choć znacznie mniej skwapliwie. Komisarz stanął dokładnie tam, gdzie wcześniej parkowała terenówka. Raczej dziwne miejsce na postój, jeśli się jechało nad zatokę. Niecały kilometr od brzegu. Dlaczego zatem się zatrzymali? Dlaczego nie pokonali reszty odległości? Naszła ich może ochota na spacer? Na pewno nie. Zatem musieli czegoś szukać.

Forrester wspiął się na bramę. Znajdował się teraz prawie trzy metry nad ziemią. Rozejrzał się dokoła. Gdzie spojrzeć pola, kamienne murki i piaszczyste łągi. I wzburzone morze. Jedynym potencjalnym obiektem zainteresowania mogło być najbliższe pole. Z tej wysokości widać było, że jest nierówne, pofalowane i zarzucone pojedynczymi głazami. Zszedł z

bramy i odwrócił się do Harnaby'ego, który usiłował złapać oddech po przechadzce.

— Co to jest? Te małe pagórki? — spytał go.

— Cóż... — Harnaby uśmiechnął się niepewnie. — Miałem właśnie wspomnieć. Niewielu ludzi o tym wie, ale to jest cmentarzysko Balladoole. Miejsce pogrzebowe wikingów. Z jedenastego wieku. Zostało odkopane w latach czterdziestych. Znalezione brosze i tym podobne. I... coś jeszcze.

— Co?

— Zwłoki.

Harnaby opowiedział im szczegółowo o prowadzonych tu podczas wojny szeroko zakrojonych pracach wykopaliskowych, podczas których angielscy naukowcy odsłoniли łódź wikingów zakopaną razem z klejnotami i bronią. Oraz ciałem wojownika.

— Odkryto także ślady rytualnego mordu. U stóp wikinga archeolodzy znaleźli zwłoki nastoletniej dziewczyny. Najpewniej złożonej w ofierze.

— Skąd to przypuszczenie?

— Ponieważ pochowano ją bez żadnych przedmiotów. No i zginęła od garoty. Wikingowie lubili składać ofiary z ludzi. Zabijali niewolnice, żeby uczcić poległych wojowników.

Forrester poczuł lekkie ożywienie. Popatrzył na Boijera, potem na dalekie szare fale. Przeniósł spojrzenie na asystenta.

— Mord rytualny — powiedział wreszcie. — Tak. Składanie ofiar z ludzi, Boijer. To jest to.

Boijer wyglądał na skonsternowanego. Komisarz wyjaśnił:

— Tylko pomyśl. Człowiek zakopany żywcem w ziemi. Człowiek z ogoloną głową i odciętym językiem. Rytualne sznyty na obu ciałach...

— A teraz Balladoole — dodał Harnaby.

Forrester skinął głową energicznie. Przeskoczywszy przez kolejną bramę, podszedł do wzgórków i głazów na polu. Buty miał całkowicie zabłocone, ale nie zwracał na to uwagi. Słyszał odgłos fal uderzających o brzeg, czuł cierpki smak oceanicznej soli. Pod miejscem, gdzie stał, wikingowie pogrzebali młodą kobietę, rytualnie zamordowaną. I sprawcy właśnie tu się zbrali przed dokonaniem innej rytualnej egzekucji zaledwie kilka godzin później.

Trybiki zaskoczyły. Machina ruszyła. Forrester nabrał w płuca ciężkie, wilgotne powietrze. Znad wzburzonego i spienionego Morza Irlandzkiego napływały szare chmury mżawki.

Land-rover pędził gruntowym traktem z Sogmataru w kierunku głównej drogi na Şanhurfę: dwadzieścia kilometrów starym korytem rzeki. Christine patrzyła przed siebie, skupiona na drodze, z dłonią zaciśniętą na dźwigni zmiany biegów. Jechali w milczeniu.

Rob nie powiedział jej o swojej hipotezie dotyczącej znaczenia liczb. Najpierw chciał zweryfikować jej słusność. A w tym celu była mu potrzebna książka, a może i komputer.

Dotarli do miasta godzinę przed zachodem słońca, ulice tonęły w zgiełku. Dojechawszy do centrum, udali się prosto do mieszkania Christine, rzucili zakurzone okrycia na wiklinowe krzesło i padli na sofę. Ni stąd, ni zowąd Christine spytała:

— Myślisz, że powinnam polecieć do domu?

— Że co? Dlaczego?

— Prace wykopaliskowe się skończyły. Od przyszłego miesiąca nie będę dostawała pensji. Mogę się zbierać.

— Nie ustalwszy, co się przytrafiło Franzowi?

— Tak. — Popatrzyła przez okno. — Franz... nie żyje. Chyba powinnam się z tym pogodzić.

Na zewnątrz gasło słońce. Starymi uliczkami Urfy niosły się nawoływania muezinów. Rob wstał, podszedł do okna, uchylił je i wyjrzał na zewnątrz. Po chodniku jechał na rowerze sprzedawca ogórków i głośno zachwalał swój towar. Przed sklepem Hondy stała grupka rozmawiających przez komórki kobiet w czadorach. Wyglądały jak cienie, jak zjawy. Pograżone w żałobie oblubienice śmierci.

Wrócił na sofę i popatrzył na Christine.

— Uważam, że nie powinnaś wracać. Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— Chyba wiem, co oznaczają te liczby.

Żaden mięsień nie drgnął na jej twarzy.

— Wyjaśnij.

— Masz Biblię? Po angielsku?

— Na tej półce.

Rob podszedł do regału i sprawdził grzbiety książek: sztuka, poezja, polityka, archeologia, historia. Znowu archeologia. Jest. Wyjął dużą, starą księgę w czarnej oprawie. Biblia Króla Jakuba.

W tym samym czasie Christine wzięła z biurka notes Breitnera.

— Dobrze — powiedział Rob. — Mam nadzieję, że się nie mylę. Myślę, że nie. Sprawdźmy. Odczytaj liczby z notesu. I powiedz mi, z czym sąsiadują na stronie.

— Okay, tu mamy... dwadzieścia osiem. Obok symbolu kompasu wskazującego na wschód.

— Nie, odczytaj je jako pojedyncze cyfry. Dwa osiem.

Christine popatrzyła na Roba skonsternowana. Może nawet rozbawiona.

— Dobra. Dwa osiem, przy strzałce wskazującej na wschód.

Rob otworzył Biblię na Księdze Rodzaju, przekartkował cienkie, niemal przezroczyste strony i znalazł właściwą. Przebiegł palcem po zbitych kolumnach tekstu.

— Rozdział drugi, wers ósmy. Genезis. „A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił”.

Czekał.

Christine gapiła się na Biblię. Po chwili wymamrotała:

— W Eden na wschodzie?

— Podaj mi kolejną parę. Spojrzała w notes.

— Dwa dziewięć. Obok drzewa.

Rob znalazł właściwą stronę w Starym Testamencie i wyrecytował:

— Księga Rodzaju. Rozdział drugi, wers dziewiąty. „Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła”.

Christine powiedziała cicho:

— Dwa jeden zero. Dwa dziesięć. Przy esie-floresie w kształcie rzeki.

— Ta linia, która zamienia się w cztery rzeki?

— Tak.

Rob popatrzył na Biblię.

— Rozdział drugi, wers dziesiąty. „Z Edenu zaś wypływała rzeka, aby nawadniać ów ogród, i stamtąd się rozdzielała, dając początek czterem

rzekom".

— Mój Boże! — wykrzyknęła Christine. — Masz rację.

— Spróbujmy z jeszcze jedną parą, tak na wszelki wypadek. Ale jakąś inną, którąś z tych większych liczb.

Przeniosła wzrok na notes.

— Okay. Tu mamy te większe, na końcu. Jedenaście trzydzieści jeden.

Rob przerzucił kartki, czując się jak pastor grząący z ambony.

— Księga Rodzaju. Rozdział jedenasty, wers trzydziesty pierwszy. „Terach, wzięwszy z sobą swego syna Abrama, Lota — syna Harana, czyli swego wnuka, i Saraj, swą synową, żonę Abrama, wyruszył z nimi z Ur chaldejskiego, aby się udać do kraju Kanaan. Gdy jednak przyszli do Charami, osiedlili się tam”.

— Do Charanu?

— Do Charanu. — Rob zamilkł na chwilę, siadając na sofie obok Christine. — Sprawdźmy jeszcze jedną. Z tych obok rysunków.

— Tu jest kolejna, przy czymś wyglądającym jak pies albo świnia... czy coś.

— Jaki numer?

— Dwieście dziewiętnaście. Czyli dwa dziewiętnaście.

Rob odszukał właściwy ustęp.

— „Ulepiwszy z gleby wszelkie zwierzęta lądowe i wszelkie ptaki powietrzne, Pan Bóg przyprowadził je do mężczyzny, aby przekonać się, jaką on da im nazwę”.

Zapadło milczenie. Rob słyszał wołania sprzedawcy ogórków dochodzące z zakurzonych ulic. Christine popatrzyła na niego badawczo.

— Breitner sądził, że odkopuje...

— Zgadza się. Eden.

Forrester siedział w swoim londyńskim gabinecie i zbierał informacje na temat mordów rytualnych. Filizanka z kawą stała na biurku obok fotografii syna trzymającego piłkę plażową i zdjęcia jego jasnowłosej córki, rozpromienionej i szczęśliwej. Zrobiono je tuż przed jej śmiercią.

Czasami, kiedy pojawiał się czarny cień depresji, Forrester kładł zdjęcie córki górą do dołu na biurku. Ponieważ za bardzo bolało, paliło do żywego. Czasami wspomnienie córki wywoływało taki ból w piersi, jakby złamane żebro wbijało mu się w płuca. Było to cierpienie tak fizycznie dotkliwe, że niemal krzyczał.

Ale na ogół nie było tak źle. Zwykle jego ból nie zamykał mu oczu na cierpienie innych ludzi. Tego ranka nie zwracał uwagi na stojące na biurku zdjęcie, promienny uśmiech córki. Zastygł nieruchomo przed ekranem komputera, wpisawszy w wyszukiwarce „ofiary z ludzi”.

Czytał o Żydach: ludach wczesno izraelskich, które paliły swoje dzieci. Żywcem. Na południowym krańcu Jerozolimy w dolinie Hinnoma, zwanej też Gehenną. Dla Kananejczyków była synonimem piekła, „ciemną doliną”.

Forrester czytał dalej. Według historyków w pradawnych czasach Izraelici przynosili swe pierworodne dzieci do doliny, tuż za murami miasta, i kładli je, płaczące, w mosiężnym brzuchu wielkiego posągu Molocha — kananejskiego bóstwa chtonicznego. Wydrążony w nim otwór funkcjonował także jako piec. Kiedy niemowlęta i dzieci już się tam znalazły, pod posągami rozpalano ogień, który rozgrzewał mosiądz: dzieci piekły się na śmierć. Krzyczały, zatem kapłani zaczęli walić w ogromne bębny, żeby zagłuszyć płacz i jęki i tym samym oszczędzić matkom nadmiernego cierpienia: słuchania, jak ich dzieci palą się żywcem.

Forrester opadł na oparcie, serce waliło mu jak obrzędowe izraelskie bębny. Jak ludzie mogli coś takiego robić? Jak można było składać w ofierze własne potomstwo? Pomyślał odruchowo o własnych dzieciach, o nieżyjącej córce, swoim pierworodnym dziecku.

Przetarł oczy i przejrzał jeszcze kilka stron.

Wyglądało na to, że składanie w ofierze pierworodnych było powszechną praktyką w starożytności. Wszystkie ludy — Celtowie, Majowie, Goci, wikingowie, Skandynawowie, Hindusi, Sumeryjczycy, Scytowie, amerykańscy Indianie, Inkowie i wiele innych — praktykowały rytualne mordy, nierzadko właśnie na pierworodnych. Często praktyki te miały charakter ofiar fundacyjnych; kiedy wznoszono strategicznie ważną albo świętą budowlę, przed przystąpieniem do prac konstrukcyjnych społeczność składała w ofierze dziecko, zwykle pierworodne, którego ciało zakopywano w fundamentach.

Forrester wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. Kliknął w kolejny link. Niebo za oknem było pogodne, do środka wpadały promienie późnowiosennego słońca. Jednak nadkomisarz, pochłonięty makabrą, nawet tego nie zauważył.

Szczególnie krwawe były ofiary Azteków. Homoseksualistów zabijano rytualnie przez wydarcie jelit przez odbyt. Nieprzyjacielskim wojownikom kapłani umazani szczątkami poprzednich ofiar wyrywali serca z piersi.

Czytał dalej i dalej. Ponoć Wielki Mur Chiński został wzniesiony na tysiącach trupów: kolejny przykład ofiar fundacyjnych. U Japończyków swego czasu dużą popularnością cieszył się kult hitobashira — ludzkich filarów: zakopywano pod nimi żywcem dziewice. Majowie używali ogromnych cenot, świętych zbiorników wodnych, do topienia dziewic i dzieci. Preromańscy Celtowie wbijali ofierze nóż w serce i przepowiadali przyszłość na podstawie śmiertelnych drgawek ciała. Fenicjanie zabijali dosłownie tysiące niemowląt w ramach ofiary prześlągalnej i grzebali je w tofetach — wielkich dziecięcych cmentarzyskach.

I tak dalej. I tak dalej. Forrester opadł na fotel, czując lekkie mdłości. Wiedział jednak, że ruszył do przodu. Rytualny mord na wyspie Man i próba zabójstwa na Craven Street musiały mieć związek z kultem ofiarniczym, zwłaszcza że zabójcy zebrali się w historycznym miejscu rytualnych mordów. Ale na czym ów związek polegał?

Wziął głęboki oddech jak przed skokiem do bardzo zimnej wody i wpisał w wyszukiwarce „gwiazda Dawida”.

Po czterdziestu minutach przekopywania się przez informacje z zakresu historii żydowskiej znalazł to, czego szukał. Na jakiejś obłąkanej amerykańskiej stronie, prawdopodobnie satanistycznej. Ale Forrester szukał właśnie śladów obłądu. Z tej lektury dowiedział się, że gwiazda Dawida



zwana jest inaczej pieczęcią Salomona, jako że starodawny żydowski król używał jej rzekomo jako symbolu magicznego. Niektóre współczesne autorytety rabiniczne odrzucają ją z uwagi na jej skojarzenia z okultyzmem. Salomon jakoby umieścił gwiazdę na świątyni, wzniesionej na cześć kananejskiego bożka Molocha, któremu składano ofiary ze zwierząt i ludzi.

Forrester przeczytał stronę raz jeszcze. I jeszcze. I po raz trzeci. To nie gwiazdę Dawida zabójcy wycinali na ciele ofiar, tylko pieczęć Salomona. Symbol silnie związany z mordem rytualnym.

A golenie głowy?

Kliknął w Google i po trzech minutach już wiedział.

W wielu kulturach osoby składane w ofierze poddawano wcześniej różnym rytuałom oczyszczenia. Kapano je, zmuszano do postu, czasami golono im wszystkie włosy. Niektórym wycinano języki.

To potwierdzało teorię Forreстера. Zabójcy byli opętani ideą mordów rytualnych i ofiar z ludzi. Ale dlaczego?

Wstał i rozmasował sobie mięśnie karku. Czytał od trzech godzin. W głowie mu dzwoniło. Wszystko pięknie i wspaniale, tylko że nadal nie mieli żadnego tropu w odniesieniu do samego gangu. Wszystkie mańskie porty znajdowały się pod obserwacją. Lotnisko też. Ale Forrester nie miał wielkich nadziei, że w ten sposób uda się złapać zabójców: jak amen w pacierzu od razu się rozdzielili i ulotnili z wyspy. Codziennie opuszczały ją dziesiątki promów, statków i samolotów; najprawdopodobniej poszukiwani wyjechali z Douglas jeszcze przed odkryciem zwłok. Jediną prawdziwą szansą było zidentyfikowanie czarnej toyoty na podstawie zapisów z kamer przemysłowych. Ale mogą minąć całe tygodnie, zanim znajdą właściwy materiał.

Forrester usiadł z powrotem i przyciągnął obrotowe krzesło bliżej ekranu. Musiał sprawdzić jeszcze trzy kwestie.

Jeruzalem Whaley należał do irlandzkiego klubu Hellfire: tajnego stowarzyszenia arystokracji. Tak twierdził mański historyk. Ale w jaki sposób ów fakt łączy się z kultem ofiarniczym? Z zabójstwami? Czy w ogóle istnieje jakiś związek?

No i kości na Craven Street, w domu Benjamina Franklina, co z nimi? Te dwie kwestie prowadziły do trzeciego pytania: sprawcy ryli w ziemi wszędzie, gdzie się pojawiali. Czego szukali?

Próba wyjaśnienia pierwszego zagadnienia okazała się prosta i natychmiast przyniosła owoce. Forrester wpisał w wyszukiwarkę „Benjamin

Franklin" plus „Hellfire" i trafił za pierwszym razem: Franklin przyjaźnił się z sir Francisem Dashwoodem, ten zaś okazał się założycielem klubu Hellfire. Więcej, zdaniem niektórych autorytetów, Franklin także należał do stowarzyszenia.

Zagadka rozwiązana. Klub Hellfire odgrywał w sprawie jakąś rolę. Forrester potrzebował teraz więcej szczegółów o jego działalności.

Udało mu się ustalić, że klub Hellfire był tajnym stowarzyszeniem rozpasanej arystokracji w Anglii i Irlandii. Ale to wszystko. Jego członkowie budzili oburzenie swoim zachowaniem. Folgowali najróżniejszym zachciankom, byli z pewnością hedonistyczni i być może niebezpieczni, ale czy tworzyli grupę zbrodniarzy i satanistów? Większość historyków uważa, że działalność klubu nie wychodziła poza zwykłe pijatyki, które czasem ocierały się o wyuzdane orgie. Pogłoski o kulcie szatana wkładano powszechnie między bajki.

Jeden specjalista był jednak odmiennego zdania. Forrester zapisał sobie jego nazwisko. Niejaki Hugo de Savary, profesor Uniwersytetu Cambridge, twierdził, że członkowie klubu całkiem serio parali się okultyzmem. Z tych poglądów jednak szydzono.

Ale nawet jeśli de Savary miał rację, to jeszcze nie dawało odpowiedzi na pozostałe dręczące Forrestera pytania. Czego szukali zabójcy? Dlaczego w obu miejscach rozkopali ziemię? Co to miało wspólnego z klubem Hellfire? Jaki był sens przekopywania murawy i piwnicy? Szukali jakiegoś skarbu? Szatańskich świecidełek? Starych kości? Przeklętych diamentów? Złożonych w ofierze dzieci? Forrester miał mętlik w głowie — trochę za duży. Zrobił dość jak na jeden ranek. Dobrze się spisał. Czuł się tak, jakby wreszcie zdołał zebrać główne kawałki układanki — albo jakby ktoś mu je położył na podółku. Jedyne szkopuł polegał na tym, że zapodział gdzieś pudełko i nie widział obrazka na przykrywce. Nie miał zatem pojęcia, co przedstawiają poszczególne elementy, jaki obraz stara się odtworzyć. Jednak przynajmniej miał już elementy...

Tłumiąc ziewnięcie, chwycił marynarkę z oparcia krzesła i wsunął ręce w rękawy. Była pora lunchu. Zasłużył na przyzwoity posiłek — może coś włoskiego. Penne arabiata z dobrym tiramisu na deser i miłą, wyczerpującą lekturą dodatku sportowego.

Wychodząc z pokoju, zerknął na biurko. Uśmiechnęła się do niego niewinna, rozpromieniona dziewczęca buzia. Przystanął, czując nagłe ukłucie bólu. Popatrzył na zdjęcie syna, potem przeniósł spojrzenie na fotografię

córki. Przypomni ł mu si  jej g os. Jak wypowiada a swoje pierwsze prawdziwe s owa. „Japo, japko, japko, tata! Ja-pko”. B ol by  dojmuj cy. Po o y l zdjecie p asko na blacie i wyszed .

Niemal z miejsca natkn ł si  na Boijera, zdyszanego i podekscytowanego.

— Sir, my l ,  e co  mamy!

— Co?

— Toyot . Czarn  toyot .

— Gdzie?

— W Heysham, sir. W Lancashire.

— Kiedy...

— Dwa dni temu.

Rob i Christine siedzieli w herbaciarni przy stawie Abrahama. Miodowe mury meczetu Mewlid Halil jaśniały w świetle poranka: ich stonowana barwa współgrała ze spokojem wody w stawie.

Poprzedni wieczór minął im na studiowaniu teorii dotyczących położenia Edenu. Pracowali osobno — Christine na laptopie w swoim mieszkaniu, Rob w kafejce internetowej — w nadziei, że w ten sposób uda im się uzyskać więcej informacji w krótszym czasie. A teraz spotkali się, żeby omówić wyniki swych wysiłków. Miejsce wybrali nieprzypadkowo, głównie z uwagi na anonimowość, jaką zapewniało: wydawało się, że bezpieczniej jest przebywać w tłumie. Park pełen był przechadzających się przyjaciół i żołnierzy po służbie, dzieci pakujących do ust smażone kulki baraniny, kiedy ich matki patrzyły na karpie. Jediną fałszywą nutę w tej scenerii stanowił policyjny radiowóz zaparkowany dyskretnie na skraju herbacianych ogrodów.

Rob przypominał sobie, jak to się stało, że wpadł na właściwe rozwiązanie. Byli w Sogmatar i Charanie i rozmawiali o Księdze Rodzaju. Christine napomknęła wtedy też o legendzie związanej z Adamem i Ewą. Uświadomił sobie, że to wszystko razem musiało przywołać w nim wspomnienia ojca czytającego Biblię. Dzięki temu zrozumiał, jak można interpretować liczby z notesu. Rozdział x, wers y. Cyfra za cyfrą. Ale teraz musieli zweryfikować tę hipotezę gruntowniej i omówić kryjący się za nią sens.

— Okay. — Wziął łyk herbaty. — Przeróbmy to raz jeszcze. Wiemy, że to jest miejsce, gdzie ludzie zaczęli uprawiać rolę. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości. Na terenach bezpośrednio sąsiadujących z Göbekli. Mniej więcej osiem tysięcy lat przed naszą erą, zgadza się?

— Tak. I wiemy też z grubsza, kiedy i gdzie zaczęło się rolnictwo...

— Dzięki badaniom archeologicznym wiemy, że udomowienie było szokiem dla organizmu. Przeczytałem to w jakiejś książce u ciebie w

mieszkań. Kościec się zmienia, staje się mniejszy i bardziej podatny na choroby...

— Taaak — przyznała z wahaniem Christine. — Kiedy organizm przestawia się na dietę uboższą w białka, a jednocześnie jest bardziej obciążony pracą, bez wątpienia dochodzi do niekorzystnych zmian w kośćcu i do upośledzenia funkcji układu odpornościowego. Widziałam ślady tego na wielu stanowiskach.

— Mhm. Ten wczesny okres jest zatem rodzajem wstrząsu. Świeżo udomowione zwierzęta też mizernieją.

— Owszem.

— Ale... — Rob się nachylił — kiedy nastąpiło to przejście na osiadły tryb życia, osiem tysięcy lat temu, zaczął się także zmieniać krajobraz tego regionu. Prawda?

— Tak, na skutek wycięcia drzew ziemia powoli jałowiła. Podczas gdy wcześniej było tu... jak w raj. — Uśmiechnęła się zamyślona. — Pamiętam, jak Franz opowiadał, jak musiało kiedyś wyglądać Göbekli. Mówił o nim *prachtvolle Schaffereion*: cudowne, sielankowe miejsce. Były tu lasy i łąki bogate w zwierzynę i dzikie trawy. Ale rolnictwo sprawiło, że klimat się zmienił. Okolica stała się sucha, ziemia jałowa i jeszcze ciężiej było ją uprawiać.

Rob wyciągnął swój notes i przeczytał:

— Jak powiedział Bóg do Adama: „Przeklęta niech będzie ziemia z twego powodu: w trudzie będziesz zdobywał od niej pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia”. Księga Rodzaju, rozdział trzeci, wers siedemnasty.

Christine potarła palcami skronie. Wyglądała na znużoną, co było u niej raczej niezwykle. Ale zaraz wzięła się w garść i podjęła wątek.

— Już wcześniej słyszałam tę teorię: że opowieść o krainie zwanej Edenem jest jednym z mitów pamięci zbiorowej i alegorią.

— To znaczy czymś w rodzaju metafory?

— Zdaniem niektórych tak. Jeśli spojrzysz się na opowieść o raj. w ten sposób, można twierdzić, że opisuje ona naszą łowiecko-zbieracką przeszłość, kiedy chodziliśmy sobie między drzewami, zrywaliśmy owoce i dzikie zboże, jak Adam i Ewa. A potem zaczęliśmy uprawiać ziemię i życie stało się cięższe. Zostaliśmy wygnani z raj.

Rob popatrzył na dwóch mężczyzn, którzy trzymając się za ręce, przechodzili przez prowadzący do herbaciarni mostek nad strumyczkiem.

— Ale dlaczego ludzie w ogóle zajęli się uprawą roli?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiadomo. To jedno z wielkich pytań, na które nie znamy odpowiedzi. Ale na pewno dokonało się to tutaj. W tej części Anatolii. Pierwsze świnie udomowiono w Çayönu, niewiele ponad sto kilometrów stąd. Bydło zaczęto hodować w Çatalhöyük, na zachód od Şanhurfy.

— Ale jak to wszystko ma się do Göbekli?

— Trudne pytanie. To cud, że lud łowiecki stworzył takie miejsce. Ale to tylko dowodzi, jak łatwe było życie przed przejściem na rolnictwo. Ci ludzie, myśliwi, mieli dość czasu, by poznawać arkana sztuki, rzeźbić, tworzyć piękne reliefy. To był ogromny skok naprzód w rozwoju. Nie potrafili jednak wyrabiać naczyń. — Srebrny krzyżyk Christine połyskiwał w słońcu. — To dziwne. Oczywiście erotyka też się rozwinęła. Wiele rzeźb w Göbekli przedstawia sceny erotyczne. Zwierzęta i mężczyźni z powiększonymi fallusami oraz nagie kobiety z szeroko rozłożonymi nogami.

— Może zjedli owoc drzewa poznania? — rzucił Rob.

— Może. — Uśmiechnęła się zdawkowo.

Przez chwilę milczeli. Christine obejrzała się nerwowo w lewo, kiedy smagły policjant przechodził obok z bucującym radiem. Rob się zastanawiał, dlaczego oboje reagują tak paranoicznie. Żadne z nich przecież nie zrobiło niczego złego. Ale Kiribali sprawiał takie złowrogie wrażenie. No i ci mężczyźni patrzący na okna mieszkania. O co w tym wszystkim chodziło? Przegnał jednak te myśli. Mieli jeszcze dużo do omówienia.

— Pojawia się kwestia położenia.

— Tak. Topografia. To także ważne. — Christine skinęła głową.

— W pobliżu Göbekli nie ma czterech rzek.

— Nie. Tylko jedna. Ale za to Eufrat.

Rob przypomniał sobie co czytał w Internecie.

— A badacze zawsze uważali, że Eden, jeśli istniał naprawdę, musiał leżeć gdzieś między Tygrysem a Eufratem. W pasie ziem Żyznego Półksiężycy. Kolebce cywilizacji. Księga Rodzaju wspomina, że Eufrat miał swoje źródło w Edenie.

— Zgadza się. Są też góry.

— Taurus.

— Tam są źródła Eufratu. Na wschód od Edenu — potwierdziła Christine. — W wielu przekazach jest mowa, że od wschodu Eden chroniły góry. Taurus rozciąga się na wschód od Göbekli.

Wyjęła swój notes i przejrzała zapiski.

— Jest coś jeszcze. W starych tekstach asyryjskich jest mowa o Beth Eden, czyli Domu Eden.

— Co to jest?

— Raczej było. Małe aramejskie państewko, położone w zakolu Eufratu, tuż na południe od Karkemisz. Czyli jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Şanhurfy.

Rob skinął głową, znowu pod wrażeniem. Poszukiwania Christine były owocniejsze niż jego.

— Znalazłaś coś jeszcze?

— Znamy historię Adama i Ewy w Charanie. Ale o Edenie jest mowa nie tylko w Księdze Rodzaju, pojawia się także w Księgach Królów. — Przerzuciła stronę w notesie i przytoczyła cytaty z Drugiej Księgi Królewskiej: — „Czy bogowie narodów, które moi przodkowie wyniszczyli, ocalili je? Gozan, Charan, Resef i Edomitów, którzy byli w Telassar?”

— Znowu Charan?

— Tak. Charan. — Wzruszyła ramionami. — A Telassar to przypuszczalnie Ar-Rusafa, miasto w północnej Syrii.

— Jak daleko stąd?

— Ponad trzysta kilometrów na południowy zachód.

Rob skinął głową podekscytowany.

— Czyli Göbekli leży od niego na wschód. Na wschód w Edenie. A co z nazwą? Chodzi mi o znaczenie słowa Eden. Po hebrajsku oznacza rozkosz...

— Ale źródłosłów sumeryjski brzmi w istocie *eddin*. Step, płaskowyż albo równina.

— Jak równina Charan?

— Być może. Jak równina Charan. Na której leży...

— Göbekli Tepe. — Rob poczuł łaskotanie spływającej mu po plecach strużki potu. Ranek był bardzo gorący, nawet w chłodnym parku. — Dobrze, ostatnia kwestia to rzeczywiste powiązania biblijne.

— Podobno mieszkał tu Abraham. Księga Rodzaju bez wątplenia wiąże go z Charanem. Większość muzułmanów wierzy, że Urfa to biblijne Ur chaldejskie. I o tym także jest tam mowa. Ten mały region częściej pojawia się w Księdze Rodzaju niż jakiegokolwiek inne miejsce na Bliskim Wschodzie.

— No to mamy. — Rob się uśmiechnął, zadowolony. — Wziąwszy pod uwagę nawiązania w Biblii, historię i legendy plus topografię terenu oraz ślady wczesnego udomowienia, no i oczywiście dane z wykopalisk, mamy

rozwiązanie. Tak? Przynajmniej rozwiązanie Franza... — Uniósł dłonie jak magik przygotowujący się do wykonania sztuczki. — Göbekli Tepe to rajski Eden!

Christine się uśmiechnęła.

— Metaforycznie.

— Metaforycznie. Ale tak czy owak, bardzo to sugestywne. Miejsce, w którym doszło do upadku człowieka. Przejścia od wolności myślistwa do znoju rolnictwa. I to jest historia zrelacjonowana w Genezis.

Milczeli przez chwilę. Wreszcie Christine stwierdziła:

— Chociaż lepiej chyba będzie powiedzieć, że Göbekli Tepe jest świątynią w rajskim krajobrazie, a nie prawdziwym ogrodem rajskim.

— Jasne — wyszczerzył się Rob. — Bez obawy, Christine, nie myślę serio, że Adam i Ewa chodzili sobie po Göbekli Tepe i zajadali się brzoskwiniami. Sądzę natomiast, że Franz uważał, że to ustalił. Alegorycznie.

Powiódł wzrokiem po skrzącej się w słońcu powierzchni stawu. Czuł się znacznie lepiej. Rozmowa okazała się pomocna, cieszył się też na myśl o kryjącym się w tej historii materiale dziennikarskim. Nawet jeśli cała sprawa przedstawiała się nieco dziwnie, był w niej niewątpliwie potencjał na niesamowity i wciągający artykuł. Naukowiec przekonany, że odkopuje rajski ogród, nawet jeśli tylko metaforyczny i alegoryczny. Tytuł na dwie strony. Na bank.

Christine nie wydawała się równie uszczęśliwiona sukcesem ich badań. Oczy jej się na moment zaszklily, ale ta chwila słabości szybko minęła.

— Taaak... Załóżmy, że masz rację. Prawdopodobnie masz. To bez wątpienia tłumaczy sens liczb. A także zagadkowe zachowanie Franza, to nocne kopanie. Chowanie znalezisk. Musiał być bardzo podekscytowany. Zrobił się bardzo nerwowo tuż przed... tuż przed śmiercią.

Jej nastrój poruszył Roba i zaraz się zbeształ w duchu. On już myśli o sukcesie zawodowym, tymczasem pozostała jeszcze niewyjaśniona kwestia zabójstwa.

Christine ściągnęła brwi.

— Jest jeszcze tyle pytań.

— Dlaczego go zabili?

— Właśnie.

Rob głośno myślał.

— Do diabła. Może... może jacyś amerykańscy kaznodzieje dowiedzieli się, co wyprawia. Ze niby rozkopuje raj, znaczy się.



Christine się roześmiała.

— I wynajęli płatnego zabójcę? Masz rację. Ci metodyści bywają tacy drażliwi.

Jej szklaneczka była pusta. Podniosła ją i odstawiła, potem powiedziała:

— Jest jeszcze jedno pytanie: dlaczego łowcy zakopali Göbekli? Teoria dotycząca Edenu tego nie wyjaśnia. Pogrzebanie całego kompleksu musiało zająć dziesiątki lat. Jaki był w tym sens?

Rob wbił wzrok w błękitne niebo, szukając inspiracji.

— Ponieważ było to miejsce upadku? Może już na tym wczesnym etapie symbolizowało błąd rodzaju ludzkiego. Przejście na uprawę ziemi. Orkę. Początek jarzma pracy. Zatem ukryli to miejsce ze wstydu, gniewu, niechęci albo...

Christine wydeła wargi raczej bez przekonania.

— Zgoda — uśmiechnął się Rob. — To gówniana teoria. Ale czemu to zrobili?

Wzruszenie ramion.

— *C'est un mystère.*

Przy stoliku znowu zapadła cisza. Kilka metrów dalej za krzakami róż małe dzieci z ekscytacją pokazywały na staw pełen ryb. Rob przyjrzał się jednej z dziewczynek: miała jakieś jedenaście lat i jasne, złociste loki. Ale jej matkę spowijała czerń i kwef: pełen czador. Ogarnął go smutek: ta śliczna dziewczynka ani się obejrzy, a zostanie zamaskowana jak matka. Na zawsze otulona w czerń.

I wtedy naszło go prawdziwe poczucie winy w związku z własną córką. Z jednej strony upajał się tą zagadką — ale z drugiej, mimo wszystko, w głębi duszy chciał pojechać do domu. Pragnął pojechać do domu. Zobaczyć Lizzie.

Christine otworzyła notes Breitnera i położyła go na stoliku obok swoich notatek. Na zalanym słońcem blacie podrygiwały cienie rzucane przez lipy rosnące przy herbaciarni.

— I ostatnia kwestia. Jest coś, o czym ci wcześniej nie powiedziałam. Pamiętasz ostatnią linijkę z notesu? — Odwróciła notatnik, żeby mógł rzucić okiem.

Było tam coś o czaszkach. Przeczytał: „czaszki Çayönü cf Orra Keller”.

— Nie wspominałam o tym, bo było takie niejasne. Wydawało się nie mieć związku. Ale teraz... Sam zobacz. Coś mi przyszło do głowy.

Przeczytał raz jeszcze, ale wers pozostał niezrozumiały.

— Ale kto to jest Orra Keller?

— To nie nazwisko — stwierdziła Christine. — Założyliśmy, że tak, ponieważ jest napisane dużą literą. Ale sądzę, że Franz po prostu mieszał języki.

— Nadal nie łąpię.

— Przeplatał angielski niemieckim. I...

Rob zerknął nagle nad ramieniem Christine.

— Jezu.

Zesztywniała.

— Co?

— Nie oglądaj się. To Kiribali. Zobaczył nas i idzie w naszą stronę.

Wyglądało tak, jakby Kiribali był sam, ale Rob widział, że radiowóz nadal stoi na skraju parku Gölbasi.

Komisarz miał na sobie inny elegancki garnitur, tym razem z kremowego lnu, do tego angielski krawat w zielono-niebieskie paski. Przeszedł przez mostek i podszedł do ich stolika z szerokim jaszczurczym uśmiechem na twarzy.

— Dzień dobry. Moi chłopcy powiedzieli mi, że państwo tu jesteście.

Pochylił się i ucałował dłoń Christine, następnie odsunął sobie krzesło. Odwrócił się do czekającego kelnera i jego postawa się zmieniła ze służalczej na apodyktyczną.

— *Lokoum!*

Kelner wzdrygnął się z przerażeniem i skinął głową. Kiribali posłał im uśmiech.

— Zamówiłem rachatlukum. Powinniście państwo spróbować tego, które podają tu, w Gölbasi. Najlepsze w Şanhurfie. Prawdziwe rachatlukum to przysmak. Znacie oczywiście historię jego wynalezienia?

Rob zaprzeczył, co jak się wydawało, bardzo Turkowi pasowało: nachylił się przez stolik, przyciskając zadbane dłonie do obrusa.

— Legenda głosi, że pewien osmański szejk miał dość swoich swarliwych żon. W haremie nieustannie trwały awantury. Rozkazał 'zatem nadwornemu cukiernikowi, by ten wystarał się o słodki przysmak tak wyśmienity, by uciszył kobiety. — Kiribali opadł na oparcie, kiedy kelner stawiał posypane cukrem delicje na stoliku. — Udało się. Rachatlukum spacyfikowało żony i w haremie na powrót zapanował spokój. Jednak nałożnice tak się roztyły od kalorycznego przysmaku, że w ich obecności szejka nachodziła niemoc płciowa. Kazał zatem... wykastrować cukiernika. — Kiribali zaśmiał się w głos z własnej opowieści, podniósł talerz ze słodyczami i wyciągnął w kierunku Christine.

Nie po raz pierwszy wzbudził w Robie mieszane uczucia. Trudno było odmówić mu wdzięku, ale miał w sobie też coś groźnego. Jego koszula była zbyt czysta, krawat zbyt brytyjski, sposób wyrażania się zbyt wystudiowany i potoczysty. Jednak ewidentnie nie zbywało mu na inteligencji. Rob zastanawiał się, czy jest choć trochę bliżej rozwiązania zagadki śmierci Breitnera.

Rachatłukum było wyborne. Turek postanowił dalej bawić ich rozmową.

— Czytaliście państwo *Opowieści z Narnii*?

Christine skinęła głową. Kiribali ciągnął:

— Pojawia się w nich bez wątpienia najświetniejsze literackie odniesienie do rachatłukum. Kiedy Biała Czarownica proponuje słodczyce...

— *Lew, czarownica i stara szafa*?

— Właśnie. — Kiribali zarechotał, potem nabożnie upił łyżeczek herbaty z małej jak naparstek szklaneczki. — Często zachodzę w głowę, dlaczego Anglicy są mistrzami literatury dziecięcej. To swoisty dar wyspiarzy.

— W porównaniu z Amerykanami, chce pan powiedzieć?

— W porównaniu ze wszystkimi, panie Luttrell. Proszę tylko pomyśleć. Weźmy najświetniejsze powieści dla dzieci. Lewis Carroll, Beatrix Potter, Roald Dahl, Tolkien. Nawet Joanne Rowling od tego potwornego Harry'ego Pottera. To wszystko są brytyjscy autorzy.

Przynoszący wytchnienie wietrzyk przemykał nad różanymi krzakami. Kiribali ciągnął:

— Myślę, że to dlatego, że Brytyjczycy nie boją się straszyć dzieci. A one uwielbiają być straszone. Niektóre z najwspanialszych opowieści to czysta makabra. Psychotyczny kapelusznik zatruty rtęcią. Samotny wytwórca czekolady zatrudniający miniaturowych Murzynów.

Rob uniósł dłoń.

— Panie Kiribali...

— Tak?

— Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego przyszedł pan z nami porozmawiać?

Policjant otarł kobiece usta rogiem serwetki.

— Chcę, żebyście wyjechali. Oboje. Zaraz.

Christine się najeżyła.

— A to z jakiego powodu?

— Dla własnego dobra. Bo pakujecie się w sprawy, których nie rozumiecie. To jest... — Kiribali machnął ręką w kierunku klifów z tyłu,

obejmując tym gestem cytadelę, dwie korynckie kolumny na szczycie i ciemne jaskinie niżej. — To bardzo stare miejsce. Kryje zbyt wiele tajemnic. Ponurych sekretów, których nie potraficie pojąć. Im bardziej się w to wmieszacie, tym bardziej będzie to niebezpieczne.

Christine potrząsnęła głową.

— Nie pozwolę się przepędzić.

Kiribali spiorunował ich wzrokiem.

— Jesteście bardzo głupi. Myślicie w kategoriach Starbucksów, laptopów i miękkich kanap. Wygodnego życia. Tu jest starożytny Wschód. Nie mieści się w granicach waszego rozumienia.

— Ale twierdził pan, że być może będzie chciał nas przesłuchać...

— Nie jesteście podejrzeni. — Detektyw popatrzył na niech gniewnie. — Nic tu po was.

Christine nie dała się zbić z pantałyku.

— Przykro mi, ale nie pozwolę nikomu sobą dyrygować. Ani panu, ani komukolwiek innemu.

Kiribali zwrócił się do Roba.

— W takim razie muszę zaapelować do rozumu mężczyzny. Wiemy, jak kobiety...

Christine się wyprostowała.

— Chcę wiedzieć, co jest w podziemiach. W muzeum!

Ten wybuch uciszył tureckiego komisarza. Przez twarz przemknął mu wyraz dziwnego zmieszania. Potem zrobił marsową minę. Rozejrzał się dokoła, jakby się spodziewał, że jakiś znajomy do nich dołączy. Ale kawiarniany taras był pusty. Została tylko para tłuściochów w garniturach palących szisze w zacienionym kąciku. Popatrzyli ospale na Roba i się uśmiechnęli.

Kiribali podniósł się. Gwałtownie. Wyjął z ładnego skórzanego portfela kilka tureckich lirów i z namaszczeniem położył na obrusie.

— Powiem to bardzo wyraźnie, żebyście państwo zrozumieli. Widziano, jak włamaliście się na teren wykopalisk w Göbekli Tepe. W zeszłym tygodniu.

Robowi ciarki przeszły po plecach. Jeśli Kiribali o tym wiedział, mieli kłopoty.

Turek ciągnął:

— Mam przyjaciół w kurdyjskich wioskach.

Christine próbowała wyjaśnić:

— Szukaliśmy tylko...

— Szukaliście diabła. Żydówka powinna mieć więcej rozumu. — Słowo „Żydówka” wymówił z takim sykiem, że Rob z miejsca pomyślał o wężu. — Moja wyrozumiałość ma swoje granice. Jeśli do jutra nie opuścicie Şanhurfy, wylądujecie w tureckim więzieniu. Tam będziecie mieli okazję się przekonać, że niektórzy z moich kolegów zatrudnionych w organach sprawiedliwości Republiki Turcji nie podzielają mojej troski o wasze dobro. — Uśmiechnął się do nich fałszywie i odszedł, ocierając się o okazałe różowe róże, które zakołysały się i uroniły kilka płatków.

Przez długą chwilę Rob i Christine siedzieli w milczeniu. Rob czuł, że nadciągają kłopoty, niemal słyszał w głowie dźwięk ostrzegawczych klaksonów. W co się pakowali? To był świetny materiał na artykuł, ale czy wart nadstawiania karku? Odruchowo wrócił myślą do Iraku. Przypomniał mu się zamachowiec-samobójca z Bagdadu. To była kobieta. Piękna młoda kobieta o ciemnych, długich włosach i jaskrawoszkarłatnych, mocno umalowanych ustach. Zamachowiec w szmince. Uśmiechnęła się do niego prawie uwodzicielsko, kiedy sięgała do przycisku, żeby zabić wszystkich dokoła.

Rob wzdrygnął się na to wspomnienie. Mimo że było koszmarne, uzbroiło go jednak też w rodzaj determinacji: miał dość zastraszania. Uciekania. Może tym razem powinien zostać i pokonać swoje lęki.

Christine nie miała podobnych wątpliwości.

— Nie wyjeżdżam.

— Aresztuje nas.

— Za co? Jazdę po nocy?

— Włamaliśmy się na teren wykopalisk.

— Nie może nas za to wsadzić do więzienia. To zwykły blef.

Rob zaoponował.

— Naprawdę nie wiem... Nie dam głowy...

— To tylko taka gierka. Jest taki zniewieściały.

— Zniewieściały? Kiribali? — Rob pokręcił głową stanowczo. — Nic z tych rzeczy. Zebrałem o nim trochę informacji. Popytałem tu i ówdzie. Jest szanowany, wzbudza respekt, nawet strach. Ponoć wyśmienity strzelec. To nierozsądne, robić sobie z niego wroga.

— Ale nie możemy jeszcze wyjechać. Muszę zdobyć więcej informacji.

— Masz na myśli te podziemia w muzeum? O co w tym chodzi?

Kelner stał obok, czekając, aż pójda. Ale Christine zamówiła kolejne dwie szklaneczki słodkiej rubinowej çay. Potem wyjaśniła:

— Ostatnia linijka w notesie. Czaszki Çayönü cf Orra Keller. Kojarzysz czaszki Çayönü?

— Nie — przyznał Rob. — Opowiedz.

— Çayönü to jeszcze jedno głośne stanowisko archeologiczne. Prawie tak stare jak Göbekli. Leży jakieś sto kilometrów na północ. To tam udomowiono świnie.

Kelner przyniósł dwie kolejne szklaneczki i dwie srebrne łyżeczki. Rob zastanawiał się, czy można umrzeć z przepicia herbatą. Tymczasem Christine ciągnęła:

— Prace prowadzi tam amerykański zespół. Kilka lat temu pod jednym z centralnych pomieszczeń w osadzie znaleziono warstwę czaszek i rozczłonkowanych szkieletów.

— Ludzkich czaszek?

Skinęła głową.

— A także kości zwierząt. Badania wykazały również ślady dużej ilości krwi. To miejsce nazywa się teraz komnatą czaszek. Franz był zafascynowany Çayönü.

— I?

— Wszystko wskazuje zatem, że składano tam ofiary z ludzi. To wzbudza kontrowersje. Kurdom nie podoba się myśl, że ich przodkowie byli... krwiożerczy. Nikomu z nas się nie podoba. Ale większość specjalistów uważa, że kości w komnacie czaszek są pozostałością po wielu rytualnych mordach. Mieszkańcy Çayönü wznosili swoje domostwa na fundamentach z kości, szkieletów własnych ofiar.

— Ładnie.

Christine zamieszała herbatę.

— I stąd ta ostatnia notatka w notesie. Podziemia Edessy.

— Przepraszam?

— Tak kuratorzy Muzeum Şanhurfy nazywają najmniej znane archiwa w muzeum poświęcone premuzułmańskim pozostałościom. Ten dział zbiorów nosi nazwę Podziemi Edessy.

Rob się skrzywił.

— Przepraszam, Christine, nadal nie łapię.

Wyjaśniła.

— Şanhurfa ma wiele nazw. Krzyżowcy nazywali ją Edessą, jak to greckie miasto. Dla Kurdów to Riha, dla Arabów Al-Ruha. Miasto proroków. Inna nazwa brzmi Orra. To transliteracja greckiej nazwy. Zatem Edessa znaczy Orra.

— A Keller?

— To nie nazwisko! — Christine uśmiechnęła się triumfalnie. — To niemieckie określenie piwnicy, sutereny, podziemi. Franz użył dużej litery, bo w niemieckim tak zapisuje się rzeczowniki.

— Czyli... chyba rozumiem.

— Kiedy napisał „Orra Keller” miał na myśli Podziemia Edessy. Piwnice muzeum w Urfie.

Christine opadła na oparcie. Rob pochylił się nad stolikiem.

— Zatem sugeruje, że coś jest w Podziemiach Edessy. Ale przecież wiedzieliśmy o tym wcześniej. Po co zatem ta notatka? Chyba że o czymś sobie przypomniał. Czymś specjalnym. I jeszcze... co oznacza to „cf”?

— Eee... cyfrowy formularz... cyfrowy...

— To z łaciny. *Confer*. Czyli porównaj, zobacz. Skrót stosowany w pracach naukowych. Cf. Pisze zatem: porównaj sławne czaszki z Çayönü z czymś w podziemiach muzeum. Tyle że tam nie ma, a przynajmniej nie było, niczego istotnego. Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, sama przekopałam się przez te zbiory. Ale pamiętaj — uniosła palec jak nauczycielka — że Franz kopał też w Göbekli potajemnie, nocą, tuż przed śmiercią. — Twarz miała zaczerwienioną od podniecenia, może nawet gniewu.

— I myślisz, że umieścił tam ewentualne znaleziska? W tych przedmuzułmańskich podziemiach?

— Idealne miejsce. Najciemniejszy, najgłębszy zakątek piwnic. Jest bezpieczny, ukryty i całkowicie zapomniany.

— Rozumiem — powiedział Rob. — Ale to raczej dosyć szalona teoria. Naciągana.

— Możliwe. Jednak...

Wtedy Roba oświeciło.

— Sprawdziałaś Kiribalego.

— I sam widziałeś, jak zareagował! Miałam rację. Coś jest w tych piwnicach.

Herbata niemal wystygła. Rob opróżnił szklaneczkę i popatrzył na Christine. Cicha woda z niej. Nie sądził, że stać ją na taką przebiegłość.

— Chcesz tam pójść i sprawdzić?



Skinęła głową.

— Tak, ale wejście jest zamknięte. A drzwi mają szyfrowy zamek.

— Jeszcze jedno włamanie? Stanowczo zbyt ryzykowne.

— Wiem.

Wiatr szeleścił w lipach. Na mostku jakaś kobieta w pełnym czadorze tuliła niemowlę i całowała kolejno jego tłuściutkie, różowe paluszki.

— Dlaczego chcesz się do tego posunąć, Christine? Po co tak ryzykować? Na podstawie jakiegoś przeczucia?

— Muszę się dowiedzieć, jak i dlaczego zginął.

— Ja także. Ale mnie za to płacą. To moja praca. Piszę artykuł. Ty bardzo ryzykujesz.

— Dlatego... — Westchnęła. — Dlatego, że on zrobiłby dla mnie to samo.

Nagle zaświtało mu w głowie.

— Christine, wybacz, że pytam, ale czy ty i Franz byliście...

— Kochankami? Tak. — Odwróciła głowę, jakby pragnąc ukryć emocje.

— Kilka lat temu. Dał mi pierwszą prawdziwą szansę zaistnienia w archeologii. Pracę w tym niezwykłym miejscu. W Göbekli Tepe. Nie było tu żadnych kości. Nie potrzebował osteoarcheologa. Mimo to zaprosił mnie do współpracy, bo spodobało mu się to, co robię. I kilka miesięcy po moim przybyciu zakochaliśmy się w sobie. Ale potem to minęło. Czułam się winna. Różnica wieku była zbyt duża.

— Ty zerwałaś?

— Tak.

— A on cię nadal kochał?

Christine skinęła głową i zarumieniła się.

— Myślę, że tak. Ale zachował się wspaniale. Nie pozwolił, żeby to miało wpływ na naszą pracę. Mógł mnie poprosić, żebym wyjechała, jednak tego nie uczynił. Choć moja obecność musiała być dla niego trudna, jeśli nadal coś do mnie czuł. Był naprawdę dobrym archeologiem, ale jeszcze lepszym człowiekiem. Jednym z najmiłszych ludzi, jakich znam. Kiedy poznał swoją żonę, sytuacja stała się łatwiejsza, dzięki Bogu.

— Więc uważasz, że jesteś mu to winna?

— Tak.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Grupka żołnierzy karmiła karpie w stawie. Rob obserwował rybaka sunącego ścieżką na ośle. I nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

— Chyba wiem, jak możesz zdobyć szyfr.

— Jak?

— Od kustoszy. W muzeum. Tych twoich kumpli.

— Masz na myśli Kasama i Beszeta. Tych Kurdów?

— Tak. Zwłaszcza Beszeta.

— Ale...

— Bardzo mu się podobasz.

Znowu się zaczerwieniła, tym razem po uszy.

— Niemożliwe.

— Możliwe, możliwe. Absolutnie. — Rob pochylił się nad stolikiem. — Wierz mi, Christine. Wiem, jak wygląda żalosna męska adoracja. Widziałem, jak na ciebie patrzy, jak spaniel... — Christine sprawiała wrażenie zawstydzonej. Rob zachichotał. — Chyba nie zdajesz sobie sprawy z wpływu, jaki masz na mężczyzn.

— Ale co to ma do rzeczy?

— Idź do niego. Spytaj o szyfr. Idę o zakład, że ci go poda.

Kobieta w czadorze przestała całować niemowlę. Kelner się na nich gapił, czekając, aż zwolnią stół dla następnych klientów. Rob wyjął kilka banknotów i położył je na obrusie. — Zatem postanowione: zdobędziesz szyfr. Potem pójdziemy do muzeum i zobaczymy, co tam jest. Jeśli nie będzie nic, wyjeżdżamy. Zgoda?

Skinęła głową.

— Zgoda. — Potem dodała: — Jutro jest święto.

— To jeszcze lepiej.

Podnieśli się. Ale Christine miała niezdecydowaną, zaniepokojoną minę.

— Co? — spytał Rob? — O co jeszcze chodzi?

— Boję się, Robert. Co mogło być tak ważne, że Franz schował to w podziemiach, nic mi nie mówiąc? Coś tak przerażającego, że trzeba było to ukryć? Tak potwornego, że nasuwa porównanie z czaszkami z Çayönü?

Czyżby było za późno? Znowu im się wymknęli?

Komisarz Forrester popatrzył na kamienny krąg na brązowozielonych wrzosowiskach Kumbrii. Przypomniał sobie inną sprawę, w której śladów szukano w podobnym miejscu. Mordercę, który pogrzebał swoją żonę na kornwalijskich wrzosowiskach. Tamto zabójstwo była makabryczne, nigdy nie znaleziono głowy ofiary. Mimo to nawet nie mogło się równać z krwawą serią zbrodni, z jaką się teraz zmagał. Gang był naprawdę groźny: psychopatyczna brutalność sprzęgnięta z wyrafinowaną inteligencją. Niebezpieczne połączenie.

Przechodząc przez drewniany przełaz, skoncentrował się na ostatnim tropie. Wiedział, że przestępcy opuścili wyspę Man zaledwie kilka godzin po zabójstwie. Wiedział, że wsiedli na pierwszy prom kursujący z Douglas do Heysham u wybrzeży hrabstwa Lancashire, na długo zanim porty i lotniska postawiono w stan gotowości. Wiedział to wszystko, ponieważ pewien spostrzegawczy robotnik portowy w Heysham pamiętał, że widział czarną toyotę landcruiser wjeżdżającą do portu na porannym promie dwa dni temu i zauważył pięciu młodych mężczyzn wysiadających z terenówki na parking terminalu promowego. Cała piątka udała się razem na śniadanie. Robotnik siedział obok nich w barze.

Forrester podszedł do wielkiego szarego głazu porośniętego żółtozielonym mchem. Sięgnął do kieszeni po notes i przekartkował notatki z przesłuchania dokera. „Wszyscy byli młodzi i wysocy. Jakoś dziwnie tu wyglądali”. To wszystko wzbudziło ciekawość robotnika. Połączenie z Douglas do Heysham nie należy do najruchliwszych. Poranny prom samochodowy z Douglas zwykle przewozi farmerów, pojedynczych biznesmenów i czasami kilkoro turystów. A tu nagle pięciu milczących wysokich młodzieńców w drogiej toyocie landcruiser? Próbował więc ich zagadnąć nad jajejcznicą na bekonie. Niewiele jednak zdziałał.

Forrester przebiegł wzrokiem po notatkach.

„Mężczyźni nie chcieli rozmawiać. Jeden z nich rzucił opryskliwe «dzień dobry». W jego głosie słychać było jakby obcy zaśpiew. Francuski czy jakiś. Mógł być Włochem, głowy nie dam. Drugi mówił z wytwornym angielskim akcentem. No i wtedy po prostu podnieśli się i zabrali. Jakbym zepsuł im śniadanie”.

Robotnik nie zapisał numeru rejestracyjnego. Ale słyszał, jak jeden z młodzieńców powiedział coś jakby „Castleyig”, kiedy wychodzili z baru i w bladym świetle poranka szli do czekającego samochodu. Forrester i Boijer z miejsca sprawdzili. Nie zdziwili się, gdy się okazało, że miejscowość o takiej nazwie nie istnieje. Jednak znaleźli dosyć znane Castlerigg niedaleko Heysham: jeden z najlepiej zachowanych kamiennych kręgów na terenie Wielkiej Brytanii. Składa się z trzydziestu ośmiu głazów różnej wielkości i kształtów, pochodzących mniej więcej sprzed 3200 r. p. n. e. , oraz grupy dziesięciu kamieni ustawionych na planie prostokąta, której przeznaczenie „pozostaje zagadką”. W swoim biurze w Scotland Yardzie Forrester wpisał w Google „Castlerigg” oraz „ofiary z ludzi” i odkrył długą historię powiązań. W latach osiemdziesiątych XIX wieku znaleziono w Castlerigg kamienny topór. Niektórzy przypuszczali, że był wykorzystywany do jakiegoś druidzkiego rytuału ofiarnego. Oczywiście wielu naukowców to kwestionowało. Antykwariusze i folklorysty utrzymywali jednak, że brak jest także dowodu na obalenie tej tezy, legendy zaś o świętych jatkach są stare i dobrze utrwalone. Wspominał o nich nawet sławny miejscowy poeta Wordsworth w początkach XIX wieku.

*Pognałem do posępnych bielaw  
Mrocznych lasów i północnych zjaw  
Gdzie sroga przesądu kraina  
Widziała grozę, co krew ścina  
Czarna dłoń i głowa schylona  
Tka kirowy szal przy wrzecionach  
I nagle harfa coś opowie  
I pojawiają się synowie  
Czemu wasz gniewny wzrok mnie strzeże  
Czemu składacie mnie w ofierze?*

[William Wordsworth, *Vale of Esthwaite* („Dolina Esthwaite”), wers 25-35, przeł. A. Górską (przyp. tłum.). ]

Był ciepły wiosenny dzień, późno kwietniowe słońce świeciło rzęście na zielone wzgórza Kumbrii, wilgotną od rosy darń, odległe lasy jodłowe. A

jednak wiersz sprawił, że Forrester poczuł dreszcz.

— Pognałem do posepnych bielaw — powiedział.

Kroczący po trawie Boijer spojrział na niego skonsternowany.

— Sir?

— To ten poemat Wordswortha.

Boijer się uśmiechnął.

— A tak. Przyznaję się, nie poznałem.

— Ja też — rzucił Forrester, zamykając notes.

Przypomniał sobie swoją szkołę średnią w podupadłej części śródmieścia, młodego nauczyciela angielskiego usiłującego wbić do głów Szekspirowskiego *Makbeta* zgrai dzieciaków daleko bardziej zainteresowanych piciem, raegge i kradzieżami sklepowymi. Próżny trud. Równie dobrze mógłby uczyć łaciny astronautów.

— Piękne miejsce — stwierdził Boijer.

— Owszem.

— Jest pan pewien, że tu przyjechali, sir? Właśnie tutaj?

— Tak. Gdzie indziej mogliby jechać?

— Może do Liverpoolu?

— Nie.

— Blackpool?

— Nie. Zresztą gdyby wybierali się gdzie indziej, wsiedliby na prom do Birkenhead. Tam jest bezpośredni zjazd na autostradę. Ale przyjechali do Heysham. A stąd można dojechać tylko do Krainy Jezior. I tutaj. Jakoś nie wierzę, żeby wybrali się na wycieczkę po jeziorach. Pojechali na wyspę Man na cmentarzysko wikingów, na którym składano ofiary z ludzi. Potem zawitali tutaj. Do Castlerigg. Kolejnego miejsca związanego z mordami rytualnymi. Ten robotnik się nie przesłyszał. Jechali tutaj.

Podeszli do jednego z najwyższych menhirów. Porastały go różnobarwne porosty: oznaka czystego powietrza. Forrester dotknął powierzchni głazu. Była lekko ciepła. Ogrzana słońcem i stara, tak bardzo stara. 3200 roku przed naszą erą.

Boijer westchnął.

— Ale co ich tak naprawdę ciągnie do tych kręgów i ruin? Gdzie tu sens?

Forrester stęknął. Dobre pytanie. Niestety nie znalazł jeszcze na nie odpowiedzi. Niżej w dolinie rzeki, za wysokim płaskowyżem Castlerigg widział radiowozy miejscowej policji, cztery zaparkowane w słońcu przy miejscu piknikowym i kilka innych sunących wąską drogą. Funkcjonariusze

objeżdżali miejscowe gospodarstwa i wioski, sprawdzając, czy ktoś widział podejrzanym mężczyzn. Jak dotąd bez rezultatu. Ani śladu. Ale Forrester był pewien, że złowroga piątka odwiedziła Castlerigg. Miejsce doskonale wpisywało się w ich działania: było wybitnie nastrojowe. I energetyczne. Ktokolwiek zbudował ów wysoki i samotny krąg w tej odciętej od świata kołysce ze wzgórz, znał się na estetyce. Może nawet na feng shui. Cały krąg stojący na porośniętym darnią płaskowyzu był umieszczony w swego rodzaju amfiteatrze ze sceną na środku widowni. Pofałdowane wzgórza tworzyły balkony, widownię, odkryte trybuny. A sam krąg był sceną, ołtarzem, *mise en scene*. Ale sceną czego?

Zatrzeszczało radio. Boijer wcisnął przycisk i rozmawiał z jednym z miejscowych policjantów. Forrester się przysłuchiwał. Z miny Fina i jego zdawkowych potaknięć jasno wynikało, że funkcjonariusze nadal nie natrafili na żaden ślad. Może jednak gang tu nie zawitał.

Forrester szedł dalej. Przed oczami mignęła mu plama czerwieni. Polem przemknął lis i sunął dalej wzdłuż zagajnika najbliższej doliny. Nagle odwrócił się i spojrzał wprost na komisarza z lękiem i okrucieństwem dzikiego zwierzęcia. Zaraz potem zniknął, dając susa w las.

Niebo zaczęło się zasnuwać chmurami. Nad wzgórzem napłynęły skrawki czerni.

Boijer dogonił Forrestera.

— Wie pan, sir, w Finlandii też mieliśmy taką dziwną sprawę kilka lat temu. Może ma jakiś związek.

— Jaką sprawę?

— Nazwali ją morderstwem na wysypisku.

— Bo sprawca zagrzebał ciało na śmietniku?

— W pewnym sensie. To było w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Jeśli dobrze pamiętam, lewą nogę ofiary znaleziono na wysypisku w pobliżu miasteczka Hyvinkaa. Na północ od Helsinek.

Forrester się zdziwił.

— Ale ty chyba mieszkałeś już wtedy w Anglii.

— Tak, ale śledziłem wiadomości z kraju, wie pan, jak to jest. Zwłaszcza szczególnie makabryczne zbrodnie.

Komisarz skinął głową.

— Co zaszło?

— Z początku śledczy nic nie mieli. Jedynym tropem była ta noga. Ale nagle... no, wszystkie te nagłówki... Policja twierdziła, że zatrzymała trzy

osoby podejrzane o dokonanie zabójstwa i że są też przesłanki mogące wskazywać na tło satanistyczne.

Wieżący wśród kamiennego kręgu wiatr przybrał na sile.

— W kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku o sprawie znowu zrobiło się głośno, kiedy zaczął się proces. Przed sądem stanęło troje dzieciaków. Co dziwne, sędzia nakazał utajnienie protokołów sądowych na okres czterdziestu lat i nieujawnianie żadnych szczegółów. Rzecz jak na Finlandię niezwykła. Ale kilka informacji i tak przeciekło. Potwornych. Tortury, okaleczenia, nekrofilia, kanibalizm, czego tam nie było.

— A kim była ofiara?

— Mniej więcej dwudziestotrzyletni gość. Torturowany i zabity przez trójkę swoich przyjaciół. Nasto-, góra dwudziestoparoletnich. — Boijer skrzywił się, usiłując sobie przypomnieć. — Najmłodsza była dziewczyna, miała siedemnaście lat. A do zabójstwa doszło po libacji. Wielodniowej. Sznaps domowej produkcji. W Islandii nazywają go brennivin. Czarna śmierć.

Forrester był zaintrygowany.

— Opisz zabójstwo.

— Kaleczyli go powoli nożem i nożyczkami. Umierał przez wiele godzin. Metodycznie odcinali kolejne kawałki ciała. Sędzia nazwał to przewlekłym mordem rytualnym. Kiedy wreszcie nastąpił zgon, sprawcy znieważali zwłoki, spuszczaali nasienie w usta ofiary i tym podobne. Potem odcięli mu głowę, nogi i ramiona. Wycięli też niektóre narządy wewnętrzne, nerki i serce. W zasadzie rozczłonkowali zwłoki. I część z nich zjedli.

Forrester patrzył na farmera idącego wiejską dróżką niecały kilometr dalej.

— No i jak to interpretujesz? To znaczy, jaki widzisz związek z naszą sprawą?

Podwładny wzruszył ramionami.

— Sprawcy byli satanistami, fanami death metalu, już wcześniej notowanymi za profanacje. Podpalenia kościołów. Bezczeszczenie grobów, te sprawy.

— I?

— Interesowali się pogaństwem, prastarymi miejscami. Takimi jak to.

— Ale zwłoki zakopali na wysypisku, nie w Stonehenge.

— Tak. Nie mamy Stonehenge w Finlandii.

Forrester skinął głową. Farmer zniknął za jakimś wzniesieniem. Kamienne głązy szarzały i ciemniały coraz bardziej, w miarę jak chmury przysłaniały niebo. Typowa pogoda pojezierza: od świecącego wiosennego słońca do ponurego zimowego chłodu w pół godziny.

— Kim byli zabójcy? Jaki przekrój społeczny?

— Zdecydowanie klasa średnia. Dzieciaki z zamożnych domów. W żadnym razie nie margines. — Boijer zasunął zamek wiatrówki, chroniąc się przed chłodem. — Dzieci elity.

Forrester żuł źdźbło trawy i patrzył badawczo na podwładnego. Jaskrawoczerwony anorak Boijera sprawił, że przed oczyma stanął mu nagły i ostry obraz: wybebeszone, spływające krwią ciało. Wypluł łodyżkę.

— Tęsknisz za Finlandią, Boijer?

— Nie. Czasami... Może trochę.

— Za czym najbardziej?

— Pustymi lasami. Porządny saunami. I moroszką.

— Moroszką?

— W Finlandii nie jest specjalnie ciekawie, sir. Mamy dziesięć tysięcy określeń na wstawienie się. Zimy są mroźne, więc rozrywek jest niewiele, poza piciem. — Wiatr zwał mu na oczy blond włosy. Odgarnął je. — Jest nawet taki dowcip. Bardzo popularny w Szwecji. O tym, ile Finowie piją.

— Opowiedz.

— Szwed i Fin umawiają się na parę drinków. Przynoszą kilka butelek bardzo mocnej fińskiej wódki. Siedzą naprzeciwko siebie w absolutnym milczeniu i bez słowa wypijają kolejne kieliszki. Po trzech godzinach Szwed znowu polewa i mówi „Skór. Fin patrzy na niego pogardliwie i pyta: „Przyszliśmy tu pić czy rozmawiać?”

Forrester się roześmiał. Spytał Boijera, czy jest głodny. Ten skwapliwie potaknął i uzyskawszy zgodę szefa, poszedł do samochodu, by zjeść swoją tradycyjną kanapkę z tuńczykiem.

Forrester szedł dalej sam, zamyślony, lustrując wzrokiem otoczenie. Lasy dokoła należały do państwowej Komisji do spraw Lasów. Równe kwadraty jodeł stojące niczym napoleońskie regimenty. Zastępy brzoź paradujące w milczeniu i niepostrzeżenie. Myślał o opowieści Boijera. O zabójcach z wysypiska Hyvinkaa. Czy to możliwe, że członkowie gangu nie wykopywali, a zakopywali: trupy, kości, jakieś przedmioty? Nic jednak nie wskazywało, by na Craven Street coś zakopano. A już na pewno nie w Forcie Świętej Anny. Ale czy dobrze sprawdzili?



Dotarł do skraju kamiennego kręgu. Nieme szare menhiry zdawały się pogrążone we śnie. Zwalone twarzami do dołu jak polegli wojownicy. Inne stały sztywno i wyzywająco. Przypomniawszy sobie, co czytał o Castlerigg: o kwadratowym sektorze, którego przeznaczenie „pozostaje zagadką”. Jeśli przejechało się taki szmat drogi, żeby coś zakopać, to na pewno właśnie tam — w najbardziej symbolicznej części kręgu. Jeśli Castlerigg było dla sprawców tak ważne, to z pewnością ten właśnie jego fragment.

Komisarz zlustrował wzrokiem krąg. Szybko wypatrzył odpowiedni sektor: kwadratowy skrawek ziemi wyznaczony niższymi kamieniami obok najbardziej zwietrzałych megalitów.

Przez dwadzieścia minut badał niższe kamienie. Chodził i trącał nogą wilgotną, ciemną ziemię i grząską darń. Zaczął siąpić delikatny deszczyk. Forrester czuł na karku zimne krople. Może czekało go kolejne rozczarowanie.

I wtedy zauważył coś w wysokiej mokrej trawie: niewielki pas wzruszonego gruntu, ciemnej ziemi rozkopanej i usypanej ponownie, niemal niewidoczny gołym okiem — chyba że się właśnie tego szukało. Ukląkł i gołymi rękoma zaczął rozkopywać grań. Było to rażące przekroczenie zasad: ekipa kryminalistyczna byłaby zbulwersowana, ale musiał wiedzieć.

Po kilku sekundach poczuł pod palcami coś zimnego i twardego — jednak nie kamień. Wyciągnął znalezisko i oczyścił z ziemi. Był to mały flakonik. W środku znajdował się płyn w kolorze ciemnoczerwonego rumu.

Ulice były czerwone od krwi. Rob szedł starym miastem do karawanseraju na spotkanie z Christine. Zmierzchało. Gdzie spojrzał, widział wielkie plamy krwi: na ścianach, chodnikach, na zewnątrz sklepu Vodafone. Miejscowi zarzynali kozy i owce — publicznie, na ulicach. Rob przypuszczał, że to jakiś element święta, o którym wspominała Christine, ale tak czy siak, widok był nieprzyjemny.

Przystanął na rogu przy wieży zegarowej i patrzył, jak jakiś mężczyzna usiłuje przytrzymać między nogami białą kozę. Miał na sobie luźne czarne pantalone — szalwary — tradycyjny kurdyjski strój. Odłożywszy dymiącego papierosa na taboret z tyłu, wziął do ręki długi, błyszczący nóż i zanurzył ostrze w podbrzuszu zwierzęcia.

Koza zapiszcziała. Mężczyzna ani drgnął. Odwrócił się, wziął z taboretu papierosa, zaciągnął się i odłożył z powrotem. Z brzucha rannego zwierzęcia sączyła się krew. Mężczyzna pochylił się bardziej do przodu, skrzywił i energicznie przeciągnął nożem w górę drżącego, białoróżowego brzucha. Trysnęła krew, zalewając ulicę. Koza przestała walczyć i piszczeć, kwiliła tylko cicho. Zatrzepotała długimi rzęsami i zdechła. Mężczyzna jednym szarpnięciem rozerwał ranę, pastelowe trzewia wypłynęły na zewnątrz i wpadły do płaskiej plastikowej miski ustawionej na chodniku.

Rob ruszył dalej. Znalazł Christine przy sklepionym przejściu prowadzącym do karawanseraju. Zdziwienie i konsternacja malujące się na jego twarzy musiały być aż nadto czytelne.

— Kurban Bajram — wyjaśniła. — Ostatni dzień hadżu.

— Ale dlaczego akurat kozy?

— I barany. — Christine wzięła go pod ramię, kiedy szli wśród zamkniętych stoisk bazaru. W powietrzu unosiły się kuchenne zapachy: pieczonej koziny i baraniny. — Nazywa się to Świętem Ofiarowania. Na cześć Abrahama i Izaaka, który miał być złożony w ofierze.

— Kurban Bajram, no tak. Obchodzą to też w Egipcie i Libanie jako id al-Adha... Ale — potrząsnął głową — nie zarzynają zwierząt na ulicy. Robią to w domu i podrzynają im gardła.

— Tak — zgodziła się. — Dla mieszkańców Şanhurfy to specjalne, lokalne święto. Ponieważ Abraham stąd pochodził. — Uśmiechnęła się. — Rzeczywiście, widok jest makabryczny.

Doszli do małego placu z herbaciarniami i kafejkami, gdzie mężczyźni palili szisze. Wielu z nich z uwagi na święto miało na sobie workowate czarne spodnie. Inni nosili haftowane galabije. Ich kobiety przechadzały się z przodu w połyskującej biżuterii albo szkarłatnych hidżabach obszywanych srebrem. Niektóre miały zachwycające tatuaże z henny na dłoniach i stopach i chusty obwieszane srebrnymi świecidełkami. Niesamowicie barwny widok.

Ale nie przyszli tutaj podziwiać widoków.

— To tutaj. — Christine wskazała głową domek przy cienistej uliczce. — Dom Beszeta.

Upał płynął ulicą niczym woda w czasie powodzi. Rob uściskał jej dłoń.

— Powodzenia.

Przeszła na drugą stronę i zapukała do drzwi. Rob zastanawiał się, jak bardzo Beszet będzie zszokowany widokiem białej kobiety z Zachodu odwiedzającej go w domu. Kiedy Kurd otworzył drzwi, Rob zobaczył na jego twarzy zaskoczenie i szok, ale jednocześnie ów maślany tęskny wzrok. Był pewien, że Christine zdobędzie szyfr.

Wrócił z powrotem na plac i przyjrzał się scenie. Zaczepiło go kilkoro dzieci z petardami w dłoniach.

— Ej ty, Amerykanin.

— Hello...

— Szczęśliwego Bajramu.

Dzieci się roześmiały, jakby podrażniły jakieś egzotyczne i nieco przerażające zwierzę w zoo, potem rozbiegły się po ulicy. Chodniki były nadal czerwone od krwi, ale rzeź już się skończyła. Wąsaci Kurdowie palący szisze przy kawiarnianych stolikach pozdrawiali go z uśmiechem. Rob doszedł do wniosku, że Şanhurfa to bardzo dziwne miejsce. Egzotyczne i trochę jakby nieprzyjazne, jednak jego mieszkańcy należeli do najbardziej życzliwych ludzi, jakich Rob miał okazję poznać.

Niemal nie zauważył Christine, która podkraśla się do niego od tyłu.

— Cześć.

Odwrócił się szybko.

— Masz?

— Mam. Wzbraniał się, ale w końcu mi go podał.

— Dobrze, zatem...

— Poczekajmy, aż się ściemni.

Po krótkim spacerze znaleźli się na głównej ulicy poza starym miastem. Pojechali taksówką do mieszkania Christine, gdzie spędzili w napięciu kilka godzin, surfując po Internecie. Byli zdenerwowani, mimo że starali się zachować spokój. O jedenastej wyslizgnęli się z budynku i poszli do muzeum. Na ulicach panował już porządek. Zmyto krew z chodników, święto dobiegało końca. Nad głowami świecił bułat księżyca. Gwiazdy migotały niczym diademy dokoła iglic minaretów.

Przed bramą muzeum Rob popatrzył w dół i górę ulicy. Żywej duszy. Z domów przy następnej przecznicy dochodziły zza okiennic dźwięki telewizorów. Poza tym panowała zupełna cisza. Pchnął bramę i weszli na teren muzeum. Nocą lapidarium było wyjątkowo nastrojowym miejscem. Skrzydła pustynnego demona Pazuzu połyskiwały srebrno w poświacie księżyca. Widać było zarysy potłuczonych i kruszejących popiersi rzymskich cesarzy oraz asyryjskich wojowników zaklętych w marmurze. Historia Şanhurfy mieściła się tutaj, w tym miejscu, skąpanym w księżycowej poświacie. Sumeryjskie ptasie demony z kamiennymi dziobami rozwartymi od pięciu tysięcy lat, krzyczały bezgłośnie.

— Potrzebujemy dwóch szyfrów — powiedziała Christine. — Beszet podał mi oba.

Podeszła do frontowych drzwi muzeum. Rob trzymał się z tyłu, sprawdzając, czy są sami.

Nikogo nie zauważył. Pod figowcami stał jakiś samochód, ale wyglądało na to, że nie wyjeżdżał stąd co najmniej od kilku dni. Przednią szybę zaścielała dżemowa maź z pestkami, pozostałość zgniłych, roztrzaskanych fig.

Szczęknięły drzwi, Rob się odwrócił i zobaczył, że są otwarte. Powietrze wewnątrz miało temperaturę rozgrzanego pieca: nie było klimatyzacji ani nikogo, kto by otworzył okna. Otarł pot z czoła. Miał na sobie marynarkę, żeby schować wszystko, czego potrzebowali: latarki, telefony, notesy. Najstarszy posąg świata rzucał lekką poświatę w ciemnościach sali wystawowej, smutne obsydianowe oczy patrzyły smętnie w mrok.

— Tędy — powiedziała Christine.

Rob dostrzegł drzwiczki w odległym kącie sali. Za nimi znajdowały się prowadzące w dół schody. Podał Christine latarkę, a sam włączył drugą. Dwa snopy światła podrygiwały na ścianach dusznej ciemnicy.

Podziemia okazały się zdumiewająco duże. Dużo większe niż muzeum wyżej. Korytarze z drzwiami biegły we wszystkich kierunkach. Zastawione eksponatami półki połyskiwały, kiedy Rob przesuwiał światłem latarki wte i wewte po popękanej ceramice, fragmentach rzygaczy, włączniach, krzemienych pięściakach i kawałkach waz.

— Są ogromne.

— Tak. Şanhurfa jest zbudowana na systemie starych jaskiń, które przerobiono na podziemia.

Rob pochylił się i przyjrzał leżącej na plecach i łypiącej gniewnie pękniętej figurce.

— Co to?

— Asag. Demon ściągający choroby. Sumeryjski.

— Mhm. — Rob poczuł dreszcz mimo panującej wkoło gorącej duchoty. Chciał już to mieć za sobą, narastał w nim zimny strach przed tym, co zamierzali zrobić. — Chodźmy dalej, Christine. Gdzie są te podziemia Edessy?

— Tutaj.

Skręcili w kolejny korytarz, minęli jakąś brutalnie przeciętą kolumnę romańską i kolejne półki z wazami i naczyniami. W powietrzu unosił się gęsty, duszący kurz, Christine prowadziła ich do najstarszej części jaskiń.

Nagle drogę zagrodziły im wielkie stalowe drzwi. Christine męczyła się z szyfrem.

— Cholera. — Ręce jej się trzęsły.

Rob skierował latarkę tak, by lepiej widziała wstukiwane cyfry, i wreszcie zamek ustąpił. Powitała ich fala gorącego powietrza. Czuć w nim było jakieś zło, coś nieokreślonego i dalekiego, ale organicznego i nieprzyjemnego. I bardzo starego.

Rob starał się to zignorować. Weszli do środka. Stalowe półki ciągnęły się w głąb ogromnej pieczary. Większość eksponatów znajdowała się w plastikowych torbach oznaczonych nazwami i numerami, niektóre nie były niczym osłonięte. Christine podawała ich nazwy, kiedy przechodzili obok. Syryjskie lub akadyjskie boginie, wielka głowa Anzu, fragment helleńskiej rzeźby. Ręce i skrzydła demonów wyciągały się w mrok.

Christine chodziła wte i wewte wzdłuż regałów.

— Nic tu nie ma. — W jej głosie słychać było niemal ulgę. — To jest to samo, co już widziałam.

— To może lepiej się zbierajmy.

— Czekał.

— Co?

Pokazywała coś w ciemnościach.

— To jest z Göbekli.

Rob przystanął. Znowu się pojawił ten sygnał ostrzegawczy. Kobieta-zamachowiec z Iraku. Nie mógł zapomnieć jej twarzy, tego, jak na niego patrzyła tuż przed wybuchem.

Poczuł nagłą potrzebę wyjścia — wydostania się stąd. Natychmiast.

— Zamknij drzwi — poprosiła Christine.

Niechętnie spełnił jej prośbę. Znajdowali się w najodleglejszym zakątku podziemi sam na sam ze znaleziskiem Franza. Czymś, co, jak uważał, dorównywało grozą czaszkom z Çayönü.

— Rob, chodź, zobacz.

Światło jej latarki padało na niezwykle posąg. Przedstawiał kobietę z rozłożonymi nogami i grubo rzeźbioną, obsceniczną dużą waginą. Wyglądała jak otwarta rana w sierści tej zarzynanej kozy. Obok kobiety stały trzy zwierzęta, najprawdopodobniej dzikie świnie. Miały duże, sterczące penisy i otaczały ją, jakby w scenie zbiorowego gwałtu.

— To jest z Göbekli — wyszeptała Christine.

— Tego szukamy?

— Nie, pamiętam, jak wykopaliśmy tę rzeźbę. Franz potem ją tu umieścił. Musiał gromadzić co dziwniejsze znaleziska w jednym miejscu. Więc cokolwiek znalazł, powinno być gdzieś tutaj.

Rob przesunął snop światła w lewo, w prawo i znowu w lewo. W powietrzu wirowały drobinki kurzu. Migwały mu posępne oblicza bogów i łypiących krzywym okiem demonów, ale zaraz niknęły w ciemności, gdy szedł dalej. Nic ciekawego nie widział, nie bardzo wiedział nawet, czego szuka. Beznadziejna sprawa. I nagle światło padło na duże styropianowe pudło, na którym ktoś markerem napisał „Göbekli”. Rob poczuł, jak serce mu szybciej zabiło.

— Christine — syknął.

Pudło stało w głębi stalowego regału przy ścianie jaskini. Było wielkie i ciężkie, tak że dziewczyna miała trudności z jego podniesieniem. Rob

położył latarkę na półce z tyłu i pospieszył z pomocą. Razem wyciągnęli pudło i postawili je na podłodze.

Z łomoczącym sercem sięgnął po latarkę i trzymał ją wysoko, kiedy Christine zdejmowała pokrywę. W środku znaleźli cztery stare amfory wysokie na jakieś pół metra i zapakowane w folię pęcherzykową. Rob poczuł ostry skurcz zawodu. W głębi duszy liczył, że znajdą coś obscenicznego i przerażającego. W głębi duszy dziennikarza, a może niedojrzałego szczeniaka.

Christine wyjęła jeden z dzbanów.

— Pochodzi z Göbekli?

— Na pewno. A to znaczy, że ma dziesięć tysięcy lat. Więc jednak znali garncarstwo.

— Zaskakująco dobrze zachowany.

— Tak. — Obchodząc się z naczyniem jak z jajkiem, obróciła je w dłoniach. Na jednej stronie widniał dziwny wzór. Jakby kij zwieńczony wizerunkiem ptaka.

— Gdzieś to już widziałam — powiedziała cicho.

Rob wyjął telefon komórkowy i szybko zrobił kilka zdjęć. Błysk flesza brutalnie wtargnął w ciemność ponurych podziemi. Twarze dżinów i władców rozbłysły gniewem w wulgarnym jaskrawym świetle.

Wsunął telefon do kieszeni, schylił się i wyjął z pudła jedną z amfor. Była zaskakująco ciężka. Chciał wiedzieć, co jest w środku. Jakiś płyn? Ziarna? Miód? Przechylił naczynie, by zajrzeć do środka. Było zakorkowane i szczelnie zamknięte.

— Może otworzymy?

— Ostrożnie.

Ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Poczuł, jak dzban nagle zapada się mu w dłoniach: przechylił go zbyt gwałtownie. Szyjka naczynia jakby westchnęła i upadła na podłogę: pęknięcie się pogłębiło, szybko rozchodząc się w dół prastarego dzbanu. Kruszył się i rozpadał w rękach Roba. Po prostu się rozsypał. Upadając na podłogę, niektóre natychmiast zamieniały się w pył.

— O mój Boże!

Rozszedł się potworny smród. Rob ukrył nos w rękawie. Christine oświetliła zawartość amfory.

— Ożeż kurwa.

Na podłodze leżało małe ludzkie ciało. Zwłoki niemowlęcia w pozycji embrionalnej. Były na wpół zmumifikowane, resztę tworzyła klejowata breja. Proces rozkładu trwał jeszcze po tak wielu stuleciach. Odór świdrował nozdrza, Robowi żołądek podjechał do gardła. Z czaszki wypływał spieniony płyn.

— Twarz — krzyknęła Christine. — Spójrz na twarz.

Rob puścił snop światła na twarz niemowlęcia zastygłą w niemym krzyku, krzyku umierającego dziecka rozbrzmiewającym od dwunastu tysięcy lat.

Nagle pomieszczenie zalało światło. Światło, hałasy, głosy. Rob odwrócił się na pięcie i zobaczył, że przy drzwiach stoi grupka mężczyzn uzbrojonych w pistolety i noże.



Jak na wykładowcę wyższej uczelni Hugo de Savary nosił się nader elegancko. Forrester spodziewał się pewnej abnegacji: skórzanych łąt na łokciach, łupieżu na ramionach. Ale nic z tych rzeczy: wykładowca z Cambridge był energiczny, pogodny, dość młody, zdecydowanie szczupły i emanował pewnością siebie i aurą dobrobytu.

Przypuszczalnie było tak, ponieważ jego książki — popularne pozycje z zakresu satanizmu, sekt, kanibalizmu, pełnego wachlarza tematyki gotyckiej — odniosły ogromny sukces komercyjny. To sprawiło, że nie cieszył się popularnością wśród co bardziej zrędliwych członków społeczności akademickiej, przynajmniej Forrester doszedł do takiego wniosku na podstawie kilku recenzji, które przeczytał.

To de Savary zaproponował, żeby się spotkali na lunchu w tej bardzo modnej japońskiej restauracji w pobliżu Soho. Forrester wysłał mu e-mail z prośbą o chwilę rozmowy, kiedy profesor będzie następnym razem w mieście. De Savary chętnie się zgodził i zaproponował nawet, że ureguluje rachunek, co było o tyle korzystne, że wybrany przezeń lokal różnił się od przybytków, w których komisarz zazwyczaj bywał, zbierając informacje: był co najmniej pięć razy droższy.

De Savary z wielkim entuzjazmem pochłaniał małą porcję czarnego dorsza w sosie miso. Siedzieli na dębowej ławie przed barem, który otaczał centralną część kuchenną wyposażoną w wielki czarny grill. Doglądali go srodzy japońscy kucharze siekający tajemnicze warzywa przerażająco wielkimi nożami. Profesor odwrócił się do Forrestera.

— Skąd wasi technicy wiedzą, że eliksir to damu?

Mówił o płynie w fiole z Castlerigg. Forrester próbował złapać pałeczkami kawałek surowego kalmara: bez powodzenia.

— Mieliśmy w Londynie kilka przypadków mordów rytualnych na tle muti. Afrykańskich dzieci składanych w ofierze. Więc chłopcy z laboratorium już wcześniej zetknęli się z damu.

— Chodzi o ten bezgłowy tułów dziecięcy znaleziony w Tamizie?

— Mhm. — Komisarz pociągnął łyk ciepłej sake. — Damu to ponoć skoncentrowana krew ofiarna. Tak mi mówili patolodzy.

— No, słusznie. — Stojący za barem wielki japoński kucharz błyskawicznie patroszył jaskraworóżową rybę. — Praktyki muti są odrażające. Co roku w czarnej Afryce giną setki dzieci. Wie pan, co dokładnie im robią?

— Słyszałem, że odrąbują kończyny...

— Tak, ale kiedy dzieci są jeszcze żywe. Odcinają też genitalia. — De Savary wziął łyk piwa. — Krzyki żywych ofiar mają jakoby zwiększać moc działania muti. Może weźmiemy jeszcze filet z tuńczyka żółtopłetwego?

— Przepraszam?

Najwyraźniej w tej ultramodnej restauracji obowiązywała zasada zamawiania maleńkich porcyjek, nie składało się od razu pełnego zamówienia, tylko dobierało kolejne potrawy, aż człowiek się najadł. To się Forresterowi podobało. Nigdy wcześniej nie był w podobnym miejscu. Zastanawiał się, kogo stać na takie ceny. Sushi z krabami w miękkiej skorupie sprowadzanymi z Alaski. Toro ze szparagami i kawiozem z jesiotra. Co to jest toro?

— Tempura z garnelą skalną jest wyborna — powiedział de Savary.

— Wie pan co — zaproponował Forrester — proszę zamówić, zdaję się na pana. A później powie mi pan, co sądzi o sprawcach?

De Savary uśmiechnął się smętnie.

— Tak, naturalnie. O trzeciej mam wykład. Zatem lepiej załatwmy to teraz.

— No więc co pan sądzi?

— Wasz gang zdaje się mieć obsesję na punkcie ofiar z ludzi.

— Tyle też wiemy.

— Ale mamy tu do czynienia z dość ekscentryczną kompilacją różnych praksis.

— Że jak?

— Sięgają po ryty ofiarnicze z różnych kultur. Wycięcie języka jest proveniencji bodaj skandynawskiej, zakopanie głowy japońskiej albo izraelskiej. Golenie głowy niewątpliwie azteckiej. Gwiazda Dawida, tak jak pan mówi, nawiązuje do Salomona.

Podeszła do nich młoda kelnerka i de Savary złożył zamówienie. Dziewczyna ukloniła się lekko i oddaliła. Profesor znowu przeniósł wzrok na

Forrestera.

— A teraz mamy damu zakopane w miejscu ofiarnym. Tak postępują afrykańscy szamani przed większym zabójstwem muti. Zakopują damu w otoczonym czcią miejscu. Potem przystępują do złożenia ofiary.

— Więc... Sądzi pan, że oni znowu zabijają?

— Ależ naturalnie. A pan nie?

Forrester westchnął i przyznał mu rację. Oczywiście, że oni znowu uderzą.

— A co z tym klubem Hellfire? Jak on się z tym wszystkim łączy?

— Nie jestem pewien. Ewidentnie szukają czegoś, co ma związek ze stowarzyszeniem. Czego dokładnie, jest już niestety mniej oczywiste.

Na dębowym barze postawiono przed nimi trzy talerze. Unosił się z nich cudowny aromat. Forrester marzył, by wolno mu było użyć łyżki.

— Mogę panu jeszcze powiedzieć — ciągnął de Savary — jak działają te satanistyczne sekty, naświetlić profil psychologiczny członków. Zwykle pochodzą z klasy średniej lub nawet wyższej. Manson i jego wyznawcy to nie były szumowiny z nizin społecznych, tylko bogate dzieciaki. Najpotworniejsze zbrodnie popełniają właśnie znudzeni, wykształceni krezusi. Widać to też na przykładzie grupy terrorystycznej Baader-Meinhof w Niemczech. Dzieci bankierów, milionerów, biznesmenów. Elita.

— Albo Osamy bin Ladena.

— Właśnie. Inteligentny, charyzmatyczny syn sławnego miliardera, a zafascynował go najbardziej nihilistyczny, psychopatyczny odłam islamu.

— Upatruje pan tu analogii z klubem Hellfire?

De Savary wprawnie chwycił pałeczkami kawałek tuńczyka. Forrester poradził sobie niemal równie dobrze. Ryba była przepyszna.

— Znowu trafił pan w sedno. Klub Hellfire stworzył, że się tak wyrażę, matrycę dla *bon chic, bon genre* sekt śmierci naszych czasów. Grupa angielskich arystokratów, w tym wielu bardzo utalentowanych: pisarzy, naukowców, mężów stanu, oddających się rozmyślnie amoralnym czynom. Może po to, by *épater les bourgeois*?

— Ale niektórzy twierdzą, że Hellfire był tylko klubem ochlapusów. Stowarzyszeniem hulaków.

De Savary potrząsnął głową.

— Sir Francis Dashwood uchodził za jednego z lepszych religioznawców swoich czasów. Udał się na Daleki Wschód, żeby rozwijać bardziej tajemne zainteresowania: religijną ezoterykę. To nie jest działanie dyletanta. A

Benjamin Franklin bez dwóch zdań był jednym z najwybitniejszych umysłów ówczesnej doby.

— Więc raczej nie spotykałoby się po to, żeby złopać dzin. I grać w rozbieranego twistera?

— Nie, nie wydaje mi się. — De Savary zachichotał.

Stojący za barem japoński kucharz używał dwóch noży naraz, filetując i krojąc w kostkę długiego śliskiego węgorza. Tusza tańczyła pod ostrzem na desce, jakby była żywa. Może była.

— Jest kwestią sporną, do czego posuwali się członkowie angielskiego Hellfire. Wiemy na pewno, że ci stowarzyszeni w irlandzkim byli potwornie okrutni. Oblewali koty alkoholem i podpalali. Miauczenie zdychających zwierząt nie dawało spać połowie Dublina. W ten sam sposób zamordowali też jakiegoś służącego. Szło o zakład. — Urwał. — Myślę, że klub Hellfire i niektóre inne sekty satanistyczne, z którymi mamy do czynienia w Europie, mogą pomóc nam zrozumieć, jak wygląda wasz gang. Od strony hierarchicznej. Motywacyjnej. Psychologicznej. Z pewnością ma wyraźnie określonego przywódcę. Charyzmatycznego i bardzo inteligentnego. Przypuszczalnie kogoś dobrze urodzonego.

— A pozostali członkowie?

— Bliscy przyjaciele, słabsze osobowości. Ale inteligentni. Pozostający pod wpływem demonicznego uroku lidera sekty. Jest duże prawdopodobieństwo, że też pochodzą z wyższych, dobrze sytuowanych kręgów.

— To by się zgadzało z charakterystykami, jakie mamy: wytworny akcent et cetera.

De Savary wziął talerz z baru. Zastanawiał się przez chwilę z wzrokiem wbitym w jedzenie, potem stwierdził:

— Uważam jednak, że przywódca tej waszej grupy jest kompletnie szalony.

— Przepraszam?

— Musimy pamiętać, jak wygląda jego *modus operandi*. Ta ahistoryczna mieszanina elementów różnych kultów ofiarniczych. Zresztą już sama idea rytualnego mordu świadczy o obłąkaniu. Jeśli szuka czegoś związanego z Hellfire, mógłby to robić w sposób znacznie dyskretniejszy, zamiast jeździć po kraju i szlachtować ludzi. Owszem, te zabójstwa są zaplanowane i wykonane z pewną finezją. Sprawcy, jak pan mówi, zacierają wszystkie ślady, ale po co w ogóle zabijać, jeśli zasadniczym celem jest odzyskanie

czegoś? Znalezienie czegoś ukrytego? — Wzruszył ramionami. — *Et voilà*. To nie jest racjonalny, chociaż rozpasany Francis Dashwood, to trąca bardziej Charlesem Mansonem. Psychopata. Geniusz, ale psychopatyczny.

— A to oznacza?

— To pan jest policjantem. Sądzę, że znaczy to, iż posunie się za daleko. W tym szaleństwie popełni błąd. Pytanie tylko...

— Ilu ludzi wcześniej zabije?

— Otóż to. No a teraz musi pan koniecznie spróbować tego daikona. To rodzaj rzodkwi. Niebo w gębie.

Po powrocie do Scotland Yardu Forrester ulżył sobie po lunchu zdrowym beknieniem. Potem usiadł na obrotowym krześle i zakręcił się dokoła jak dziecko. Był lekko wstawiony sake, ale łatwo się rozgrzeszył. Lunch z nowym znajomym okazał się nad wyraz owocny. Forrester podniósł słuchawkę i zadzwonił do Boijera.

— Tak, sir?

— Boijer, chcę, żebyś trochę powęszył. Poszukał.

— Czego?

— Gangu w co bardziej elitarnych prywatnych szkołach średnich.

— Okay...

— Zaczynaj od Eton. Winchester. Westminster. Nie schodź poniżej Millifield. Sprawdź Harrow. Zajrzyj do wykazu stowarzyszenia dyrektorów szkół prywatnych.

— Dobrze. Ale... o co mam pytać?

— O nieobecnych chłopców. Zaginionych uczniów. I sprawdź także lepsze uniwersytety. Oxbridge, London, St Andrews, Durham. Znasz listę.

— Bristol.

— Czemu nie. I Exeter. I Szkołę rolniczą w Cirencester. Szukamy uczniów lub studentów, którzy niedawno nagle porzucili naukę. Potrzebuję bogatych chłopaków z problemami.

Rozkładające się zmumifikowane zwłoki dziecka leżały na podłodze. W powietrzu unosił się gnilny odór. Nad posągami i regałami muzealnych podziemi migotały gołe żarówki. Zbliżający się mężczyźni byli wielcy, uzbrojeni i wściekli. Robowi wydawało się, że poznaje kilku robotników pracujących na wykopaliskach. Kurdowie. Wyglądali na Kurdów.

Do pomieszczenia prowadziły tylko jedne drzwi. A drogę do nich zagradzało ośmiu albo dziewięciu mężczyzn. Niektórzy mieli broń palną: stary pistolet, śrutówkę, nowiuteńką strzelbę myśliwską. Reszta trzymała w dłoniach duże noże, jeden tak wielki, że wyglądał jak maczeta. Rob posłał Christine przepaszające, żalodne spojrzenie. Uśmiechnęła się smutno, z rozpaczą. Potem stanęła przy nim, wyciągnęła rękę i uścisnęła mu dłoń.

Zostali pojmani i rozdzieleni. Mężczyźni chwycili Roba za kołnierz, Christine za ramiona. Największy z nich, ewidentnie przywódca, zerknął w boczny korytarzyk na rozbitą amforę i budzące litość małe zwłoki z dziwną sączącą się ciecżą. Syknął na kamratów. Od głównej grupy natychmiast oddzielili się dwaj Kurdowie i weszli do korytarzyka, przypuszczalnie żeby zlikwidować ślady, zając się ohydną kupką gnijącego ciała.

Rob i Christine zostali wyprowadzeni z podziemi. Jeden z mężczyzn przycisnął Robowi pistolet do policzka. Zimną lufę czuć było smarem. Dwaj inni brutalnie trzymali Christine za nagie ramiona. Pochód zamykali wysoki mężczyzna ze strzelbą myśliwską i kilku jego towarzyszy.

Dokąd ich zabierali? Rob wyczuwał, że Kurdowie także są przerażeni, może równie mocno jak on i Christine. Ale wyczuwał też determinację. Prowadzili ich wzdłuż długich rzędów pustynnych potworów, rzymskich generałów i kananejskich bogów burzy. Obok Anzu, Isztar, Nimroda.

Weszli po schodach do głównej sali muzeum. Christine dzielnie przeklinała po francusku. Roba zalała fala uczuć opiekuńczych i wstydu. To on tu jest mężczyzną. Powinien coś zrobić. Być bohaterski. Kopnięciem

wytrącić Kurdom noże z dłoni, powalić ich na podłogę, chwycić Christine za rękę i uratować, wydostać stąd, wyprowadzić na wolność.

Ale rzeczywistość wyglądała inaczej. Prowadzono ich niczym pojmane zwierzęta, wolno, ale metodycznie, na pewien los. Czyli... dokładnie na jaki? Czy to jest porwanie? Pokazówka? Czy ci mężczyźni są terrorystami? Co się tak naprawdę dzieje? Rob miał nadzieję, że może jakimś cudem mają do czynienia z policjantami. Ale w głębi duszy wiedział, że nie. Niemożliwe. To nie wyglądało na policyjne zatrzymanie. Napastnicy nie sprawiali wrażenia niewiniątek, wyglądali złowrogo, może nawet na morderców. Przed oczyma stanęły mu obrazy z egzekucji, ścinanie głów. Twarze tych wszystkich nieszczęśników w Iraku, Afganistanie i Czeczenii. Przyciskanych do ziemi. Nóż przecinający chrząstkę i tchawicę. Zdekapitowane ciało tryskające powietrzem i krwią, a potem padające bezwładnie na ziemię. *Allahu Akbar. Allahu Akbar.* Ziarnisty obraz w Internecie. Makabra. Ofiara z ludzi składana na oczach milionów za pośrednictwem sieci. Christine nadal klęła. Rob opierał się i wił, ale mężczyźni trzymali go mocno. Nie miał szans zostać bohaterem. Mógł tylko krzyczeć.

— Christine? — zawołał. — Christine?!

Zza pleców usłyszał:

— Tak.

— Nic ci nie jest? Co...

Na jego wargach wylądowała pięść. Poczuł, jak usta wypełnia mu gorąca, słona krew. Ból był przeszywający, nogi się pod nim ugięły.

Naprzeciwko niego stanął przywódca. Uniósł krwawiącą głowę Roba i rzucił:

— Nie mówić. Nie rozmawiać!

Na jego twarzy nie malowało się okrucieństwo, raczej rezygnacja. Jakby musiał zrobić coś, czego wcale nie chciał robić. Coś naprawdę strasznego.

Na przykład wykonać egzekucję.

Jeden z Kurdów powoli i ostrożnie otworzył główne drzwi muzeum. Ten widok wywołał w głowie Roba serię wspomnień: ostatnie kilka dziwnych godzin jego życia. Barany zarzynane na ulicach Çanhurfy, mężczyźni w odświętnych czarnych spodniach, ukradkowe wtargnięcie do muzeum. A potem niemy krzyk niemowlęcia pogrzebanego żywcem dwanaście tysięcy lat temu.

Stojący przy drzwiach Kurd skinął głową do towarzyszy. Wyglądało na to, że droga jest wolna.

— Wsiadać do samochodu, już! — przynaglił ich przywódca.

Mężczyźni przeprowadzili Roba szybko przez duszny, tonący w blasku księżycy park. Obok powalanego figami samochodu stały teraz jeszcze trzy inne auta. Stare, rozwalone miejscowe rzęchy — na pewno nie były to policyjne radiowozy. Rob poczuł, jak gaśnie w nim ostatnia iskierka nadziei.

Najwyraźniej zamierzali wywieźć ich gdzieś daleko. Może poza miasto. Do jakiegoś odludnego gospodarstwa. Gdzie przykują ich łańcuchami do krzesel. Rob słyszał już odgłos noża podryniającego mu gardło. *Allahu Akbar*. Przegnał tę myśl. Musi zachować przytomność umysłu. Ratować Christine. I siebie dla córki.

Jego córka!

Poczucie winy dźgnęło mu serce niczym szklany sztylet. Jego Lizzie! Nie dalej jak wczoraj obiecał jej, że za tydzień będzie już w domu. A teraz być może już nigdy jej nie zobaczy. Głupi, głupi, głupi, głupi!

Poczuł na głowie nacisk czyjejś ręki. Chcieli, żeby się schylił, i wsiadł na tylne siedzenie wozu. Opierał się w przeczuciu, że zabierają go na pewną śmierć. Odwrócił się i zobaczył tuż za sobą Christine z nożem przy gardle, ciągniętą do drugiego samochodu. Żadne z nich nie mogło nic zrobić.

I nagle padło gromkie:

— Stać!

Zamarli. Park zalał potok światła.

— Zatrzymać się!

Blask był oślepiający, ale Rob wyczuwał obecność większej liczby ludzi. Rozległ się dźwięk syren. Czerwone i niebieskie światła. Rejwach. Policja. Czy to policja? Wyszarpnął ramię z uścisku trzymającego go mężczyzny, osłonił oczy i popatrzył w jaskrawe światło...

Kiribali z dwudziestką albo trzydziestką policjantów. Wbiegali do parku. Kucali. Zajmowali pozycje. Celowali. Ale nie byli to zwykli policjanci. Mieli czarne mundury i pistolety maszynowe.

Kiribali krzyczał coś po turecku do Kurdów. A ci się wycofywali. Ten stojący najbliżej Roba upuścił pistolet i podniósł ręce do góry. Christine wyrwała się napastnikom i pobiegła przez parking w kierunku policji.

Rob oswobodził drugie ramię i także ruszył w kierunku Kiribalego. Na twarzy Turka malowała się bliska pogardzie obojętność. Warknął krótko:

— Chodźcie ze mną.

Poprowadzono ich do nowego bmw zaparkowanego przed terenem muzeum. Kiribali polecił im wsiąść do tyłu, sam usiadł z przodu, odwrócił się



i oświadczył:

— Odstawiam was na lotnisko.

— Ale... — zaczął Rob. Z trudem poruszał obolałymi wargami.

Kiribali go uciszył.

— Poszedłem do mieszkania i pokoju hotelowego. Puste. Oba puste. Wiedziałem, że na pewno przyszliście tutaj. Jesteście tacy niemądrzy Tacy głupi.

Auto pędziło szeroką, oświetloną latarniami ulicą. Kiribali rzucił szybko coś do kierowcy po turecku, który odpowiedział mu posłusznym głosem.

Policjant odwrócił się z powrotem do Roba i spiorunował go wzrokiem.

— W bagażniku macie kilka toreb. Paszporty. Laptopy. Resztę rzeczy wam odeślemy. Dziś wieczorem wylatujecie z Turcji. — Rzucił coś na tylne siedzenie. — Wasze bilety. Do Londynu przez Sztambuł. Bez powrotnych. Natychmiast.

Christine zaprotestowała, ale jej głos był niepewny i drżący. Kiribali popatrzył na nią z bezmierną pogardą, potem zamienił z kierowcą jeszcze kilka słów. Samochód jechał teraz przez przedmieścia. Płaska półpustynia była cicha, pogrążona w księżycowej poświacie, nadającej jej odcień zmatowiałego srebra.

Kiedy dojechali na lotnisko, kierowca wyjął z bagażnika ich bagaże. W niewielkiej sali odlotów Kiribali patrzył, jak zgłaszają się do odprawy. Wskazał na halę przylotów.

— Spodziewam się, że już was tu nie zobaczę. Jeśli wrócicie, najpewniej zabiją was Kurdowie. A nawet jeśli im się nie uda, ja osobiście wpakuję was do więzienia. Na bardzo długo. — Stuknął obcasami niczym pruski oficer przyjmujący rozkaz, potem rzucił im jeszcze jedno wściekłe, pogardliwe spojrzenie i zniknął.

Rob i Christine przeszli przez bramkę i wsiedli do samolotu. Maszyna kołowała chwilę po pasie, po czym wzbiła się w powietrze. Rob osunął się na fotel, całe ciało pulsowało mu bólem i adrenaliną. Dopiero teraz wszystko zaczynało do niego docierać, dopiero teraz to poczuł: emocje, strach, zajadłą furję. Tak samo czuł się po zamachu bombowym w Iraku. Napinał i luzował mięśnie szczęki. Wargę nadal go bolała, jeden zęb miał pęknięty. Starł się uspokoić, ale w głowie huczało mu od kłębiących się w niej myśli. To jeszcze nie koniec. Jest dziennikarzem. Dobrym dziennikarzem. Może to niewiele, ale powinien to wykorzystać. Wiedział, że musi jakoś skanalizować swoją wściekłość, bezsilny gniew, swoją sponiewieraną, poniżoną męskość.

Jeśli im się wydaje, że go przestraszą pistoletami i nożami, są w błędzie. Będzie miał swój reportaż. Nie da się zastraszyć. Musiał się tylko uspokoić, choć miał ochotę krzyczeć. " Popatrzył na Christine.

I wtedy, po raz pierwszy od chwili kiedy rozbił urnę, odezwała się bezpośrednio do niego.

Cicho, ale wyraźnie powiedziała:

— Kananejczycy.

— Co?

— Tak robili starożytni Kananejczycy. Grzebali swoje dzieci. Żywcem.

— Odwróciła się i popatrzyła przed siebie. — W amforach. W dzbanach.

Rob odłożył telefon i przyjrzał się męczącemu rojowisku stambulskiego lotniska. Przez godzinę rozmawiał z córką: radosną, rozgadaną, tęskną, cudowną godzinę. Następnie spędził niepozobawione napięcia i irytujące dziesięć minut, rozmawiając z jej matką. Okazało się, że jego eks małżonka właśnie zabiera Lizzie na dwa tygodnie na wieś. Nawet gdyby z miejsca pojechał do domu, i tak by się z nimi rozminął.

Potał zmęczoną twarz. Wylądowali w środku nocy, padając z nóg, i w poczekalni złapali kilka godzin snu, który jednak nie przyniósł ukojenia. Cóż to były za niewiarygodne dwadzieścia cztery godziny. Jaki dziwny ciąg wydarzeń. I co teraz powinien zrobić?

— Ej, żołnierzu! — Christine wymachiwała puszkami dietetycznej coli. — Pomyślałam, że to ci dobrze zrobi.

Rob przyjął puszkę z wdzięcznością. Lodowaty napój szczypał go w rozciętą wargę.

— W domu wszystko w porządku, Robercie?

— Tak... — Patrzył, jak jakiś chiński biznesmen spluwa z werwą do pojemnika na śmieci. — Nie. Raczej nie. Takie tam sprawy rodzinne...

— Cóż. — Rozglądała się spokojnie po hali tranzytowej. — Tylko popatrz. Wszystko wygląda jak gdyby nigdy nic. Starbucks. McDonalds... Aż dziw bierze, gdy się pomyśli, że zaledwie wczoraj chciano nas porwać.

Rob rozumiał, co chce powiedzieć. Westchnął i spojrzął z niechęcią na tablicę odlotów. Samolot do Londynu startował dopiero za kilka godzin. Nie miał ochoty siedzieć tu i beczynnie czekać. Ale nie bardzo palił się też do powrotu do Londynu, jeśli nie było tam jego córki. Bo niby po co? Chciał dokończyć artykuł, wywiązać się ze zlecenia. Już rozmawiał z naczelnym i zrelacjonował mu ciut ocenzurowaną wersję ostatnich wydarzeń. Steve przeklął dwa razy i spytał Roba, czy jest bezpieczny. Ten go zapewnił, że czuje się dobrze. Więc redaktor z wahaniem, ale zgodził się, żeby pracował dalej: „Dopóki nie dostaniesz kulki w łeb”. Obiecał nawet przelać na konto

Roba dodatkowe fundusze. Zatem kompas wskazywał jeden kierunek. Nie rezygnuj. Nie poddawaj się. Ciągnij ten wózek. Dokończ artykuł.

Ale był jeden problem z ciągnięciem wózka: Rob nie wiedział, jakie jest zdanie Christine. Wydarzenia w muzeum były naprawdę przerażające. On wiedział, że sobie z tym poradzi: był przyzwyczajony do niebezpieczeństw. Poradził sobie z Irakiem. No, prawie. Czy mógł jednak oczekiwać, że ona potraktuje sprawę równie spokojnie? Czy nie za dużo od niej wymaga? Była naukowcem, nie korespondentem wojennym. Dopił colę i poszedł wyrzucić puszkę do kosza. Kiedy wrócił, Christine popatrzyła na niego badawczo z niewyraźnym uśmiechem.

— Nie chcesz lecieć do domu, prawda?

— Jak się domyśliłaś?

— Po sposobie, w jaki łypiesz bez przerwy na tablicę odlotów. Jak na najgorszego wroga.

— Przepraszam.

— Mam te same odczucia, Robercie. Zbyt wiele niewyjaśnionych spraw. Nie możemy chyba tak po prostu uciec?

— No to... co w takim razie zrobimy?

— Odwiedzmy moją przyjaciółkę Isobel Previn. Mieszka tutaj.

Pół godziny później wsiedli do lotniskowej taksówki i po dziesięciu minutach mknęli autostradą, kierując się w stronę zgiełkliwego Stambułu. Po drodze Christine opowiedziała mu jeszcze raz historię Isobel Previn.

— Mieszkała w Konyi. Pracowała z Jamesem Mellaertem. W Çatalhöyük. I była moją promotorką w Cambridge.

— Tak, pamiętam.

Rob wyjrzał przez okno taksówki. Za wiaduktami i osiedlami mieszkaniowymi widział ogromną kopułę w otoczeniu czterech strzelistych minaretów: Hagia Sofia, wielka katedra patriarsza Konstantynopola licząca półtora tysiąclecia.

Sam Stambuł był żywym i ciekawym miastem. Starożytne mury sąsiadowały z lśniącymi drapaczami chmur. Na ulicach roiło się od nowocześnie ubranych ludzi: dziewcząt w krótkich spódniczkach, mężczyzn w eleganckich garniturach, ale co jakiś czas mijali osiedla z brudnymi kowalami, kobietami w hidżabach i sznurkami suszącego się prania. A wszystko to otaczał, widoczny między blokami i biurami, potężny Bosfor, wielki łuk wody oddzielający Azję od Europy i Zachód od Wschodu.

Barbarzyńców od cywilizacji — w zależności od tego, po której stronie się mieszkało.

Christine zadzwoniła do przyjaciółki. Rob wywnioskował ze strzępków rozmowy, że Isobel bardzo się ucieszyła z telefonu dawnej studentki. Czekał, aż Christine się rozłączy, i spytał:

— No to gdzie mieszka?

— Ma dom na jednej z Wysp Książęcych. Dostaniemy się tam promem.

— Uśmiechnęła się. — Jest bardzo ładny. Chce, żebyśmy się u niej zatrzymali.

Rob przystał na to z radością.

— Może będzie mogła nam pomóc z tymi archeologicznymi zagadkami.

To zręczy okropną małą mumią w amforze: dzbanie na oliwę. Taksówkarz zaczął się wydzierać na kierowców ciężarówek, a Rob poprosił Christine, by opowiedziała mu więcej o Kananejczykach.

— Pracowałam kiedyś w Tell Gezer — powiedziała. — To stanowisko archeologiczne w Górach Judzkich, pół godziny drogi od Jerozolimy. Ruiny kananejskiego miasta.

Taksówka telepała się teraz w dół. Zjechali z głównej drogi i wlekli się zatłoczonymi, ruchliwymi ulicami.

— Kananejczycy grzebali żywcem swoje pierworodne dzieci, w amforach. Kilka z nich znaleziono na stanowisku. Niemowlęta w dzbanach, dokładnie takich jak te z podziemi. Myślę więc, że właśnie to znaleźliśmy w piwnicach. Ofiary rytualnych mordów.

Przed oczyma Roba stanął jak żywy potworny widok niemowlęcej twarzy. Zastygły na niej wstrząsający niemy krzyk. Wzdrygnął się. Kto, na Boga, mógłby zakopać żywcem dziecko? W dzbanie? Po co? Z jakiej przyczyny? Co mogło pchnąć do takiej potworności? Jaki Bóg mógł żądać czegoś podobnego? Co wydarzyło się w Göbekli? Inna myśl przyszła mu do głowy, kiedy samochód skręcił na nabrzeże.

— Czy Abraham nie miał przypadkiem czegoś wspólnego z Kananejczykami?

— Owszem — powiedziała Christine. — Kiedy opuścił Charan i Şanhurfę, zamieszkał na ziemi Kananejczyków. Tak przynajmniej podaje Biblia. Hej, chyba jesteśmy na miejscu.

Stali tuż przed terminalem promowym. Roił się od ludzi: dzieci i dziewcząt na rowerach, mężczyzn niosących pudła pełne herbatników sezamowych. Rob znowu zdał sobie sprawę z przebiegającej przez miasto

linii uskoku cywilizacyjnego. Wrażenie było niemal schizofreniczne. Mężczyźni w dżinsach stali obok mężczyzn z bujnymi muzułmańskimi brodami, roześmiane dziewczyny w miniówkach rozmawiały przez komórki obok milczących dziewcząt w czarczafach.

Kupili bilety i skierowali się na główny pokład. Przechadzając się przy relingu, Rob poczuł, że nastrój mu się poprawia. Woda, słońce, świeże powietrze, chłodny wietrzyk. Jak mu tego wszystkiego brakowało. Şanhurfa była tak przerażająco śródlądowa, gotowała się w kurdystańskiej misie.

Prom wolno sunął po wodzie. Christine wskazywała na niektóre z zabytków i atrakcji turystycznych panoramy miasta. Złoty Róg. Błękitny Meczet. Pałac Topkapi. Jakiś bar, w którym z Isobel upiły się raki. Potem wspominała Cambridge i czas spędzony na uniwersytecie. Rob śmiał się z jej opowieści. Był z niej wtedy niezły numer. Ani się obejrzel, a rozległ się dźwięk promowej syreny: dopłynęli na wyspę.

Na niewielkiej przystani roіło się od Turków, ale Christine natychmiast wypatrzyła w tłoku Isobel. Nie było to trudne. Srebrnowłosa starsza kobieta rzucała się w oczy w tłumie smaglejszych twarzy. Miała na sobie powiewną, wirującą suknię, pomarańczową apaszkę z jedwabiu. I lornion.

Zeszli po trapie. Obie kobiety się uścisnęły, potem Christine przedstawiła Roba. Isobel uśmiechnęła się z wdziękiem i poinformowała go, że jej dom znajduje się o pół godziny drogi stąd.

— Nie mamy samochodów na wyspach. Ruch kołowy jest zakazany. Dzięki Bogu.

Kiedy przeciskali się przez tłum, Christine zrelacjonowała Isobel niesamowite wydarzenia ostatnich kilku tygodni. Straszliwe morderstwo. Niewiarygodne znaleziska. Isobel kiwała głową. Wyraziła ubolewanie z powodu śmierci Franza. Rob wyczuwał, że obie kobiety łączy więź zbliżona do tej między matką i córką. Było to wzruszające i skierowało jego myśli ku Lizzie. Uznał, że małej na pewno spodobałaby się wyspa. Była ładna, a przy tym nieco tajemnicza z tymi wszystkimi drewnianymi domami, tamaryszkiem, ruinami, bizantyjskimi kościołami i kotami śpiącymi w słońcu. Jak okiem sięgnąć połyskiwała woda, a w oddali rysowała się sławna panorama Stambułu. Zachwycająca. Rob przyrzekł sobie solennie, że kiedyś, pewnego pięknego dnia, ją tu przywiezie.

Dom Isobel był cudownie stary: chłodne letnie ustronie dla osmańskich książątek. Zbudowany z białego kamienia stał na ocienionej plaży, spoglądając przez morze na inne wyspy.

Usiedli na pokrytej poduszkami sofie i Christine dokończyła opowieść o Göbekli i ostatnich tygodniach. Zapadło milczenie, kiedy zamknęła relację szokującym epilogiem: napaścią i próbą porwania w muzeum.

Cisza dzwoniła w powietrzu. Rob słyszał zza uchylonych okiennic plusk wody i sosny szumiące w słońcu.

Isobel wolno obracała w dłoniach lornion. Dopili herbatę. Christine popatrzyła na Roba i wzruszyła ramionami, jakby mówiła: może Isobel nie potrafi nam pomóc. Może zagadka jest zbyt trudna.

Rob westchnął, czując nagłe zmęczenie. Ale raptem Isobel się wyprostowała. Z błyskiem w oczach poprosiła Roba, żeby pokazał jej zdjęcia symbolu na amforze, które zrobił aparatem komórkowym.

Wyłowił komórkę z kieszeni i ustawił zdjęcie. Isobel studiowała je przez chwilę.

— Mhm. Tak jak myślałam. To symbol używany przez jazydów.

— Przez kogo?

— Przez jazydów... — Uśmiechnęła się. — Może lepiej wyjaśnię. Ta odległa część Kurdystanu, gdzie leży Şanhurfa, jest kolebką najróżniejszych religii. Chrześcijaństwo, judaizm i islam, wszystkie mają tam korzenie. Ale zachowały się tam też jeszcze inne, starsze wierzenia. Jak ahl-e hakk, alawizm i jazydyzm. Razem nazywane są kultem aniołów. Narodziły się pięć tysięcy lat temu, może wcześniej. Występują tylko w tej części świata — urwała. — A jazydyzm jest z nich najstarszy i najdziwniejszy.

— Pod jakim względem?

— Tradycje jazydów są bardzo osobliwe. Oddają cześć drzewom. Kobietom nie wolno ścinać włosów. Nie jedzą sałaty. Nie noszą granatu, bo jest kolorem świętym. Dzielą się na kasty, członkom jednej kasty nie wolno wchodzić w związki małżeńskie z członkami innej. W wyższych kastach panuje poligamia. Poślubienie niejazyda wiąże się z ostracyzmem albo czymś gorszym. W związku z czym nigdy nie żenią się poza swoją grupą religijną. Nigdy.

— Czy kult aniołów nie wymarł w Turcji? — wtrąciła Christine.

— Niemal. Ostatni wyznawcy żyją głównie w Iraku, jakieś pół miliona. Ale w Turcji nadal jest kilka tysięcy jazydów. Oczywiście zajadle prześladowanych przez muzułmanów, chrześcijan, dyktatorów...

— Ale w co tak naprawdę wierzą? — spytał Rob.

— To synkretyczna religia, łączy elementy wielu różnych wierzeń. Podobnie jak Hindusi, wierzą w reinkarnację. Na wzór mitraitów składają

ofiary z byków. Jak chrześcijanie wierzą w chrzest. Kiedy się modlą, zwracają się twarzą do słońca jak zaratusztrianie.

— A dlaczego sądzi pani, że symbol na amforze jest jazydzkiej proweniencji?

— Pokażę panu.

Isobel podeszła do regału w drugim końcu pokoju i wróciła z książką. Otworzyła ją w połowie na rysunku ukazującym dziwny miedziany kij z ptakiem siedzącym na górze. Napis pod spodem głosił, że jest to „jazydzki sandzak”. Taki sam symbol był wyryty na dzbanach, które znaleźli w podziemiach.

Isobel zamknęła książkę i zwróciła się do Christine:

— Dobrze. A teraz podaj mi imiona i nazwiska robotników pracujących na wykopalisku. I tego Beszeta z muzeum.

Christine zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć, potem trochę się zacinając, wyrecytowała pół tuzina nazwisk. I jeszcze kilka.

Isobel pokiwała głową.

— To jazydzi. Ci robotnicy z wykopaliska. Wszyscy są jazydami. Twój Beszet też. Przypuszczam, że ci, którzy próbowali was porwać także. Chcieli ochronić dzbany.

Rob szybko analizował ostatnie zajścia.

— To nawet trzyma się kupy, kiedy się spojrzy na kolejność wydarzeń. Christine poszła do Beszeta po szyfr i on go jej podał. Ale potem musiał się skontaktować ze współwyznawcami i poinformować ich o naszych zamiarach. Więc przyszli do muzeum. Dostali cynk!

— Jasne — wtrąciła Christine. — Ale dlaczego niby jazydzi mieliby się tak przejmować jakimiś starymi dzbanami? Choćby nie wiem jak koszmarna była ich zawartość? Co ich to może teraz obchodzić? Dlaczego tak desperacko chcieli nas powstrzymać?

— W tym właśnie rzecz — powiedziała Isobel.

Okiennica przestała skrzypieć. Spokojne morze za oknem skrzyło się w słońcu.

— Jeszcze jedno — dodała. — Jazydzi mają bardzo dziwnego boga. Przedstawiany jest pod postacią pawia.

— Czczą ptaka?

— Nazywają go Malak Taus. Anioł-Paw. Ale znany jest też jako Moloch. Bóstwo chtoniczne czczone przez Kananejczyków. A jeszcze inne jego imię brzmi Szatan. Według chrześcijan i muzułmanów.



Rob oniemiał.

— To znaczy, że jazydzi są satanistami?

Isobel skinęła pogodnie głową.

— Demon Szejtan. Straszliwy bóg krwawej ofiary. — Uśmiechnęła się.

— Tak jak my to rozumiemy, owszem: jazydzi czczą diabła.

Cloncurry. To było ich ostatnie nazwisko i największa nadzieja. Forrester przeglądał leżące na kolanach dokumenty i zdjęcia. Deszcz bębnił o szyby. Znajdowali się we Francji, jechali wynajętym samochodem na południe od Lille. Prowadził Boijer, Forrester czytał. Szybko. I liczył, że są wreszcie na właściwym tropie. Niewątpliwie ślad wyglądał obiecująco.

Ostatnie kilka dni upłynęło im na rozmowach z dyrektorami szkół, rektorami uczelni i opiekunami naukowymi studentów, a także obdzwanianiu niechętnie nastawionych lekarzy ze szpitali uniwersyteckich. Wyłoniła się w ten sposób spora grupka ewentualnych podejrzanych. Jeden, który rzucił studia w Christ Church w Oxfordzie. Paru wydalonych z Eton i Marlborough. Schizofrenik z St Andrews od dłuższego czasu nieuczęszczający na zajęcia. Forrestera zszokowała liczba studentów ze zdiagnozowaną schizofrenią. Setki w całym kraju.

Ale wszystkich kolejno wykluczali, z tego czy innego powodu. Elegancik z Oksfordu przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Ten z St Andrews w Tajlandii. Wyrzucony z Eton nie żył. W końcu na liście pozostało tylko jedno nazwisko: Jamie Cloncurry.

Spełniał wszystkie kryteria. Pochodził z bardzo zamożnej rodziny o arystokratycznych korzeniach. Odebrał kosztowne wykształcenie w elitarnej Westminster School, gdzie, według opinii wychowawcy z internatu, zachowywał się ekscentrycznie i agresywnie. Za pobicie innego ucznia groziło mu wydalenie, uratowały go tylko doskonałe wyniki w nauce.

Następnie z zamiarem studiowania matematyki wstąpił na londyński Imperial College, jedną z najlepszych uczelni politechniczno-medycznych na świecie. Ale ta wielka szansa go nie utemperowała, w rzeczywistości jeszcze bardziej się rozzuchwiał. Eksperymentował z twardymi narkotykami, kilkakrotnie przyłapywano go w akademiku z cali girls. Jedna z nich złożyła na niego skargę na policji za brutalność, ale prokuratura odstąpiła od postawienia zarzutów na podstawie małego prawdopodobieństwa uzyskania

wyroku skazującego: ona była prostytutką, on zdolnym studentem renomowanej uczelni.

Co najważniejsze, wyglądało na to, że Cloncurry otoczył się kilkoma wyjątkowo bliskimi przyjaciółmi: Włochami, Francuzem i Amerykaninem. Jeden z jego kolegów z roku określił ich mianem „dziwacznej kliki. Ci goście niemal oddają mu cześć boską”. I, jak Boijer i Forrester ustalili, cała grupka zapadła się pod ziemię dwa czy trzy tygodnie temu. Nie widywano ich na wykładach. Zatrokana siostra jednego zgłosiła zaginięcie brata. Jego zdjęcia rozwieszono w stołówce studenckiej. Luca Marsinelli, Włoch.

Ślad po młodzieńcach zagań. Nie znaleziono żadnych wskazówek w pokojach, w których mieszkali. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, nikogo to zresztą nie obchodziło. Nie byli lubiani. Znajomi i sąsiedzi wiedzieli zaskakująco mało: „Studenci na okrągło przyjeżdżają i wyjeżdżają”. „Myślałem, że wrócił do Mediolanu”. „Powiedział tylko, że robi sobie przerwę”.

Scotland Yard musiał zatem podjąć kilka niełatwych decyzji. Ludzie Forrestera nie byli w stanie sprawdzać każdego tropu równie gorliwie. Czas gonił. Na przedmieściach Liverpoolu znaleziono porzuconą toyotę landcruiser — członkowie gangu najwyraźniej się domyślili, że samochód jest kulą u nogi. Sam gang jakby rozplynął się w powietrzu, ale Forrester wiedział, że z pewnością uderzy znowu, i to niedługo. Ale gdzie? Nie było czasu na domysły. Zatem Forrester kazał swoim ludziom skoncentrować się na Cloncurrym, domniemanym przywódcy.

Ustalono, że jego rodzina mieszka w Pikardii w północnej Francji. Mieli też rodową siedzibę w Sussex, duże mieszkanie w Londynie i nawet willę na Barbadosie. Ale z jakichś powodów zamieszkali w środkowej Pikardii, w pobliżu Albert. Dlatego właśnie Forrester i Boijer na dworcu Świętego Pankracego złapali pierwszy poranny pociąg Eurostar do Lille.

Nadkomisarz spoglądał na bezkresne pofałdowane pola, wynędzniałe zagajniki, stalowoszare niebo północnej Francji. Od czasu do czasu na wzgórzach pojawiał się kolejny brytyjski cmentarz wojenny: chwytający za serce, ale smętny rząd prostych marmurowych nagrobków. Tysiące grobów. Był to posępny widok, podwójnie przygnębiający z uwagi na deszcz. Drzewa stały obsypane majowym kwieciami, ale nawet kwiaty przywiędły, bezradne wobec niesłabnącej mżawki.

— To chyba nie jest najładniejszy region we Francji, prawda, sir?

— Ohydny — odpowiedział Forrester. — Te wszystkie cmentarze.

— Mnóstwo walk się tu toczyło, nie?

— Tak. A teraz w dodatku ten chylący się ku upadkowi przemysł. To jeszcze pogarsza sprawę. — Urwał, potem dodał: — Przyjeżdżaliśmy tu na wakacje.

Boijer zachichotał.

— Wyrafinowany wybór.

— Nie, nie tutaj. Jeździliśmy na kemping na południe Francji, kiedy byłem mały. Ale nie stać nas było na samolot, więc musieliśmy jechać samochodem przez całą Francję. Z Hawru. I przejeżdżaliśmy przez te tereny, Pikardię. Albert, Somnę i całą resztę. I za każdym razem płakałem. Bo było tu tak cholernie brzydko. Wioski są takie szpetne, ponieważ wszystkie zostały odbudowane po pierwszej wojnie światowej. Z betonu. Miliony ludzi poległo na tych mokrych polach, Boijer. Miliony. Na polach Flandrii.

— Domyślam się.

— Finowie wtedy pomieszkiwali chyba jeszcze w igloo.

— Tak, sir. Jedząc mech.

Roześmiali się jak chłopcy. Forresterowi dobrze zrobiła ta chwila relaksu. Podróż pociągami także była ponura: raz jeszcze przeglądali protokoły sekcji, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyli. Ale nic nie rzuciło się im w oczy. Ta sama naukowa analiza obrażeń. Masywny krwotok. Rana kłuta V przestrzeni międzybrowowej. Śmierć na skutek gwałtownego uduszenia.

— Chyba tutaj — powiedział Boijer.

Forrester zerknął na drogowskaz: Ribemont-sur-Ancre, 6 km.

— Masz rację. Ten zjazd.

Samochód skręcił na śliską drogę, przejeżdżając przez kałuże. Forrester się zastanawiał, dlaczego tak dużo pada w północno-wschodniej Francji. Przypomniał sobie opowieści o żołnierzach w czasie pierwszej wojny światowej topiących się w błocie, dosłownie tonących setkami i tysiącami w zrytej, rozmięklej mazi. Co za śmierć.

— Teraz w prawo.

Sprawdził adres Cloncurrych. Dzień wcześniej zadzwonił i zgodzili się na rozmowę. Głos matki był zimny i lekko drżący, ale udzieliła mu telefonicznie wskazówek, jak dojechać. Przez rue Voltaire i jakiś kilometr prosto, potem skręt w lewo na Albert.

— Teraz w lewo.

Boijer odbił kierownicą i wypożyczony samochód z chrzęstem wjechał na gościniec zryty wypełnionymi wodą koleinami.

Potem zobaczyli dom. Robił wrażenie: duży, z okiennicami, lukarnami i spadzistym dachem we francuskim stylu. Był jednak ponury, ciemny i przytłaczający. Dziwne miejsce na rodzinną siedzibę.

Matka Jamiego Cloncurry'ego czekała na nich na końcu szerokiego, wijącego się podjazdu. Mówiła z nieprzyjemnym, charakterystycznym dla wyższych sfer akcentem. Bardzo angielskim. Mąż stał w drzwiach w kosztownej tweedowej marynarce i sztruksowych spodniach. Miał jaskrawoczerwone skarpetki.

Pokojówka podała kawę w bawialni. Pani Cloncurry usiadła sztywno naprzeciwko gości.

— A zatem, inspektorze Forrester, chciałby pan porozmawiać o moim synu Jamiem.

Rozmowa, ciężka i pełna namaszczenia, szła jak po grudzie. Rodzice twierdzili, że stracili kontrolę nad synem, kiedy ten był jeszcze nastolatkiem. Gdy podjął studia, stracili także zupełnie kontakt. Usta matki drżały, kiedy omawiała „problemy” Jamiego.

Winiła narkotyki. I jego przyjaciół. Przyznała, że wini też siebie, ponieważ posłali go do szkoły z internatem — do Westminster. To jeszcze bardziej odizolowało chłopca od rodziny. „I tak zamknął się w sobie i odciął od nas. I tyle”.

Forrester był sfrustrowany. Widział, że rozmowa zmierza donikąd. Rodzice nic nie wiedzieli: na dobrą sprawę wyparli się syna.

Kiedy Boijer przejął prowadzenie przesłuchania, komisarz lustrował wzrokiem dużą bawialnię. Było tu mnóstwo rodzinnych fotografii siostry Jamiego: na wakacjach, na kucyku, podczas rozdania dyplomów. I żadnego zdjęcia Jamiego. Ani jednego. Były też portrety rodzinne. Mężczyzna w mundurze. Wicehrabia w armii indyjskiej. Admirał. Ze ścian patrzyły całe pokolenia wybitnych przodków. Teraz zaś być może — prawdopodobnie — w rodzinie pojawił się morderca. Psychopatyczny zabójca. Forrester czuł wstyd Cloncurrych. Ból matki. Ojciec praktycznie ani razu nie otworzył ust.

Dwie godziny przesłuchania niemiłosiernie się dłużyły. W końcu pani Cloncurry odprowadziła ich do drzwi. Wbiła w Forrestera spojrzenie przeszywająco niebieskich oczu — patrzyła nie na niego, ale jakby przez niego. Jej twarz o ostrych rysach przypominała twarz Jamiego ze zdjęć, które Forrester pozyskał z archiwów Imperial College. Chłopiec był przystojny, z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Matka musiała kiedyś być piękna, do tej pory zachowała figurę modelki.

— Inspektorze — powiedziała. — Chciałabym móc powiedzieć, że Jamie nie popełnił... nie popełnił tych okropieństw. Ale... ale... — Urwała.

Mąż kręcił się za jej plecami, czerwone skarpetki połyskiwały w mroku korytarza.

Forrester skinął głową i uściśnął dłoń kobiety. Ich podejrzenia się potwierdziły. Jednak ani na krok nie zbliżyli się do odnalezienia Jamiego Cloncurry'ego.

Poszli do samochodu. Deszcz wreszcie trochę osłabł.

— No to przynajmniej wiemy, że to on — powiedział Forrester, wsiadając.

Boijer odpalił silnik.

— Na to wygląda.

— Pytanie tylko, gdzie, kurwa, jest?

Samochód wjechał po mokrym żwirze na krętą drogę. Musieli pokonać wąskie uliczki miasteczka, żeby dojechać do autostrady. I Lille. Kiedy przejeżdżali przez Ribemont, Forrester zauważył małą kafejkę, skromną *brasserie*, której światła błyskały zapraszająco w dżdżystej szarości.

— Może wstąpimy na lunch?

— Chętnie.

Zaparkowali na place de la Révolution. Nad cichym skwerem górował ogromny, makabryczny pomnik ku czci poległych w czasie pierwszej wojny światowej. To maleńkie miasteczko, pomyślał Forrester, znajdowało się pewnie w samym środku walk. Wyobraził sobie, jak musiało wyglądać w kulminacyjnym momencie ofensywy nad Sommą. Szeregowcy wałęsający się koło burdeli. Ambulanse zwożące rannych do polowych szpitali. Nieustający huk wystrzałów kilka kilometrów dalej.

— To dziwne miejsce na rezydencję dla kogoś, kto jest taki bogaty. Prawda? — stwierdził Boijer. — Dlaczego właśnie je wybrali?

— Nad tym samym się zastanawiałem. — Forrester patrzył na uwiecznioną w marmurze udręczoną postać rannego francuskiego żołnierza. — Przecież gdyby chcieli mieszkać we Francji, osiedliliby się w Prowansji czy gdzieś. Na Korsyce. W Cannes. W jakimś słonecznym miejscu. Nie w tej norze.

Poszli do restauracji. W drzwiach Boijer powiedział:

— Coś mi tu śmierdzi.

— To znaczy?

— Nie kupuję tego kitu z płaczącą matką. Moim zdaniem wiedzą więcej, niż mówią. Coś w tym wszystkim jest dziwnego. Jakoś mi się to nie trzyma kupy.

Lokal był opustoszały. Podszedł do nich kelner, wycierając dłonie w brudną ścierkę.

— Polędwica w ziołach? — spytał Forrester.

Znał francuski tylko na tyle, by móc zamówić jedzenie. Boijer pokiwał głową. Komisarz uśmiechnął się do kelnera.

— *Deux steak frites, sil vous plaît. Et un bière pour moi et un... ?*

Fin westchnął.

— Pepsi.

Kelner rzucił oschłe *Merci* i zniknął.

Boijer sprawdzał coś na swoim BlackBerrym. Forrester wiedział, kiedy podwładny wpadał na jakiś pomysł, bo wysuwał wtedy język niczym uczeń dodający słupki. Sącył piwo i patrzył, jak Boijer gmera w wyszukiwarce. Wreszcie Fin uniósł głowę.

— No, to ciekawe.

— Co?

— Wrzuciłem w Google nazwisko Cloncurry i Ribemontsur-Ancre. A potem tylko Cloncurry i Ancre.

— Tak?

Boijer się uśmiechnął, przez twarz przemknął mu wyraz triumfu.

— Lord Cloncurry służył jako generał podczas pierwszej wojny światowej. I obozował niedaleko stąd. W tysiąc dziewięćset szesnastym.

— Wiemy, że rodzina ma tradycje wojskowe...

— Tak, ale... — Uśmiech Boijera się poszerzył. — Proszę posłuchać. — Odczytał notatkę, którą nagryzmolił na papierowej serwetce. — Latem tysiąc dziewięćset szesnastego lord Cloncurry zasłynął z absurdalnych, niepotrzebnych ataków na niezagrożone niemieckie pozycje. Pod jego dowództwem poległo więcej żołnierzy, proporcjonalnie, niż pod jakimkolwiek innym brytyjskim generałem w czasie całej wojny. W rezultacie dorobił się przydomku Rzeźnik Albert.

To było ciekawe. Forrester patrzył badawczo na podwładnego.

Boijer uniósł palec i zacytował:

— Takie było żniwo dowództwa Cloncurry'ego, który wysyłał oddział piechoty za oddziałem wprost pod bezlitosny ogień karabinów maszynowych doskonale wyszkolonej i świetnie uzbrojonej dywizji hanowerskiej. Jego

taktykę kilku historyków przyrównało do bezcelowego składania ofiar z ludzi.

W lokalu było cicho jak makiem zasiał. Nagle stuknęły drzwi i do środka wszedł jakiś klient, strząsając krople deszczu z parasola.

— To nie wszystko — powiedział Boijer. — Ta strona ma link. Też bardzo ciekawy, w Wikipedii.

Kelner postawił na stole dwa talerze ze stekami z polędwicy wołowej w ziołach. Forrester zignorował jedzenie. Patrzył intensywnie na Fina:

— Mów dalej.

— Najwyraźniej podczas wojny kopali tu rowy czy coś, może masowe groby. Tak czy siak, znaleziono kolejne miejsce ofiarne. Z epoki brązu, kiedy żyły tu plemiona celtyckie. Odkryto osiemdziesiąt szkieletów. — Boijer jeszcze raz zacytował: — Wszystkie pozbawione głów, ułożone w dziwny stos, i wymieszane z bronią. — Spojrzał na szefa. — Ciała znajdowały się w nienaturalnym ułożeniu. To ponoć największe miejsce mordów rytualnych we Francji.

— Gdzie leży?

— Tutaj, sir. Dokładnie tutaj. Ribemont-sur-Ancre.



Rob się obudził. Christine spała obok. W nocy skopała połowę pościeli. Patrzył na jej promienną opaleniznę. Pogładził ją po szyi, pocałował nagie ramię. Wymruczała jego imię, przewróciła się na drugi bok i wdzięcznie zachrapała.

Było prawie południe. Słońce wlewało się przez okno. Wstał z łóżka i pomaszerował do łazienki. Kiedy spłukiwał sen z włosów i twarzy, myślał o Christine: jak to się stało, że są razem, on i ona.

Nigdy wcześniej nie przeżył podobnego romansu: od przyjaźni przeszli do trzymania się za ręce, całowania, spania w jednym łóżku, jakby to była najbardziej oczywista i naturalna rzecz na świecie. Prosta i oczekiwana ewolucja. Przypomniawszy sobie swe wcześniejsze obawy, strach przed okazaniem Christine swoich uczuć. Teraz to wydawało się niedorzeczne.

Ale mimo że ich związek wydawał się taki oczywisty, był jednocześnie, co paradoksalne, nadal zaskakujący i cudowny. Rob uznał, że to nie jest tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy słyszy się w radiu jakąś genialną nową piosenkę. Ponieważ melodia jest doskonała, dokładnie taka, jaka być powinna, człowiek się zastanawia: Ach, oczywiście, tak, dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł? Tymczasem po prostu musiał znaleźć się ktoś, kto zapisał nuty.

Rob opłukał twarz i sięgnął na ślepo po ręcznik. Wytarł się i wyszedł z kabiny. Spojrzał w lewo. Okno w łazience było szeroko otwarte, patrzył przez morze Marmara wprost na inne Wyspy Książęce. Yassiada, Sedef Adasa z wioskami i lasami Anatolii w oddali. Jachty o białych żaglach sunęły nieśpiesznie po błękitnych przestworzach. Małą łazienkę wypełniał zapach nagrzanego słońcem sosnowego igliwia.

Pobyt u Isobel niewątpliwie sprzyjał ich romansowi: był dla niego pożywką i podsyczał go. Wyspa stanowiła niebiańską oazę, jaskrawe przeciwieństwo wzburzonej i pełnej przemocy Şanhurfy. Dom Isobel,

oświetlony słońcem, kołysany do snu morskimi falami, emanował czarem i spokojem, nie było nawet samochodów, które mogłyby zakłócać ciszę.

Przez dziesięć dni dochodzili tu do siebie. Robili też wypadki na pozostałe wyspy. Widzieli grób ustanowionego przez Elżbietę I pierwszego angielskiego ambasadora przy Imperium Osmańskim. Kiwali głowami, kiedy miejscowy przewodnik pokazywał im drewniany dom, w którym mieszkał Trocki. Zaśmiewali się nad filizankami tureckiej kawy w nabrzeżnych kafejkach Biiyiikady i razem z Isobel pili uderzającą do głowy raki w jej pachnącym różami ogrodzie, kiedy słońce zachodziło nad odległą Troją.

I to właśnie jednego z tych ciepłych wieczorów pod rozgwieżdżonym niebem Christine pochyliła się i pocałowała Roba. On odwzajemnił pocałunek. Trzy dni później Isobel dyskretnie poprosiła pokojówkę, by położyła ręczniki gości w jednym pokoju.

Rob stąpał ostrożnie po parkiecie. Okiennice w sypialni skrzypiały na letnim wietrze. Christine nadal spała z ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce z egipskiej bawełny. Narzucił szybko ubranie, wsunął buty i cicho zszedł na dół.

Isobel rozmawiała przez telefon. Uśmiechnęła się, pomachała Robowi i gestem zaprosiła do kuchni, gdzie pokojówka przygotowywała kawę. Wysunął krzesło, podziękował Andrei za napój. Potem siedział przy stole, zamyślony, ale szczęśliwy, patrząc przez otwarte na przestrzał kuchenne drzwi na róże, azalie i bugenwille w ogrodzie.

Kot Ezechiel — zwany przez Isobel Ezzy — gonił motyla po kuchennej podłodze. Rob bawił się nim przez kilka minut. Potem wyprostował się, sięgnął po gazetę, egzemplarz „Financial Timesa” z poprzedniego dnia, i przeczytał o zorganizowanych przez Kurdów zamachach bombowych w Ankarze.

Odłożył gazetę. Nie chciał o tym słyszeć. Żadnej przemocy czy polityki. Pragnął, żeby idylla trwała, chciał zostać tu z Christine na zawsze, i sprowadzić Lizzie.

Ale idylla nie mogła trwać: naczelny zaczynał się już niecierpliwić, domagał się, żeby skończył artykuł albo zajął się innym tematem. Rob przekazał kilka newsów z tureckiego podwórka, żeby uspokoić nastroje w redakcji, ale wiadomo było, że ten stan łaski nie jest wieczny.

Wyszedł do ogrodu i popatrzył na morze. Było jeszcze inne wyjście. Mógł rzucić pracę. Zostać tu z Christine. Wyczarterować łódź i wynajmować ją turystom. Łowić kałamarnice jak ci Grecy na Burgazadzie. Dołączyć do

armeńskich właścicieli kafejek na wyspie Yassi Ada. Obijać się w ogrodzie Isobel. Po prostu rzucić wszystko i spędzić resztę życia na słońcu. Jakoś sprowadzić tu Lizzie. Jego córeczka bawiłaby się na plaży, a on byłby otoczony kobietami, które kocha, i życie byłoby doskonałe...

Westchnął i zaśmiał się z własnych naiwnych marzeń. Miłość przysłała mu rozsądek. Miał pracę, potrzebował pieniędzy, musiał myśleć praktycznie.

Obserwował płynący w oddali katamaran. Zarys białego żagla wyglądał jak łabędź. Z zamyślenia wyrwał go hałas. Odwrócił się i zobaczył Isobel stojącą w drzwiach kuchni.

— Właśnie miałam bardzo intrygujący telefon od starego przyjaciela z Cambridge. Profesora Hugona de Savary'ego. Słyszałeś o nim?

— Nie...

— Dużo publikuje. Występuje w telewizji. I jest przy tym świetnym naukowcem. Christine go zna. Zdaje się, że miała z nim zajęcia na którymś semestrze w King's. Chyba nawet się przyjaźnili... — Isobel posłała mu uśmiech. — A tak w ogóle, gdzie ona jest?

— Śpi jak dziecko.

— Ach, ta młodzieńcza miłość. — Wzięła Roba pod ramię. — Chodźmy na plażę. Powiem ci, co miał mi do przekazania Hugo.

Plaża była kamienista i mała, ale ładna i niemal całkowicie odosobniona. Usiedli na kamiennej ławce i Isobel streściła rozmowę z profesorem. Historyk z Cambridge opowiedział jej, czego się dowiedział od policji i czego sam się domyślał na temat ponurych morderców grasujących w Wielkiej Brytanii. Gangu zabójców. Wspomniał o powiązaniach z klubem Hellfire i elementach kultu ofiarniczego występujących w zbrodniach.

— Dlaczego de Savary do ciebie zadzwonił?

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie zapominaj, że ja też pracowałam w Cambridge.

— Wiem, ale chodzi mi o to, jaki to ma związek z tym, co sami odkryliśmy?

— Hugo wie, że jestem, można rzec, ekspertem od tureckiej i sumeryjskiej starożytności, od dawnych religii Bliskiego Wschodu. Takich jak jazydyzm. Chciał zasięgnąć mojej opinii na temat pewnej powiązanej z nimi teorii. Ot, zbieg okoliczności. A może nie. — Urwała. — Hugo uważa, że ci zabójcy szukają czegoś blisko związanego z klubem Hellfire.

— Tak. Rozumiem. Kopia w miejscach łączących się jakoś z klubem. Ale czego szukają? I jak się mają do tego jazydzi?

— To czysta spekulacja. Hugo nie wspomniał nawet nic policji. Ale sądzi, że to może mieć związek z *Czarną księgą*. Że być może to właśnie jej szukają...

— *Czarna księga*? A możesz powiedzieć coś bliżej?

Isobel zrelacjonowała szybko historię Jeruzalema Whaleya: jako przyjaciółka de Savary'ego słyszała wiele pikantnych anegdot o klubie Hellfire i deprawacji jego członków.

— Wróciwszy z Ziemi Świętej, Thomas Whaley, czy też Jeruzalem Whaley, jak odtąd go zwano, przywiózł ze sobą pudło. Jakiś skarb...

— Co dokładnie?

— Nie wiadomo. Ale wiemy za to, że ogromnie cenił swoje znalezisko, wierząc, że dowiódł jakiejś teorii. W wielu listach do przyjaciół nazywał je swoim „wielkim dowodem”. Ponoć dostał je od starego jazydzkiego kapłana. Jazydzi mają kastę kapłanów, śpiewających kapłanów, którzy przekazują ustną tradycję następnym pokoleniom. Z braku tradycji literackich.

— I on spotkał jednego z nich w Jerozolimie? Kapłana, który mu to coś dał?

— Przypuszczalnie. Pewności nie ma, bo dzienniki Whaleya są irytująco mgliste. Jednak niektórzy badacze uważają, że to mogła być *Czarna księga* jazydów. Święta księga kultu aniołów.

— Mają swoją Biblię?

— Już nie. Ale przekazy ustne potwierdzają, że kiedyś istniał obszerny zbiór świętych i mistycznych tekstów zawierający jazydzkie mity i wierzenia. Według współczesnych legend jedyny egzemplarz został wywieziony przez jakiegoś Anglika setki lat temu. Może któryś wygnany kapłan dał Whaleyowi *Czarną księgę*? Na przechowanie? Jazydzi od zawsze byli prześladowani. Mogli chcieć zachować swój najcenniejszy skarb w bezpiecznym miejscu. Na przykład w odległej Anglii. Dandys Whaley bez wątpienia przywiózł coś wyjątkowego z podróży do Lewantu. Co więcej, owa rzecz, cokolwiek to było, koniec końców doprowadziła go do załamania.

— Rozumiem. No to gdzie teraz jest ta *Czarna księga*? Jeśli to o nią chodziło?

— Zniknęła. Może została zniszczona. Może ukryta.

Rob zebrał myśli. Popatrzył w pogodne, szare oczy starszej kobiety.

— Jak możemy się dowiedzieć, czego gang tak naprawdę szuka? — spytał. — Zbadać to powiązanie z jazydami?

— Lalisz — rzekła Isobel. — To jedyne miejsce, w którym możecie uzyskać odpowiedź. Święta stolica jazydów. Lalisz.

Rob poczuł dreszcz niepokoju. Wiedział, że musi tam pojechać: rozwiązać zagadkę, skończyć artykuł. Steve dopominał się o finalny tekst, ale żeby napisać go rzetelnie, Rob musiał wyjaśnić wszystkie szczegóły, zbadać sprawę *Czarnej księgi*.

Ale wiedział także, gdzie leży Lalisz. Słyszał o tym miejscu wcześniej od innych dziennikarzy. W ostatnich latach wiele razy gościło w serwisach informacyjnych. Z jak najgorszych powodów.

— Znam Lalisz — powiedział. — Leży w Kurdystanie, prawda? Na południe od granicy?

Isobel smutno pokiwała głową.

— Tak. W Iraku.

Tego wieczoru Rob powiedział Christine, że musi jechać do Lalisz, i wyjaśnił dlaczego.

Popatrzyła na niego bez słowa. Powtórzył, że jedynie tam ma szansę wyjaśnić do końca całą historię. Ze odpowiedzi na większość nurtujących ich pytań trzeba szukać u wyznawców kultu aniołów. Ze święta stolica to jedyne miejsce, gdzie ma szansę spotkać prawdziwie uczonych jazydów, badaczy, którzy mogą rozwiązać zagadkę. I że oczywiste jest, iż powinien pojechać tam sam. Zna Irak. Jest świadom grożących tam niebezpieczeństw. Ma tam kontakty. Redakcja pokrywa ogromne koszty jego ubezpieczenia. Ale nie ubezpieczenia Christine. Zatem musi pojechać do Lalisz — i musi pojechać sam.

Christine słuchała. Zdawało się, że rozumie i akceptuje. Potem odwróciła się i wyszła bez słowa do ogrodu.

Rob bił się z myślami. Powinien za nią pójść? Zostawić ją samą?

Pełną wahań zadumę przerwała Isobel. Nuciała jakąś piosenkę, przechodząc przez kuchnię. Zerknęła na Roba, potem na zarys postaci siedzącej w ogrodzie.

— Powiedziałaś jej?

— Wydawało się, że to aprobeuje, ale nagle...

Isobel westchnęła.

— Była taka już w Cambridge. Kiedy jest wzburzona, nie rzuca rzeczami o ściany, tylko dusi wszystko w sobie.

Rob był rozdarty. Nie chciał denerwować Christine, ale nie miał wyboru: był zagranicznym korespondentem. Nie miał wpływu na to, w jaki zakątek globu rzuci go praca.

— Ale wiesz, jestem trochę zaskoczona.

— Czym?

— Że się w tobie zakochała. Normalnie nie gustuje w mężczyznach twojego typu. Z wystającymi kośćmi policzkowymi i niebieskimi oczyma. W

dziarskich poszukiwaczach przygód. Raczej w starszych panach. Wiesz przecież, że straciła ojca, kiedy była jeszcze mała, prawda? Jest jak każda dziewczyna z takim doświadczeniem. Z kompleksem braku ojca. Zawsze pociągali ją mężczyźni, którzy mogli to jakoś zrekompensować: opiekunowie, przewodnicy. — Isobel popatrzyła Robowi prosto w oczy. — Obrońcy.

Od morza niósł się dźwięk syreny promowej. Rob słuchał przez chwilę, jak odbija się echem. Potem wyszedł do ogrodu.

Christine siedziała na ławce, patrząc w ciemność przez tonące w księżycowej poświacie sosny. Nie odwracając się, powiedziała:

— Isobel ma szczęście. Ten dom jest piękny.

Usiadł obok i ujął jej dłoń. W świetle księżycy jej palce sprawiały wrażenie bardzo bladych.

— Christine, możesz coś dla mnie zrobić?

Popatrzyła na niego. Wyjaśnił:

— Kiedy będę w Lalisz. — Urwał. — Lizzie. Możesz mieć na nią oko? Zrobisz to dla mnie?

Jej twarz tonęła w cieniu. Przepływająca chmura przysłoniła księżyc.

— Nie bardzo rozumiem. Lizzie jest przecież z matką.

Rob westchnął.

— Sally bardzo ciężko pracuje. I jeszcze te studia. Ma egzaminy na prawie. Chciałbym, żeby ktoś, komu naprawdę ufam, uważał na małą. Zatrzymasz się u swojej siostry, tak? W Camden?

Skinęła głową.

— To niecałe pięć kilometrów od domu Sally. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym wiedział, że jesteś tam lub choćby w pobliżu. Może mogłabyś wtedy wysłać mi maila. Albo dać znać telefonicznie. Zadzwoń do Sally, żeby wiedziała, kim jesteś. Bardzo możliwe, że ucieszy się z pomocy. Może...

Zaszumiały sosny, Christine skinęła głową.

— Zgoda. Pojadę i zobaczę się z nią, nawet zajmę, jeśli będzie trzeba. I będę do ciebie codziennie pisać... gdy będziesz w Iraku.

Kiedy wymówiła nazwę kraju, Rob poczuł dreszcz strachu. To była prawdziwa przyczyna, dla której chciał, żeby Christine poznała jego córkę: bał się o siebie. Czy uda mu się stamtąd wydostać? Czy wróci cały i zdrowy i będzie dobrym ojcem? Wspomnienie zamachu w Bagdadzie nie dawało mu spokoju. Wtedy miał szczęście, następnym razem może go zabraknąć. A jeśli

miałoby mu się coś stać — chciał, żeby Lizzie poznała kobietę, którą kochał jej ojciec.

Irak. Ponownie się wzdrygnął. W tym słowie mieściła się cała groza, wszystkie niebezpieczeństwa, którym będzie musiał stawić czoło. Miasta śmierci. Miejsca egzekucji, gdzie ścięto już tyle głów. Region modlących się mężczyzn, pradawnych głazów i potwornych odkryć. I kobiet-zamachowców z ustami umalowanymi jaskrawoczerwoną szminką.

Christine uścisnęła jego dłoń.

Następnego ranka wstał, nie budząc Christine. Zostawił jej liścik na nocnym stoliku. Potem się ubrał, pożegnał z Andreą, uścisnął Isobel, pogłaskał kota i ruszył na przystań ścieżką tonącą w porannym słońcu.

Dwadzieścia cztery godziny później, po rejsie promem, kursem taksówką, dwóch lotach i wyczerpującej podróży publiczną zbiorową bagażówką, przybył na zgiełkliwe iracko-tureckie przejście graniczne w Habur. Powitało go pełne smogu rojowisko ciężarówek, czołgów, zniecierpliwionych biznesmenów i pieszych z torbami na zakupy.

Minęło pięć dusznych godzin, zanim udało mu się przekroczyć granicę. Przez dwie był przesłuchiwany przez tureckich żołnierzy. Kim jest? Po co chce jechać do Iraku? Czy ma powiązania z kurdyjskimi rebeliantami? Czy zamierza zrobić wywiad z PKK? [Partia Pracujących Kurdystanu — kurdyjska organizacja niepodległościowa, uznawana przez USA i UE za organizację terrorystyczną (przyp. tłum.)] Czy mu odbiło? Szalony turysta? Ale nie mogli go tam przetrzymywać bez końca. Miał wizę, dokumenty, faks od redaktora naczelnego — i wreszcie się udało. Szlaban poszedł w górę i Rob przekroczył niewidzialną granicę. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, był rzucający się w oczy czerwono-biało-zielony sztandar z symbolem słońca trzepoczący u góry: flaga niepodległego Kurdystanu. W Iranie była zakazana, za jej wywieszenie w Turcji można było trafić do więzienia. Ale tutaj, w autonomicznej prowincji kurdyjskiego Iraku, powiewała swobodnie i dumnie, jaskrawo kontrastując z rozpalonym błękitem nieba.

Rob popatrzył na południe. Bezzębny mężczyzna gapił się na niego z drewnianej ławki. Jakiś pies obsikiwał starą oponę. Droga przed nim wiała się wśród żółtych, spalonych słońcem wzgórz w kierunku równin Mezopotamii. Zarzuciwszy torbę na ramię, podszedł do obskurnej, zardzewiałej, niebieskiej taksówki.

Nieogolony kierowca popatrzył na niego kaprawym okiem. Jedynym dostępnym środkiem transportu było zdezelowane auto prowadzone przez



jednookiego taksówkarza. Rob miał ochotę się roześmiać. Zamiast tego pochylił się w kierunku okna i powiedział:

— *Salam alejkum*. Chcę jechać do Lalisz.

Hugo de Savary wszedł do taksówki na małym dworcu. Już po chwili mknął po wiejskich okolicach Dorset, zachwycających w pełnym przepychu maja: kwiaty głogu i rumiane jabłonie, wielkie chmury na ciepłym i promiennym niebie.

Taksówka wjechała na drogę porośniętą wysokimi bukami i zatrzymała się przed okazałą wiejską rezydencją z rozłożystymi skrzydłami i dostojnymi kamiennymi kominami. Dokoła roilo się od policjantów w kombinezonach przeczesujących murawę w poszukiwaniu śladów, inni wychodzili przez frontowe drzwi, zdejmując gumowe rękawiczki. Zapłacił taksówkarzowi, wysiadł z samochodu i zerknął na tabliczkę przed budynkiem: Canford School. Z informacji pospiesznie zebranych w trakcie jazdy pociągiem wiedział, że jak na swój wiek, budynek jest szkołą stosunkowo niedługo.

Majątek pochodził z czasów saksońskich, kiedy to obejmował dużą część Canford Magna, pobliskiego miasteczka. Ale z tego najwcześniejszego okresu zachowały się tylko normański kościół i średniowieczna sala zwana kuchnią Jana z Gandawy. Reszta budynku pochodziła z osiemnastego albo początków dziewiętnastego wieku, co w niczym nie umniejszało jego urody. Zamieniony w szkołę w latach dwudziestych stał w pięknym parku nad rzeką Stour. W powietrzu czuło się wyraźną rzeźkość, mimo że dzień był ciepły: rzeka musiała przepływać niedaleko.

— Profesorze! — zawołał Forrester. — Cieszę się, że udało się panu tak szybko przyjechać.

De Savary wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien, czy zdam się na wiele.

Komisarz się uśmiechnął, choć uwagi historyka nie uszło, że wygląda bardzo mizernie.

De Savary zastanawiał się, jak bardzo makabryczne jest to zabójstwo. Rano przez telefon Forrester powiedział mu tylko tyle, że występują „pewne rytualne elementy”, i dlatego właśnie profesor zgodził się przyjechać.

Rozbudziła się w nim zawodowa ciekawość: zastanawiał się, czy ten temat — współczesnych ofiar z ludzi — da się przekuć na kolejną książkę. Może nawet serial telewizyjny.

— Kiedy odkryto ciało? — spytał.

— Wczoraj. Zupełnym przypadkiem. Są ferie, więc szkoła jest zamknięta. Przebywał tu tylko stróż. Ofiara. Ale miała miejsce dostawa... sprzętu sportowego. Jakiś wścibski dzieciak pomyślał, że coś się dzieje, i zajrzał.

— To on znalazł zwłoki?

— Biedaczysko, nadal jest pod opieką psychologów. — Spojrzał badawczo na profesora. — Panie de Savary...

— Mam na imię Hugo.

— To cholernie nieprzyjemny widok. Jestem oficerem śledczym. Widziałem już niejednego koszmar, ale to zabójstwo...

— Podczas gdy ja jestem żółtodziobem z akademickiego światka? — Uśmiechnął się profesor. — Proszę, Mark, badam kultury satanistyczne i psychotyczne zachowania od ponad dziesięciu lat. Jestem przyzwyczajony do pracy z raczej nieprzyjemną materią. I, jak mniemam, mój organizm, jest całkiem silny. Jadąc tutaj, zjadłem nawet kanapkę z krewetkami w pociągu linii Southwest Trains.

Komisarz się nie roześmiał. Nawet nie uśmiechnął. Po prostu obojętnie pokiwał głową. De Savary raz jeszcze zwrócił uwagę na udreńczony wyraz jego twarzy. Forrester widział coś strasznego. Po raz pierwszy profesor poczuł dreszcz niepokoju.

Komisarz odchrząknął.

— Nie mówię, co za chwilę zobaczysz, bo nie chcę ci nic sugerować. Chciałbym usłyszeć szczere zdanie na temat tego, co się twoim zdaniem dzieje. Bez żadnych z góry powziętych sądów.

Policjant służbista otworzył im frontowe drzwi. Wnętrze wyglądało jak wejście do każdej typowej angielskiej szkoły prywatnej: honorowe listy poległych w czasie wojny, trofea sportowe, tablice ogłoszeń i kilka przypadkowych antyków porysowanych i zniszczonych przez pokolenia podekscytowanych uczniów przebiegających obok z butami do rugby przerzuconymi przez ramię. De Savary'ego ogarnęła fala nostalgii. Przypomniał sobie dni spędzone w Stowe.

Na końcu korytarza znajdowały się wielkie drzwi. Były zamknięte; pilnował ich kolejny policjant. Forrester popatrzył na stopy de Savary'ego i

wręczył mu parę plastikowych ochraniaczy na buty.

— Jest dużo krwi — powiedział cicho, potem dał znak posterunkowemu.

Ten zsalutował szybko i otworzył drzwi. Pomieszczenie robiło wrażenie: drewniana boazeria, tarcze herbowe: wiktoriańska replika średniowiecznej komnaty rycerskiej. Całkiem udatna, pomyślał de Savary. Wyobraził sobie minstreli wyśpiewujących na balkonie serenady księciu ucztującemu u szczytu wysokiego stołu. Ale co było na drugim końcu? Rozstawiono tam wielki przenośny parawan.

Forrester szedł przodem po skrzypiącym parkiecie. Im byli bliżej, tym głośniej rozbrzmiewały ich kroki: tyle że teraz już nie było to skrzypienie, a plaśnięcia. De Savary uświadomił sobie, że szli po kałużach porozbryzgiwanej krwi. Lakierowany parkiet wprost lepił się od czerwonej mazi.

Forrester odsunął parawan i profesor wydał stłumiony okrzyk. Przed oczyma miał składaną piłkarską bramkę. Przenośną drewnianą ramę, wniesioną tu z boiska. Rozciągnięty między słupkami bramki a poprzeczką, przywiązany do nich skórzanymi pasami wisiał człowiek.

Czy raczej to, co z niego zostało. Nagą ofiarę zawieszono głową do dołu za kostki nóg. Ręce były odwiedzione w bok i przywiązane na wysokości nadgarstków do słupków. Potworny grymas bólu malujący się na wiszącej tuż nad zakrwawionymi deskami parkietu twarzy, dawał wyobrażenie o męczarniach, przez które przeszedł mężczyzna.

Obdarto go ze skóry. Wyglądało na to, że żywcem. Bardzo powoli i skrupulatnie, kawałek po kawałku, płat po płacie. Do żywego ciała, na którym widać było warstwę żółtego tłuszczu, choć miejscami on także został zdarty, ukazując żywo czerwone mięśnie pod spodem. Gdzieś tam prześwitywały narządy i kości.

De Savary przyłożył do nosa palec wskazujący. Czuł smród zwłok, zapach mięśni i lśniącego tłuszczu. Widział mięśnie szyi napięte w agonii, szarobiałe płuca, łukowaty zarys klatki piersiowej. Przypominało to trochę ilustrację układu mięśni i ścięgien z podręcznika biologii. Rzecz jasna, genitaliów brakowało. W miejscu, gdzie powinien być penis i jądra, ział ciemny, szkarłatny otwór. De Savary domyślił się, że zostały wepchnięte w usta ofiary: najprawdopodobniej musiała je zjeść.

Obszedł zwłoki dokoła. Zabójstwo wyglądało na dzieło więcej niż jednej osoby. Zadanie śmierci w ten sposób, bez pozbawienia życia od razu, wymagało uwagi i wprawy. Przy umiejętnym obdzieraniu ze skóry ofiara

mogła żyć jeszcze całymi godzinami, podczas gdy mięśnie i narządy powoli wysychały i marszczyły się. Od czasu do czasu mężczyzna zapewne tracił przytomność z bólu, ale można było go ocucić przed przystąpieniem do dalszych tortur. Bardzo niechętnie profesor zrekonstruował w głowie przebieg wydarzeń. Sprawcy przywlekają tu przerażonego dozorcę. Przywiązują go stopami do barierki, wieszają głową w dół. Następnie mocują mu ręce do słupków. Takie ukrzyżowanie do góry nogami.

Nietrudno było sobie wyobrazić potworne przerażenie dozorczy, gdy oprawcy ściągnęli pierwszy próbny kawałeczek z kostki czy stopy i zdał sobie sprawę z tego, co go czeka. I piekący ból, kiedy skóra została obdarta, ukazując żywe, niczym nieosłonięte nerwy. Każdy dotyk musiał być dosłownie nie do wytrzymania. Mężczyzna na pewno krzyczał, kiedy sprawcy metodycznie posuwali się w dół udrezonego, drżącego ciała, niczym wprawni rzeźnicy opraciający zwierzę. Może w pewnym momencie krzyczał zbyt głośno, więc żeby go uciszyć, odcięli mu genitalia i wepchnęli mu je w usta.

Potem przyszła kolej na większe partie ciała: tułów, ramiona. Z technicznego punktu widzenia dość trudne. Musieli wcześniej ćwiczyć: na owcach, kozach, może kotach. Wprawiać się.

De Savary wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

Forrester położył mu rękę na ramieniu.

— Wiem, przykro mi.

— Ile miał lat? Trudno poznać, kiedy nie ma... skóry na twarzy.

— Czterdzieści kilka. Może wyjdziemy na zewnątrz?

— Tak. Chętnie.

Komisarz szedł pierwszy. Opuścili budynek i skierowali się ku ogrodowej ławce. Profesor był rad, że może usiąść.

— Po prostu upiorne — stwierdził.

Słońce nadal mocno przygrzewało. Forrester ze stęknieniem zdjął ochraniacze z butów. Siedzieli tak w ponurym milczeniu. Świeżość wiosennego powietrza teraz przyprawiała o mdłości.

Po dłuższej chwili de Savary powiedział:

— Chyba mogę wam pomóc.

— Tak?

— To znaczy, chyba rozumiem, czym się kierują...

— Tak?

— To ewidentnie są inspiracje azteckie. Aztecy składali ofiary z ludzi na wiele sposobów. Najślawniejszym jest, rzecz jasna, wycięcie serca. Kapłan zanurzał rytualny nóż z obsydianu w piersi, rozcinał klatkę piersiową i wyrywał bijące serce.

Obserwowali radiowóz, który zatrzymał się na podjeździe. Ze środka wysiadło dwóch funkcjonariuszy, niosąc metalowe walizeczki. Skinęli krótko Forresterowi, który też pozdrowił ich kiwnięciem głowy.

— Medycy sądowi — wyjaśnił. — Mów dalej, Hugo, Aztekowie...

— Rzucali ludzi na pożarcie jagurom. Wykrwawiali ich na śmierć. Strzelali małymi strzałkami w wojowników, dopóki ci nie skonali. Ale jedną z bardziej wymyślnych metod było obdzieranie ze skóry. Mieli nawet specjalny dzień temu poświęcony, Święto Obdzierania ze Skóry.

— Specjalny dzień?

— Obdzierali ze skóry jeńców wojennych. A potem tańczyli na ulicach miasta, przystrojeni w ich skóry. Ich możni często paradowali w skórach zdartych z ludzi, pocztywali to za wielki zaszczyt dla swoich ofiar. Jest nawet taka opowieść, według której pojмали kiedyś księżniczkę z wrogiego ludu i kilka tygodni później zaprosili jej ojca, nieprzyjacielskiego króla, na ucztę w celu zawarcia pokoju. Król zakładał, że przekażą mu córkę żywą w dowód pokojowych intencji. Ale po posiłku władca aztecki klasnął w dłonie i na ów znak do komnaty wszedł kapłan ubrany w skórę zamordowanej księżniczki. Aztekowie uważali to za wielki honor dla zaproszonego króla. Podejrzewam jednak, że inicjatywa pokojowa nie zakończyła się sukcesem.

Forrester zbladł.

— Nie sądzisz chyba, że oni teraz paradują w tej skórze? Że Cloncurry grasuje gdzieś tu w pierdolonej skórze tego gościa?

— Bardzo możliwe. Tak robili Aztecy. Nosili skóry swoich ofiar niczym garnitur, aż doszczętnie zgniły. Smród musiał być potworny.

— No, jak na razie nie znaleźliśmy ani jednego kawałka skóry. Wezwaliśmy ekipę z psami.

— Dobry pomysł. Naprawdę uważam za bardzo prawdopodobne, że noszą tę skórę. Skoro tak dokładnie kopiują rytuały Azteków.

Zamilkli ponownie. De Savary patrzył na roztaczający się dokoła park, drzewa pochylające się ku rzece, spokojne, bukoliczne piękno scenerii angielskiej wsi. Trudno było pogodzić je z tym... tym czymś zawieszonym na drewnianej ramie zaledwie kilka metrów dalej. Różowym, wiszącym nogami

do góry trupem z potwornym grymasem bólu malującym się na pozbawionej skóry twarzy.

Komisarz się podniósł.

— Ale czego mogli tu szukać? Sprawdziłem wcześniej. Nie znalazłem żadnego powiązania z klubem Hellfire.

— Nie — zgodził się de Savary. — Ale jest dziwny związek między tą szkołą a Bliskim Wschodem.

— To znaczy?

Profesor uśmiechnął się niepewnie.

— Jeśli dobrze pamiętam, z tego co zdążyłem przeczytać w pociągu, sklepik szkolny powinien być gdzieś tutaj.

Ruszył wzdłuż frontonu budynku. Forrester szedł za nim. Na najdalszym końcu południowego skrzydła znajdowała się osobliwa trójkątna przybudówka o dwuspadowym dachu przylegająca do elewacji głównego budynku. Wyglądała jak kaplica. De Savary się zatrzymał.

Komisarz popatrzył na zdobiący okazałe drzwi metalowy czerwono-czarny motyw w kształcie skrzydlatych lwów.

— Co to?

— Pawilon Niniwy. Ma głęboki związek z Irakiem i Sumerem. Może sprawdzimy, czy nasi przyjaciele tu zaglądali?

Forrester skinął głową.

De Savary pchnął metalowe drzwi, które z łatwością ustąpiły. Wnętrze, poza kilkoma oknami witrażowymi, przypominało zwykły sklepik szkolny w bogatej placówce. Stał tam automat z pepsi. Kasa sklepowa. A także pudełka ze snackami i chrupkami porzucane bezładnie po podłodze. Zbyt bezładnie. Ciemne pomieszczenie zostało splądrowane. Przy bliższych oględzinach widać było, że wybito jedno z okien, z jednej ze ścian zdarto boazerię. Ktoś tu był i czegoś szukał. Pytanie brzmiało: czy znalazł. De Savary zgadywał, że nie. Sposób, w jaki porzrucano rzeczy, świadczył o tym, że sprawcy byli sfrustrowani i rozczarowani.

Wyszli na słońce i ruszyli ścieżką. W delikatnym powietrzu unosiły się pyłki kwiatowe. De Savary opowiadał historię Pawilonu Niniwy.

— Został zamówiony przez lady Charlotte Guest i jej małżonka sir Johna około tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. Wzniesiono go według projektu Charlesa Barry'ego lepiej znanego jako architekta...

— Gmachu parlamentu — rzucił Forrester. Uśmiechnął się nieśmiało. — Architektura to mój konik.

— Zgadza się. Pałacu Westminsterskiego. Pawilon Niniwy był zamkniętą loggią, zbudowaną w ekspresowym tempie w celu pomieszczenia kilku sławnych asyryjskich płaskorzeźb znalezionych podczas wiktoriańskich badań Mezopotamii. Stąd te raczej nietypowe odrzwia z asyryjskimi lwami.

— Tak.

— Umieszczone tu reliefy, wykopane przez Austena Henry'ego Layarda, kuzyna lady Charlotte Guest, były bardzo duże i ciężkie. Każdy ważył po kilka ton. Początkowo ozdabiały progi pałacowe w Nemrodzie.

— A Layard i Barry umieścili je tutaj?

— Tak. I razem z kilkoma innymi płaskorzeźbami zostały tu, w portyku, aż do końca pierwszej wojny światowej. Kilka lat później całą kolekcję wystawiono na sprzedaż.

— Więc nic nie zostało?

— Poczekaj! Zastąpiono je prostymi odlewami. W tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku Guestowie sprzedali Canford Hall, w którym utworzono szkołę dla chłopców. Wtedy też Pawilon Niniwy, już pozbawiony starożytnych fryzów, został zamieniony na przyszkolny sklepik sprzedający kanapki i batoniki.

— Czyli sprawcy musieli wiedzieć, że już nic tu nie ma. Po co zatem przyjechali?

— Cała historia ma nieco osobliwy epilog. W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim zawitało tu przejazdem dwóch naukowców. Ekspertów od Asyrii. Jechali na konferencję do Bournemouth, ale mieli trochę wolnego czasu i postanowili zajrzeć do miejsca tak ważnego dla ich dziedziny. Nie spodziewali się znaleźć niczego ciekawego. Oglądali witrażowe okna z pejzażami Sumeru i podziwiali asyryjskie detale architektoniczne. Zajrzeli za automat do pepsi — i tam znaleźli oryginalny relief.

— Żartujesz.

— Uchowaj Boże. Rzekomo zostały tylko odlewy. A tu proszę. Fragment starej płaskorzeźby. Badania potwierdziły autentyczność, choć fryz był pokryty białą winylową farbą. Płaskorzeźbę wysłano do Londynu i wystawiono na sprzedaż w domu aukcyjnym Christie's. Została kupiona przez japońskiego marszanda działającego na zlecenie jakiejś sekty religijnej. Cena wynosiła, zdaje się, jakieś osiem milionów funtów. Największa w dziejach suma zapłacona za zabytek. *Et voila*.

Doszli do brzegu. Promienie słoneczne, przebijające się przez zwieszono nad rzeką sklepienie z konarów drzew, rzucały złote cętki na wartkie wody.



— Nadal czegoś nie rozumiem — powiedział Forrester. Podniósł patyk i cisnął go do rzeki. — Co to ma wspólnego z klubem Hellfire?

— Pamiętasz, co ci powiedziałem przez telefon wczoraj?

— O jazydach i *Czarnej księdze*? Że to jej mogą szukać?

— Właśnie. Austen Henry Layard, widzisz, był jednym z pierwszych ludzi z Zachodu, którzy mieli styczność z jazydami. W tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku prowadził prace wykopaliskowe w północnym Iraku, w Ur i Niniwie. To były początki nowoczesnej archeologii. Usłyszał wtedy o dziwnej sekcie żyjącej niedaleko Mosulu, w okolicach Dahuk. Nawiązał kontakt z jazydami. Został zaproszony do ich świętej stolicy Lalisz. W górach. To niebezpieczne miejsce, nawet dzisiaj.

— Co tam robił?

— Dobre pytanie. Wiemy, że zaproszono go, by obejrzał jedno z ich najtajniejszych obrzędów. Zaszczyt, którego, o ile mi wiadomo, nikt inny nie dostąpił ani wcześniej, ani później.

— Dali mu *Czarną księgę*?

De Savary się uśmiechnął.

— Brawo, komisarzu! Tak, , jest taka hipoteza. Badacze spekulują, że Layard musiał pozostawać z jazydami w dużej zażyłości, skoro go tak traktowali. Niektórzy uważają nawet, że mógł zabrać *Czarną księgę*, dając w ten sposób początek krążącym wśród jazydów legendom, że trafiła ona do Anglii.

— Zatem jeśli wywiózł *Księgę*, mógł ją przywieźć tutaj, do tego budynku zaprojektowanego z myślą o przechowywaniu najciekawszych zabytków, tych, które postanowił zatrzymać? Tak?

— *Vraiment!*

Forrester ściągnął brwi.

— Ale ustaliliśmy chyba wcześniej, że *Księga* była już w posiadaniu Jeruzalema Whaleya. To skąd nagle Layard?

De Savary wzruszył ramionami.

— Kto wie? Może Whaley jedynie sądził, że ma *Księgę*. A może zwrócił ją jazydom, a Layard dostał ją z powrotem wiek później. Przerzucana w tę i z powrotem! Intuicja, jeśli w ogóle jest coś warta, podpowiada mi, że *Księgę* miał przez cały czas Jeruzalem Whaley, Layard zaś stanowił tylko zasłonę dymną.

— W każdym razie możemy założyć, że to tego właśnie szukają sprawcy. W przeciwnym razie by tu nie przyjechali. Zatem to niekoniecznie musi mieć

coś wspólnego z klubem Hellfire jako takim. Zależy im na *Czarnej księdze* jazydów. To na nią polują

— Tak.

Forrester zagwizdał, niemal radośnie. Poklepał profesora po plecach.

— Dzięki, że przyjechałeś, Hugo.

Profesor się uśmiechnął, choć nie bez poczucia winy. Woń obdartego ze skóry ciała nie wywietrzała mu jeszcze z nozdrzy.

Nagle w pograżonym w ciszy parku rozległ się głośny krzyk.

— Angus! Angus!

Coś się działo. Kolejne krzyki, coraz wyraźniejsze, rozbrzmiewały echem po okolicy.

De Savary i Forrester weszli na wzniesienie. Po murawie biegł policjant i wołał jak oszalały.

— To przewodnik psa — wyjaśnił komisarz. — Zdaje się, że uciekł mu podopieczny. Ej, Johnson! Gdzie jest pies?

— Sir! Sir! — Policjant nie zwolnił kroku. — Przebiegł obok pana, sir! O, tam.

De Savary odwrócił się i zobaczył dużego, czarnego psa pędzącego w kierunku zabudowań szkolnych. Biegł z pewnym wysiłkiem, ponieważ coś ciągnął. Coś długiego, śliskiego i ziemistoszarego. Wyglądało to bardzo dziwnie. Przez chwilę profesor nie mógł się oprzeć surrealistycznemu, jeżącemu włosy na głowie wrażeniu, że zwierzę wlecze ducha. Rzucił się w jego kierunku. Pies się odwrócił, pilnując zdobyczy. Powarkiwiał, kiedy de Savary się zbliżał.

Profesor popatrzył w dół i zadrżał. Pies ślinił się nad długim i śmierdzącym płachciem postrzępionych pasów i wstęg.

Była to ludzka skóra.

Rob siedział w Dahuk od dziesięciu dni. Taksówkarz z Haburu nie chciał pojechać ani metra dalej.

Początkowo był z tego nawet w miarę zadowolony. Dahuk okazał się sympatycznym i pełnym życia kurdyjskim miastem, biedniejszym niż Şanhurfa, ale za to pozbawionym ponurego tureckiego nadzoru. Poza tym żyła tu widoczna jazydzka społeczność. Funkcjonował nawet jazydzki ośrodek kultury — duży dom na peryferiach miasta, rozpadający się i pełen zgiełku. Pierwsze kilka dni Rob spędził, kręcąc się po okolicy. Roilo się tam od pięknych, ciemnowłosych, nieśmiałych dziewcząt w długich haftowanych sukniach i roześmianych młodzieńców w koszulkach FC Barcelony.

Jedną ze ścian w środku ozdabiał rzucający się w oczy obraz Anioła-Pawia, Malaka Tausa. Gdy Rob zobaczył go po raz pierwszy, gapił się przez dobre dziesięć minut. Był to osobliwie pogodny wizerunek: demon-bóg, upadły anioł ze wspaniałym ogonem ze szmaragdów i akwamarynów. Ogonem o tysiącu oczu.

Jazydzi z ośrodka byli trochę nieufni, ale nie nieprzyjaźni. Kilku wścazy poczęstowało Roba herbatą i pistacjami. Paru posługiwało się kulejącą angielszczyzną, wielu mówiło po niemiecku. Wyjaśnili, że to z uwagi na duże skupiska ich społeczności w Niemczech.

— Wszędzie indziej zostaliśmy zniszczeni, tu nie mamy żadnej przyszłości, teraz już tylko wy, chrześcijanie, możecie nam pomóc.

Stanowczo nie chcieli jednak rozmawiać bliżej o swojej wierze. Gdy tylko Rob zaczął wypytywać o *Czarną księgę*, Şanhurfę czy kult Malaka Tausa, ściągali brwi, patrzyli gniewnie albo z lekceważeniem lub udawali, że nie rozumieją. Robili się niegrzeczni i przestawali częstować go pistacjami.

Inną przyczyną impasu było samo Lalisz. Rob był zły na siebie za to, że nie zebrał wcześniej informacji i działał zbyt pochopnie, bo okazało się, że nikt tak naprawdę tam nie mieszka. Było to miejsce święte w pełnym znaczeniu tego słowa: wymarłe miasto aniołów, zarezerwowane wyłącznie

dla sacrum: duchów, pradawnych manuskryptów, starożytnych sanktuariów. Wioski i miasteczka dokoła były pełne ludzi i zgiełku, ale ich mieszkańcy przybywali do Lalisz jedynie na modły i ceremonie religijne albo święta, na których każdy obcy musiał się rzucać w oczy.

Co więcej, wyglądało na to, że niejazyda na dobrą sprawę nie ma szans się tam dostać. Oczywiście nikt nie chciał Roba zabrać. Nawet gdy machał studolarowym banknotem. Próbował ładnych parę razy. Taksówkarze patrzyli tylko nieufnie na pieniądze i rzucali szorstkie *La!*

W dziesiątą noc pobytu Rob był bliski rezygnacji. Leżał na łóżku w hotelowym pokoju. Na zewnątrz było gorąco i głośno. Podszedł do otwartego okna i popatrzył na betonowe dachy i ciemne, kręte uliczki. Nad szarozłotymi górami Zagros zachodziło palące irackie słońce. Stare kobiety w różowych chustach na głowach rozwieszały pranie obok ogromnych talerzy anten satelitarnych. Pomiedzy minaretami widział mnóstwo iglic kościelnych wież. Może świątyn gnostyków. Albo mandaitów. Albo chrześcijan asyryjskich. Lub Chaldejczyków. Zachowało się tu tak wiele starożytnych kultów.

Zamknął okno, żeby zagłuszyć wieczorne nawoływania do modlitwy, i wrócił do łóżka. Wziął komórkę, znalazł dobrą kurdyjską sieć i zadzwonił do Anglii. Po kilku długich sygnałach usłyszał głos Sally. Spodziewał się, że będzie jak zwykle oschło uprzejma, a tymczasem powitała go serdecznie, wręcz entuzjastycznie. Powód tej zmiany szybko się wyjaśnił. Poznała jego „nową dziewczynę” i polubiła ją. Poinformowała Roba, że Christine przypadła jej do gustu i że on sam wreszcie odzyskał zdrowe zmysły, jeśli zaczął się umawiać z prawdziwą kobietą, a nie kolejną lalunią, za którymi się zwykle uganiał.

Rob się roześmiał i zapewnił ekspółowicę, że nigdy nie uważał jej za lalunię, wtedy Sally też się roześmiała. Był to ich pierwszy wspólny śmiech od czasu rozvodu. Gawędzili jeszcze chwilę, tak jak już od dawna im się nie zdarzało. Potem poprosił Sally, żeby przekazała słuchawkę córce. Poczł dojmujący smutek, kiedy usłyszał głos Lizzie. Powiedziała, że była w zoo zobaczyć „swieszontka” i że potrafi podnieść rączki wysoko nad głowę. Słuchał tego z mieszaniną radości i żalu, potem powiedział, że ją kocha, a wtedy mała zażądała, żeby przyjechał do domu. Spytał, czy poznała tę panią z Francji, Christine. Odpowiedziała, że tak i że ją lubi i mamusia też ją lubi. Rob powiedział, że to wspaniale, i posłał całusa rozchichotanej córeczce. Rozłączył się. Czł się trochę dziwnie na wieść, że jego nowa dziewczyna i

ekszona się zaprzyjaźniły. Zawsze to jednak lepiej niż wzajemna wrogość. No i oznaczało, że więcej osób ma na oku dziecko, kiedy jego tam nie ma.

Ale potem przyszło mu do głowy, że może już czas, żeby tam był. Ze może pora wracać do domu. Chyba powinien po prostu odpuścić. Jego plany nie wypaliły. Nie udało mu się dostać do Lalisz, i wyglądało na to, że nie ma sensu nawet próbować. Jazydzi tworzyli taką hermetyczną grupę. Nie znał ani arabskiego, ani kurdyjskiego wystarczająco dobrze, by przebić się przez ich obskurantyzm. Jak mógł liczyć, że uda mu się poznać tajemnice liczącej sobie sześć tysięcy lat wiary, po prostu włócząc się po ulicach i mówiąc *Salam*? Był w kropce, jego nadzieje kurczyły się z każdą godziną. Czasami tak się zdarzało. Czasami trzeba było porzucić temat.

Chwycił klucz i opuścił hotel. Było mu gorąco i źle, musiał się napić piwa. A na rogu ulicy była miła knajpka. Opadł na plastikowe krzeselko, które zwykle zajmował na zewnątrz Suleiman Cafe. Rawaz, właściciel i przelotny znajomy Roba, przyniósł mu schłodzone tureckie piwo i spodek zielonych oliwek. Życie na ulicach Dahuk toczyło się jak gdyby nigdy nic. Rob oparł czoło na dłoniach i ponownie pomyślał o artykule. Wspominając swoją determinację i spontaniczne podekscytowanie, zastanawiał się, na co wtedy tak naprawdę liczył. Że jakiś tajemniczy kapłan wyjaśni mu wszystko, może jeszcze w sekretnej świątyni z okrutnymi rzeźbionymi wizerunkami na ścianach i rozedrganymi płomieniami oliwnych lamp. No i, rzecz jasna, poręczną garstką czcicieli diabła, wniebowziętych, że się ich fotografuje? Ale zamiast realizować swoje naiwne dziennikarskie marzenie, pociągał piwo z butelki i słuchał jarmarcznego kurdyjskiego popu dochodzącego ze sklepu muzycznego obok. Równie dobrze mógłby siedzieć w Şanhurfie. Albo Londynie.

— *Hello?*

Rob podniósł głowę. Jakiś młodzieniec stał, nieco niepewnie, przy jego stoliku. Miał na sobie czyste dżinsy i odprasowaną koszulę. Okrągłą twarz. Wyglądał na intelektualistę. Nawet naukowca. Przy tym zamożnego i życzliwego. Na zaproszenie Roba usiadł przy stole. Nazywał się Karwan.

Uśmiechnął się.

— Jestem jazydą.

— Tak...

— Dzisiaj idę do ośrodka kultury jazydów i jakieś kobiety powiedziały mi o tobie. Amerykański dziennikarz. Interesujesz się Malakiem Tausem?

Rob skinął głową, lekko skrępowany.

— Powiedziały, że się tu zatrzymałeś. Ale mówią, że możesz wkrótce pojechać, bo jesteś nieszczęśliwy.

— Raczej sfrustrowany.

— Dlaczego?

— Piszę artykuł o jazydzkiej religii. Wiesz, o tym, w co naprawdę wierzycie. Dla angielskiej gazety. Ale nikt nie chce mi powiedzieć, więc to jest trochę frustrujące.

— Musisz zrozumieć, dlaczego tak jest. — Karwan nachylił się z poważnym wyrazem twarzy. — Przez wiele tysięcy lat, mister, byliśmy zabijani i atakowani za to, w co wierzymy. Za to, w co, zdaniem ludzi, wierzymy. Muzułmani nas zabijają, Hindusi, Tatarzy. Wszyscy mówią, że czcimy szatana, diabła. Zabijają nas i przepędzają. Nawet Saddam nas zabijał. Nawet nasi bracia Kurdowie, sunnici i szyici, wszyscy nas zabijają. Wszyscy.

— Ale właśnie dlatego chcę napisać ten artykuł. Powiedzieć, jak jest naprawdę. W co naprawdę wierzą jazydzi.

Karwan ściągnął brwi, jakby bił się z myślami. Milczał przez ponad minutę. Potem powiedział:

— Tak, okay. Wy, Amerykanie, wielki orzeł, wy pomogliście Kurdom i bronicie jazydów. Widzę amerykańskich żołnierzy, są dobrzy. Naprawdę próbują nam pomóc. Więc... teraz ja pomogę tobie, mister. Bo jesteś Amerykanin.

— Pomożesz?

— Tak. Pomogę ci też, bo studiowałem jeden rok w Ameryce na Uniwersytecie Tekszańskim. To dlatego mój angielski nie jest taki zły. Amerykanie byli dla mnie dobrzy.

— Studiowałeś na UT?

— Mhm, znasz? Krowie rogi. W Austen.

— Mają tam świetną muzykę.

— Tak. Ładne miejsce. Tylko że — Karwan skubał oliwkę — kobiety w Teksasie mają strasznie wielkie dupy. To dla mnie problem.

Rob się roześmiał.

— Co studiowałeś?

— Antropologię religii. Więc, sam widzisz, mister, mogę ci powiedzieć wszystko, co chcesz wiedzieć. I wtedy wyjedziesz i powiesz wszystkim, że nie jesteśmy... satanistami. To zaczynamy?

Rob sięgnął po notes i zamówił jeszcze dwa piwa. Potem przez godzinę zasypywał Karwana pytaniami. Był jednak lekko rozczarowany: większość z tego, co mówił jazyda, już wiedział od Isobel i z własnych poszukiwań. Początki jazydyzmu i kultu aniołów. Ale nagle Karwan powiedział coś, co sprawiło, że Rob z miejsca wyprostował się jak struna i nadstawił uszu.

— Opowieść o pochodzeniu jazydów wywodzi się z *Czarnej księgi*. Oczywiście sama księga zaginęła, ale opowieść jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówi nam, że mamy inny... rodowód, wyjaśnia, jak różnimy się od wszystkich innych ras.

— Jak?

— Może najlepiej wyraża to jeden z jazydzkich mitów. Mówi on, że na początku było siedemdziesięciu dwóch Adamów, każdy następny doskonalszy od poprzedniego. I siedemdziesiąty drugi Adam poślubił Ewę. Adam i Ewa złożyli swoje nasienie do dwóch dzbanów.

Rob przerwał z długopisem uniesionym nad notesem.

— Dwóch dzbanów?

Karwan potaknął.

— Zostały zamknięte na dziewięć miesięcy. A kiedy je otworzono, okazało się, że dzban Ewy jest pełen robaków i innego plugastwa, węży i skorpionów. Ale kiedy otworzono dzban Adama, znaleziono ślicznego chłopca. — Karwan się uśmiechnął. — Dano mu imię Szahid ibn Jayar — „Syn dzbana”. I tak też określa się jazydów. Jesteśmy „Synami dzbana”. Te dzieci Adama stały się przodkami jazydów. Adam jest naszym dziadem. Podczas gdy wszystkie inne narody pochodzą od Ewy...

Rob skończył notować. Przez skrzyżowanie naprzeciwko kafejki przejeżdżał biały Chevrolet ONZ.

Karwan rzucił raptownie:

— Okay. To tyle! Teraz muszę iść. Ale, mister, jazydzi z ośrodka mówią mi, że chcesz też jechać do Lalisz? Tak?

— Tak. Chcę. Ale wszyscy twierdzą, że to niebezpieczne. Nie chcą mnie zabrać. Czy udałoby się to jakoś załatwić?

Karwan uśmiechnął się półgębkiem. Pogryzał kolejną oliwkę. Przystawił dłoń do ust, dyskretnie wyjął pestkę i umieścił ją na brzegu popielniczki.

— Mogę cię zabrać. Mamy święto. To nie jest takie niebezpieczne.

— Kiedy?

— Jutro. O piątej rano. Spotkamy się tutaj. Później cię odwiozę. I napiszesz o nas w tej sławnej gazecie, w „Timesie”, w Anglii.

— To świetnie. Fantastycznie. *Shukran*?

— Dobrze. — Młodzieniec pochylił się i uścisnął dłoń dziennikarza. — Jutro się spotykamy. Więc musimy się wyspać. Do widzenia. — Po tych słowach podniósł się i odszedł parną ulicą.

Rob wyłopał resztę piwa. Był szczęśliwy. Niemal w euforii. Napisze swój artykuł. Będzie pierwszym dziennikarzem, który zobaczy świętą stolicę jazydów. Nasz człowiek wśród irackich kultów. Do hotelu wrócił niemal biegiem. Zadzwoił do Anglii i podekscytowany opowiedział Christine, co się stało. W jej głosie słyhać było jednocześnie niepokój i zadowolenie. Uśmiechnięty wyciągnął się na łóżku, kiedy rozmawiali: wykona swoją pracę i wkrótce wróci do domu, do córki i swojej dziewczyny.

Nazajutrz rano Karwan, zgodnie z obietnicą, czekał na niego przy kawiarnianych stolikach. Obok zamkniętego lokalu stał zaparkowany stary ford pick-up załadowany płaskimi bochnami chleba i owocami w plastikowych workach.

— Owoce na święto — wyjaśnił jazyda. — Wchodź, mister. Nie ma dużo miejsca.

Siedzieli w kabinie ściśnięci we trójkę: Rob, Karwan i jego wuj — wąsaty starszy mężczyzna za kółkiem. Rob uścisnął mu dłoń, a Karwan zapewnił:

— W tym roku tylko trzy razy miał stłuczkę. Więc powinniśmy dojechać cało.

Samochód wyjechał z Dahuk i skierował się w stronę gór. Była to długa i męcząca dla kręgosłupa podróż, ale Rob nie zwracał uwagi na niedogodności. Z każdym kilometrem był bliższy rozwiązania zagadki.

Droga prowadziła wśród sosnowych i dębowych lasów. Kiedy pięli się pod górę, szarobure poranne niebo zaczęło się przejaśniać. Na horyzoncie wschodziło ciepłe, promienne słońce. Potem zjechali do jaskrawozielonej doliny. Nad rwącymi potokami stały biedne, ale ładne kamienne domy. Brudne, roześmiane od ucha do ucha dzieci rzuciły się w kierunku wozu, machając. Rob pomachał im w odpowiedzi i pomyślał o córce.

Jechali i jechali. Droga wiła się dokoła wielkiej góry — jednej z Siedmiu Wież Szatana, jak poinformował Karwan. Rob pokiwał głową. Po drewnianych rozchwierutanych mostach przejechali nad rwącymi strumieniami. I wreszcie się zatrzymali.

Karwan szturchnął go łokciem.

— Lalisz!



A więc udało się. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Robowi w oczy, była duża stożkowata budowla z dziwnym żłobkowanym dachem. Dokoła głównego rynku stało takich więcej. Sam plac roił się od ludzi: defilujących, śpiewających, modlących się. Starsi mężczyźni szli gęsiego, grając na długich drewnianych fletach. Rob wysiadł razem z Karwanem z samochodu i patrzył.

Z jakiegoś brudnego budynku wyłonił się spowity w czerń mężczyzna. Podszedł do rzędu kamiennych naczyń, w których pełgały małe ogniki. Kolejni mężczyźni, w białych szatach, szli za nim.

— To święte ognie — powiedział Karwan, pokazując na żółte płomienie tańczące w kamiennych naczyniach. — Mężczyźni muszą je okrążyć siedem razy.

Teraz tłum rzucił się do przodu, skandując:

— Malak Taus! Malak Taus!

— Wysławiają Anioła-Pawia, oczywiście — skinął głową Karwan.

Ceremonia trwała dalej. Była malownicza, dziwna i osobliwie poruszająca. Rob obserwował gapiów i biernych widzów: początkowe zainteresowanie obrzędem znikło, wielu zwykłych jazydów rozlokowało się na pobliskich trawnikach i zboczach wznoszących się nad stożkowatymi wieżami Lalisz. Rozkładali prowiant: pomidory, ser, płaskie chleby i śliwki. Słońce świeciło już wysoko na niebie. Był ciepły dzień w górach.

— Każdy jazyda musi raz w życiu przyjechać do Lalisz — powiedział Karwan. Odbyć pielgrzymkę do grobu szajcha Mutafira. To on ustanowił obrzędy jazydów.

Rob podsunął się bliżej, żeby zajrzeć przez obskurne drzwi do wnętrza jakiejś świątyni. W środku było ciemno, ale widział sylwetki pielgrzymów owijających kolorowymi materiałami drewniane słupy. Inni wykładali chleby na niskie półki. Na ścianie dostrzegł napis wykonany pismem klinowym: najstarszym, najprymitywniejszym alfabetem świata pochodzącym z czasów sumeryjskich.

Pismo klinowe! Cofnął głowę i poczuł ekscytację, że dostąpił zaszczytu przebywania w tym miejscu. Obserwowania tych wspaniałych żywych reliktyw przeszłości: miasta, wiary, ludzi, liturgii i rytuałów. W świętującym Lalisz panowała liryczna, poetycka i sielankowa atmosfera. Jedyne budzącymi grozę elementami były jaskrawe i szydercze wizerunki Malaka Tausa, wszechobecnego diabła-boga, które wisały na murach, drzwiach,

nawet na drzewach. Jednak sami ludzie wydawali się przyjaźni, zadowoleni, że siedzą w słońcu i mogą oddawać się obrzędom swojej osobliwej religii.

Rob chciał z nimi porozmawiać. Namówił Karwana, by tłumaczył: na jednym z trawników przykucnęła wesoła kobieta w średnim wieku. Nalewała herbatę swoim dzieciom.

Rob się nachylił i spytał:

— Opowie mi pani o *Czarnej księdze*?

Kobieta się uśmiechnęła, żywo wymachując Robowi palcem przed nosem.

Karwan przetłumaczył jej słowa: — Mówi, że *Czarna księga* jest Biblią jazydów i napisana jest złotem. Mówi, że to wy, chrześcijanie, ją macie. Że zabraliście naszą świętą księgę. I że to dlatego na Zachodzie kwitnie nauka i jesteście wykształceni. Bo macie księgę, która przyszła z nieba.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło do Roba. I zaraz wbiła zęby w okazałego pomidora, opryskując sobie koszulę czerwonym sokiem i pestkami, co przyprowadziło jej męża o bardzo głośny śmiech.

Ceremonia na placu dobiegała końca. Młode dziewczęta i chłopcy, wszyscy ubrani na biało, powoli przestawali tańczyć dokoła świętych płomieni na środku placu. Rob im się przyglądał. Dyskretnie zrobił parę zdjęć komórką i zanotował kilka uwag. Kiedy podniósł głowę, zobaczył coś jeszcze. Członkowie starszyny, niezauważeni przez większość jazydów, wchodzili jeden po drugim do jakiegoś niskiego budynku na drugim krańcu placu. Wyglądało to trochę podejrzanie. A przynajmniej intrygująco. Przy wejściu do domu stał strażnik, mimo że pozostałych zabudowań nikt nie pilnował. Po co zatem strażnik tutaj? Drzwi też się różniły od pozostałych: tuż przy nich znajdował się osadzony w kamieniu czarny wąż. Wizerunek długiego węża tuż przy drzwiach

Rob poczuł dreszcz. To było to. Musi się dowiedzieć, co się tam dzieje. Musi wejść za te tajemnicze drzwi. Ale czy mu się uda? Rozejrzył się. Karwan leżał na trawie, drzemiąc. Kierowcy nie było widać. Prawdopodobnie też spał w kabinie. Mieli za sobą męczący dzień.

To była jego szansa. Teraz. Zsunął się ze wzgórza i szybko przeszedł przez plac. Jeden ze śpiewających chłopców porzucił białe nakrycie głowy przy studni w dole źródła. Rob obejrzał się na wszystkie strony, chwycił je i narzucił na głowę. Jeszcze raz się rozejrzył. Nikt nie patrzył. Przemknął się chyłkiem w stronę niskiego budynku. Strażnik przy wejściu miał właśnie

zamykać drzwi. Rob wiedział, że taka szansa się już nie powtórzy. Zasłonił dół twarzy białym materiałem i śmignął przez próg do środka świątyni.

Ziewający strażnik popatrzył na niego z roztargnieniem. Przez chwilę na jego twarzy malowała się konsternacja. Potem wzruszył ramionami i zamknął za nim drzwi. Rob był w świątyni.

W środku było bardzo ciemno. Gryzący dym z lamp naftowych unosił się w dusznym powietrzu. Członkowie starszyny stali w rzędach, monotonie mrużąc, cicho śpiewając, odmawiając modły. Inni klęczeli schyleni, bijąc czołem o podłogę. Nagle w drugim końcu świątyni rozbłysło światło. Rob zamrugał, usiłując wypatrzeć coś przez dym. Otworzyły się jakieś drzwi. Ubrana w białe szaty dziewczyna niosła przedmiot okryty płachtą zgrzebnego materiału. Jednostajny zaśpiew przybrał na sile. Dziewczyna postawiła przedmiot na ołtarzu. Umieszczony wyżej połyskujący wizerunek Anioła-Pawia spoglądał na wszystkich zebranych, spokojny i wyniosły, szydrczy i okrutny.

Rob zaczął przesuwając się do przodu, by stanąć możliwie jak najbliżej, nie ściągając na siebie uwagi, i zobaczyć, co jest pod materiałem. Posuwał się bliżej i bliżej. Modły i zaśpiewy stawały się coraz głośniejsze, a przy tym posepniejsze, przyjmując coraz niższe tony. Niczym hipnotyczna mantra. Oczy swędziały i łzawiły od gęstego dymu z lamp. Rob potarł twarz i wyteżył wzrok.

I nagle dziewczyna ściągnęła płachtę i śpiewanie ustało jak nożem uciął.

Na ołtarzu spoczywała czaszka. Rob nigdy jeszcze podobnej nie widział. Ludzka, a jednocześnie pozbawiona cech człowieka. Miała łukowate, skośne oczodoły. Wysokie kości policzkowe. Przypominała czerep monstrualnego ptaka albo dziwaczego węża. Mimo to była ludzka.

I wtedy poczuł na gardle zimne ostrze noża.

Rozległy się krzyki, zgromadzeni zaczęli się przepychać. Rob czuł, jak nóż wrzyna się mu w gardło, przyciśnięty mocno do tchawicy. Zamrugał w ciemnościach, kiedy ktoś zarzucił mu kaptur na głowę.

Trzaskały drzwi, popychali go i zorientował się, że został wprowadzony do innej sali: odgłosy tu były inne, pogłos słabszy. Znalazł się w mniejszym pomieszczeniu. Ale zagniewane głosy nadal wykrzykiwały coś ostro po kurdyjsku. Groźnie.

Ktoś kopnął go w tył kolan. Rob zwałił się na podłogę. Przez głowę przebiegały mu obrazy: twarze ofiar na filmach z Internetu. Pomarańczowe trykoty. *Allahu Akbar*. Odgłos noża wrzynającego się w tchawicę i mleczna piana krwi. *Allahu Akbar*.

Nie. Rob walczył. Usiłował się wyrwać, wił się na wszystkie strony, ale wszędzie były trzymające go ręce. Kaptur zrobiono ze starego worka: śmierdział czerstwym chlebem. Przez jego osnowę Rob widział światło, a także sylwetki krzyczących mężczyzn.

Gdzieś dalej otworzyły się drugie drzwi. Głosy przybrały na sile, Rob usłyszał, jak jakaś kobieta wykrzykuje pytanie, a mężczyźni jej odpowiadają. Panowało zamieszanie. Próbował oddychać powoli, żeby się uspokoić. Został popchnięty na bok, leżał teraz i przez worek widział niewyraźnie szaty jazydów. Szaty, sandały i mężczyźni.

Wiązali mu nadgarstki na plecach. Szorstki sznur wrzynał się w skórę. Skrzywił się z bólu. Potem usłyszał, jak jakiś mężczyzna warczy na niego groźnie: Czy to był arabski? Czyżby rozpoznawał te słowa? Wykręcił ciało, wyteżył wzrok i przełknął ślinę. Co to za błysk? Znowu nóż? Ten wielki nóż, który przyłożyli mu wcześniej do gardła?

Poczuł paralizujący strach. Pomyślał o córce. O jej dźwięcznym śmiechu. Jasnych włosach, które w słoneczny dzień błyszczały jak samo słońce. Wpatrzonych w niego niebieskich oczach. „Tatusiu. Swierzontka. Tatusiu”.

A teraz on pewnie umrze. Już nigdy jej nie zobaczy. Zniszczy jej przez to życie. Będzie nieobecnym ojcem.

Wezbrał w nim żal, do oczu napłynęły łzy. W worku było gorąco, serce mu waliło, musiał przestać panikować. Bo jeszcze żył. Nie zrobili mu nic, tylko sponiewierali. I przestraszyli.

Ale gdy tylko nabrał trochę otuchy, przypomniał sobie Franza Breitnera. Jego zabili, to przyszło bez trudu jazydzkim robotnikom w Göbekli. Zepchnęli go do dołu, nadziewając na pal niczym żabę w laboratorium. Ot tak. Pamiętał widok krwi tryskającej z rany na żółty piasek Göbekli. A potem przypomniał sobie trzęsącą się kożę zarzynaną na ulicy w Şanhurfie.

Krzyknął. Jedyłą nadzieją był Karwan. Jego przyjaciel. Jego jazydzki przyjaciel. Może go usłyszy. Jego wrzaski rozbrzmiewały w całym pomieszczeniu. Rozległy się kurdyjskie przekleństwa. Szarpano go i kopano. Jakaś ręka chwyciła go za gardło, niemal dławiąc, na ramieniu poczuł żelazny uścisk kolejnej dłoni. Nie zważając na to, wierzgał i rozdawał razy nogami, teraz był już wściekły. Szarpał zębami kaptur. Jeśli chcą go zabić, nie będzie im tego ułatwiał, będzie walczył, próbował...

I nagle ściągnięto mu kaptur.

Dyszał, mrugając w świetle. Jakaś twarz patrzyła na niego z góry. Karwan.

Ale nie Karwan, jakiego znał: przyjacielski uśmiechnięty facet o okrągłej twarzy. Ten Karwan był poważny, ponury, zły, a przy tym władczy.

Rozkazywał stojącym dokoła starcom w białych szatach, warcząc na nich po kurdyjsku. Wydając polecenia. A ci ewidentnie go słuchali, niemal bili przed nim czołem. Jeden przetarł twarz Roba mokrą ścierką. Zapach wilgoci był obrzydliwy, ale chłód orzeźwiający. Inny mężczyzna pomógł mu prosto usiąść, oparli Roba o tylną ścianę.

Karwan szczerknął kolejny rozkaz. Chyba kazał starcom się oddalić, bo posłusznie opuszczali pomieszczenie. Wyszli gęsiego, drzwi się zamknęły i zostali sami. Rob się rozejrzył. Znajdowali się w małej, obskurnej sali, z gołymi pociągniętymi farbą ścianami i dwoma wysokimi, wąskimi oknami wpuszczającymi do środka niewiele światła. Być może był to jakiś rodzaj składziku albo świątynnego przedsionka. i

Więzy na przegubach rąk nadal sprawiały Ból. Zdjęto mu kaptur, ale wciąż był skrępowany. Potarł jednym nadgarstkiem o drugi, by przywrócić krążenie. Potem spojrzął na Karwana. Młody jazyda przykucnął na spłowiałym, bogato haftowanym dywaniku. I patrzył na Roba. Westchnął.

— Próbowałem ci pomóc, mister Luttrell. Myśleliśmy, że jeśli pozwolimy ci tu przyjść, będziesz zadowolony. Ale nie, ty musiałeś szukać dalej, chciałeś więcej. Zawsze. Wy, ludzie z Zachodu, zawsze chcecie więcej.

Rob był skonsternowany: O czym on mówi? Karwan pocierał oczy palcem wskazującym i kciukiem. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Przez wąskie okienka dochodziły stłumione odgłosy Lalisz: śmiejących się dzieci, szumu fontanny.

Karwan pochylił się do przodu.

— Co jest z wami nie tak, ludzie? Dlaczego chcecie wiedzieć wszystko? Breitner był taki sam. Ten Niemiec. Kropka w kropkę taki sam. — Oczy Roba się rozszerzyły. Karwan skinął głową. — Tak. W Göbekli Tepe...

Jazyda ze smutną miną wodził palcem wskazującym po dywanie przed sobą, wzdłuż szkarłatnego labiryntu haftu. Zdawał się namyślać, podejmować jakąś ważną decyzję. Rob czekał. Gardło mu zaschło na amen, nadgarstki pulsowały bólem. Spytał:

— Mogę się napić, Karwan?

Jazyda sięgnął ręką i chwycił małą butelkę wody mineralnej. Przyłożył ją Robowi do ust. Ten pił, drżąc, łapiąc oddech i głośno przełykając. Karwan odstawił butelkę na betonową podłogę między nimi i westchnął po raz drugi.

— Powiem ci prawdę. Teraz już nie ma sensu jej ukrywać. Może prawda pomoże jazydom. Bo kłamstwa i oszustwa robią nam krzywdę. Jestem synem jazydzkiego szejka. Przywódcy. Ale jestem też kimś, kto studiował naszą religię z zewnątrz. Więc moje położenie jest specjalne, mister Luttrell. Może to daje mi pewną... rozwagę. — Nie patrzył dziennikarzowi w oczy. Z poczucia winy? — Tego, co ci powiem — ciągnął — nie usłyszał żaden niejazyda od tysięcy lat. Może nigdy.

Rob słuchał w napięciu. Karwan mówił spokojnie, niemal monotonie. Jakby to był wcześniej przygotowany monolog albo coś, o czym myślał od wielu lat.

— Jazydzi wierzą, że Göbekli Tepe jest miejscem, w którym kiedyś znajdował się rajski ogród. Chyba już o tym wiesz. I myślę, że nasze wierzenia zainspirowały inne religie. — Wzruszył ramionami i wypuścił głośno powietrze. — Tak jak mówiłem, wierzymy, że jesteśmy bezpośrednimi potomkami Adama. Jesteśmy „Synami dzbana”. Göbekli Tepe jest więc domem naszych przodków. Każdy jazyda z kasty kapłańskiej, elity, do której i ja należę, słyszy, że musimy chronić Göbekli Tepe. Bronić świątyni naszych przodków. Z tej samej przyczyny nasi ojcowie i ojcowie

naszych ojców wpajają nam konieczność zachowania sekretu Göbekli Tepe. Wszystko, co zostanie stamtąd zabrane, musimy ukrywać albo niszczyć. Jak te szczątki z muzeum Şanhurfy. To jest nasz obowiązek jako jazydów. Ponieważ nasi praojcowie zasypali Göbekli Tepe tą masą ziemi nie bez powodu. — Karwan sięgnął po butelkę i wziął łyk wody, patrząc prosto na Roba, jego ciemnobrązowe oczy płonęły w mroku małego pomieszczenia. — Rozumiem, oczywiście, jakie pytanie ciśnie ci się na usta, mister Luttrell. Dlaczego? Dlaczego moi jazydscy przodkowie zakopali Göbekli Tepe. Dlaczego musimy je chronić? Co tam się wydarzyło? — Karwan się uśmiechnął, ale smutno, nawet z udręką. — Tego akurat nas nie uczą. Nikt nam nie mówi. Nasza religia nie jest spisana. Wszystko jest przekazywane ustnie, z ust do ust, z uszu do uszu, z ojca na syna. Kiedy byłem bardzo mały, pytałem ojca, dlaczego przechowujemy te wszystkie tradycje. Dlatego, że są tradycjami, odpowiadał. I tyle.

Rob chciał coś powiedzieć, ale Karwan uciszył go zniecierpliwionym uniesieniem dłoni.

— Oczywiście to wszystko nie miało znaczenia. Przez całe stulecia. Nikt nie zagrażał Göbekli Tepe. Nikt nawet nie wiedział o jego istnieniu oprócz jazydów. Tkwiło bezpiecznie pogrzebane w ziemi. Ale potem pojawili się Niemcy, archeolodzy ze szpadlami, koparkami, maszynami, badając i kopiąc, kopiąc i odsłaniając. Dla jazydów odkopanie Göbekli to coś potwornego. Jak obnażenie straszliwej rany. Boli nas. To, co nasi przodkowie zakopali, powinno zostać zakopane, co zostało wystawione na widok publiczny, powinno zostać ukryte i być chronione. Więc my, jazydzi, zatrudniliśmy się u Breitnera, zostaliśmy jego robotnikami, żeby opóźnić prace, powstrzymać to niekończące się kopanie. Mimo to on nie przestawał. Dalej odsłaniał ranę...

— Więc zabiliście Franza i potem...

Karwan warknął:

— Nie. Nie jesteśmy diabłami. Nie jesteśmy mordercami. Chcieliśmy go przerazić. Odstraszyć. Przepędzić was wszystkich. Ale potknął się i upadł. To wszystko.

— A... *Pulsa Dinura!*

— Owszem. I wszystkie problemy w świątyni. Usiłowaliśmy... jak to się mówi... zahamować wykopaliska, przerwać je. Ale Niemiec był taki zdeterminowany. Kopał dalej. Rozkopywał rajski ogród, ogród dzbanów. Kopał nawet nocą. I wywiązała się kłótnia. Upadł. Myślę, że to był wypadek.

Rob chciał zaprotestować. Karwan wzruszył ramionami.

— Chcesz, wierz, nie chcesz, nie wierz. Wolna wola. Ja mam dość kłamstw.

— A co to za czaszka?

Karwan wolno wypuścić powietrze.

— Nie wiem. Kiedy pojechałem do Teksasu, studiowałem własną religię. Zobaczyłem... strukturę jej mitów z innej perspektywy. I nie wiem. Nie wiem, kim jest Malak Taus, i nie wiem, czym jest czaszka. Wiem tylko, że musimy ją czcić, ją i Pawia. I że nie możemy ujawniać tych sekretów. I że absolutnie nie wolno nam rozmnażać się z niejazydami, zawierać związków małżeńskich z innowiercami. Ponieważ wy, niejazydzi, jesteście nieczyści.

— To zwierzę? Ta czaszka?

— Nie wiem! Naprawdę. Myślę... — Karwan szukał właściwych słów. — Myślę, że dziesięć tysięcy lat temu coś się stało w Göbekli Tepe. Coś się stało naszej świątyni w Edenie. Coś strasznego, w przeciwnym razie dlaczego by ją zasypali? Dlaczego grzebać to piękne miejsce, chyba że było miejscem wstydu albo cierpienia? Musiał być jakiś powód.

— Dlaczego to opowiadasz? Akurat teraz? Akurat mnie?

— Bo nie przestawałeś nas nachodzić. Nie poddawałeś się. Więc teraz mówię ci wszystko. Znalazłeś dzbany z tymi strasznymi szczątkami. Dlaczego włożono tam te dzieci? Po co? To mnie przeraża. Jest zbyt wiele rzeczy, których nie wiem. Mamy tylko nasze mity i tradycje. Nie mamy żadnej księgi, która by to wyjaśniła. Już nie.

Znowu słyhać było dochodzące z zewnątrz głosy. Brzmiało to jak pożegnania. Chwilę później dołączył do nich odgłos uruchamianych silników. Wyglądało na to, że świętujący opuszczają Lalisz. Rob chciał zapisać słowa Karwana, odczuwał niemal fizyczne pragnienie, by je zanotować, ale nadal miał spętane ręce. Mógł tylko zapytać:

— A jaka jest rola *Czarnej księgi*?

Karwan potrząsnął głową.

— A, tak. *Czarna księga*. Co to jest? Nie jestem pewny, czy to książka. Myślę, że był to jakiś ślad, klucz, wyjaśnienie tej wielkiej zagadki. Ale zniknęła. Zabrano ją nam. I teraz zostały nam już tylko nasze baśnie. I Anioł-Paw. Wystarczy. Powiedziałem ci o sprawach, o których nigdy nie powinienem mówić nikomu. Ale nie miałem wyboru. Świat gardzi jazydami. Jesteśmy obrażani i prześladowani. Nazywani czcicielami diabła. Przecież już gorzej być nie może! Może jeśli świat pozna prawdę, będą nas lepiej traktować. — Wziął kolejny nieśpieszny łyk wody. — Jesteśmy strażnikami



sekretu, mister Luttrell, straszliwego sekretu, którego nie rozumiemy. Jednak musimy trwać w naszym milczeniu. I stać na straży pogrzebanej przeszłości. To nasze brzemię. Od wieków. Jesteśmy „Synami dzbana”.

— A teraz...

— Teraz zabiorę cię z powrotem do Turcji. Odwieziemy cię na granicę, polecisz do domu i będziesz mógł opowiedzieć o nas wszystkim. Powiedzieć, że nie jesteśmy satanistami. Powiedzieć o naszym smutku. Powiedz im, co chcesz. Ale nie kłam.

Jazyda wstał i zawołał coś przez okno. Otworzyły się drzwi i weszło kilku mężczyzn. Znowu popychali Roba, ale tym razem spokojnie. Przeprowadzili go przez świątynię na zewnątrz. Po drodze zerknął na ołtarz: czaszka zniknęła. Znalazł się na słońcu. Dzieci wytykały go palcami. Kobiety gapiły się z dłońmi na ustach. Zaciągnęli go do forda pick-upa.

Kierowca był gotowy. Torba Roba leżała na siedzeniu pasażera. On sam miał nadal skrępowane nadgarstki. Dwóch mężczyzn pomogło mu się wgramolić do kabiny. Patrzył przez okno, kiedy do samochodu wsiadał smagły mężczyzna, brodaty i młodszy od Karwana. Był silny, muskularny i milczący. Zajął miejsce przy drzwiach. Rob wylądował na środkowym siedzeniu.

Ford ruszył, opony zabuksowały w pyłe. Rob rzucił ostatnie spojrzenie na Lalisz i zobaczył Karwana stojącego wśród gapiących się dzieci, przy jednej ze stożkowatych wież. Na jego twarzy malował się bezbrzeżny smutek.

A potem miasto zniknęło za wzniesieniem, kiedy auto pognało w dół zbocza, kierując się w stronę tureckiej granicy.

Gdy tylko został przerzucony przez turecką granicę w Habur, zadzwonił do Christine, potem wskoczył do publicznej taksówki jadącej do najbliższego miasta, Mardin. Po siedmiu męczących godzinach zameldował się w hotelu, raz jeszcze zadzwonił do Christine, potem do córki i zasnął z telefonem w ręku — tak był zmęczony.

Nazajutrz usiadł nad laptopem i napisał — z miejsca, z pasją i za jednym posiedzeniem — artykuł.

Porwany przez kurdyjskich wyznawców kultu aniołów.

Czuł, że jedynym sposobem na napisanie tego reportażu jest zrobienie tego szybko i z biegu. Było tu tyle różnych i rozbieżnych wątków, że gdyby usiadł i zaczął się zastanawiać, gdyby usiłował sformułować spójny, koherentny wywód, istniało ryzyko, że zagubiłby się w natłoku szczegółów i niekończących się dygresji. Poza tym tekst mógłby sprawiać wrażenie naciąganego, gdyby pisał go po długim namyśle: sama historia była tak niesamowita, że relacja musiała być prosta i płynąć prosto z serca, żeby robić wrażenie. Bardzo bezpośrednia. Bardzo uczciwa. Jakby opowiadał komuś długą i zadziwiającą historię przy kawie. Więc po prostu przelał wszystko na papier za jednym posiedzeniem. Göbekli Tepe i amfory z muzeum, jazydzi, kult aniołów i Malaka Tausa. Obrzędy w Lalisz, czaszka na ołtarzu i tajemnica Czarnej księgi. Całość podlana przemocą i morderstwem. No i teraz miał dobre zakończenie: on sam leżący na boku, w kapturze na głowie w brudnym małym pomieszczeniu w górach Kurdystanu: przekonany, że umrze.

Napisanie artykułu zajęło mu pięć godzin. Pięć bitych godzin, w czasie których niemal nie odrywał wzroku od ekranu, tak był skupiony. Maksymalnie skoncentrowany.

Po kilku minutach sprawdzania pisowni skopiował tekst na pendrive'a, wyszedł z hotelu i ruszył prosto do kawiarenki internetowej. Tam podłączył

sprzęt i wysłał artykuł e-mailem Steve'owi, który z niecierpliwością czekał na niego w Londynie.

Później siedział w napięciu przy komputerze, w nadziei, że Steve szybko da znać, co myśli. Ulice miasta zalewało gorące, jasne słońce, ale w kafejce panował niemal globalny mrok. Oprócz Roba siedział tam jeszcze tylko jeden klient: chłopiec popijający nieznaną turecką napój gazowany i grający w jakąś grę. Miał na uszach wielkie słuchawki. Wirtualnym AK-47 patroszył wirtualnego potwora na ekranie. Potwór miał purpurowe szpony i smutne oczy. Wypływały mu na wierzch jaskrawozielone jelita.

Rob przeniósł wzrok na ekran swojego komputera. Nie wiedząc czemu, sprawdził pogodę w Hiszpanii. Wpisał w Google swoje nazwisko. Potem nazwisko Christine. Dowiedział się, że jest autorką artykułu *Neandertalski kanibalizm w epoce lodowej na terenach Baskonii* w ostatnim dodatku „American Archeology”. Znalazł także jej zdjęcie z uroczystości wręczenia jakiejś nagrody w Berlinie.

Patrzył na fotografię. Tęsknił za Christine. Nie tak bardzo jak za córką, ale tęsknił. Za rozmową z nią, zapachem jej perfum, jej wdziękiem. Sposobem, w jaki się uśmiechała, kiedy się kochali: z zamkniętymi oczyma, jakby śniła o czymś bardzo słodkim, co się zdarzyło bardzo dawno temu.

Zadzwoiła jego komórka.

— Robbie!

— Steve... — Serce mu waliło. Nie znosił tych chwil. — No i?

— No i nie wiem, co powiedzieć... — powiedział Steve.

Robowi zrzędała mina.

— Nie podoba ci się?

Cisza.

— Nie, ty dupku. Jestem, kurwa, zachwycony!

Nastrój Roba poszybował w górę.

Steve się śmiał.

— Jezu, Rob, wysłałem cię, żebyś walnął jakiś historyczny bzdet. Myślałem, że może dobrze ci zrobi taka chwila wytchnienia. A ty z miejsca stajesz się świadkiem morderstwa. Napadają na ciebie sataniści. Odkrywasz berbecia z epoki kamienia w jakimś słoju na pikle. Znajdujesz kolejnych czcicieli diabła. Wysłuchujesz kurdyjskiej klątwy śmierci. I... i... i... — Steve'owi brakowało tchu. — I jedziesz do Iraku, poznajesz jakiegoś tajemniczego gościa, który zabiera cię do jakiegoś świętego miejsca, gdzie jego współbratymcy oddają cześć jakiemuś pierdolonemu gołębiowi i biją

czołem przed odjechaną czachą, i wtedy te pojeby rzucają się na ciebie i próbują cię zadźgać, zanim ci mówią, że pochodzą prosto od Adama i Ewy.

Rob milczał. Potem wybuchnął śmiechem. Ryczał tak głośno, że zabijający potwory dzieciak obok podniósł wzrok i postukał w słuchawki, żeby sprawdzić, czy działają.

— Więc myślisz, że artykuł jest w porządku? Starłem się przedstawić jazydów sprawiedliwie. Może nawet za bardzo, ale po prostu...

Steve przerwał.

— Jest więcj niż w porządku. Bardzo mi się podoba. Szefowi podobnie. Rzucimy go jutro w środku, na rozkładówce, a na pierwszej damy zapowiedź.

— Jutro?

— Aha. Prosto do druku. Mamy też twoje zdjęcia. Odwaliłeś kawał świetnej roboty.

— To wspaniale. To...

— Cholernie wspaniale, wiem. No a teraz powiedz mi, kiedy wracasz.

— Nie jestem pewien. To znaczy chciałbym pierwszym możliwym lotem, ale są pobukowane. Do ostatniego miejsca. A jakoś nie uśmiecha mi się dwudziestoczwierogodzinna podróż autokarem do Ankary. Na pewno będę w Londynie przed weekendem.

— Dobry chłopiec. Wpadnij do biura, to postawię ci lunch. Możemy nawet pójść do restauracji z prawdziwego zdarzenia. Takiej z pizzą.

Rob się roześmiał. Pożegnał się z szefem, zapłacił właścicielowi kafejki i wyszedł na ulicę.

Mardin było ładnym miastem. Raczej biednym, na ile Rob zdążył się zorientować, ale bardzo starym i nastrojowym. Ponoć pochodziło z czasów potopu; były tu rzymskie ulice, bizantyjskie ruiny i syryjscy złotnicy. Niesamowite alejki biegnące pod domami. Ale Rob nie zwracał na to uwagi. Miał dosyć historycznych i orientalnych klimatów. Chciał już wrócić do domu: do chłodnego, nowoczesnego, deszczowego, pięknego, zaawansowanego technologicznie europejskiego Londynu. Przytulić córkę i pocałować Christine.

Stojąc przy wejściu do piekarni, wybrał jej numer. Dzwonił do niej dzisiaj już dwa razy, ale po prostu lubił z nią rozmawiać. Odebrała natychmiast. Powiedział jej, że artykuł spodobał się w redakcji, stwierdziła, że to wspaniale, ale że chce, żeby Rob już wracał do Anglii. Zapewnił, że przyleci najszybciej, jak to możliwe, najdalej za pięć dni. Poinformowała go

wtedy, że nadal odwiedza Lizzie, że bardzo się zaprzyjaźniły i Sally poprosiła ją nawet o pomoc. Miała całodniowe zajęcia w Cambridge, więc Christine obiecała w tym czasie zająć się małą. Dzisiaj po południu miały odwiedzić de Savary'ego, starego przyjaciela i wykładowcę, jeśli oczywiście Rob nie ma nic przeciwko. Chciała porozmawiać z nim o tych rzekomo powiązanych z ich historią zabójstwach w Anglii, ponieważ chyba wiedział dużo o poczynaniach policji. Lizzie zaś bardzo pragnęła zobaczyć krówki i owieczki. Potem Christine zapewniła Roba, że bardzo za nim tęskni, on zaś oświadczył, że już nie może się doczekać, żeby ją zobaczyć, i się rozłączyli.

Spacerowym krokiem ruszył beztrąsko z powrotem do hotelu, myśląc o lunchu. Ale gdy tylko schował telefon do kieszeni, nagła myśl osadziła go w miejscu. De Savary. Cambridge. Zabójstwa.

Część tej historii nadal pozostawała niewyjaśniona. Brytyjska część. Jeszcze nie było po wszystkim. Zmienił się tylko teren wydarzeń.

Miejsce niedawnego zadowolenia i radości zajęły teraz napięcie i głód. Rob znowu rwał się do działania, gotów na ciąg dalszy. Więcej niż gotów: teraz się bał, że coś się wydarzy pod jego nieobecność. Musiał jak najszybciej wrócić do Anglii. Może uda mu się zabukować lot przez Stambuł. Wyczarterować samolot...

Znowu poczuł dreszcz niepokoju.

Forrester i Boijer patrzyli na Styks.

— Pamiętam jeszcze ze szkoły — powiedział Boijer. — Rzeka opływająca krainę cieni. Trzeba ją przepłynąć, żeby dostać się do królestwa zmarłych.

Forrester zapatrzył się w wilgotny mrok podziemi. Rzeka Styks nie była bardzo szeroka, ale wartka: płynęła starym korytem, potem zakręcała na skalistym łuku i znikła w jaskiniach i pieczarach. Odpowiednie miejsce na porzucenie ziemskiego żywota. Jedyłą fałszywą nutą było stare opakowanie po chipsach na drugim brzegu.

— Oczywiście — wtrącił się Kelvin Bigglestone, przewodnik. — Styks to tylko taka nazwa. Tak naprawdę to sztuczna rzeka wybudowana na zamówienie drugiego baroneta sir Francisa Dashwooda, kiedy powiększono grotę. Chociaż w tym systemie krzemowo-kredowych jaskiń płynie wiele prawdziwych rzek i cieków wodnych. To niekończący się labirynt. — Przyglądził opadające brązowe włosy i uśmiechnął się do policjantów. — Czy mam panom pokazać resztę?

— Będziemy wdzięczni.

Bigglestone zaczął ich oprowadzać po jaskiniach Hellfire, niecałe dziesięć kilometrów od majątku Dashwood w West Wycombe.

— Dobrze. Wobec tego ruszajmy.

Podniósł parasol, jakby prowadził wycieczkę. Boijer zachichotał, Forrester posłał mu ostrzegawcze spojrzenie: potrzebowali tego człowieka. Potrzebowali współpracy wszystkich w West Wycombe, jeśli ich plan miał wypalić.

— A zatem — zagaił Bigglestone. Jego pulchną twarz ledwo było widać w mroku podziemi. — Co wiemy o osiemnastowiecznym klubie Hellfire? Dlaczego jego członkowie się tu spotykali? W tych zimnych i oślizgłych pieczarach? W szesnastym stuleciu pojawiły się w Europie najróżniejsze tajne stowarzyszenia, takie jak różokrzyżowcy. Wszystkie opowiadały się za

wolnomyślicielstwem, zgłębiały okultyzm i tajemnice wiary. W osiemnastym wieku co znaczniejszych członków tych stowarzyszeń opanowała idea, że w Ziemi Świętej można znaleźć teksty i materiały podważające historyczne i teologiczne podstawy chrześcijaństwa. — Znowu podniósł parasol. — Oczywiście były to raczej pobożne życzenia ery antyklerykalizmu i rewolucyjnego sekularyzmu. Ale wystarczyły, by omamić kilku bardzo bogatych ludzi... — Podszedł do mostu przerzuconego nad Styksem i się odwrócił. — Owe pogłoski szczególnie zaintrygowały niektórych co bardziej ekscentrycznych przedstawicieli angielskiej arystokracji. Jeden z nich, drugi baronet Le Despencer, sir Francis Dashwood, odbył podówczas podróż po Turcji w poszukiwaniu prawdy. Zainspirowany tym, co odkrył, założył po powrocie pierwszy Divan Club, a potem klub Hellfire. Jedną z *raisons d'être* tego ostatniego była pogarda dla obowiązującej wiary i jej kwestionowanie.

— Skąd to wiadomo? — wtrącił Forrester.

— Jest mnóstwo przesłanek, które jednoznacznie wskazują na to, że Dashwood odrzucił ortodoksyjną religię. Na przykład motto klubu *Fay çe que voudras*, czyli „Czyń, co ci się podoba”, zaczerpnięte od Rabelaisgo, wielkiego prześmiewcy Kościoła. Ta sama maksyma została później przyjęta przez satanistę Alistaira Crowleya w dwudziestym wieku i jest teraz powszechnie używana przez sekty satanistyczne na całym świecie. Dashwood kazał to motto wyryć nad łukiem drzwi Medmenham Abbey, zrujnowanego opactwa położonego niedaleko stąd, które wynajmował na zabawy.

— Zgadza się, sir — powiedział Boijer, patrząc na komisarza. — Sam widziałem. Dziś rano.

Nie przerywając pogadanki, Bigglestone pokazał, żeby szli za nim.

— W tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim roku Dashwood odbył kolejną podróż, tym razem do Włoch. Wyprawa była owiana aurą tajemnicy, nikt nie wiedział, dokąd dokładnie pojechał. Według jednej z teorii ponoć do Wenecji po książki o magii. Inni specjaliści są zdania, że mógł odwiedzić Neapol, żeby obejrzeć prace wykopaliskowe na terenie dawnego rzymskiego burdelu.

— Ale po co?

— Dashwood słynął z lubieżności, komisarzu Forrester. W parku w West Wycomb stoi posąg Priapa, greckiego boga cierpiącego na stałą erekcję.

Boijer się roześmiał.

— Powinien ograniczyć viagrę.

Przewodnik zignorował tę uwagę.

— Pod posągami kazał rzeźbiarzowi wyryć napis: *Peni tento non penitenti*, czyli, w wolnym tłumaczeniu: „Szttywna pyta, nie pokuta”, potwierdzając tym samym zdecydowane wyparcie się wiary i moralności chrześcijańskiej. — Szli teraz szybko przez główną jaskinię. Bigglestone dźgał parne powietrze parasolem, jakby odganiał się od opryszka. — Spójrzcie panowie tutaj. Według Horacego Walpole'a w tych mniejszych jaskiniach stały łóżka, tak by bracia mogli baraszkować z młodymi kobietami. W czasach Dashwooda w jaskiniach często odbywały się orgie. A także libacje. Krążą też pogłoski o kulcie diabła, grupowym onanizmie i tak dalej.

Weszli do większej jaskini o lekko gotyckich kształtach. Stanowiła jakby szyderczą wersję kościoła.

Przewodnik wznosił wysoko parasol.

— Tuż nad nami znajduje się kościół Świętego Wawrzyńca, wzniesiony przez tego samego Francisa Dashwooda. Powąza kościoła jest dokładną kopią sufitu zrujnowanej syryjskiej świątyni słońca w Palmyrze. Francis Dashwood pozostawał pod wpływem nie tylko starożytnych tajemnic, ale także ówczesnych kultów solarnych. W co jednak sam tak naprawdę wierzył? Zdania są podzielone. Niektórzy twierdzą, że jego polityczny i duchowy światopogląd da się zamknąć w dwóch zdaniach: że Anglia winna być rządzona przez elitę, a ta arystokratyczna elita winna praktykować pogańską religię. — Uśmiechnął się. — Z tymi poglądami łączyły się zdecydowane skłonności libertyńskie: orgie, libacje, bluźnierstwa i tak dalej. A to z kolei rodzi jedno pytanie. Jakie były prawdziwe motywy działalności stowarzyszenia?

— Jak pan uważa?

— Pyta pan tak, jakby oczekiwał konkretnej, zwięzłej odpowiedzi. Obawiam się, że taka nie wchodzi w grę, komisarzu. Wiemy tylko tyle, że u szczytu popularności klub Hellfire zrzeszał wśród swych członków jedne z najwybitniejszych postaci ówczesnej doby. W rzeczywistości do tysiąc siedemset sześćdziesiątego drugiego roku Bracia Medmenhama, jak sami siebie określali, zdominowali najwyższe kręgi angielskiego rządu, a tym samym powstające imperium brytyjskie. — Bigglestone odwrócił się i ruszył w drogę powrotną na parking, nie przerywając wykładu. — W tymże roku nagłośniono publicznie istnienie klubu. Ujawniono, że należą do niego premier, minister skarbu plus cała masa różnych lordów, arystokratów i



członków rządu. Klub Hellfire stał się synonimem arystokratycznego rozpasania, lubieżności i elitarności. — Brigglesstone zaśmiał się. — Po tym skandalu wielu z najślawniejszych braci, na przykład Walpole, Wilkes, Hogarth i Benjamin Franklin, zdecydowało się odejść. Ostatnie zebranie klubu odbyło się w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym roku.

Znajdowali się teraz w wąskim i dusznym, ociekającym wodą korytarzu skalnym, który prowadził z ciągu jaskiń do wyjścia i kasy biletowej.

— Od tej chwili jaskinie Hellfire przestały być obiektem zainteresowania, ale pozostały smutnym, czasem niepokojącym wspomnieniem. Jest jednak mało prawdopodobne, by kiedykolwiek odkryły nam swój ostatni sekret. Członkowie klubu zadali sobie sporo trudu, by jego tajemnice zostały pogrzebane razem z nimi. Ponoć ostatni intendent klubu Paul Whitehead przez ostatnie trzy dni przed śmiercią palił wszystkie dokumenty. Zatem na pytanie, co naprawdę działo się w jaskiniach, odpowiedź można znaleźć jedynie... w płomieniach piekielnych.

Zamilkł. Boijer uprzejmie zaklaskał. Przewodnik skłonił się lekko, potem zerknął na zegarek.

— O rety, prawie szósta! Czas na mnie. Mam nadzieję, że jutrzejszy plan się powiedzie, panowie. Dwunasty baronet bardzo pragnie pomóc policji złapać tych morderców.

Ruszył szybko po asfalcie i zniknął na ścieżce biegnącej w dół wzgórza. Boijer i Forrester podeszli nieśpiesznie do radiowozu zaparkowanego w cieniu dębu.

Po drodze jeszcze raz omówili plan działania. Hugo de Savary przekonał wcześniej Forrestera, telefonicznie i drogą mailową, że zabójcy na pewno pojawią się w jaskiniach. Jeśli szukają *Czarnej księgi*, skarbu, który Whaley przywiózł z Ziemi Świętej, to po prostu muszą sprawdzić to miejsce: siedzibę klubu Hellfire.

Ale kiedy to nastąpi? Forrester już wcześniej doszedł do wniosku, że grupa uderza tylko wtedy, kiedy zachodzi największe prawdopodobieństwo, że cel ataku będzie opustoszały: Craven Street w samym środku nocy w weekend, Canford School wcześniej rano w czasie przerwy semestralnej.

Policja zastawiła więc pułapkę. Forrester złożył wizytę obecnemu właścicielowi majątku West Wycombe, dwunastemu baronetowi Edwardowi Francisowi Dashwoodowi, bezpośredniemu potomkowi założyciela Hellfire, i uzyskał zgodę na zamknięcie jaskiń na jeden dzień. Wieść o tej niespodziewanej decyzji została nagłośniona i umotywowana „obchodami

rocznicy ślubu baroneta oraz chęcią dania lojalnemu personelowi West Wycombe zasłużonego wolnego". Ogłoszenia tej treści znalazły się we wszystkich lokalnych gazetach, informacja pojawiła się też na stosownych stronach internetowych. Scotland Yard zdołał nawet przekonać BBC do emisji krótkiego materiału, koncentrującego się wprawdzie na złej sławie miejsca, ale zawierającego też wzmiankę o jego chwilowym zamknięciu. W rezultacie, jeśli idzie o zwiedzających, jaskinie miały być zupełnie puste. Przynęta została rzucona.

Pozostawało pytanie, czy gang się pojawi. Było to raczej palcem na wodzie pisane, ale niewiele więcej mogli zrobić. Forrester był zdecydowanie złej myśli, kiedy Boijer wiozł ich wiejskimi uliczkami do hotelu.

Jedynym śladem, którym dysponowali, było zdjęcie Cloncurry'ego z monitoringu szkoły Canford School. Sprawcy uszkodzili większość kamer, przecinając kable. Jedną wszakże przeoczyli i to ona zarejestrowała nieostry obraz Cloncurry'ego idącego szkolnym korytarzem. Z mrozącą krew w żyłach obojętnością patrzył prosto w obiektyw. Jakby wiedział, że jest filmowany. I miał to gdzieś.

Forrester całymi godzinami gapił się na ziarnisty wizerunek Cloncurry'ego, starając się przeniknąć jego myśli. Rzecz niełatwa: miał przed sobą człowieka, który potrafił obedrzeć ze skóry spętanego mężczyznę. Żywcem. Który potrafił wyciąć ofierze język, zakopać głowę żyjącego człowieka w ziemi. Który był w stanie zrobić wszystko.

Był bardzo przystojny: miał wysokie kości policzkowe, lekko skośne oczy, wytworny, kanciasty profil. W jakiś sposób dodawało to jego okrucieństwu jeszcze większej grozy.

Boijer parkował samochód. Zatrzymali się w Holiday Inn w High Wycombe, tuż przy M40. Noc była niespokojna. Forrester wypalił niewielkiego skręta po kolacji, ale to nie pomogło mu się zrelaksować. Przez całą noc śnił, zlany potem, o jaskiniach, nagich kobietach i orgietkach, o małej dziewczynce zagubionej między śmiejącymi się dorosłymi, wołającej ojca gdzieś z głębi jaskiń.

Obudził się wcześniej z zaschniętym gardłem. Zadzwoił do zaspanego Boijera i wyciągnął go z łóżka. Pojechali prosto do punktu obserwacyjnego. Jego rolę pełniła przenośna kabina ukryta za wzgórzem po drugiej stronie głównego wejścia do jaskiń. One same były puste. Kasa biletowa zamknięta. Majątek Dashwood także opustoszał: personel i służba dostali wychodne.

Oprócz Boijera i Forrestera w kabinie pełniło dyżur trzech policjantów. Na zmianę obserwowali obrazy z monitoringu. Dzień był upalny: bezchmurny i bardzo ładny. Mijała godzina za godziną, komisarz patrzył przez małe okienko i myślał o artykule o jazydach i *Czarnej księdze*, który przeczytał w „Timesie”. Wyglądało na to, że jakiś dziennikarz w Turcji wpadł na inny wątek tej samej dziwnej sprawy.

Forrester przeczytał ów tekst raz jeszcze poprzedniego wieczoru i zadzwonił do de Savary'ego, by zasięgnąć jego opinii. Profesor, który jak się okazało, znał reportaż, potwierdził, że zachodzi tu dziwny i dość intrygujący związek, a potem wspomniał o kolejnym: wzmiankowana w tekście francuska dziewczyna dziennikarza jest jego byłą studentką i przyjaciółką. I, co więcej, ma go odwiedzić następnego dnia.

Forrester poprosił profesora, by wypytał dziewczynę, ustalił, jeśli to możliwe, jaki dokładnie związek zachodzi między wydarzeniami w Turcji i Anglii. Między tu a tam. Między nagłym strachem jazydów a nagłym wybuchem przemocy Cloncurry'ego. De Savary obiecał zrobić, co w jego mocy. I wtedy, w tamtej chwili, komisarz poczuł ślad nadziei. Może uda im się rozgryźć tę sprawę. Ale teraz, piętnaście godzin później, ten optymizm zniknął. Nic się nie działo.

Westchnął. Boijer opowiadał jakąś sprośną historyjkę o koleżance w basenie. Wszyscy chichotali. Ktoś rozdał kolejne kubki z kawą. Dzień ciągnął się niemiłosiernie, w kabinie robiło się coraz duszniej. Gdzie są sprawcy? Co robią? Może Cloncurry bawi się z nimi w kotka i myszkę?

Zapadł ciepły, łagodny zmierzch. Pogodny i spokojny majowy wieczór. Ale nastrój Forrestera był posępny. Poszedł się przejść. Dochodziła dziesiąta. Sprawcy się nie pojawili: plan nie wypalił. Komisarz szedł noga za nogą, popatrując gniewnie na księżyc. Kopnął starą butelkę po soku jabłkowym. Pomyślał o swojej córeczce. „Ja-pko. Ja-pko. Ja-pko, tata”. Żal ścisnął mu serce, jakby wypełnione rtęcią. Starał się zwalczyć ogarniające go poczucie bezsensu: zimnego, bezsilnego gniewu, beznadziejności.

Może stary sir Francis Dashwood miał rację. Gdzie niby jest ten Bóg? Dlaczego dopuszcza do takich potworności? Umierania? Śmierci dzieci? Dlaczego pozwala na to, by po świecie chodzili ludzie w rodzaju Cloncurry'ego? Nie ma Boga. Niczego w ogóle nie ma. Jest tylko małe dziecko zgubione w jaskiniach, i więcej nic.

— Sir!

Boijer wyskoczył z kabiny razem z trzema posterunkowymi.

— Sir, beemka na parkingu!

Forrester z miejsca poczuł przyływ energii. Pobiegł za Boijerem i uzbrojonymi gliniarzami. Obiegli róg, kierując się w stronę placu parkingowego. Ktoś włączył światła: antywłamaniowe reflektory zainstalowane na ogrodzeniu. Wejście do jaskiń tonęło w oślepiającym świetle.

Na środku parkingu stało wielkie, błyszczące czarne bmw. Okna samochodu były zaciemnione, ale Forrester widział duże sylwetki w środku.

Policjanci wycelowali broń w samochód. Forrester wziął od Boijera megafon, jego głos niósł się po zalanym światłem placu:

— Stać. Policja. Jesteście otoczeni. — Policzył ciemne sylwetki w samochodzie. Pięć, może sześć?

Nic.

— Wsiądźcie z auta. Powoli. Teraz.

Drzwi pojazdu nadal były zamknięte.

— Jesteście otoczeni. Macie wysiąść z samochodu. Natychmiast.

Policjanci przykucnęli niżej, celując. Drzwi od strony kierowcy zaczęły się bardzo wolno otwierać. Forrester nachylił się, żeby lepiej zobaczyć sprawców.

Puszka cydru potoczyła się z brzękiem na beton. Kierowca wysiadł z samochodu. Miał jakieś siedemnaście lat, był wyraźnie pijany i przerażony. Pojawili się dwaj kolejni chłopcy i podnieśli do góry trzęsące się ręce. Także siedemnasto\*, osiemnastoletni. Na ramionach mieli różowe imprezowe girlandy. Na policzku jednego widniał ślad szminki po pocałunku. Najwyższy właśnie się zmoczył, wielka plama moczu rozprzestrzeniła się na przodzie spodni.

Dzieciaki. Imprezujący uczniowie. Pewnie szukający dreszczyku w jaskiniach zła.

— Ożeż kurwa mać — warknął Forrester na Boijera. — Kurwa jego mać. — Splunął na ziemię i przeklął swój pech. Potem kazał Finowi aresztować dzieciaki. Za coś. Cokolwiek. Jazdę po pijaku.

— Jezu!

Komisarz powłókł się zgarbiony do kabiny, czując się jak idiota. Ten bydlak Cloncurry zrobił z niego głupka. Znowu im się wymknął: był zbyt bystry, żeby nabrać się na taki dumny numer. Co zrobi teraz? Kogo zabije? I jak?

Nagle Forresterowi błysnęła potworna myśl. Oczywiście.

Rzucił się do radiowozu, chwycił marynarkę i wyciągnął komórkę. Trzęsącymi się dłońmi wystukał numer. Przyłożył telefon do ucha, ponagłając sygnał. Szybciej, szybciej, szybciej. Modlił się żarliwie, żeby nie było za późno.

Ale nikt nie odbierał.

Kiedy Hugo de Savary się obudził, jego chłopak już wychodził, mamrocząc coś o wykładzie z antropologii w St John's.

Profesor zszedł na dół i zobaczył, że przystojny kochanek jak zwykle zostawił po sobie bałagan w kuchni: okruszki chleba, wybebeszonego „Guardiana”, marmoladę rozmazaną na nieuprzątniętym talerzu i fusy po kawie w zlewie. Ale de Savary specjalnie się nie przejął. Był szczęśliwy. Dostał dziś namiętnego całusa: jego chłopak pocałował go na dzień dobry. Naprawdę dobrze się między nimi układało. A teraz jeszcze profesor miał w perspektywie bardzo miły dzień: poświęcony wyłącznie pracy badawczej. Żadnej stresującej pisaniny, żadnych nudnych zebrań w Cambridge czy w Londynie, żadnych pilnych telefonów do wykonania. Musiał jedynie poczytać trochę, siedząc w ogrodzie swojego wiejskiego domku, przejrzeć jedną lub dwie niepublikowane jeszcze prace. Bardzo miły dzień, pełen spokojnej lektury i rozmyślań. Później może podjedzie do Grantchester: zrobi zakupy, zajrzy do księgarni. Około piętnastej czekała go wizyta dawnej studentki, Christine Meyer. Miała przyjechać z córką swojego przyjaciela, dziennikarza, który napisał wysoce intrygujący reportaż w „Timesie” o jazydach, *Czarnej księdze* i tym dziwnym miejscu Göbekli Tepe. Powiedziała mu przez telefon, że chce porozmawiać o powiązaniach między artykułem swojego chłopaka a serią zabójstw w Anglii.

De Savary ochoczo na to przystał. Bardzo chciał zobaczyć się znowu z Christine. Jedną z jego najzdolniejszych studentek — była jego ulubienicą — i jak się zdawało, odwalala kawał dobrej roboty w Göbekli. Ciekawa praca, choć raczej jeżąc włosy na głowie, sądząc po co bardziej ekscytujących fragmentach reportażu.

Przez dziesięć minut sprzątał po śniadaniu. Potem napisał SMS-a do kochanka: *Czyż naprawdę jest niemożliwością pokroić chleb bez demolowania kuchni? Hugo XX.*

Kiedy spłukiwał fusy w zlewie, dostał odpowiedź:

*Nie zrzucaj napalmu. Mam egzaminy końcowe XXX.*

De Savary głośno się zaśmiał. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie zakochuje się w Andrew Halloranie. Wiedział, że to byłaby z jego strony głupota: chłopak miał dopiero dwadzieścia jeden lat. De Savary czterdzieści pięć. Ale Andrew był taki przystojny w uwodzicielski, nonszalancki sposób. Wrzucał na grzbiet co popadnie i co rano wyglądał jak młody bóg. Zwłaszcza z kilkudniowym zarostem kontrastującym z ciemnoniebieskimi oczyma. Nadto najpewniej spotykał się także z innymi mężczyznami, co też się profesorowi podobało. Trochę musztardy na kanapce, słodkie udręki zazdrości — to zawsze się sprawdzało.

Zebrawszy papiery i książki, de Savary wyszedł do ogrodu. Dzień był piękny. Niemal za bardzo jak na perspektywę pracy: śpiew ptaków brzmiał zbyt uroczo, zapach późnomajowego kwiecia za bardzo uderzał do głowy. Z ogrodu po drugiej stronie łąk hrabstwa Cambridge dochodził śmiech dzieci, choć dom profesora położony był na uboczu.

Starał się skoncentrować na pracy. Zbierał materiały do obszernego i dość specjalistycznego artykułu w TLS o przemocy jako części angielskiej kultury. Ale gdy tak siedział w promieniach porannego słońca, jego myśli kierowały się bez przerwy ku tematowi, które ostatnio najbardziej go zaprzątały: gangu zabójców grasującego w Anglii. I jego powiązaniom z dziwnymi wydarzeniami w Turcji.

Podniósł z trawnika gorący od słońca telefon komórkowy i zastanawiał się, czy nie dzwonić do Forrestera, żeby sprawdzić, czy policja zdziałała coś w Wycombe. Ale w końcu się rozmyślił i odłożył aparat z powrotem. Nie miał wątpliwości, że gang w pewnym momencie przekopie jaskinie. Jeśli tak desperacko szukali *Czarnej księgi*, to pieczary Hellfire były najoczywistszym miejscem pod słońcem, które należało sprawdzić. Natomiast zupełnie inną kwestią pozostawało, czy policyjna pułapka wypali. Na dwoje babka wróżyła. Ale takie ryzyko czasem się opłacało.

Słońce zaczęło mocniej prażyć. De Savary upuścił papiery na trawę, wyciągnął się na leżaku i przymknął oczy. Śmiech dzieci dolatywał gdzieś od strony łąki. Myślał o jazydach. Ten dziennikarz, Rob Luttrell, ewidentnie coś odkrył. *Czarna księga* z pewnością zawierała ważne informacje o tej wyjątkowej świątyni, Göbekli Tepe, która, jak się zdawało, odgrywała tak istotną rolę w jazydzkich wierzeniach i historii. Poczł dreszcz niepokoju, kiedy przypomniał sobie reportaż z „Timesa”. Sprawcy też na pewno go widzieli i czytali. Nie byli głupi. Z tekstu jasno wynikało, że Luttrell wie coś

o *Czarnej księdze*. Pojawiała się też imienna wzmianka o Christine. De Savary nie zdziwiłby się zatem, gdyby gang zaczął polować na tych dwoje. Zakarbował sobie w głowie, by ostrzec swoją dawną studentkę, że może być w niebezpieczeństwie. Oboje powinni na siebie uważać, dopóki sprawcy nie zostaną złapani.

Przechylił się i podniósł fotokopię pracy „Strach przed tłumem: zamieszki i zabawy w regencyjnym Londynie”. Ptaki ćwierkały na jabłonce za nim. Czytał i robił notatki, znowu czytał i znowu robił notatki.

Skończył po trzech godzinach. Włożył buty, wsiadł do małego sportowego samochodu i pojechał do Grantchester. Wszedł do księgarni i przez bardzo miłą godzinkę włóczył się między regałami, potem przespacerował się do sklepu komputerowego i nabył toner do drukarki. Odjeżdżając, przypomniał sobie, że ma wpaść Christine, więc zatrzymał się przy supermarkecie i kupił świeżą lemoniadę oraz trzy koszyczki truskawek. Usiądą w ogrodzie i zjedzą owoce na słońcu.

W drodze powrotnej nucił pod nosem podwójny koncert skrzypcowy Bacha. Taka piękna spokojna melodia. Postanowił, że w wolnej chwili ściągnie sobie z Internetu nowe wykonanie.

Po powrocie poszedł do gabinetu, żeby posurfować. Nie minęła godzina, a rozległ się dźwięk kołatki i oto pojawiła się Christine. Uśmiechnęta i opalona, z małą blond dziewczynką o anielskiej urodzie. De Savary się rozpromienił: zawsze myślał, że gdyby tylko nie był gejem, zakochałby się w dziewczynie takiej jak Christine: marzycielskiej i seksownej, a przy tym skromnej i w jakiś sposób niewinnej. No i oczywiście niezwykle utalentowanej i bystrej. A w opaleniznie było jej bardzo do twarzy. Podobnie jak z tą dziewczynką u boku.

Położyła dłoń na ramieniu małej:

— To jest Lizzie, córka Roberta. Jej mama jest w mieście na zajęciach... i mnie przypadła rola zastępczej matki na jeden dzień.

Dziewczynka wykonała coś na kształt uroczego dygu, jakby stała przed królową, potem zachichotała i z poważną miną uścisnęła dłoń profesora.

Kiedy szli do ogrodu, Christine zarzuciła de Savary'ego mnóstwem ploteczek, historyjek i teorii, zupełnie jak za dawnych czasów w jego gabinecie w King's. Śmiali się wtedy i dyskutowali z pasją: o archeologii i miłości, o Sutton Hoo i Jamesie Joysie, o księciu z Palenque i znaczeniu płci.

W ogrodzie profesor nalał lemoniadę do szklanek i zaproponował truskawki. Christine z ożywieniem mówiła o Robiem. De Savary widział w



jej oczach miłość. Przez krótką chwilę rozmawiali o dziennikarzu, Lizzie zaś oświadczyła, że już nie może się doczekać powrotu taty, bo ma jej przywieźć lwa. I lamę. Potem spytała, czy może pograć na komputerze, i de Savary zgodził się skwapliwie, pod warunkiem że pozostanie w zasięgu wzroku. Dziewczynka wbiegła do domku i usiadła przy otwartych drzwiach balkonowych, z miejsca pochłonięta grą.

Hugo był zadowolony, że mogą teraz rozmawiać swobodniej.

— No to, Christine, opowiedz o Göbekli — poprosił. — To jest wprost *incrovable*.

Przez blisko godzinę relacjonowała ostatnie wypadki. Kiedy skończyła, słońce wisiało już nad wierzchołkami drzew.

Profesor pokręcił głową. Dyskutowali o tajemniczym zasypaniu świątyni. Potem o klubie Hellfire i *Czarnej księdze*, rozmawiając, tak jak mieli to w zwyczaju: dwa pełne pasji i życia umysły o podobnych zainteresowaniach: literatura, historia, archeologia, malarstwo. De Savary naprawdę cieszył się tą rozmową. Christine wyznała mu przy okazji, w ramach dygresji, że usiłuje przekonać Roba do onieśmielających rozkoszy płynących z lektury Jamesa Joyce'a, wybitnego irlandzkiego modernisty, i oczy profesora rozbłysły. Przypomniała mu się jedna z jego ostatnich teorii. Postanowił podzielić się nią z Christine.

— A wiesz, któregoś dnia ponownie zaglądałem do Joyce'a i coś mnie uderzyło.

— Tak?

— Jeden ustęp z *Portretu artysty w wieku młodzięcym*. Zastanawiam się, czy...

— Co jest?

— Przepraszam?

— Co to było?

Wtedy usłyszał głośny huk dochodzący z domku. Dziwny, złowrogi łoskot.

De Savary natychmiast pomyślał o Lizzie. Wstał i odwrócił się, ale Christine już się rzuciła w stronę drzwi. Upuścił szklanekę z lemoniadą na trawnik i pobiegł za nią. W tym momencie usłyszał stłumiony krzyk.

Znalazł Christine w środku w rękach kilku młodych mężczyzn w czarnych dżinsach i kominiarkach. Tylko jeden, ciemnowłosy i przystojny, był bez maski. De Savary z miejsca go poznał. Forrester przesłał mu mailem obraz z kamer szkolnego monitoringu.

Jamie Cloncurry.

Profesor miał ochotę krzyknąć, tak niedorzeczna wydała mu się ta sytuacja. Napastnicy mieli noże i pistolety. Jedna z luf była wycelowana prosto w niego. To zakrawało na jakąś groteskę. Znajdowali się w hrabstwie Cambridge. Było piękne majowe popołudnie. Dopiero co pojechał do supermarketu po truskawki. W drodze powrotnej pogwizdywał sobie Bacha. A teraz miał w domu bandę uzbrojonych psychopatów.

Christine krzyknęła i usiłowała wyrwać się trzymającemu ją oprawcy, ale jeden z mężczyzn z całej siły uderzył ją pięścią w brzuch. Jęknęła i przestała walczyć. W szeroko rozwartych oczach, którymi patrzyła na de Savary'ego, malował się dziki strach.

Najwyższy z mężczyzn, Jamie Cloncurry, ospałym ruchem wskazał pistoletem na profesora.

— Przywiążcie go do krzesła.

Jego głos brzmiał bardzo dystyngowanie i mroził krew w żyłach. Przez chwilę de Savary słyszał dobiegające z kuchni stłumione łkanie Lizzie. Potem płacz ustał.

Dwóch napastników przywiązało profesora pasami do krzesła. Przyłożyli mu do ust wilgotny knebel, który zawiązali brutalnie mocno: przyciśnięte do siekaczy wargi zaczęły krwawić. Jednak to nie ten ból najbardziej niepokoił de Savary'ego, ale sposób, w jaki przywiązywali go do krzesła: tyłem do przodu, tak że siedział okrakiem z piersią przyciśniętą do drewnianego oparcia. Opasali go grubymi rzemieniami. Kostki nóg związali bardzo mocno pod krzesłem, podobnie jak brutalnie wykręcone ręce, podbródek przycisnęli do oparcia. Wszystko go bolało. Nie mógł się ruszyć. Nie widział Christine ani Lizzie, do jego uszu dolatywało tylko słabe pojękiwanie dochodzące z sąsiedniego pokoju. Ale zaraz wszystkie myśli pierzchły, a pozostał tylko zwierzęcy strach, gdy usłyszał następne słowa Jamiego Cloncurry'ego stojącego gdzieś z tyłu.

— Słyszał pan kiedyś o krwawym orle, profesorze de Savary?

Przełknął głośno i nie mógł nic na to poradzić: zaczął płakać. Łzy spływały mu po twarzy. Domyślił się, że go zabiją. Ale tak? Krwawy orzeł?

Jamie Cloncurry stanął naprzeciwko i popatrzył z bliska na profesora: na jego bladej, przystojnej twarzy malował się ślad rumieńca.

— Ależ oczywiście, że słyszał pan o krwawym orle. W końcu to pan napisał tę książkę. Tę dość przerażającą popularnonaukową pozycję. *Wściekłość ludów Północy* — sztydził. — Wszystko o obrzędach i

wierzeniach wikingów. Trochę krwawa rzecz, jeśli wolno mi zauważyć, ale tak chyba zwiększa pan sprzedaż... — Młodzieniec trzymał w dłoniach książkę i czytał na głos: — Dochodzimy teraz do jednego z najbardziej odrażających konceptów w annałach wikińskiego okrucieństwa: tak zwanego krwawego orła. Niektórzy z badaczy kwestionują prawdziwość tego budzącego grozę obrzędu rytualnego mordy, ale rozliczne nawiązania pojawiające się w staroskandynawskich sagach i poezji każą otwartym umysłem w to wątpić: ryt krwawego orła istniał. Stanowił oryginalny obrzęd ofiarny Północy. — Cloncurry uśmiechnął się do profesora i czytał dalej: — Ze staroskandynawskich relacji wiemy, że poddano mu różne wybitne osobistości: króla Nortumbrii Ella, Halfdana syna norweskiego króla Haralda Pięknowłosego i Edmunda Męczennika, władcę Wschodniej Anglii.

De Savary czuł skurcze w jelitach. Zastanawiał się, czy puszcza mu zwieracze.

Cloncurry odwrócił stronę i czytał dalej:

— Opisy obrzędu różnią się od siebie w szczegółach, ale podstawowe elementy pozostają te same. Ofierze najpierw rozcinano tułów. Czasami wcześniej zdzierano stamtąd skórę. Obnażone w ten sposób żebra oddzielano od kręgosłupa, być może za pomocą młota lub pobijaka, może je odcinano. Następnie rozkładano je na boki jak u pieczonego na ruszcie kurczaka, odsłaniając szarą tkankę płucną pod spodem. Ofiara pozostawała w pełni przytomna, kiedy pulsujące płuca wrywano z klatki piersiowej i rozwieszano na ramionach, tak że przypominała orła z rozłożonymi skrzydłami. Czasami rany posypywano solą. Śmierć następowała, raczej wcześniej niż później, na skutek uduszenia lub utraty krwi bądź ataku serca na samą myśl o grozie i potworności czekających ofiarę męczarni. Irlandzki poeta Seamus Heaney nawiązuje do rytu krwawego orła w poemacie *Dublin Wikingów*: „Z wprawą rzeźników rozpościerają ci płuca i robią ciepłe skrzydła u ramion”.

Cloncurry zamknął książkę i położył ją na stole obok. De Savary trząsał się ze strachu. Młodzieniec uśmiechnął się szeroko.

— Śmierć musiała następować raczej wcześniej niż później. Sprawdzimy, czy to prawda, profesorze?

De Savary zamknął oczy. Słyszał krzątających się z tyłu mężczyzn. Jelita miał puste: zwieracze puściły ze strachu. Odór własnych fekaliiów raził go w nozdrza. Z tyłu rozległy się jakieś szepty. Potem poczuł pierwszą paraliżującą falę bólu, gdy ostrze zanurzyło się w jego plecach i opadło w dół, rozcinając

ciało. Na skutek wstrząsu zawartość żołądka podjechała mu do gardła. Kiwał się w przód i w tył na krześle. Któryś z mężczyzn roześmiał się.

— Niestety będę musiał odciąć panu żebra zwykłymi cęgami — powiedział Jamie Cloncurry. — Obawiam się, że nie dysponujemy pobijakiem...

Kolejny wybuch śmiechu. De Savary usłyszał trzeszczenie i poczuł niewyobrażalny ból w okolicy serca, jakby został postrzelony, zrozumiał, że odcinają mu kolejno żebra, jedno po drugim: czuł, jak łuki się wyginają, a potem pękają. Trach. Jakby pękło coś bardzo napiętego. Usłyszał kolejny trzask i następny. Zwymiotował na knebel. Miał nadzieję, że udusi się własnymi wymiocinami i umrze bardzo szybko.

Ale nie, zdjęli mu knebel. Czuł ręce Cloncurry'ego grzebiące mu w klatce piersiowej, surrealistyczne wrażenie, że ktoś wyciąga mu płuca, a potem potworny zalew bólu, kiedy zostały wystawione na powietrze. Jego własne płuca powiewały mu na ramionach, śliskie i gorące. Jego własne płuca... Dziwny zapach wypełnił powietrze. Na wpół rybi, na wpół metaliczny: zapach jego własnych płuc. De Savary niemal stracił przytomność.

Ale nie miał tyle szczęścia. Sprawcy odwalili kawał dobrej roboty, utrzymując go przy życiu, tak by cierpiał, ale był przytomny.

Widział w lustrze, jak wypychają dziewczynkę i Christine z pokoju. Zabierali je gdzieś. Sami też się pakowali: zamierzali zostawić go tu samego. Żeby umierał powoli z połamanymi, odgiętymi żebrami i płucami udrapowanymi na ramionach.

Trzasnęły drzwi, zniknęli.

Przywiązany do krzesła profesor uspokoił przeszywający bólem oddech i katusze frustracji. Miał zamiar powiedzieć Christine... ale nie zdążył. A teraz umiera. Nie było nikogo, kto by go uratował.

I wtedy zauważył: na stojącym tuż obok stole przy jego książce o wikingach leżał długopis. Może zdoła go chwycić ustami. Może uda mu się coś napisać: sprawić, by te ostatnie chwile nie poszły na marne.

Łzy bólu napłynęły mu do oczu, kiedy napinał się i próbował. Patrzył na niego tytuł własnej książki.

*Wściekłość ludów Północy.* Hugo de Savary.

Rob siedział w Scotland Yardzie w gabinecie nadkomisarza Forrestera. Okno było otwarte i do środka wpadał ze świstem chłodny wiaterek. Dzień był zimny, mokry i pochmurny. Rob myślał o córce, starając się stłumić rozpacz i gniew.

Ale rozpacz i gniew były takie silne. Miał wrażenie, jakby stał po pas w rwących wodach powodzi: w każdej chwili mógł stracić panowanie nad sobą i dać się ponieść emocjom. Niczym ci ludzie porwani przez tsunami w Tajlandii. Musiał się koncentrować na tym, by nie upaść.

Opowiedział policji wszystko, co wiedział o jazydach i *Czarnej księdze*. Podwładny Forrestera Boijer notował, podczas gdy sam komisarz patrzył na dziennikarza prosto i poważnie. Potem westchnął i obrócił się na krzesło.

— Nie ma chyba wątpliwości, jak i dlaczego je porwali.

Boijer skinął głową.

— Tak? — rzucił pośpiesznie Rob.

O porwaniu córki dowiedział się dopiero kilka godzin temu, kiedy jego samolot ze Stambułu wylądował na Heathrow. Pojechał prosto do domu byłej żony, a stamtąd od razu na policję. Nie miał czasu się zastanowić, jak mogło do tego dojść.

— Najwyraźniej Cloncurry czytał pański artykuł w „Timesie” sprzed kilku dni.

— Chyba tak...

Słowa brzmiały jałowo i bezsensownie w ustach Roba. Wszystko było jałowe i bezsensowne. Przypomniawszy sobie asyryjską nazwę piekła, którą podała mu Christine: Pustynia Bólu.

Właśnie tam się znajdował. Na Pustyni Bólu.

Policjant ciągnął:

— Najwyraźniej myślą, panie Luttrell, że ma pan jakąś wiedzę o *Czarnej księdze*. Musieli wysledzić pańskie nazwisko. Sprawdzić w Internecie. I

ustalić adres pańskiej byłej żony. Tam pan mieszkał, zgadza się? Kiedy rejestrował się pan do głosowania?

— Tak. Nie zmieniłem danych.

— Zatem poszło im łatwo. Potem zapewne przez kilka dni obserwowali dom. Czekali i obserwowali.

Rob wymruczał:

— I wtedy pojawiła się Christine...

— Ułatwiła im to — wtrącił Boijer. — Wszystkie trzy pojechały do Cambridge, bez wątpienia śledzone przez gang. A potem pańska dziewczyna zabrała Lizzie do ustronnego domku. Najgorszego miejsca z możliwych.

— Mogli już wcześniej słyszeć o de Savarym — dodał komisarz. — Był autorem bestsellerów, książek o obrzędach ofiarnych i klubie Hellfire. Cloncurry na pewno go czytał. Albo oglądał w telewizji.

— A więc... — Rob nadal chwiał się w szarych wodach powodzi. Zmusił się do skupienia myśli. — Więc czekali na zewnątrz domku. Wiedząc, że mają szansę złapać Christine i moją córkę za jednym zamachem.

— Tak... — zgodził się Boijer. — Musieli czekać wiele godzin. A potem weszli do środka.

Rob wbił w Forrestera dzikie spojrzenie.

— Ona umrze, prawda? Moja córka? Tak? Wszystkich innych zabili.

Komisarz się wzdrygnął i potrząsnął głową.

— Nie. Absolutnie nie. Nic nam nie wiadomo o...

— Och, niechże pan da spokój.

— Proszę.

— Nie! — Rob niemal krzyczał. Wstał i mierzył wzrokiem policjantów. — Jak możecie tak mówić? „Nic nam o tym, kurwa, nie wiadomo”? Nie wie pan, jak to jest, komisarzu. Nie ma pan, kurwa, bladego pojęcia. Jacyś pierdoleni mordercy porwali mi córkę. Stracę jedyne dziecko.

Boijer starał się pokazać mu gestem, żeby usiadł i próbował się uspokoić.

Rob oddychał głęboko i powoli. Wiedział, że robi scenę, ale miał to gdzieś. Musiał dać ujście emocjom. Nie mógł ich dłużej tłumić. Przez kilka chwil po prostu stał ze wzrokiem zamglonym gniewem. W końcu opadł na krzesło.

Komisarz powiedział bardzo spokojnie:

— Wiem, że bardzo trudno jest to panu teraz docenić, ale pozostaje faktem, że o ile nam wiadomo, sprawcy nie skrzywdzili ani Lizzie, ani Christine Meyer.

Rob skinął głową posepnie i milczał. Bał się otworzyć usta.

— Nie znaleźliśmy na miejscu zdarzenia żadnych śladów krwi poza krwią de Savary'ego — ciągnął policjant. — Za każdym razem, kiedy gang uderzał, sprawcy, jak pan mówi, zabijali ofiary bez żadnych skrupułów. Ale tym razem tego nie zrobili. Porwali. Dlaczego? Ponieważ to na panu im zależy.

Wody wirujące wokół Roba zdawały się opadać. Popatrzył z uwagą, a nawet nadzieją na Forrestera. Była w tym jakaś logika, jakaś racja. Chciał w to wierzyć: naprawdę chciał zaufać temu człowiekowi.

— Podał pan swój adres mailowy na końcu artykułu? — spytał Forrester.

— Tak. To ogólnie przyjęta praktyka. Adres mailowy „Timesa”.

Boijer skrobał na podkładce.

— Sądzę — oświadczył komisarz — że Jamie Cloncurry skontaktuje się z panem, i to bardzo szybko. Chce mieć *Czarną księgę*. Desperacko.

— No a jeśli się skontaktuje? Co mam wtedy, kurwa, zrobić?

— Natychmiast do mnie zadzwonić. Tu jest numer mojej komórki — wręczył mu wizytówkę. — Musimy ich zwodzić. Przekonać, że ma pan *Księgę*. Teksty jazydów.

Rob popatrzył skonsternowany.

— Mimo że nic nie mam?

— Oni tego nie wiedzą. Jeśli zasugerujemy, że ma pan to, czego szukają, zyskamy na czasie. Bardzo cennym czasie. To pozwoli nam ich złapać.

Rob popatrzył nad ramieniem Forrestera na szklaną ścianę z tyłu. Pomyślał o setkach funkcjonariuszy pracujących w tej chwili w budynku. O dziesiątkach przydzielonych tylko do tej sprawy. Chyba są w stanie znaleźć kilku morderców? Wszystkie gazety już teraz pisały o krwawym szlaku grasujących psychopatów. Rob chciał wyjść na korytarz i krzyknąć do policjantów: „Łapcie ich! Róbcie, co do was należy! Złapcie tych pieprzonych pojebów! To chyba nie jest takie trudne!” Spytał jednak tylko:

— Jak sądzą, gdzie są teraz?

— Mamy kilka tropów — powiedział Boijer. — Włoch, Luca Marsinelli, ma licencję pilota. Niewykluczone, że posługują się samolotami, opuszczają kraj i wracają prywatnymi odrzutowcami.

— Przecież to tylko zwykłe dzieciaki...

Forrester potrząsnął głową.

— Nie. W każdym razie nie zwykłe. To są bogate dzieciaki. Marsinelli jest sierotą. Ale odziedziczył mediolańską fortunę włókienniczą. Jest

niewyobrażalnie dziany. Inny to, według naszych informacji, syn dyrektora funduszu hedgingowego. Ci chłopcy mają fundusze powiernicze, prywatne fortuny, rachunki w bankach na wyspie Jersey. Kupują nowe samochody ot tak. — Forrester pstryknął palcami. — We wschodniej Anglii jest cała masa prywatnych lotnisk, starych amerykańskich lądowisk z czasów wojny. Niewykluczone, że w ten sposób wywieźli pańską córkę z kraju, uważamy, że najprawdopodobniej do Włoch, z uwagi na koneksje Marsinellego. Ma posiadłość niedaleko włoskich jezior. No i jest jeszcze rodzina Cloncurry'ego w Pikardii. Też pod obserwacją. Francuska i włoska policja są na bieżąco.

Rob ziewnął. To było ziewnięcie frustracji i goryczy, nie zmęczenia. Ziewnięcie od nadmiaru adrenaliny. Chciało mu się pić, był zmęczony, podminowany i wściekły. Dwie kobiety, które najbardziej kochał, zostały porwane; na pewno cierpią, zagubione na Pustyni Bólu. Nie mógł nawet o tym myśleć.

Podniósł się.

— Dobrze, komisarzu. Będę sprawdzał pocztę.

— Doskonale. I proszę śmiało dzwonić do mnie o każdej porze. Nawet o piątej rano. Nie mam nic przeciwko. — Oczy policjanta jakby na moment się zamgliły. — Rob, naprawdę rozumiem, przez co pan przechodzi. Proszę mi wierzyć. — Zakaszłał i ciągnął dalej. — Cloncurry to arogancki młody człowiek, w dodatku psychopata. Wydaje mu się, że jest najsprytniejszy. Tego rodzaju ludzie nie potrafią się powstrzymać od prób udowodnienia policji swojej wyższości. I wtedy najczęściej wpadają.

Mocno uściśnął dziennikarzowi dłoń. Rob czuł w tym uścisku empatię, która wychodziła poza zawodowy obowiązek dodawania otuchy. W oczach policjanta malowało się coś dziwnego: jakby odległa żalność, nawet ból.

Rob podziękował, opuścił budynek i ruszył na przystanek krokiem zombi. Złapał autobus, który zawiózł go do maleńkiego mieszkanca w Islington. Sama jazda była gehenną: wszędzie, gdzie spojrzał, widział dzieci, małe dziewczynki bawiące się z koleżankami, skaczące po chodniku, robiące zakupy z matkami. Chciał na nie patrzeć, na wypadek gdyby jedną z nich była Lizzie, choć wiedział, że to niedorzeczne. Ale pragnął jednocześnie odwrócić wzrok. Bo przypominały mu córkę. Zapach jej włosków po kąpieli, gdy była niemowlęciem. Ufne niebieskie oczy. Znowu zalała go fala bólu: bezmierna i przygniatająca.

Kiedy znalazł się w mieszkaniu, przeszedł obojętnie obok nierozpakowanych bagaży, skwaśniałego mleka rozlanego na kuchennym



blacie i ruszył prosto do laptopa. Podłączył go do prądu, odpalił i sprawdził pocztę.

Nic. Sprawdził raz jeszcze, odświeżając ekran. Nadal nic.

Wziął prysznic, zaczął się ubierać i przerwał. Rozpakował jedną walizkę i przerwał. Starał się nie myśleć o Lizzie, ale bezskutecznie, był tak spięty i zły. Mógł robić tylko tę jedną absurdalną rzecz: bez przerwy sprawdzać pocztę.

Bez koszuli i boso wrócił do laptopa; kliknął. Wzdrygnął się. Jest, wysłany dziesięć minut temu. E-mail od Jamiego Cloncurry'ego.

Popatrzył z mieszaniną strachu i nadziei na temat: Twoja córka.

Czy zobaczy zaraz potworne zdjęcie jej zwłok? Spalonych albo pozbawionych głowy? A może informację, że jest cała i zdrowa?

Napięcie i niepokój były nie do wytrzymania. Zlany potem Rob otworzył wiadomość. Nie było żadnego zdjęcia, tylko tekst. Zaczynał się dosadnie.

*Mamy twoją córką, Rob. Jeśli chcesz ją odzyskać, musisz nam oddać Czarną księgę. Albo powiedzieć, gdzie dokładnie jest. W przeciwnym razie umrze w sposób, którego nie zdradzę. Jestem pewien, że twoja wyobraźnia stanie na wysokości zadania. Twoja dziewczyna również jest na razie cała i zdrowa, ale ją także zabijemy, jeśli nam nie pomożesz.*

Rob chciał rzucić laptopem o ścianę. Ale czytał dalej: list był długi. Bardzo długi.

*A tak na marginesie, czytałem twój artykuł o Palestyńczykach. Bardzo poruszający. Ścisła za serce. Potrafisz pisać całkiem efektowne kawałki, gdy nie jesteś tak przewidywalnie liberalny. Ale jestem ciekaw, czy kiedykolwiek naprawdę się zastanawiałeś nad sytuacją Żydów i jej przyczynami? Co, Rob?*

*Spójrz na to w ten sposób: Kogo najbardziej się boisz? Przedstawicieli której rasy? Która rasa najbardziej cię niepokoi, głęboko w sercu? Stawiałbym na czarnych — Afrykanów, tak? Mam rację, prawda? Przechodzisz na drugą stronę ulicy, gdy widzisz gang czarnych niedorostków w kapturach w Londynie? Jeśli tak, nie jesteś odosobniony, Rob. Wszyscy tak postępujemy. Strach przed czarnymi jest nawet statystycznie uzasadniony — jeśli idzie o statystyki drobnej ulicznej przestępczości. Zachodzi dużo większe prawdopodobieństwo, że zostaniesz napadnięty i ograbiony przez czarnego oprycha niż białego, nie wspominając już o Japończyku czy Koreańczyku, uwzględniając oczywiście odsetek czarnej ludności w ogólnej populacji.*

*Ale zastanów się trochę gruntowniej.*

*Czytałem twoje artykuły i wiem, że nie jesteś głupi. Być może jesteś idiotą, jeśli idzie o politykę, ale nie jesteś głupi. Zatem myśl. Przedstawiciele której rasy zabijają najczęściej? Która z ludzkich ras jest najbardziej niebezpieczna?*

*To ci najinteligentniejsi, prawda?*

*Przeanalizujmy to. Boisz się czarnych. Ale tak naprawdę, ilu ludzi, w ujęciu globalnym, zginęło z ich rąk na całym świecie? Ilu zostało zabitych przez afrykańskie wojska? Afrykańską władzę? Kilka tysięcy? Może kilkaset. W całej Afryce. Zatem, jak widzisz, Afrykanie nie są w rzeczywistości tacy groźni. Są z gruntu niezorganizowani i niezdolni do samorządności, ale nie są niebezpieczni na skalę globalną. Weźmy teraz Arabów. Z trudem opanowali obsługę komputera. Od XV wieku nie dokonali żadnej prawdziwej inwazji. 11 września był ich najbardziej udaną próbą masowego mordu od dwustu lat. A zdołali wtedy zgładzić marne trzy tysiące. Amerykanie mogliby spalić napalmem taką liczbę w minutę. Wciskając przycisk na pilocie.*

*Zatem kim są te zorganizowane nacje, które naprawdę zabijają, Rob? Żeby to ustalić, musimy udać się na północ. Tam, gdzie żyją ci inteligentni.*

*Spośród wszystkich narodów europejskich Brytyjczycy i Niemcy zgładzili największą liczbę ludzi. Spójrz na imperium brytyjskie. Brytyjczycy wymordowali do imentu aborygenów tasmańskich. Wyrznęli ich wszystkich w pień. Wychodzili i osaczali, traktując to jak rodzaj zabawy, polowania na lisy.*

*Jedyny naród, który może się równać z Brytyjczykami pod względem krwiożerczości, Rob, to Niemcy. Trudno im było doszłusować do najlepszych, nie dysponując imperium itd. , ale w dwudziestym wieku spisali się całkiem nieźle. Wymordowali sześć milionów Żydów. Zabili pięć milionów Polaków, od dziesięciu do dwudziestu milionów Rosjan. Zbyt wielu, by policzyć.*

*A ile wynosi iloraz inteligencji Brytyjczyków i Niemców? Między 102 a 105, czyli znacząco powyżej średniej, zdecydowanie więcej niż u innych ras. Ta pozornie niewielka przewaga jest na tyle znacząca, by uczynić z tych dwóch nacji jedne z najbardziej niebezpiecznych narodów na ziemi i jedne z najbardziej inteligentnych.*

*Ale idźmy dalej. Kto jest jeszcze inteligentniejszy, Rob? Chińczycy. Średni iloraz 107. Tylko w dwudziestym wieku zabili jakieś 100 milionów. Oczywiście mordowali głównie swoich, ale o gustach się nie dyskutuje.*

*A teraz walmy prosto na szczyt.*

*Patrząc globalnie, z czyich rąk masz największą szansę zginąć? Szkopów czy Brytyjczyków? Czarnych czy chrześcijan? Koreańczyków czy Kazachów? Asfaltów czy makaroniarzy?*

*Nie, Żydów. To Żydzi zabili więcej ludzi na tej planecie niż jakikolwiek inny naród. Oczywiście uwzględniając niewielki rozmiar ich populacji, musieli dokonywać pogromów, by tak rzec, cudzymi rękoma: posługując się siłą innych narodów albo napuszczając jedne państwa na drugie. Żyją i mordują, wykorzystując jako oręż swoją inteligencję, i nie da się zaprzeczyć, że wyrznęli w pień całe masy ludzi. Tylko pomyśl. To Żydzi wymyślili chrześcijaństwo: ilu umarło w imię krzyża lub na nim? Pięćdziesiąt milionów? Wymyślili komunizm. Kolejne 100 milionów. Wymyślili bombę atomową. Ilu ta zabije?*

*Żydzi, pod płaszczkiem neokonserwatystów, rzucili nawet pomysł drugiej wojny irackiej. Owszem, według ich standardów była to drugorzędna operacja; zabiła tylko jakiś milion. Marniutko. Ale przynajmniej starają się nie wyjść z wprawy. Może dlatego, że przygotowują grunt pod wielką wojnę między islamem a chrześcijaństwem. Która, jak wszyscy wiemy, się zbliża, i którą, też wiemy to wszyscy, zaczyną Żydzi. Bo to oni zaczynają wszystkie wojny, bo są tacy inteligentni.*

*Ile wynosi średnie IQ Żydów aszkenazyjskich? 115. Są zdecydowanie najinteligentniejszą rasą na ziemi. I to z ich rąk, historycznie rzecz biorąc, masz największe szanse zginąć. Tyle że oni po prostu nie zabijają na ulicach, z nożem w ręku, za dziesięć dolców na towar.*

*Rob gapił się na list. Sączący się z niego rasistowski jad był wstrząsający w swojej psychozie. Z gruntu chory. Mógł jednak zawierać kilka wskazówek.*

*Rob przeczytał list dwukrotnie. Potem wziął telefon i zadzwonił do nadkomisarza.*

Forrester umawiał się przez telefon na spotkanie z Janice Edwards. Chciał zasięgnąć jej opinii na temat Jamiego Cloncurry'ego. Była ekspertem z zakresu psychologii ewolucyjnej, autorką hermetycznych, ale dobrze przyjętych prac z tej dziedziny.

Sekretarka terapeutki odpowiadała wymijająco. Powiedziała, że Janice jest bardzo zajęta i że w nadchodzącym tygodniu może znaleźć chwilę jedynie jutro, kiedy będzie w Królewskim Towarzystwie Chirurgicznym na comiesięcznym zebraniu zarządu.

— Doskonale. Zatem będę mógł się tam z nią spotkać?

Sekretarka westchnęła:

— Zrobię adnotację.

Nazajutrz Forrester pojechał metrem do Holborn i czekał w holu, dopóki nie pojawiła się Janice i nie zaprowadziła go do dużego, lśniącego od szkła i stali muzeum Towarzystwa jako „dobrego miejsca na pogawędkę”.

Na pewno robiło wrażenie. Labirynt ogromnych szklanych regałów zastawionych słojami z wycinkami.

— To tak zwana Kryształowa Galeria — powiedziała Janice, pokazując na połyskujące półki. — Została odnowiona kilka lat temu, jesteśmy z niej bardzo dumni. Kosztowała miliony.

Forrester uprzejmie pokiwał głową.

— A to jeden z moich ulubionych eksponatów — ciągnęła. — Spójrz. Zachowane gardło samobójcy. Ten człowiek sam poderżnął sobie gardło — widać nawet ślady wybroczyn na skórze. Hunter był genialnym anatomem. — Uśmiechnęła się do Forreстера. — Ale, ale, co mówiłeś, Mark?

— Myślisz, że istnieje coś takiego jak gen zabójstwa?

— Ee-ee. — Potrząsnęła głową.

— W ogóle?

— Jeden na pewno nie. Ale grupa genów? Owszem. To nie jest niemożliwe. Ale nie mamy pewności. Ta nauka nadal dopiero raczkuje.

— No tak.

— Dopiero zaczynamy rozgryzać genetykę. Na przykład zwróciłeś kiedyś uwagę na związek między homoseksualizmem a wysoką inteligencją?

— A występuje taki?

— Tak. — Uśmiechnęła się. — Geje mają IQ mniej więcej o dziesięć punktów wyższe niż średnia. Ewidentnie rolę odgrywa tu jakiś genetyczny komponent. Grupa genów. Ale sam mechanizm jest nam zupełnie nieznan.

Forrester pokiwał głową. Zerknął na jakieś stojące na półce okazy zwierzęce. Słój ze śluzicą. Jasnoszary żołądek łabędzia.

— Co do możliwości dziedziczenia morderczych skłonności... cóż, wszystko zależy od tego, w jakie reakcje wchodzi te geny. Ze sobą nawzajem i ze środowiskiem. Ktoś, kto ma tę cechę, może mimo to pozostać zupełnie normalny, jeśli tylko te skłonności nie zostaną wzmocnione czy w jakiś sposób uwolnione.

— Ale... — Forrester był skonsternowany — uważasz, że mogą być dziedziczne?

— Weźmy zdolności muzyczne. Wydają się częściowo dziedziczne. Ot, choćby rodzina Bacha: wybitni kompozytorzy przez kilka pokoleń. Oczywiście ogromną rolę odegrało środowisko, ale czynniki genetyczne niewątpliwie też brały udział. Zatem jeśli coś tak skomplikowanego jak talent muzyczny jest dziedziczone, w takim razie, owszem, czemu nie coś tak prymitywnego jak skłonności mordercze?

— A co z mordem rytualnym? Składaniem ofiar z ludzi? Czy można odziedziczyć skłonność do takich praktyk?

Ściągnęła brwi.

— Nie jestem pewna. To raczej osobliwy pomysł. Jakie są przesłanki?

Forrester zrelacjonował jej dzieje rodu Cloncurrych. Arystokratyczna rodzina z tradycjami wojskowymi, które czasami przybierały bardzo agresywną postać, ocierając się o składanie ofiar z ludzi. A teraz spłodzili Jamiego Cloncurry'ego: oprawcę lubującego się w podobnych praktykach. Co dziwniejsze, rodzina zdawała się przywiązana do miejsc ofiarnych: mieszkali w pobliżu największej świątyni ofiarnej we Francji i pół bitewnych pierwszej wojny światowej, na których bogate żniwo śmierci zostawił ich przerażający przodek generał Cloncurry.

Janice skinęła głową w zamyśleniu.

— Interesujące. Zabójcy chyba często wracają na miejsce zbrodni, prawda? — Wzruszyła ramionami. — Ale to raczej dziwne. Po cóż żyć w

takim miejscu? W pobliżu pól bitewnych? Może to zwykły zbieg okoliczności. A może w jakiś sposób chcą oddać cześć swoim przodkom. Musisz spytać o to jakiegoś antropologa.

Szli dalej galerią. Dwie dziewczyny siedziały po turecku na podłodze ze szkicownikami na kolanach i małymi puszcawkami farby ustawionymi obok. Studentki akademii sztuk pięknych, domyślił się Forrester. Jedna z nich, Chinka, w wielkim skupieniu patrzyła spod zmrużonych powiek na pięć świetnie zachowanych płodów: zdeformowane ludzkie pięcioraczki.

Janice Edwards odwróciła się do komisarza:

— Moim zdaniem to wskazuje na dziedziczną niebezpieczną dla otoczenia psychozę, która w pewnych okolicznościach może się przejawiać w formie rytualnych mordów.

— Czyli?

— Uważam, że psychoza, która predysponuje do aktów skrajnej przemocy, może mieć podłoże genetyczne. Jak taka cecha mogła się zachować z darwinowskiego punktu widzenia? Ogólnie rzecz biorąc, w przeszłości agresywne, nawet mordercze skłonności niekoniecznie musiały być niekorzystne: jeśli na przykład żądza krwi i brutalność zostały skanalizowane, mogły pełnić rolę adaptacyjną.

— W jaki sposób?

— No, jeśli na przykład rodzina miała tradycje wojskowe. Najagresywniejsze potomstwo można było wysyłać prosto do armii, gdzie mordercze predyspozycje mogły się okazać atutem.

Minęli studentki. Dalej znajdowała się ekspozycja płodów ukazująca rozwój embriona od czterech tygodni do dziewięciu miesięcy. Wszystkie były zdumiewająco dobrze zachowane, unosiły się w formalinie niczym mali kosmici w stanie nieważkości. Na ich twarzach, nawet tych w najwcześniejszych stadiach, malowały się typowo ludzkie miny: były wykrzywione w grymasie albo krzyku. Niemym.

Forrester zakaszłał i zerknął do notesu.

— Zatem, Janice, uważasz, że jeśli ci ludzie mieli genetyczne skłonności do zbrodni i sadyzmu, mogli je do tej pory skutecznie ukrywać? Z uwagi na, powiedzmy, imperialistyczną historię Wielkiej Brytanii? Te wszystkie wojny, które toczyliśmy?

— Bardzo możliwe. Ale w obecnej dobie taka cecha byłaby problematyczna. Nadmierna agresja nie znajduje akceptowalnego społecznie ujścia w erze zakazów palenia i inteligentnych bomb. Teraz, jeśli w ogóle

zabijamy, nie czynimy tego bezpośrednio, własnymi rękoma. Tymczasem pojawia się Jamie Cloncurry, który ma taki, a nie inny materiał genetyczny: sadystyczne geny swoich przodków, tyle że niezwykle silnie wyrażone. Co może uczynić z tymi zdolnościami? Oprócz zabijania? Rozumiem jego problem, jeśli to nie brzmi zbyt bezdusznie.

Forrester gapił się na połowę ludzkiego mózgu. Z wyglądu przypominała wyschnięty kalafior. Przeczytał napis pod spodem. Mózg należał do Charlesa Babbage'a, „wynałazcy komputera”.

— A co w takim razie z predylekcją do rytuałów ofiarniczych na ludziach? Jesteś pewna, że nie można jej dziedziczyć jako cechy?

— Może na przestrzeni dziejów taka grupa genów mogła predysponować do składania ofiar z ludzi w społeczeństwie religijnym o strukturze przystosowanej do tego typu aktów.

Forrester rozważał to przez chwilę. Potem wyciągnął z kieszeni kartkę: wydruk e-maila, który otrzymał Rob Luttrell. Pokazał go Janice, która szybko przebiegła go wzrokiem.

— Antysemityzm. Tak, tak. Tego rodzaju zachowania są często objawem psychozy. Zwłaszcza jeśli chory jest inteligentny. Co bardziej tępowi psychotycy uważają, że obcy mieszkają w ich tosterze, ale tracąca zmysły inteligentna jednostka będzie widziała bardziej skomplikowane sieci intryg i knowań. Antysemityzm jest tu cechą dość często występującą. Pamiętasz tego matematyka Johna Nasha?

— Gościa z filmu *Piękny umysł*?

— Jeden z najwybitniejszych umysłów matematycznych swojej doby. Laureat Nagrody Nobla. W wieku lat dwudziestu i trzydziestu silne objawy schizofreniczne połączone z obsesyjnym antysemityzmem. Myślał, że Żydzi są wszędzie, chcą zawładnąć światem. Wysoka inteligencja nie chroni przed chorobą psychiczną. Średni iloraz inteligencji przywódców nazistowskich wynosił 138. Bardzo dużo.

Forrester wziął od niej kartkę, złożył i schował z powrotem do kieszeni. Miał jeszcze jedno pytanie. Raczej strzał w ciemno. Postanowił jednak spróbować:

— Może mogłabyś pomóc jeszcze w jednej kwestii. Kiedy znaleźliśmy tego biedaka de Savary'ego, okazało się, że napisał coś, jedno słowo na stronie tytułowej swojej książki. Była nasiąknięta kroplami zaaspirowanej krwi.

— Nie bardzo rozumiem?

— Pisał ustami. Trzymał długopis w ustach i kaszłał, pisząc.  
Skrzywiła się.

— Straszne.

Forrester pokiwał głową.

— Nic więc dziwnego, że rezultat jest prawie nieczytelny.

— Tak...

— Ale wygląda to chyba na coś jakby „tryter”.

— Tryter?

— Tryter.

— Błędęgo pojęcia nie mam, co to może znaczyć.

Komisarz westchnął.

— Poszukałem trochę i okazuje się, że w szwedzkim to osobowa forma czasownika „brakować”.

— Aha... szwedzki... no to może jekieś nawiązanie do wikingów.

— Sam nie wiem. — Forrester wzruszył ramionami.

Janice kierowała się ku wyjściu, mijając gabloty z wypreparowanymi żyłami. Ruszył za nią, dodając:

— Ale nie przypuszczałem, że de Savary zna szwedzki. I dlaczego uznał za stosowne właśnie jego użyć? Jeśli chciał napisać ostatnie słowo, zwłaszcza w takim potwornym bólu, dlaczego akurat to?

Doktor Edwards zerknęła na zegarek.

— Przykro mi, muszę już wracać. Spotkamy się jeszcze. — Uśmiechnęła się. — Jeśli chcesz, możemy odbyć normalną sesję w przyszłym tygodniu: skontaktuj się z moją sekretarką.

Forrester pożegnał się i zszedł po schodach, mijając cokoły, postumenty i posępne popiersia sław medycznych. Nie bez ulgi wyszedł na słoneczne ulice Bloomsbury. Rozmowa z Janice podsunęła mu jednak kilka ciekawych pomysłów. Chciał je zweryfikować. Natychmiast. Szczególnie mocno dał mu do myślenia zwrot, którego użyła terapeutka: „Oddać cześć swoim przodkom”. Współbrzmiał z fragmentem reportażu Luttrella w „Timesie”, jakimś zdaniem o przodkach i wyborze miejsca do życia.

Poszedł na stację Holborn, w czasie jazdy metrem nucił niecierpliwie, potem przedzierał się przez rojne ulice handlowe dzielnicy Victoria. Kiedy dotarł do Scotland Yardu, wbiegł po schodach i wpadł do gabinetu. Przewróciłby zdjęcie swojej nieżyjącej córki, gdyby wcześniej nie położył go płasko na blacie biurka.



Z miejsca odpalił komputer i wpisał w wyszukiwarke „dom i pogrzebani przodkowie”.

Znalazł. Czarne na białym. To, czego szukał, o czym wzmianka, jak pamiętał, pojawiła się w „Timesie”. Çayönü i Catal Höyük. Dwa stanowiska archeologiczne w Turcji niedaleko kompleksu Göbekli Tepe.

Najważniejszą sprawą dla Forreстера było to, co znajdowało się w tych dwóch miejscach pod domami. Mieszkańcy grzebali szkielety ludzi złożonych w ofierze w fundamentach zabudowań. W rezultacie mieszkali i pracowali, spali i pieprzyli się, jedli i rozmawiali bezpośrednio na ciałach swoich ofiar. I wyglądało na to, że trwało to przez wieki: warstwa ludzkich kości i zwłok, potem kolejny fundament i kolejna warstwa szkieletów. Żyli na ciałach ofiar własnych przodków. W Sali Czaszek.

Z triumfalną miną pociągnął łyk wody Evian z butelki. Skąd to pragnienie mieszkania w pobliżu czy nawet na ciałach własnych ofiar? Dlaczego tak wielu zabójców wykazuje podobne skłonności? Popatrzył przez okno na słoneczne londyńskie niebo i myślał o identycznych elementach spotykanych we współczesnych przypadkach zabójstw. Choćby Fred West w Anglii, zagrzebujący zwłoki pomordowanych córek na podwórzu. Albo John Wayne Gacy z Indiany, który zakopał dziesiątki ciał zabitych przez siebie chłopców tuż pod swoim domem. Pierwszą rzeczą, którą się robiło w wypadku seryjnych zabójstw, było szukanie ciał w domu sprawcy, zwłaszcza pod podłogą. To była standardowa procedura policyjna. Właśnie dlatego, że zabójcy tak często ukrywali zwłoki w pobliżu.

Forrester nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiał: ale teraz uderzyła go osobliwość tej prawidłowości. Ewidentnie musiała istnieć jakaś głęboka, może podświadoma chęć życia w pobliżu ciał własnych ofiar, skłonność charakterystyczna dla rodzaju ludzkiego już dziesięć tysięcy lat temu. I może właśnie ona tłumaczyłaby zachowanie Cloncurrych: mieszkanie nad szczątkami własnych ofiar — tych wszystkich żołnierzy zabitych przez Rzeźnika Albert.

Tak.

Przełknął kolejny łyk ciepłej wody. A co z tym pradawnym miejscem ofiarnym, Ribemont? Może rodzina Cloncurrych dopatrywała się jakiegoś powinowactwa z zamordowanymi, w końcu składano tam ofiary z Celtów, galijskich wojowników...

Forrester się wyprostował. Coś zaświtało mu w głowie. Galowie, Celtowie... Celtowie? Skąd pochodziła rodzina Cloncurrych? Wpisał do

wyszukiwarki frazę „przodkowie Cloncurrych”

W ciągu niespełna dwóch minut miał odpowiedź. Rodzina była spowinowacona przez małżeństwo ze starym irlandzkim rodem. Ale nie pierwszym z brzegu starym irlandzkim rodem. Ich przodkami byli... Whaleyowie.

Ród Cloncurrych pochodził od Bysiora i Podpalacza Whaleyów, założycieli irlandzkiego klubu Hellfire.

Popatrzył rozpromieniony na ekran. Był wniebowzięty. Czuł, że ma dobrą passę, i po raz pierwszy uwierzył, że uda mu się w końcu rozgryźć tę sprawę. Trafiał bezbłędnie. W sam środek tarczy. Potrafi rozwiązać to cholerstwo. Tu i teraz. Właśnie tutaj — przy biurku.

Gdzie teraz są zabójcy? Gdzie mogą się ukrywać? Przez długi czas zakładał, że sprawcy swobodnie i kiedy chcą wracają i wyjeżdżają z kraju — do Francji albo Włoch. Prywatnym samolotem albo łodzią. Ale może było to błędne założenie. Fakt, że wśród członków gangu był Włoch czy Francuz, nie oznaczał jeszcze, że właśnie do tych krajów muszą się kierować. Niewykluczone, że przebywają na terenie zupełnie innego państwa, ale tylko takiego, do którego można się dostać bez okazywania paszportów. Forrester podniósł głowę. W drzwiach pojawił się Boijer.

— Mój fiński przyjacielu!

— Sir?

— Myślę, że wiem.

— Co?

— Gdzie się ukrywają, Boijer. Myślę, że wiem, gdzie się zadekowali.

Rob siedział w mieszkaniu i obsesyjnie oglądał film. Cloncurry przesłał go trzy dni temu e-mailem. Widać było na nim pozbawiony cech charakterystycznych pokoik oraz Lizzie i Christine przywiązane mocno do drewnianych krzeseł i zakneblowane.

I to wszystko. Miały czyste ubrania. Wyglądały na całe i zdrowe. Ale ściśle przylegające skórzane kneble na ustach i groza malująca się w ich oczach sprawiały, że Rob z trudem mógł patrzeć na film.

Oglądał go zatem co dziesięć, piętnaście minut. Oglądał, potem chodził po mieszkaniu w bieliźnie, nieogolony, brudny, otumaniony rozpaczą. Czuł się jak obłąkany święty starzec na Pustyni Bólu. Próbował zjeść tosta, ale zaraz odłożył. Od bardzo dawna nie miał w ustach przyzwoitego posiłku. Oprócz śniadania, które była żona przygotowała mu kilka dni temu.

Poszedł wtedy do Sally porozmawiać o losie córki, a ona wspaniałomyślnie zrobiła mu jajecznicę na bekonie. Po raz pierwszy od wieków Rob poczuł głód i był w połowie śniadania, kiedy Sally zaczęła płakać. Wstał więc i usiłował ją pocieszyć, przytulić, ale to tylko pogorszyło sytuację, odepchnęła go, powiedziała, że to jego wina, zaczęła się wydzierać, płakać i uderzyła go w twarz. A on stał tam bez ruchu, gdy go policzkowała, a potem waliła pięściami w brzuch. Ze spokojem przyjmował ciosy, bo czuł, że Sally ma rację. Ma prawo być zła. To on ściągnął na nich to wszystko. Przez swoją nieustającą pogoń za artykułem, egoistyczne pragnienie dziennikarskiej sławy, bezmyślne ignorowanie narastającego niebezpieczeństwa. I przez sam fakt, że nie było go w kraju, gdy Lizzie potrzebowała ochrony. Przez to wszystko. Wszechogarniające poczucie winy i nienawiści do samego siebie niemal sprawiały mu w tamtej chwili przyjemność. Przynajmniej coś czuł: prawdziwą, palącą emocję, coś, co go wyrwało z odrętwienia rozpacz, w którym znajdował się przez większość czasu.

Jedyną rzeczą, dzięki której nie postradał do końca zmysłów, był telefon. Całymi godzinami gapił się na niego posepnie, siłą woli usiłując zmusić go, by zadzwonił. I aparat dzwonił, wiele razy. Czasami telefonowali przyjaciele, czasami koledzy z pracy, czasami Isobel z Turcji. Wszyscy starali się pomóc, ale Rob się niecierpliwił, czekał tylko na jeden telefon: z policji.

Wiedział już, że śledczy mają obiecujący trop: Forrester zadzwonił cztery dni temu z informacją, że najprawdopodobniej gang ukrywa się gdzieś w okolicach Montpelier House, na południe od Dublina. W siedzibie irlandzkiego Hellfire. Wyjaśnił, że po każdym uderzeniu sprawcy dosłownie zapadali się pod ziemię, dlatego też najpewniej opuszczali swobodnie kraj, nie zostawiając jednak śladów w punktach odpraw celnych czy paszportowych. To oznaczało, że muszą uciekać do jedyne go kraju, przy wjeździe do którego z terenów Wielkiej Brytanii nie obowiązywała kontrola paszportowa.

Musieli wyjeżdżać albo latać do Irlandii.

Wszystko to brzmiało bardzo przekonująco. Ale Forrester uznał za stosowne dorzucić jeszcze jakąś dodatkową teorię na potwierdzenie tej tezy: mówił o pogrzebanych ofiarach, miejscu ofiarnym w Ribemont, o Çatalhöyük i jakimś zabójcy nazwiskiem Gacy, o tym, że rodzina Cloncurrych lubi przebywać w pobliżu ofiar swych przodków... i Rob przestał wtedy słuchać.

Raczej powątpiewał w słuszność tych psychologicznych spekulacji. Wyglądało to na czyste przeczucie, a Rob nie ufał przeczuciom. Nie ufał nikomu. Nawet sobie. Wierzył jedynie w szczerą pogardę do samego siebie i siłę swojego bólu.

Tej nocy poszedł do łóżka i spał przez trzy godziny. Śniło mu się jakieś ukrzyżowane, skomlące zwierzę, pies, może świnia. Obudził się o świcie. Ale obraz przybitego do krzyża zwierzęcia nie opuszczał jego myśli. Wziął valium. Kiedy ponownie się ocknął, było południe. Dzwoniła komórka. Telefon! Podbiegł do stołu i odebrał.

— Halo? Halo?

— Rob?

To była Isobel. Poczuł dojmujące rozczarowanie. Lubił i podziwiał Isobel, szanował jej mądrość i chęć przyjscia z pomocą, ale teraz chciał tylko informacji od policji.

— Isobel...

— Żadnych wieści?

Odetchnął.

— Żadnych. Od ostatniego razu nic. Tylko te pierdolone e-maile od Cloncurry'ego. Filmy...

— Przykro mi, Robercie. Strasznie mi przykro. Ale... — Urwała.

Rob wyobraził sobie, jak siedzi w swoim uroczym drewnianym domu, patrzy na niebieskie tureckie morze. Była to bardzo bolesna wizja, bo przypominała o tym, jak zakochali się w sobie z Christine. Właśnie tam, pod gwiazdami morza Marmara.

— Robercie, mam pomysł.

— Mhm.

— Dotyczący *Czarnej księgi*.

— Tak... — Z trudem mógł wykrzesać choć odrobinę zainteresowania.

Isobel zdawała się niezrażona.

— Słuchaj, Rob. Ta *Księga*. To jej te bydlaki tak desperacko szukają? *Czarnej księgi*, prawda? A ty powiedziałeś im, że możesz ją znaleźć, że ją znalazłeś, czy co tam... żeby zyskać na czasie. Zgadza się?

— Tak, ale... Isobel, sęk w tym, że jej nie mam. Ani bladego pojęcia, gdzie może być.

— Otóż to! A co, jeśli byśmy ją znaleźli?! Gdyby udało nam się zlokalizować *Czarną księgę*, wtedy mielibyśmy przewagę, narzędzie nacisku. Moglibyśmy wymienić ją, negocjować, rozumiesz, co mam na myśli?

Rob opryskliwie potwierdził. Chciał, żeby ten telefon wytrącił go z marazmu, natchnął energią. Ale czuł się taki zmęczony.

Isobel mówiła dalej, a on w tym czasie chodził boso po mieszkaniu, przyciskając telefon ramieniem do ucha. Potem usiadł przy biurku i popatrzył na ekran laptopa. Nie było żadnego maila od Cloncurry'ego. Żadnego nowego.

Isobel nadal mówiła, Rob próbował się skoncentrować.

— Isobel, przepraszam, nie bardzo rozumiem. Możesz powtórzyć?

— Oczywiście. — Westchnęła. — Pozwól, że wyjaśnię. Sądzę, że sprawcy, ci gangsterzy, się mylą. Szukają nie tam, gdzie trzeba.

— Dlaczego?

— Trochę pogrzebałam. Wiemy, że interesowali się Layardem. Tym asyriologiem, który poznał jazydów. Zgadza się?

Mgliste wspomnienie zamajaczyło mu wśród oderwanych myśli.

— Chodzi ci o to włamanie do szkoły?

— Tak — rzuciła rzeczowo. — Austen Henry Layard, który zainspirował powstanie Pawilonu Niniwy w Canford School. Słynął ze swojej zażyłości z jazydami. Poznał ich w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku.

— Dobrze. Przecież to wiemy.

— Ale w rzeczywistości przebywał u nich dwukrotnie. Drugi raz trzy lata później, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym.

— No... więc...

— To wszystko jest opisane w *Podboju Asyrii*, książce, którą mam. Dopiero teraz sobie przypomniałam. Posłuchaj, co jest tu napisane: Layard pojechał do Lalisz w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym. Zgodnie z tym, co wiemy. Potem wrócił do Konstantynopola i tu spotkał się z brytyjskim ambasadorem przy Wysokiej Porcie.

— Wysokiej...

— Porcie. Imperium Osmańskim. Ambasadorem był sir Stratford Canning. I wtedy wszystko się zmieniło. Dwa lata później Layard wrócił do jazydów. Tym razem odniósł niepojęty sukces, zdobył te wszystkie zabytki, które uczyniły go sławnym. I to wszystko to prawda. Wzmianki o tym pojawiają się w książkach historycznych. Więc rozumiesz... ?

Rob zmusił się do przegnania z myśli obrazu córki. Skórzanego knebla...

— Prawdę mówiąc, nie. Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

— Okay, Rob, przepraszam. Powiem wprost. Podczas pierwszej wyprawy Layard pojechał do Lalisz. Uważam, że właśnie wtedy usłyszał od jazydów o *Czarnej księdze* i o tym, jak została zabrana przez Anglika, Jeruzalema Whaleya. Layard był pierwszym Brytyjczykiem, a najpewniej w ogóle pierwszym człowiekiem z Zachodu, od czasu Whaleya, z którym jazydzi mieli kontakt, zatem to ma sens. Musieli powiedzieć mu, że chcą odzyskać *Księgę*.

— Mmmożee...

— Layard pojechał potem do Konstantynopola i opowiedział ambasadrowi Canningowi o swoich ustaleniach. Wiemy na pewno, że się spotkali. Wiemy też, że sir Stratford Canning był Anglo-Irlanńczykiem o protestanckich korzeniach.

Rob powoli zaczynał się wreszcie orientować, do czego Isobel może zmierzać.

— Canning był Irlandczykiem?

— Tak. Należał do anglo-irlanckiej arystokracji. To była raczej mała koteria, składająca się z ludzi w rodzaju Whaleya i lorda Saint Legera.

Członków klubu Hellfire. Wszyscy byli spokrewnieni.

— Cóż, owszem, to chyba dziwne, ale jak to się ma do sprawy?

— Mniej więcej w tym samym okresie w Irlandii głośno było o niejakim Edwardzie Hincksie.

— Przepraszam. Zupełnie nic mi to nie mówi.

— Hincks był mało znanym pastorem z Cork, który zdołał samodzielnie odczytać pismo klinowe! To żywa prawda, Rob. Sprawdź w Google. To jedna z największych zagadek asyriologii. Cała wykształcona Europa usiłowała odczytać kliny, a tu nagle wszystkich ubiega wiejski irlandzki pastor. — Isobel w podnieceniu mówiła coraz szybciej. — Więc teraz dodajmy jedno do drugiego. Jak to się stało, że Hincks ni stąd, ni zowąd odczytał pismo klinowe? Był zwykłym protestanckim duchownym z jakiegoś zadupia. Z bagien Hibernii.

— Myślisz, że znalazł *Księgę*?

— Myślę, że Hincks znalazł *Czarną księgę*. Była niemal na pewno napisana pismem klinowym. Hincks musiał ją znaleźć, gdzieś w Irlandii, przetłumaczyć, odcyfrować je i uświadomić sobie, że znalazł skarb Whaleya. Sławny zbiór tekstów jazydów, ongiś w posiadaniu klubu Hellfire. Pewnie usiłował zachować to w tajemnicy. O odkryciu wiedziało tylko kilka grubych ryb, ludzie, którzy już znali historię Whaleya, i przede wszystkim członkowie irlandzkiego Hellfire.

— Masz na myśli irlandzkich arystokratów? Ludzi takich jak Canning?

Isobel niemal wykrzyknęła:

— Otóż to, Rob. Sir Stratford Canning był postacią niezwykle się liczącą w anglo-irlandzkich kręgach. Jak wielu podobnych mu arystokratów bez wątpienia wstydział się przeszłości Hellfire. Kiedy zatem usłyszał, że *Księga Whaleya* została znaleziona, wpadł na pomysł rozwiązania kilku problemów za jednym zamachem. Arystokraci chcieli się jej pozbyć. Canning wiedział, że Layard chce ją zwrócić jazydom. A Hincks ją właśnie znalazł.

— Zatem *Czarna księga* została odesłana do Konstantynopola...

— A potem w końcu zwrócona jazydom za pośrednictwem Austina Layarda!

Zaległo milczenie. Rob analizował całą koncepcję. Starał się nie myśleć o córce.

— No, to tylko teoria...

— Więcej niż teoria, Rob. Posłuchaj tego! — Słyszał, jak przewraca strony jakiejś książki. — Mam. Słuchaj. To jest autentyczna relacja z

drugiego pobytu Layarda u jazydów. — Kiedy wśród jazydów rozeszły się pogłoski, że Layard wrócił do Konstantynopola, postanowili wysłać do niego czterech kapłanów i przywódcę. Cała piątka udała się do Konstantynopola.

— Zatem...

— To nie wszystko. Po jakichś „tajnych negocjacjach” z Layardem i Canningiem w osmańskiej stolicy jazydzi wrócili do Kurdystanu, na swoje ziemie. Razem z Layardem. — Isobel wzięła oddech, potem zacytowała. — Podróż z jeziora Wan do Mosulu przerodziła się w triumfalną paradę. Na Layarda ze wszystkich stron sypały się wyrazy wdzięczności. To do niego jazydzi zwrócili się o pomoc i okazał się w pełni wart ich zaufania. Później grupka ruszyła przez jazydzkie wioski do Urfy, odprowadzana przez „setki śpiewających i wiwatujących ludzi”.

Rob czuł podekscytowanie Isobel, ale go nie podzielał. Gapiąc się posępnie na pochmurne londyńskie niebo, powiedział:

— W porządku, rozumiem. Możesz mieć rację. Wobec tego *Czarna księga* jest gdzieś w Kurdystanie. Nie w Anglii i nie w Irlandii. Została zwrócona przez Layarda. Gang się myli. Jasne.

— Oczywiście, mój drogi — oświadczyła Isobel. — Ale nie gdzieś w Kurdystanie, tylko w Urfie. Rozumiesz? Tak wynika z tej relacji. Lalisz to wprawdzie święta stolica jazydów, jednak dawną stolicą administracyjną i polityczną jest Urfa. Księga jest w Şanhurfie. Gdzieś w ukryciu. To tam ją Layard zawiózł jazydom. Oni zaś w nagrodę powiedzieli mu, gdzie znajdzie co świetniejsze zabytki, obelisk z Niniwy i tak dalej. W ten sposób Layard i Canning zdobyli sławę, której pragnęli. Wszystko się zgadza.

Robowi zaschło w gardle. Poczował, jak ogarnia go fala sarkazmu pomieszanego z rozpaczą.

— W porządku, to możliwe, Izzy. Wszystko pięknie i wspaniale. Tylko jak, u licha, ją zdobędziemy? Jak? Jazydzi właśnie próbowali nas zabić. W Şanhurfie jesteśmy *persona non grata*. Sugerujesz, żebyśmy wparadowali tam ot tak i zażądali, by przekazali nam swoją świętą księgę? Może coś jeszcze powinniśmy zrobić przy okazji? Na przykład przespacerować się po jeziorze Wan?

— Nie mówię o tobie. Ale mnie się może udać. Mam przyjaciół w Urfie. A gdybym zdołała dotrzeć do *Księgi*, choćby pożyczyć ją na kilka godzin, zrobić kopię, mielibyśmy coś na Cloncurry'ego. Moglibyśmy wymienić tę wiedzę na Lizzie i Christine. A ja naprawdę znam jazydów. Myślę, że potrafię to zrobić, że potrafię ją odnaleźć.



— Isobel...

— Nie uda ci się mnie powstrzymać. Nawet nie próbuj. Jadę do Şanhurfy, Rob. Znajdę dla was *Czarną księgę*. Christine jest moją przyjaciółką. A twoja córka jest dla mnie jak własna. Chcę pomóc. Potrafię. Zaufaj mi.

— Ale, Isobel, to niebezpieczne. Już sama teoria jest szalona. A jazydzi, których poznałem, byli święcie przekonani, że *Księga* jest nadal w Wielkiej Brytanii. Jak to się ma do twoich założeń? No i jest jeszcze Kiribali...

Isobel się zaśmiała.

— Kiribali mnie nie zna. Poza tym, cokolwiek by mówić, mam sześćdziesiąt osiem lat. Nawet jeśli jacyś obłąkańcy zetną mi głowę, nic wielkiego się nie stanie, najwyżej nie będę musiała się martwić o receptę na następne okulary. Ale myślę, że sobie poradzę, Rob. Już mam pewien pomysł, gdzie dokładnie może się znajdować *Księga*. Dziś wieczorem lecę do Urfy.

Rob bił się z myślami. Nadzieja na powodzenie akcji była niewielka, wręcz marginalna, ale w końcu się jej uchwycił — może dlatego, że nie miał innych. Wiedział także, że bez względu na wynik, Isobel ryzykuje życie.

— Dziękuję, Isobel. Dziękuję. Bez względu na to, co się stanie. Strasznie ci dziękuję.

— *De nada*. Uratujemy nasze dziewczynki, Rob. Wkrótce się zobaczymy. Całą czwórka!

Rob usiadł i potarł oczy. Później wyszedł i całe popołudnie pił sam w jakimś pubie. W końcu wrócił, ale nie mógł znieść ciszy, więc z powrotem poszedł w miasto i pił dalej. Chodził od pubu do pubu, pijąc powoli i samotnie, co pięć minut gapiąc się na telefon komórkowy. Następny dzień spędził tak samo. I kolejny. Pięć razy dzwoniła do niego Sally. Dzwonili przyjaciele z „Timesa”. Dzwonił Steve. Znowu Sally. Policja milczała.

Telefonowała też Isobel, niemal co dwie godziny, zdając mu relację z postępów w Urfie. Powiedziała, że czuje, że jest „blisko prawdy, blisko *Czarnej księgi*”. Mówiła, że niektórzy jazydzi zaprzeczają, jakoby ją mieli, jednak inni są zdania, że Isobel ma rację, że *Księga* została zwrócona, ale nie wiedzą, gdzie może być. „Jestem blisko, Rob, powiedziała. Bardzo blisko”. Kiedy ostatni raz dzwoniła, w tle jej głosu pełnego żarliwej otuchy słyszał zaśpiew muezina. Strasznie było znowu poczuć, choćby tylko w słuchawce, zgiełk Şanhurfy. Gdyby tam nigdy nie pojechał, nic by się nie wydarzyło. Nie chciał już nigdy więcej myśleć o Kurdystanie.

Przez dwa kolejne dni Rob w zasadzie tylko się zadreślał. Isobel przestała dzwonić. Steve nie telefonował tak często. Ta cisza była nie do wytrzymania. Próbował pić herbatę i pocieszać Sally, wyszedł do marketu kupić wódkę, potem wrócił do domu i podszedł prosto do laptopa, kolejny raz, teraz robił już to mechanicznie, niczego się nie spodziewając.

Tym razem jednak na ekranie widniał mały symbol koperty. Dostał nową pocztę. Wiadomość od... Cloncurry'ego.

Zaciskając zęby z napięcia, otworzył list.

Nie było tekstu, tylko link do filmu. Kliknął. Monitor komputera zamigotał, rozjaśnił się i Rob zobaczył Lizzie i Christine przywiązane do krzesel w pustym pokoju. Pomieszczenie było inne niż poprzednio, o wiele mniejsze, one zaś miały na sobie inne ubrania. Najwyraźniej zostały gdzieś przeniesione.

Ale to nie dlatego wstrząsnęła nim nowa porcja bólu i przerażenia. Zadrżał, ponieważ obie były zakapturzone. Nałożono im na głowy grube, czarne kaptury.

Skrzywił się. Przypomniawszy sobie, jak sam w Lalisz umierał ze zgrozy w śmierzdzącym, czarnym worku na głowie.

Te nowe mrozące krew w żyłach ujęcia trwały długie trzy minuty. Potem na ekranie pojawił się Cloncurry. Mówił wprost do obiektywu.

Rob patrzył na szczupłą, przystojną twarz.

— Witaj, Rob! Jak widzisz przenieśliśmy się do nowego, fascynującego miejsca. Dziewczęta mają na sobie kaptury, bo chcemy, żeby poszły się ze strachu. Powiedz mi o *Czarnej księdze*. Naprawdę wpadłeś na jej ślad? Muszę to wiedzieć. Chcę, żebyś mnie informował. Nie trzymaj niczego w tajemnicy. Nie lubię tajemnic. Rodzinne tajemnice są takie potworne, nie sądzisz? Więc powiedz mi. Jeśli chcesz odzyskać swoją rodzinę, jeśli nie chcesz, by twoi bliscy umarli, powiedz mi. Szybko. Nie zmuszaj mnie do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chcę.

Cloncurry się odwrócił. Wyglądało na to, że szepcze coś do kogoś za kamerą. Rob usłyszał śmiech dochodzący gdzieś spoza kadru. Potem twarz bandyty znowu pojawiła się na ekranie.

— Wróćmy do kwestii zasadniczej, Rob. Wiesz, czym się pasjonuję, do czego mam zacięcie. Mord rytualny, prawda? Ofiary z ludzi. Sęk jednak w tym, że mam kłopot z wyborem. W jaki sposób mam zabić twoją córkę? I Christine? Bo przecież jest tyle sposobów składania ofiar. Jakie są twoje ulubione, Rob? Mnie osobiście najbardziej podobają się te proweniencji

wikińskiej. Tobie nie? Ot, choćby krwawy orzeł. Profesor był, zdaje się, dosyć zaniepokojony, kiedy wyciągaliśmy mu płuca. Zaniepokojony, chociaż jednocześnie jakby pod wrażeniem, jeśli mogę sam ocenić. Ale przecież mogliśmy być o wiele... okrutniejsi. — Uśmiechnął się.

Rob siedział nieruchomo, spływając potem.

Cloncurry podszedł bliżej obiektywu.

— Celtowie na przykład mieli pewien zachwycający ryt. Nadziewali ofiary na pal. Zwłaszcza młode kobiety. Rozbierali je do naga, nieśli na pole, nasadzali na ostry czubek drewnianego słupa, rozwierali im nogi, a następnie ścigali w dół, tak że pal je przebijał. Przez pochwę. Albo odbył... — Ziewnął i ciągnął dalej: — Naprawdę nie chcę robić tego twojej ślicznej dziewczynie. Widzisz, jeśli wepchnę jej pikę w cipę, zakrwawi cały dywan. Trzeba będzie kupować wielką maszynę do prania wykładzin. Niepotrzebny wydatek! — Znowu się uśmiechnął. — Więc po prostu daj mi tę pierdoloną *Czarną księgę*. To gówno Whaleya. To, co znalazłeś w Lalisz. Oddaj to nam. Natychmiast.

Kamera zadrżała lekko. Cloncurry sięgnął i przytrzymał ją.

— A co do ofiar z dzieci, z tej tu małej Lizzie. Cóż...

Wstał i podszedł do jednego z krzeseł. Gestem iluzjonisty ściągnął kaptur z siedzącej tam postaci i pojawiła się Lizzie. Patrzyła w obiektyw z przerażeniem w oczach i skórzanym kneblem na ustach.

Cloncurry pogładził ją po włosach.

— Tak wiele sposobów, a tylko jedna dziewczynka. Który powinniśmy wybrać? Inkowie zabierali dzieci w góry i zostawiali, by umarły z zimna. Ale to raczej powolny sposób. I nudny. Może w takim razie coś z bardziej wyrafinowanego repertuaru Azteków. Słyszałeś na przykład o bogu imieniem Tlaloc?

Obszedł krzesło Lizzie.

— Mówiąc szczerze, Rob, kawał piździelca był z tego Tlaloca. Chciał, żeby jego pragnienie gasiły ludzkie łzy. Więc azteccy kapłani musieli zmuszać dzieci do płaczu. Z reguły dokonywali tego, zdzierając im paznokcie. Bardzo powoli. Jeden po drugim.

Cloncurry rozwiązywał teraz Lizzie jedną z rąk. Rob widział, jak dłoń jego córeczki trzęsie się ze strachu.

— Tak, Rob, zdzierali paznokcie, potem obcinali paluszki, takie małe jak te. — Gładził palce dziewczynki. — To oczywiste, że dzieci płakały, gdy zrywano im paznokcie. A kiedy już zerwano wszystkie, kapłani łapali łzy

łkających dzieci i dawali słoną ciecz Tlalocowi. Potem ścinano maluchom głowy.

Cloncurry się uśmiechnął. Później szorstkim ruchem przywiązał rękę Lizzie z powrotem do oparcia krzesła.

— Zatem to właśnie mogę zrobić, Rob. Wykorzystać stary aztecki sposób. Ale naprawdę myślę, że powinieneś spróbować mnie od tego odwieść. Nie każ mi zrywać jej paznokci, odcinać palców i odrąbywać głowy. Jednak jeśli twój upór mnie do tego zmusi, nie omieszkam przesłać ci jej łez w słoiczku. Więc do roboty, chłopie, ruszaj się, działaj. — Uśmiechnął się. — Rach, ciach.

Pochylił się do przodu, szukając wyłącznika. Film się skończył, zatrzymany na ostatniej klatce.

Rob patrzył na niemy ekran jeszcze przez dziesięć minut. Na zastygły na filmie półuśmiezek Cloncurry'ego. Na jego wydatne kości policzkowe, błyszczące zielone oczy, ciemne włosy. Za jego plecami siedziały córka Roba i jego dziewczyna, przywiązane do krzeseł czekały, aż je nabiją na pał, okaleczą i zamordują. Rob nie miał wątpliwości, że Cloncurry spełni swoje groźby.

Następny dzień spędził z Sally. Potem odebrał następnego e-maila. Z kolejnym filmem. Tym razem tak obrzydliwym, że oglądając go, wymiotował.

Zaraz po obejrzeniu filmu Rob poszedł prosto do Scotland Yardu do Forrestera. Wcześniej nie zadzwonił, nie wysłał SMS-a ani e-maila, wypłukał tylko usta, przemył twarz zimną wodą i złapał taksówkę.

W drodze patrzył na tych wszystkich szczęśliwych ludzi dokoła: robiących zakupy, spacerujących, wsiadających i wysiadających z autobusów, oglądających wystawy sklepowe. Trudno było pogodzić zwyczajność tego widoku z plugawością scen, których przed chwilą był świadkiem.

Starał się o tym nie myśleć. Musiał powściągnąć gniew. Można jeszcze uratować Lizzie, nawet jeśli dla Christine jest już za późno. Siedział z tyłu w taksówce i miał ochotę walnąć pięścią w szybę, ale wiedział, że nie może stracić panowania nad sobą. Jeszcze nie teraz. Potem, jeśli tylko będzie miał okazję, zabije Cloncurry'ego. Ale nie tak po prostu nożem czy siekierą: weźmie pogrzebacz i roztrzaska mu łeb, aż mózg się rozprysnie. Nie, lepiej, spali go powoli kwasem, patrząc, jak ta przystojna twarz się rozpuszcza.

Wprost dusił się od żądy zemsty za to, co Cloncurry zrobił Christine. Chciał śmierci tego bydlaka. Natychmiast.

Taksówka zatrzymała się przed szklano-stalowym wejściem do New Scotland Yardu. Rob zapłacił kierowcy z gniewnym burknięciem i przeszedł przez szklane drzwi. Recepcjonistki usiłowały go powstrzymać, ale spiorunował je tak wściekłym wzrokiem, że nie wiedziały, co zrobić. Na korytarzu zauważył go Boijer.

— Musicie coś zobaczyć — rzucił Rob.

Fin uśmiechnął się przyjaźnie, ale dziennikarz nie odwzajemnił uśmiechu. Twarz Boijera spochmurniała, Rob tylko patrzył na niego gniewnie.

Jechali windą w milczeniu. Przeszli potem do gabinetu Forrestera i Fin zapukał do drzwi, ale Rob od razu wpakował się do środka. Nadkomisarz popijał herbatę z kubka ze wzrokiem wbitym w akta. Podskoczył,

zaskoczony, kiedy Rob wpadł do gabinetu, rzucił się na krzesło obok i warknął bez ogródek:

— Sprawdźcie moją skrzynkę. Jest e-mail od Cloncurry'ego.

— Ale dlaczego pan nie zadzwonił, moglibyśmy...

— Zobaczcie to.

Rzuciwszy zaniepokojone spojrzenie Boijerowi, komisarz pochylił się bliżej ekranu i otworzył przeglądarkę. Wszedł na skrzynkę dziennikarza, Rob podał mu hasło.

— Dobrze — powiedział. — Jest tylko link z filmem. Niech pan otworzy.

Forrester kliknął i na ekranie pojawił się obraz, te same sceny co wcześniej. Christine i Lizzie przywiązane do krzesel. Te same ubrania, te same kaptury, pokój tak samo nijaki jak poprzedni.

— Widziałem to już — powiedział Forrester delikatnie. — Pracujemy nad sprawą, Rob. Sądzimy, że założyli im kaptury, żeby nie mogły przesyłać wiadomości, mrugając, niektórzy tak robią, dają znaki ruchami powiek. Tak czy owak, jest coś, o czym chciałbym wspomnieć...

— Komisarzu.

— Badałem pochodzenie Cloncurrych i Whaleyów, ich przodków, to nowy aspekt i...

— Komisarzu. — Rob był czerwony z gniewu i żalu. — Niech się pan zamknie. Obejrzyjcie film.

Policjanci wymienili kolejne pełne niepokoju spojrzenia. Boijer obszedł biurko, by lepiej widzieć. Wszyscy trzej patrzyli na ekran.

Z lewej strony wyłoniła się jakaś postać. Cloncurry. Niósł wielki rondel — ogromny rondel z szarego metalu pełen parującej wody. Postawił go, po czym zniknął z kadru. Widać było tylko Christine i Lizzie siedzące w straszliwych czarnych kapturach, prawdopodobnie zupełnie nieświadome tego, co robi oprawca.

Tym razem z metalowym trójnogiem i turystyczną kuchenką gazową, na której pełgał już niebieski ogień. Rozstawił trójnog przed Christine i umieścił zapaloną kuchenkę między jego nogami. Potem podniósł i postawił na nim parujący garnek. Woda w naczyniu zaczęła bulgotać i wrzeć.

Wyraźnie zadowolony odwrócił się do obiektywu.

— Ci Szwedzi to dziwni ludzie, prawda, Rob? Weźmy choćby ich jedzenie. Te pojedyncze kromki zamiast kanapek, marynowane łososie, to zatręśienie śledzi. A teraz jeszcze to! No, jesteśmy gotowi. Mam nadzieję, że docenisz, jak się wykosztowaliśmy, Robercie. Sam rondel kosztował pięć

dych. Może go potem zwrócę, wymienię na stojak do tostów. Odwrócił wzrok od obiektywu. — No, to chłopaki, lecimy. Ma któryś nóż? — Patrzył poza kadr. — Halo? Wielki nóż do ćwiartowania ludzi? Tak. Właśnie taki. Bardzo dziękuję.

Biorąc nóż od niewidocznego asystenta, przechylił go w dłoni i przebiegł kciukiem po ostrzu.

— Idealne.

Znowu patrzył w obiektyw.

— Oczywiście nie mówię o współczesnej Szwecji, Rob. Nie. Nie chodzi mi o krzesła z Ikei. Ani volvo, saaby czy kryte korty tenisowe. Mówię o Szwecji jeszcze niespedalanej. Tej prawdziwej. Średniowiecznej. O długowłosych barbarzyńcach, którzy wiedzieli, jak mordować, jak składać ofiary. Odynowi. I Thorowi. Bo właśnie to zaraz zrobimy, w bardzo specjalny sposób. Dzisiaj jest dzień szwedzki. Stary północny ryt ofiarny. Gotowanie trzewi. — Błysnęło ostrze. — Rozkroimy jedną z twoich dziewcząt i ugotujemy jej wąpiał, żywcem, w tym wielkim starym rondlu. Ale którą powinniśmy poświęcić? Na którą masz ochotę? — Oczy mu zaiskrzyły. — Dużą czy małą? Hmm? Myślę, że chyba powinniśmy zostawić to, co najlepsze na koniec, nie uważasz? A choć bardzo kochasz śliczną Christine z uroczym znamieniem koło sutka, tak, tym właśnie, coś mi się zdaje, że ciut mocniej jesteś związany z córką. Zatem chyba powinniśmy zachować małą Lizzy na później, na jakiś inny obrzęd, może jutrzejszy, a teraz rozkrawać Francuzkę. Ma w końcu taki ładny brzusek. To co, chłśniemy twoją przyjaciółkę? Chyba tak.

Nachylił się w stronę zakapturzonej postaci Christine. Wyginała się i wiała, napinając więzy, bezskutecznie. Widać było, jak kaptur nadyma się i opada, kiedy dyszała ze strachu.

Cloncurry uniósł jej sweter na kilka centymetrów, ale Christine wyrwała mu się z rąk.

— Święci pańscy! Nie jest chyba zachwycona. Przecież wytnę jej tylko jelita, żołądek, może jeszcze pęcherz i ugotuję je wolno w tym rondlu, więc umrze w ciągu półgodziny, może trochę później. A można by pomyśleć, że jest u dentysty. O co chodzi, Christine?

W cuchnącym napięciem gabinetu Forrester pochylił się, żeby wyłączyć film.

— Nie — warknął Rob. — Chcę, żebyście obejrżeli. Ja, kurwa, musiałem to obejrzeć. Patrzcie.

Forrester opadł na oparcie. Rob zobaczył błysk łez w jego oczach. Miał to gdzieś. On musiał na to patrzeć. Teraz ich kolej.

Pierwsze cięcie było szybkie. Z profesjonalną swobodą, jakby miał wprawę w rzeźnictwie, Cloncurry wbił nóż w odsłonięty brzuch Christine i przeciągnął ostrzem w bok. Krew spłynęła po ostrzu na kolana dziewczyny. Mimo kaptura i knebla, które tłumili głos, rozległ się wyraźny jęk. Z rany wypływała wolno krew, narządy zaczęły się wylewać i wystawały z poziomego nacięcia, niczym zakrwawione główki noworodków.

— Proszę, proszę, tylko patrzcie — powiedział Cloncurry, rozwierając ogromną ranę, by zajrzeć do środka. — Kto to się tak przepycha naprzód? Pani macica? O, moja panno, daj no szansę innym.

Upuścił nóż i sięgnął obiema dłońmi głęboko do wnętrza rany. Rob, chcąc nie chcąc, zauważył, jak bardzo blady jest brzuch Christine. W czasie uwięzienia zniknęła cała opalenizna i teraz skórę miała niemal białą. Ale tę biel znaczyła teraz wolno ściekająca krew. Jęki przerodziły się w skowyt, kiedy Cloncurry delikatnie wyciągnął z rany jelita: pastelowszare i śliskie niebieskie zwoje przypominające obrzydliwe pęta surowej kiełbasy.

Potem ostrożnie wy dobył kolejne narządy, nadal połączone z ciałem żyłami, tętnicami, mięśniami i szarobiałymi zwojami nerwowymi. Przeniósł wielką garść wnętrzności nad rondel i upuścił je z pluśnięciem do parującej kadzi z wodą.

Christine wiła się spazmatycznie.

— Ci Szwedzi byli naprawdę nie w ciemną bici, rozumiecie teraz sami. Można wyjąć wszystkie położone niżej narządy, a ofiara nadal żyje. Bo główne organy ciągle są w ciele i pracują normalnie. Tyle że jednocześnie powoli się gotują. Ej, może dodamy trochę pieprzu. Przyprawimy. Pyszny gulasz dziewczęcy.

Z ust Christine zakrytych przez knebel i kaptur dochodziło jęgliwe skowyczenie. Rob nigdy jeszcze nie słyszał podobnego dźwięku.

Cloncurry wziął gdzieś z boku wielką drewnianą łyżkę i mieszał trzewia Christine w garnku. Trwało to kilka straszliwych minut, przerywanych rozpaczliwymi jękami ofiary. Westchnął zirytowany.

— Jezu. Ależ z niej jęczydusza, co? Nie jęczała tak, kiedy ją pierdoliłem. Myślisz, że teraz jej się bardziej podoba? Hmm? — Uśmiechnął się. — Wiem, rozweselimy ją szwedzką piosenką. — Zanucił kilka taktów, potem zaśpiewał: — *Mamma mia*, czemu mnie rzuciłeś, *my, my*, jak mogłeś



zapomnieć. *Yes*, miałam wtedy doła, tak, byłam niewesoła, *why, why*, teraz się gotuję. *Mamma mia*. [Parafraza piosenki ABBY (przyp. tłum.)]

Urwał. Jęki zamieniły się w cichy pomruk, a potem kwilenie. Oprawca jeszcze raz zamieszał w rondlu.

— Uszy do góry, Christine. Już niedługo. Zdaje się, że sos gęstnieje. — Uśmiechnął się. — O patrzcie, co my tu mamy. Proszę, proszę. Pani nerka.

Cloncurry odwrócił się twarzą do kamer i uniósł drewnianą chochlę. Na środku leżała ciemnobrązowa nerka spowita żyłami i tętnicami niczym krwistoczerwonym spaghetti. Forrester patrzył na podłogę.

— To tyle — powiedział Rob. — Film zaraz się skończy. Christine się... osuwa... umiera.

Boijer pochylił się i zamknął pocztę. Potem odwrócił się do Roba. Nic nie powiedział, ale oczy miał wilgotne. Przez chwilę siedzieli, nie mogąc wydusić słowa. Rob wzruszył ramionami posepnie i podniósł się, żeby wyjść.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Forrester odebrał. Zamienił kilka cichych słów, patrząc dziennikarzowi w oczy. Wreszcie odłożył słuchawkę.

— Dla Christine jest już za późno. Ale nadal możemy uratować pańską córkę.

Rob mierzył go wzrokiem, stojąc w otwartych drzwiach.

Forrester skinął głową z ponurą miną.

— To Garda. Irlandia. Znaleźli ich.

Rob spotkał się z Forresterem na lotnisku w Dublinie. Nadkomisarzowi towarzyszyło kilku irlandzkich policjantów z odznakami w kształcie gwiazd na czapkach.

Wymienili zdawkowe uprzejmości, potem cała grupa przeszła przez halę przylotów na wietrzny parking i bez słowa wsiadła do minivana.

To Rob przerwał to posępne, przerażające milczenie.

— Moja była żona jest tutaj?

Forrester skinął głową.

— Przyleciała godzinę przed panem. Jest na miejscu zdarzenia.

— To było ostatnie miejsce w tamtym locie. — Rob miał potrzebę usprawiedliwienia się. Poczucie winy towarzyszyło mu teraz bezustannie. Czuł się winny z powodu śmierci Christine, z powodu nieuchronnie nadciągającego losu Lizzie. Winny z powodu swojej własnej zabójczej głupoty. — Więc — powiedział, starając się panować nad głosem — polecałem następnym. Żeby mogła przylecieć pierwsza.

Policjanci pokiwali głowami. Rob nie miał pojęcia, co powiedzieć. Westchnął, wbił zęby w kłykcie i starał się nie myśleć o Christine. Potem podniósł wzrok i opowiedział Forresterowi i Boijerowi o Isobel i jej próbach odnalezienia *Czarnej księgi*. Dodał, że nie miał od niej wieści już dobę lub więcej i nie może się do niej dodzwonić, ale że to milczenie może oznaczać, że jest na dobrym tropie: gdzieś na pustyni, bez zasięgu.

Policjanci wzruszyli ramionami, jakby starali się okazać podziw i nie zdołali. Rob nie mógł ich winić: pomysł wydawał się dziwny, nadzieje iluzoryczne, a wszystko rozgrywało się tak daleko w porównaniu z rzeczywistością zimnej, deszczowej Irlandii. I osaczonym gangiem morderców. Wypatroszonym trupem. Oraz córką, która miała być poćwiartowana.

W końcu powiedział:

— To jakie są ostatnie... ?

Starszy funkcjonariusz irlandzkiej policji się przedstawił.

— Komisarz Liam Dooley. — Miał siwiejące włosy i poważną twarz z mocną szczęką. — Uścisnęli sobie dłonie. — Obserwujemy ich. To chyba jasne, że nie możemy tak po prostu wkroczyć. Są uzbrojeni po zęby. Zabili... tę kobietę... pańską przyjaciółkę. Przykro mi. Ale dziewczynka nadal żyje i chcemy ją uratować. Uratujemy ją. Ale musimy działać ostrożnie.

— Tak — powiedział Rob.

Utknęli w korku na ruchliwej dublińskiej obwodnicy Wyglądał przez zamazane deszczem okna furgonetki.

Dooley pochylił się do przodu i postukał w ramię kierowcę, który włączył syrenę. Stojące samochody natychmiast zjechały na bok, by przepuścić policyjny radiowóz. Pomknęli do przodu.

— Dobrze. — Dooley podniósł głos, przekrzykując syrenę. — Jestem pewien, że nadkomisarz Forrester już pana wprowadził, ale teraz sytuacja się tak przedstawia. Złapaliśmy jednego z nich, Włocha...

— Marsinellego — wtrącił Forrester.

— Tak, Marsinellego. Zdjęliśmy go wczoraj. To oczywiście nie pozostało bez wpływu na resztę: wiedzą, że ich otoczyliśmy, są silnie uzbrojeni.

Rob skinął głową, westchnął i poddając się swoim uczuciom, osunął się do przodu i wbił głowę w oparcie przedniego fotela. Myślał o Christine. O tym, że słyszała, jak gotują się jej własne wnętrzności.

Forrester położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

— Dorwiemy ich, bez obawy. Garda wie, co robi. Przez trzydzieści lat walczyli z irlandzkimi terrorystami. Wydostaniemy Lizzie.

Rob burknął coś pod nosem: czuł nie tylko smutek i strach, ale także narastającą złość na policję. Złapali tylko jednego członka gangu, jego córka nadal była w rękach Cloncurry'ego. A Christine już nie żyła. Irlandczycy spartaczyli.

— Czyli chcecie powiedzieć, że utknęliście w martwym punkcie — rzucił. — Otoczyliście miejsce, więc oni nie mogą wyjść, ale mogą zrobić coś mojej córce, więc wy nie możecie wejść. Tyle że Cloncurry już zaszlachtował moją dziewczynę. I wiecie, że to nie było jego pierwsze morderstwo. To skąd wiadomo, że nie zabija Lizzie właśnie teraz? W tej, kurwa, minucie?

Dooley pokręcił głową.

— Wiemy, że pańskiej córce nic nie jest, bo przez cały czas rozmawiamy z Cloncurrym.

— Jak?

— Za pomocą kamery internetowej. Ma ustawioną drugą kamerę, tym razem z dwukierunkowym systemem transmisji. Widzieliśmy pańską córkę. Jest cała i zdrowa. Przywiązana. Tak jak wcześniej.

Rob odwrócił się do Forreстера, szukając potwierdzenia. Nadkomisarz skinął głową.

— Cloncurry dużo gada. Może bierze narkotyki.

— A co, jeśli nagle zupełnie mu odbije?

W furgonetce zaległa przygniatająca cisza. Syrenę wyłączono już jakiś czas temu. Wszyscy milczeli. Wreszcie odezwał się Dooley:

— Z jakiejś przyczyny za wszelką cenę chce od pana coś dostać. Tę *Czarną księgę*, czy co to jest. Na okrągło o niej mówi. Według nas jest przekonany, że pan ją ma. Nie zabije pańskiej córki, dopóki w to wierzy.

Rob nie bardzo rozumiał, co policjant do niego mówi. Niczego już nie rozumiał.

Zjechali z autostrady, zostawiwszy za sobą przedmieścia Dublina, i popędzili w kierunku zielonych, porośniętych lasem wzgórz. Na polach widać było białe zabudowania gospodarcze. Jakiś drogowskaz informował: Góry Wicklow 5 km. Nadal mżyło.

Dooley dodał cicho:

— Oczywiście gdyby pojawił się najmniejszy znak, że zamierza skrzywdzić pańską córkę, wkroczymy, bez względu na ryzyko. Cały teren obstawiony jest uzbrojonymi funkcjonariuszami. Obiecuję.

Rob zamknął oczy. Wyobraził sobie tę scenę: wpadającą policję, zamieszanie, chaos. I Cloncurry'ego, jak z uśmiechem na ustach kuchennym nożem podrzyna Lizzie gardło albo strzela jej w skroń w tej samej chwili, kiedy policja wyważa drzwi. Co mogło go powstrzymać? Czemu niby taki szaleniak miałby oszczędzić córkę Roba? Ale może ten Irlandczyk ma rację. Cloncurry musi desperacko pragnąć *Czarnej księgi*: Isobel mówiła to samo. I musiał uwierzyć, kiedy Rob powiedział, że może ją odnaleźć. Inaczej już dawno zabiłby Lizzie, tak jak Christine.

Problem polegał na tym, że Rob nie miał pojęcia, gdzie jest *Księga*. I jeśli tylko Isobel nie wpadnie na trop, i to szybko, prawda wyjdzie na jaw. Co wtedy? Kiedy Cloncurry się domyśli, że Rob niczego nie ma, jak postąpi wtedy? Nietrudno było zgadnąć. Zrobi to, co robił już wiele razy: zabije ofiarę. Zafunduje sobie tę ponurą, makabryczną przyjemność i uciszy

krwiożerczy głos w środku. Udobrucha dręczące go demony Whaleya — i zabije z nieludzkim okrucieństwem.

Rob popatrzył na mokry, zielony krajobraz. Zobaczył kolejny znak, na wpół zasłonięty przez ociekające deszczem konary dębu: Las Hellfire, własność Irlandzkiego Zarządu Lasów, Coillte. Byli prawie na miejscu.

W pociągu w drodze na lotnisko Stansted studiował historię tego miejsca, żeby zająć czymś myśli, oderwać się od potwornych obrazów, które miał w głowie. Niedaleko stał stary kamienny pawilon myśliwski: Montpelier House. Zbudowany na wzgórzu, na którym znajdował się też neolityczny kamienny krąg, ponoć był nawiedzony. Cieszył się popularnością wśród okultystów, popijających sikacze dzieciaków i miejscowych historyków. W przeszłości był jednym z głównych miejsc spotkań irlandzkiego Hellfire, gdzie jego członkowie raczyli się Scultheen, palili czarne koty i grali w wista z diabłem.

Większość opowieści o tym, do czego tu dochodziło, miała, o ile Rob wiedział, charakter mitów i legend. Ale pogłoski o morderstwie nie były całkiem wyssane z palca. Znajdujący się w dolinie poniżej dom także był, głosiła wieść, wykorzystywany przez członków. Bysiora Egana, Jeruzalema Whaleya, Jacka Saint Legera i pozostałych osiemnastowiecznych sadystów.

Nazywał się Killakee House. Kiedy go odnawiano kilkadziesiąt lat temu, znaleziono szkielet dziecka lub karła razem z posążkiem jakiegoś demona.

Rob odwrócił głowę i wyjrzał przez drugie okno. Widział już zarys Montpelier House: ponure szare widmo na szczycie wzgórz, posępniejsze i ciemniejsze niż szare chmury wyżej. Jak na czerwiec dzień był plugawy. Odpowiednio deszczowy i demoniczny. Rob pomyślał o córce trzęsącej się gdzieś w tym domu, tak niedaleko. Musi się wziąć w garść. Myśleć pozytywnie, choćby w niewielkim wymiarze. Nie pogratulował jeszcze Forresterowi sukcesu.

— A tak przy okazji, dobra robota.

Nadkomisarz ściągnął brwi.

— Nie rozumiem.

— Znalezienie ich na podstawie przecucia.

Forrester potrząsnął głową.

— To nic takiego. Po prostu uzasadniony domysł. Starłem się myśleć kategoriami Cloncurry'ego. Wczuć się w jego chory mózg. Lubi odniesienia historyczne. Wystarczy spojrzeć na jego rodzinę, rodowód, to, gdzie mieszkają. Wiedziałem, że będzie chciał się ukryć w miejscu, które ma dla

niego jakieś znaczenie. I że szuka *Czarnej księgi*, skarbu Whaley'a. To stąd pochodzili Podpalacz i Jeruzalem Whaleyowie. Sprawcy musieli tu zacząć szukać, więc równie dobrze mogli się tu ukrywać.

Furgonetka zahamowała przed wiejskim domem, na którego podjeździe rozstawiono duży namiot. Wysiedli. Rob wszedł do pełnego ludzi namiotu i zobaczył w rogu swoją byłą żonę. Siedziała z policjantką i piła herbatę z kubka. Wszędzie dokoła roilo się od funkcjonariuszy o dźwięcznym irlandzkim akcencie, połyskiwały złote odznaki na czapkach, migotały ekrany monitorów.

Dooley wziął Roba pod ramię i nakreślił mu sytuację. Domek myśliwski, w którym przebywał gang, znajdował się kilkaset metrów dalej. Wystarczył trzyminutowy spacer na lewo od tylnego wyjścia domu, żeby go zobaczyć, stał tuż na szczycie wysokiego wzgórza za nimi.

— Cloncurry wynajął go kilka miesięcy temu — powiedział Dooley. — Od żony gospodarza. To ona dała nam cynk, kiedy chodziliśmy od drzwi do drzwi. Powiedziała, że widziała tam dziwną krzątanicę, wyjazdy. Więc zaczęliśmy się przyglądać. Obserwujemy ich od dwudziestu czterech godzin. Naliczyliśmy pięciu ludzi w środku. Marsinellego złapaliśmy, kiedy jechał do sklepu.

Rob skinął głową, osłupiał. Czuł się jak idiota. Znalazł się w jakimś niewiarygodnie głupim impasie: wszędzie dokoła na polach i wzgórzach znajdowali się uzbrojeni policjanci z celownikami wymierzonymi w domek. W środku ukrywało się czterech mężczyzn kierowanych przez jakiegoś pieprzonego szaleńca. Rob chciał pobiec wzgórzem i zrobić coś. Cokolwiek. Ale tylko zerknął na ekrany monitorów. Garda miała kilka kamer, w tym jedną na podczerwień, śledzących kryjówkę morderców. Każdy ruch był nadzorowany i rejestrowany w dzień i w nocy. Choć od kilku godzin nic się nie wydarzyło: zasłony były zasunięte, drzwi zamknięte.

Na biurku przed monitorami stał laptop z kamerą. Rob się domyślił, że służy do komunikacji internetowej z Cloncurrym.

Czując się tak, jakby miał w płucach ołów, podszedł do Sally. Przywitali się i uścisnęli.

Wtedy Dooley zawołał go z drugiego końca namiotu.

— To Cloncurry. Znowu jest na komunikatorze. Powiedzieliśmy mu, że pan przyjechał, i chce z panem rozmawiać.

Rob przebiegł przez namiot i stanął przed ekranem. Jest. Koścista twarz, niemal sympatyczna, a przy tym mrożąca krew w żyłach. Inteligentne oczy

węza. Z tyłu widać było Lizzie w czystym ubraniu, nadal przywiązana do krzesła, lecz już bez kaptura na głowie.

— O, dżentelmen z „Timesa”.

Rob gapił się oniemiały na ekran. Poczł szturchnięcie. Dooley gestykułował i bezgłóśnie poruszał ustami: „Mów do niego, rozmawiaj z nim”.

— Witam — rzucił Rob.

— Witam! — roześmiał się Cloncurry. — Przykro mi, że musieliśmy ci obgotować narzeczoną, ale za to córka jest cała i zdrowa. Pochlebiam sobie, że wręcz tryska zdrowiem. Dajemy jej duzo owoców. Zatem dobrze się rozwija. Choć oczywiście nie wiem, jak długo uda się nam utrzymać to *status quo*. Wszystko zależy od ciebie.

— Ty... — powiedział Rob. — Ty... — spróbował znowu, na próżno, nie wiedział, co rzec. W rozpaczy odwrócił się i popatrzył na Dooleya; wtedy go oświeciło. Miał przecież coś do powiedzenia. Miał asa w rękawie i teraz musiał rzucić go na stół. Dobrze to rozegrać. Popatrzył bezpośrednio na ekran. — Dobra, Cloncurry, zrobimy tak. Jeśli oddasz mi Lizzie, załatwię ci *Księgę*. Mogę to zrobić.

Jamie Cloncurry wzdrygnął się. Choć subtelny, był to pierwszy przebłysk niepewności, jaki Rob widział na jego twarzy. Poczł nadzieję.

— Naturalnie. Naturalnie, że możesz. — Uśmiechał się sarkastycznie, bez przekonania. — Jak sądzę, znalazłeś ją w Lalisz?

— Nie.

— Więc skąd ją wytrzasnąłeś? O czym ty, kurwa, gadasz, Luttrell?

— Irlandia. Jest w Irlandii. Jazydzi powiedzieli mi gdzie. Gdy byłem w Lalisz, zdradzili mi, gdzie ją mogę znaleźć.

Bardzo ryzykowne zagranie, jednak wyglądało na to, że działa. Na twarzy Cloncurry'ego pojawił się ślad wątpliwości i niepokoju, zamaskowany zaraz przez szyderczy uśmiezek.

— Jasne. Ale oczywiście nie możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest. Chociaż mogę odciąć twojej córce nos gilotynką do cygar.

— Nieważne, gdzie jest. Przyniosę ją tutaj. Za dzień lub dwa. Dostaniesz swoją *Księgę* i oddasz mi córkę. — Popatrzył Cloncurry'emu prosto w oczy. — Mam gdzieś, czy potem uda ci się stąd wydostać.

— Tak. Ja też — roześmiał się Cloncurry. — Ja też, Robbie. Zależy mi tylko na *Księdze*.

Mierzyli się wzrokiem. Rob poczuł nagły przypływ ciekawości, stary dziennikarski odruch.

— Ale dlaczego? Dlaczego masz taką obsesję na jej punkcie? Po co to wszystko?

Jamie popatrzył poza kadr, jakby się namyślał. Kiedy z powrotem przeniósł wzrok na obiektyw, w zielonych oczach widać było błysk.

— Chyba mogę ci co nieco powiedzieć. Jak wy, dziennikarze, to nazywacie? Teaserem? Zajawką?

Rob czuł, że policjanci na lewo od niego się ruszają, coś się działo. Czy to był jakiś sygnał? Zamierzali tam wkroczyć? Czy los Lizzie właśnie teraz się rozstrzygnie?

Forrester pokazał mu ręką: Rozmawiaj z nim dalej.

Ale to Cloncurry mówił.

— Trzysta lat temu, Rob, Jeruzalem Whaley wrócił z Ziemi Świętej z materiałami, które zabrał jazydom. Powinien być szczęśliwym człowiekiem. Ponieważ znalazł dokładnie to, czego szukał klub Hellfire, za czym uganiał się całymi latami Francis Dashwood. Znalazł niepodważalny dowód na to, że wszystkie religie, wszystkie wierzenia, Koran, Talmud i Biblia, że te wszystkie zjełczałe dyrdymały można o kant dupy potłuc. Że to gówno prawda. Religia to tylko stęchły smród moczu z sierocińca ludzkiej duszy. Dla ateisty, dla antyklerykała takiego jak mój przodek, ten ostateczny dowód był jak Święty Graal. Skarb. Szóstka w totka. Okazało się, że Bóg wcale nie jest martwy, skurwiel po prostu nigdy nie istniał. — Cloncurry się uśmiechnął. — Ale to, co znalazł Whaley, szło jeszcze dalej. To, co znalazł, było tak straszliwe, że złamało mu serce. Jak to się mówi? Uważaj, czego pragniesz? Jakoś tak?

— To co to było? Co takiego znalazł?

— Ach — zachichotał Cloncurry. — Chciałbyś wiedzieć, co, Robbie, mój ty tabloidowy reporterzyno? Ale nie powiem ci. Jeśli naprawdę wiesz, gdzie jest *Księga*, możesz sam przeczytać. Tyle że jeśli jeszcze komuś o tym chlapniesz, potnę twoją córkę kompletem noży do steków z eBaya. Teraz mogę ci tylko zdradzić, że Thomas Bysior Whaley ukrył *Księgę*. Powiedział kilku przyjaciółom, co w niej jest. I że w określonych okolicznościach *Księga* musi zostać zniszczona.

— Dlaczego sam jej nie zniszczył?

— Kto wie? *Czarna księga* jest takim wyjątkowym skarbem, taką przerażającą rewelacją, że może nie potrafił się na to zdobyć. Musiał też być



dumny z jej odkrycia. Znalazł to, czego wielki Dashwood szukał po próżnicy. On. Prosty Tom Whaley z irlandzkiej pipidowy utarł nosa brytyjskiemu kanclerzowi, ministrowi skarbu. Musiał czuć dumę, nawet wbrew sobie. Zatem zamiast zniszczyć *Księgę*, po prostu ją ukrył. Z czasem zapomniano, gdzie dokładnie. Stąd te nasze heroiczne poszukiwania dziedzictwa mego dzielnego prapradziada. A teraz najlepsze, Rob. Słuchasz mnie?

Policja ewidentnie coś szykowała. Rob widział uzbrojonych mężczyzn wychodzących z namiotu. Słyszał rzucane szeptem rozkazy. Na monitorach widać było ruch. Jednocześnie w ogrodzie członkowie gangu ustawiali duży drewniany słup. Taki jak do wbijania na pal.

Rob wiedział, że musi zająć Cloncurry'ego, nie tracić zimnej krwi i za wszelką cenę dalej rozmawiać z zabójcą.

— Mów dalej. Słucham.

— Whaley powiedział, że gdyby kiedykolwiek w Turcji odkopano pewną świątynię...

— Göbekli Tepe?!

— Bystry chłopiec, Göbekli Tepe. Whaley powtórzył swoim zausznikom to, co powiedzieli mu jazydzi: że gdyby kiedykolwiek odkopano Göbekli Tepe, *Czarna księga* musi zostać zniszczona.

— Dlaczego?

— W tym właśnie, cholera, sęk, półgłówku. Ponieważ *Księga*, we właściwych rękach i właściwie odczytana, w połączeniu z dowodami z Göbekli Tepe, wyróciłyby świat do góry nogami, Rob, zmieniłyby wszystko. Poniżyłyby i zdyskredytowały rodzaj ludzki. Nie tylko religie i wiarę. Cała struktura społeczna, sposób, w jaki ten świat funkcjonuje, byłyby zagrożone, gdyby prawda ujrzała światło dzienne. — Podszedł bardzo blisko do kamery. Jego twarz wypełniała cały kadr. — I w tym tkwi ogromna, największa ironia, Rob. Przez cały czas usiłowałem tylko bronić was przed wami samymi, palanty, bronić całej ludzkości. To jest zadanie Cloncurrych. Bronić was wszystkich. Znaleźć *Księgę*, jeśli to konieczne, i zniszczyć ją. Uratować świat. Na dobrą sprawę jesteśmy świętymi. W każdej chwili spodziewam się zaproszenia od papieża. — Na jego twarz powrócił wężowy uśmiech.

Rob zerknął na ekrany za laptopem. Widział ruch. Jedna z kamer pokazywała trzy uzbrojone postaci czołgające się w stronę ogrodu myśliwskiego domku. To policja przygotowywała się do wejścia. Kiedy próbował się skoncentrować na rozmowie z Cloncurrym, zdał sobie sprawę,

że młodzieniec najpewniej stara się zrobić dokładnie to samo: odwrócić uwagę Roba i funkcjonariuszy.

Ale Dooley i jego ludzie zauważyli pal, wiedzieli, że już pora. Rob popatrzył na profil przywiązanej do krzesła córki, widoczny nad ramieniem Cloncurry'ego. Z najwyższym, niemal fizycznym wysiłkiem opanował emocje.

— Ale po co cała ta przemoc? Zabijanie? Jeśli zależy ci tylko na *Księdze*, skąd te rytualne mordy?

Twarz na monitorze laptopa skrzywiła się.

— Bo jestem z Cloncurrych. Pochodzimy od Whaleyów. Oni z kolei od Olivera Cromwella. *Capisce?* Zauważyłeś tu wątek całopalenia? Podpalania ludzi w kościołach? Przy ładnej, dużej widowni? Ponoć słyszano, jak Cromwell w głos się śmiał, kiedy zabijał ludzi w boju.

— Czyli?

— Czyli możesz winić mój haplotyp. Pogadaj z moją podwójną helisą. Zerknij na gen dysbindyny-1, DTNBP1.

Rob starał się nie myśleć o swojej córce wbijanej na pal.

— Więc twierdzisz, że to odziedziczyłeś?

Cloncurry sarkastycznie zaklaskał.

— Genialne, Holmesie. Chyba jasne, że jestem psychopatą. Jakiego dowodu jeszcze ci trzeba? Nie wyłączaj się, to możesz zobaczyć, jak będę jadł mózg twojej córki. Z frytkami z piekarnika. To cię przekona?

Rob stłumił gniew. Musi za wszelką cenę zatrzymać Cloncurry'ego i nie tracić z oczu Lizzie. A to oznaczało stanie przy kamerze i słuchanie tyrad szaleńca. Skinął głową.

— Oczywiście, że mam przemoc w genach, Rob. I dziwnym trafem, także wysoką inteligencję. Wiesz, ile wynosi moje IQ? 147. Tak, 147. To czyni mnie geniuszem, nawet wśród geniuszy. IQ laureata Nagrody Nobla wynosi przeciętnie 145. Łebski gość ze mnie. Bardzo łebski. Pewnie zbyt łebski, żebyście w ogóle mogli to pojąć. Na tym polega problem z wysoką inteligencją. Rozmowa ze zwykłymi ludźmi to dla mnie jak próba znalezienia wspólnego języka z glonem.

— A jednak cię złapaliśmy.

— O, dobra robota. Ty i twoje żenujące IQ na poziomie jakim? 125? 130? Jezu Chryste. Ja jestem z Cloncurrych. Mam w sobie szlachetne geny Whaleyów i Cromwellów. Dość pechowo dla ciebie i twojej córki mam także

skłonność do rozpasanej przemocy. Czego zaraz będziemy świadkami. Niemniej...

Cloncurry odwrócił się na lewo. Rob zerknął w górę na ekrany. Policja otworzyła ogień. Odgłosy strzałów niosły się po całej dolinie.

Zewsząd dobiegały krzyki, hałasy i huk wystrzałów. Z doliny, laptopa, ekranów telewizyjnych. Obraz na laptopie zamazał się, jakby kamera się przewróciła, potem wrócił do normy. Cloncurry stał. W dolinie rozległ się kolejny strzał, potem jeszcze cztery — i wtedy to się stało. Rob patrzył, jak drugi zespół policji ruszył pod osłoną ognia. Snajperzy Gardy likwidowali gang. Widział padające na ziemię ciemne sylwetki zabójców. Dwóch oberwało. Potem usłyszał kolejny pisk. Nie wiedział, czy dochodzi z ekranów telewizyjnych, laptopa czy z zewnątrz, ale odgłosy działały na nerwy: policja miała karabiny z pociskami o zwiększonej prędkości. Rozległ się krzyk: może któryś z policjantów dostał. I kolejny? Ale szturm trwał: można go było obserwować na monitorach porozstawianych w całym namiocie.

Policjanci hurmem przełazili przez mur na tyłach ogrodu i przeskakiwali ogrodzenie. Na tylnym podwórzu roilo się od komandosów w czarnych kominiarkach i hełmach, wykrzykujących rozkazy, wrzeszczących coś do otoczonych gangsterów.

Wszystko rozgrywało się z szokującą, niewiarygodną szybkością. Przynajmniej jeden ze sprawców wyglądał na poważnie rannego: leżał rozciągnięty na ziemi, prawie bez ruchu, drugi może nie żył. Potem ktoś skoczył do przodu i wrzucił do wnętrza granat ogłuszający. Rob usłyszał potężny huk, ze zbitego okna buchnęły chmury czarnego dymu.

Mimo dymu, potwornego hałasu i zamieszania było jasne, że policja wygrywa, ale czy zdoła też pojmać przywódcę? Rob popatrzył na laptopa. Cloncurry trzymał w rękach wijącą się Lizzie. Wycofywał się z pokoju — na jego twarzy malowała się wściekłość. Po drodze wyciągnął rękę i zamknął laptopa. Obraz zgasł.

Z wyjątkiem przywódcy gang został zlikwidowany: jego członkowie byli martwi, poważnie ranni albo w areszcie, obrażenia odniosło też dwóch policjantów. Na drogach dokoła stały karetki, wszędzie roило się od lekarzy, pielęgniarek i ratowników.

Domek zapełnił się policjantami gotowymi do ostatecznego szturmu. Cloncurry zabarykadował się w tylnej sypialni na górze: znowu podłączył laptopa i kamerę, Rob widział Lizzie ponownie przywiązaną do krzesła. Pokój, w którym była przetrzymywana, został przygotowany do ostatniej strzelaniny.

Rob patrzył na patrzącą pogardliwie twarz Cloncurry'ego. Na jego uśmiech, tak cienki, wytworny i szyderczy, jakby ktoś poszerzył mu usta nożem. Oczy barwy malachitu błyszcząły w półmroku.

Policja gorączkowo rozważała następny ruch. Forrester uważał, że powinni wysadzić drzwi i wtargnąć do środka, każda sekunda zwłoki zagrażała życiu Lizzie. Garda była bardziej powściągliwa: Dooley sądził, że trzeba rzecz staranniej rozważyć, może zakraść się przez dach. Rob chciał, żeby weszli natychmiast. Wydawało mu się, że wie, jak myśli Cloncurry: bydlak ma świadomość, że nie dostanie *Czarnej księgi* i nie wyjdzie stąd żywy, ale chce, żeby Lizzie zginęła razem z nim, w sposób najbardziej ohydny z możliwych, i żeby jej ojciec na to patrzył. Rob poczuł ciarki na całym ciele na myśl o tym, że Cloncurry może zaszlachtować mu córkę. Teraz. Na żywo. Przed kamerą.

Forrester ścisnął go za ramię, próbując dodać mu otuchy. Irlandzcy policjanci jeszcze raz studiowali plany budynku: komin, okna, wszystko. Może wrzucić granaty ogłuszające przez okna na piętrze? Może postawić snajpera, żeby zdjął zabójcę przez okno? Te rozważania doprowadzały Roba do szału. Wiedział jednak, że gdy tylko spróbują coś zrobić, Lizzie zginie. Solidne drzwi do pokoju były zaryglowane. Znaleźli się w impasie, a rezultat mógł być tylko jeden. Zanim policja dostanie się do środka, miną co najmniej

dwie, trzy minuty, w czasie których Cloncurry wytnie jej język jednym ze swych połyskujących noży. Wydłubie oczy. Przetnie tętnicę na jej młodej szyi.

Rob zobaczył w myślach głowę córki oddzieloną od ciała. Starał się przegnać ten obraz. Sally cicho płakała. Wyglądało na to, że ich córka także. W tyle kadru Rob widział jej trzęsące się ramiona.

Sally otarła nos wierzchem dłoni i powiedziała na głos to, co Rob przez cały czas myślał.

— To beznadziejna sytuacja. Zabije ją. O Jezu...

Rob zacisnął zęby, słysząc tę przerywaną szlochem uwagę. Jego była żona miała rację.

Cloncurry nadal perorował przed kamerą. Robił to z przerwami od dwudziestu minut. Od chwili, kiedy wywiązała się strzelanina w domku i na podwórzu. Plótł coś trzy po trzy.

Tym razem o Holokauście.

— Nie zastanawiałeś się nigdy, Rob, nad Hitlerem, nad tym, dlaczego zrobił to, co zrobił? To w sumie była wielka zbiorowa ofiara z ludzi, prawda? Holokaust. Tak to nazywają Żydzi, wiedziałeś o tym? Shoah. Całopalenie. Shoah oznacza ofiarę całopalenia. Hitler złożył ich w ofierze. Byli ofiarą całopalną, jak te małe dzieci, które Żydłaki ofiarowywali Molochowi. W Tofet. Gehennie. Dolinie Cieni. W miejscu całopalenia. Tak. Właśnie tu jesteśmy, Rob, w Dolinie Cieni. Gdzie pali się małe dzieci. — Cloncurry obliznął wargi. W jednej ręce miał pistolet, w drugiej nóż. — Wielcy ludzie — ciągnął — nie mogą uniknąć ofiar. Prawda? Napoleon przechodził przez rzeki po ciałach swych potopionych ludzi. Kazał im wchodzić do wody, żeby utonęli, tak by mógł wykorzystać ich zeszywniałe zwłoki w charakterze mostu. Naprawdę wielki człowiek. Mamy też Pol Pota, wyrzynał dwa miliony obywateli Kambodży w ramach eksperymentu, Rob. Dwa miliony. Rękoma Czerwonych Khmerów.

A oni rekrutowali się z *haute bourgeoisie*: klasy wyższej. Wykształconej i oświeconej.

Rob potrząsnął głową i odwrócił wzrok od ekranu laptopa.

Cloncurry uśmiechnął się szyderczo.

— Och, nie chcesz o tym rozmawiać. Tak jest wygodniej. Ale będziesz musiał, Rob. Staw czoło faktom. Każdy przywódca polityczny na świecie ma jakąś skłonność do przemocy, jest swego rodzaju sadystą. Ot, choćby wojna w Iraku, walczyliśmy tam w imię wolności, tak? Ale ilu ludzi zabiliśmy

naszymi bombami kasetowymi? Dwieście tysięcy? Pół miliona? Po prostu nie mogliśmy się powstrzymać, co? Bardziej rozwinięte społeczeństwa nie przestają zabijać. Tyle że robią to efektywniej. Zabijamy, bo zawsze rządzą nami zabójcy. Zawsze. Co jest z naszymi przywódcami nie tak, Rob? Dlaczego muszą zabijać? Skąd to pragnienie? Wydają się obłąkani, ale czy naprawdę tak bardzo różnią się ode mnie i od ciebie? Co pragniesz mi zrobić, Rob? Wyobrażałeś sobie, jak mnie zabijesz? Ugotujesz w oleju? Potniesz brzytwą? Głowę daję, że tak. Wszyscy inteligentni ludzie, wszyscy co bystrzejsi, są zabójcami. Jesteśmy mordercami. Dlaczego? Co jest z nami nie tak, Rob? Co takiego w nas tkwi... głęboko zagrzebane, jak sądzisz? Hmm? — Znowu oblizał wargi. Przestał się uśmiechać. — Ale mam już tego dość, Rob. Nawet przez chwilę nie wierzyłem, że masz *Księgę* albo że wiesz, gdzie ona jest. Myślę, że już pora zakończyć ten głupawy melodramat.

Wstał, odwrócił się tyłem do obiektywu i podszedł do krzesła. Rozwiązał sznury, którymi Lizzie była przywiązana do krzesła.

Rob patrzył, jak córka wije się w ramionach Cloncurry'ego. Nadal miała zakneblowane usta. Oprawca przyniósł dziewczynkę do laptopa i posadził sobie na kolanach, potem znowu zaczął mówić:

— Słyszałeś kiedyś o Scytach, Rob? Mieli dziwne zwyczaje. Składali w ofierze swoje konie. Spędzali je na palące się statki i żywcem puszczali z ogniem. Bardzo zabawne. Równie okrutnie traktowali rozbitków: jeśli któremuś udało się przeżyć katastrofę na morzu, biegli nad brzeg, chwyтали szczęśliwca pod ramiona, ciągnęli na klif i zrzucali z powrotem do wody. Tacy mili ludzie.

Lizzie szarpała się w uścisku Cloncurry'ego. Szukała wzrokiem twarzy ojca na ekranie przed sobą. Sally szlochała, widząc, jak córka walczy o życie.

— Więc teraz upiekę żywcem jej głowę. Inspiracja jak najbardziej scytyjska. W ten sposób składali w ofierze swoich pierworodnych. Ona jest pierworodnym dzieckiem, prawda? Zdaje się nawet, że jedynym, zgadza się? Zatem rozpalę małe ognisko i...

— Pierdol się, Cloncurry — warknął Rob. — Pierdol się.

Chłopak się roześmiał:

— Tak?

— Pierdol się. Jeśli choćby ją tkniesz, to cię...

— To co mnie, Robbie? Co mi zrobisz? Będziesz walił pięściami w drzwi jak cipa, gdy ja będę podrzynał jej gardło? Wykrzykiwał brzydkie słowa przez otwór na listy, gdy będę ją jebał, a potem zastrzelę? Co? Co? Co

takiego zrobisz, ty płaczliwy pizdusiu? Żałosny cieniasie? No? Co takiego? Wpadniesz tu i mnie dorwiesz, głupi transeksie? No to chodź, Robbie. Czekam.

Rob poczuł, jak zalewa go wściekłość. Zerwał się z krzesła i wypadł z namiotu. Jeden z irlandzkich policjantów rzucił się, żeby go powstrzymać, ale Rob pięścią usunął go z drogi. Biegł. Pędził po mokrym zielonym, śliskim wzgórzu na ratunek córce. Pędził co sił w nogach. Słyszał własne serce: waliło niczym oszalały wielki bęben. Biegł i biegł, potknął się i upadł na grząską darni, podniósł się i rzucił wzgórzem, roztrącił jeszcze kilku uzbrojonych komandosów w czarnych hełmach, którzy próbowali go zatrzymać, ale wrzasnął tak, że się cofnęli, i wreszcie wpadł do domku.

Policjanci wbiegali po wąskich schodach na górę, ale Rob ich wyprzedził. Pchnął jednego, czując, że gdyby musiał, bez wahania zrzuciłby go ze skały. Czuł w sobie więcej siły niż kiedykolwiek w całym życiu i więcej gniewu niż był w stanie pomieścić: zabije Cloncurry'ego i robi to teraz.

Chwilę później był już przy zamkniętych na głucho drzwiach sypialni, komandosi krzyczeli, żeby się odsunął, ale ich zignorował: kopał w drzwi raz za razem i jakby zaczęły ustępować: wygięły się na wysokości zamka. Kopnął raz jeszcze. Prawie pękła mu kość w kostce nogi, ale wymierzył jeszcze ostatnie uderzenie, drzwi skrzyknęły, zawiasy pękły i Rob znalazł się w środku.

W sypialni. A tam...

Nic. Pustka.

Nie było krzesła, laptopa, Cloncurry'ego ani Lizzie. Panował brud i bałagan, podłogę zaścielały na wpół otwarte puszki z jedzeniem, ciuchy i kubki z resztkami kawy. Jakaś gazeta czy dwie, a w kącie kupka ubrań Christine.

Rob miał wrażenie, że opuszczają go zmysły, przytłaczała go irracjonalność sytuacji. Gdzie jest Cloncurry? Gdzie krzesło? Zdjęty kaptur? Gdzie jest jego córka?

W głowie kłębiło mu się od pytań. Policjanci usiłowali go zabrać z pokoju, wyprowadzić, ale nie chciał iść. Musiał rozwiązać tę ponurą, wstrząsającą zagadkę. Czuł się wystrychnięty na dudka, poniżony i złamany rozpaczą. Był na skraju obłąkania.

Rozglądał się desperacko po pomieszczeniu. Zobaczył małe kamerki, nakierowane na pustą przestrzeń. Czy to możliwe, że Cloncurry jest gdzie

indziej? Ze ich obserwuje, śmiejąc się w kułak? Rob niemal słyszał ohydny chichot bydlaka zrywającego z nich boki, gdzieś tam w sieci.

I wtedy naprawdę wyłowił jakiś dźwięk. Prawdziwy. Trochę stłumiony, dochodził ze stojącej w rogu szafy. Jęki zakneblowanego człowieka. Teraz już bardzo dobrze znał ten odgłos.

Odepchnął na bok jakiegoś policjanta, podszedł prosto do szafy i otworzył drzwi.

Z ciemności patrzyła na niego para przerażonych, szeroko otwartych oczu. Usłyszał stłumiony głos, w którym słyhać było błaganie, ulgę, a nawet miłość.

To była Christine.



Rob siedział na obrotowym krześle przy biurku Dooleya. Gabinet mieścił się na dziesiątym piętrze lśniącego nowego budynku wychodzącego na rzekę Liffey. Z panoramicznych okien roztaczał się oszałamiający widok: od ujścia rzeki do Morza Irlandzkiego na wschodzie do łagodnych zielonych wzgórz Wicklow na południe za miastem. Wyglądały tak niewinnie pod przejaśniającym się niebem. Gdy się zmrużyło powieki, można było nawet dostrzec niski ponury zarys Montpelier House na szczycie porośniętego drzewami wzgórza, kilkadziesiąt kilometrów dalej.

Widok Montpelier sprawił, że Rob natychmiast wrócił do brutalnej rzeczywistości. Obrócił się na krześle twarzą do reszty towarzystwa: gabinet był pełen ludzi. Od przerażającego dramatu, który rozegrał się w domku w lasach Hellfire, minęło zaledwie półtorej godziny. Otrzymali krótką wiadomość od Cloncurry'ego, pokazującą, że Lizzie nadal żyje. Ale gdzie? Gdzie jest? Rob obgryzał paznokieć, usiłując to ustalić, desperacko próbując poskładać do kupy kawałki układanki.

Christine mówiła z ożywieniem i klarownie. Dooley pochylił się w jej stronę.

— Jest pani pewna, że nie chce, żeby lekarz...

— Nie — warknęła. — Nic mi nie jest. Mówiłam już. Nie zrobili mi krzywdy.

— To jak przetransportowali panią do Irlandii? — wtrącił się Boijer.

— W bagażniku samochodu. Promem. Sądząc po zapachu spalin i morskiej wody.

— Wepchnęli panią do bagażnika?

— Jakoś przeżyłam. To było tylko kilka godzin jazdy samochodem, potem prom, a później tutaj.

Forrester skinął głową.

— Cóż, tak też się domyślaliśmy. Jeździli między Anglią a Irlandią i korzystali z promu, unikając kontroli paszportowej. Panno Meyer, wiem, że

to bolesne wydarzenia, ale musimy jak najszybciej poznać jak najwięcej szczegółów.

— Jak już mówiłam, czuję się dobrze, komisarzu. Proszę śmiało pytać.

— Dobrze. Zatem co pani pamięta? Kiedy gang się rozdzielił? Wiemy, że przez dzień czy dwa w Anglii przetrzymywali panią razem z Lizzie. Domyśla się pani gdzie?

— Niestety nie. — Rob zauważył, że Christine mówi dziwnym ostrym, urywanym głosem. — Nie mam pojęcia, gdzie mnie trzymali, przykro mi. Może gdzieś niedaleko Cambridge? Pierwsza podróż nie była długa, trwała jakąś godzinę. Obie z Lizzie leżałyśmy w bagażniku. Ale później nas wyprowadzili. Zakapturzone i zakneblowane. Dużo mówili i chyba się rozdzielili. Zdaje się, że mniej więcej po półtora dnia. Trudno się dokładnie zorientować, kiedy człowiek ma knebel w ustach, kaptur na głowie i jest przerażony.

Forrester uśmiechnął się spokojnie i przeprasząco. Rob widział, że próbuje to sobie logicznie poukładać. Boijer powiedział:

— Ale nadal tu czegoś nie rozumiem. Po co to całe widowisko? Ta biedaczka na tym filmie, pał w ogrodzie, kiedy zagroził, że zabije dziewczynkę. O co w tym wszystkim chodziło?

— Uznał, że w ten sposób będzie mógł dręczyć Roba. Psychicznie — wyjaśniła Christine. — Bardzo w jego stylu. To psychopata. Lubi zwracać na siebie uwagę, być w centrum zainteresowania. Pamiętajcie, że przebywałam z nim jakiś czas. Nie były to najlepsze godziny mojego życia. — Rob zerknął w jej kierunku, ona też na niego spojrzała. — Nawet mnie nie dotknął. Zastanawiam się, czy nie jest aseksualny. Ale na pewno jest ekshibicjonistą. Komediantem. Lubi mieć pewność, że ludzie patrzą na to, co robi, że jego ofiary cierpią i ci, którzy je kochają, też.

Forrester wstał i podszedł do okna. Łagodne irlandzkie słońce padało mu na twarz. Odwrócił się i powiedział cicho:

— Ofiary z ludzi składano tradycyjnie przed publicznością. De Savary mi o tym opowiadał. Ponoć prześlągalna moc ofiary, jak to określił, wynikała właśnie z faktu, że obrzędu dokonywano na oczach świadków. Aztekowie wciągali ludzi na szczyt piramidy, by całe miasto mogło widzieć, jak wrywają im serca.

— Tak — dodała Christine. — Podobnie rzecz się miała z pochówkami łodziowymi u wikingów: przyjmowały formę publicznych ceremonii ofiarnych. I z wbijaniem na pał u mieszkańców Karpat: też był to publiczny

rytuał. Ofiarowanie ma być oglądane. Przez ludzi, królów i bogów. Taki teatr okrucieństwa. To właśnie pociąga Cloncurry'ego. Publiczne, przedłużające się i bardzo wymyślne akty okrucieństwa.

— To właśnie zaplanował dla pani, Christine — powiedział delikatnie Forrester. — Publiczne wbicie na pal. W ogrodzie domku myśliwskiego. Tyle że gang w Irlandii spieprzył sprawę.

— Jak?

— Zaczęli się kłócić i strzelać — wyjaśnił Dooley. — Zdaje się, że pozbawieni przywódcy stracili panowanie nad sytuacją.

— Ale pojawia się kolejne pytanie — dodał Boijer. — Dlaczego Cloncurry zostawił pozostałych członków gangu w Irlandii? Musiał przecież wiedzieć, że zostaną złapani, nawet zastrzeleni?

Rob roześmiał się gorzko.

— Kolejna ofiara. Złożył w ofierze własnych ludzi. Też publicznie. Prawdopodobnie sam patrzył, jak ich zabijają. Wszędzie w domku miał te kamery. Idę o zakład, że się radował, oglądając to wszystko na ekranie komputera.

Pozostawała jeszcze najważniejsza kwestia. Boijer ją poruszył.

— No to gdzie jest Cloncurry? Gdzie, u licha, teraz jest?

Rob popatrzył po kolei na wszystkich zgromadzonych.

W końcu odezwał się Doodley.

— Chyba w Anglii.

— Albo w Irlandii — rzucił Boijer.

— Wydaje mi się, że może się ukrywać we Francji — zasugerowała Christine.

Forrester ściągnął brwi.

— Przepraszam?

— Kiedy siedziałam tam związana, w kapturze na głowie, słyszałam, jak bez końca gadał o Francji i mieszkającej tam swojej rodzinie. O tym, jak nie może jej znieść, jak nie cierpi sekretów rodzinnych, takie tam. Swojego strasznego dziedzictwa. Mówił o tym na okrągło. Że nienawidzi swojej rodziny, zwłaszcza matki... I jej głupiego domu we Francji.

— Tak się zastanawiam... — Boijer popatrzył na Forrestera znacząco. Nadkomisarz pośepnie skinął głową. — Czy kobieta na tym filmie, ta, którą zabił, to nie była przypadkiem jego matka.

— Chryste.

W pomieszczeniu zaległa cisza. W końcu Rob powiedział:

— Ale francuska policja obserwuje dom, tak? Inwigiluje rodziców?

— Ponoć — odpowiedział Fin. — Ale nie jesteśmy z nimi w ciągłym, regularnym kontakcie. I na pewno nie śledziliby matki, gdyby ta wyjechała.

— Ale jak by się tam dostał? — wtrąciła się nagle z gniewem Sally. — Prywatnym samolotem? Mówiliście, że to sprawdzacie.

Forrester uniósł dłoń.

— Przewertowaliśmy raporty z kontroli lotów. Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi prywatnymi lotniskami we wschodniej Anglii. — Wzruszył ramionami. — Wiemy, że stać ich było na zakup samolotu, wiemy, że Marsinelli miał licencję pilota, przypuszczalnie Cloncurry także. Problem tylko w tym... — westchnął — że w Wielkiej Brytanii są tysiące prywatnych samolotów, dziesiątki tysięcy w zachodniej Europie. Jeśli Cloncurry z powodzeniem lata pod fałszywym nazwiskiem od miesięcy, kto wie, może nawet od roku, nikt by mu nie robił problemów. Automatycznie dostawałby zezwolenie na lot. Poza tym wszyscy szukają pięcioosobowego gangu w samochodzie albo prywatnym odrzutowcu. A nie latającego samotnie mężczyzny — Potarł podbródek w zamyśleniu. — Mimo to nie sądzę, żeby Francuzi pozwolili mu się wymknąć. Postawiono w stan gotowości wszystkie duże lotniska i porty. Choć oczywiście niczego nie można wykluczyć.

— Te spekulacje chyba niewiele wnoszą — warknął Rob. — Cloncurry może być w Wielkiej Brytanii, w Irlandii, a może we Francji. Wspaniale. Tylko trzy kraje do przeczesania. Nadal ma moją córkę. Możliwe też, że zarznął własną matkę. Co więc zrobimy?

— A co z pańską przyjaciółką w Turcji, Isobel Previn? Udało jej się odnaleźć *Czarną księgę*?

Rob poczuł ukłucie nadziei pomieszanej z rozpaczą.

— Wczoraj wieczorem dostałem od niej SMS-a. Twierdzi, że jest blisko. Wiem tylko tyle.

Sally się wyprostowała, słońce świeciło na jej żółte włosy.

— Ale co z Lizzie? Przestańcie już z tą *Czarną księgą*. Kogo to obchodzi? Co on teraz robi Lizzie? Co robi mojej córce?

Christine przesunęła się wzdłuż sofy i przytuliła Sally.

— Na razie jest bezpieczna. Ja mu nie byłam potrzebna, jestem tylko dziewczyną Roba. Byłam zabawką. Dodatkowo. Czymś, czego można się pozbyć. — Jeszcze raz uściśnęła Sally. — Ale gość nie jest idiotą. Będzie chciał wykorzystać Lizzie przeciwko Robowi. Tak, by dostać to, czego chce. A chce *Czarnej księgi*. Uważa, że Rob ją ma.

— Tyle tylko, że ja nie mogę mu niczego dać — rzucił Rob z przygnębieniem. — Okłamałem go, powiedziałem, że coś wiem, ale czemu niby miały mi wierzyć? Jak sama mówisz, nie jest głupi.

— Pojechałeś do Lalisz — odpowiedziała Christine. — Słyszałam, jak o tym też mówił. Ilu niejazydom udało się tam dostać? Może kilkunastu w ciągu stu lat? Właśnie to go gryzie. — Opadła na oparcie. — Ma obsesję na punkcie tej książki i jest pewien, że ty coś wiesz, bo byłeś w Lalisz. Sądzę więc, że póki co Lizzie jest stosunkowo bezpieczna.

Zapadło kolejne milczenie. Potem dyskusja na kilka minut znowu zeszała na temat samolotów, lotnisk i promów. A później rozległ się dzwonek w laptopie.

Cloncurry pojawił się na linii.

Rob bez słowa dał znać ręką zgromadzonym w pokoju, którzy stłoczyli się dokoła, wpatrzeni w monitor.

Cloncurry stał przed obiektywem kamery. Obraz był wyraźny, bez zakłóceń. Głośność podobnie. Zabójca się uśmiechał. Chichotał.

— Witam ponownie. Pomyślałem, że czas pogadać, wymienić się ploteczkami. Zatem udało wam się złapać moich upośledzonych umysłowo współpracowników. Mych braci w Hibernii. Jakież to irytujące. Miałem zaplanowane małe wbijanie na pal, jak zapewne już wiecie. Widzieliście wielki kij w ogrodzie?

Dooley skinął głową.

— Widzieliśmy.

— O, komisarz Jakmutam. Jakże się pan miewa? Szkoda, że nie zrobiliśmy kebabu z tej francuskiej dziwki. Tyle strugania po próżnicy. Powinienem być przynajmniej poznęcać się trochę nad zdziurą, tak jak zamierzałem. Ale miałem inne rzeczy na głowie. To nie ma tak naprawdę znaczenia. Bo nadal mam oddanych przyjaciół. Po prawdzie jeden jest tu nawet ze mną. Przywitajcie się z moją przyjaciółką.

Sięgnął za kadr i coś wyciągnął.

Odciętą ludzką głowę.

A dokładniej głowę Isobel Previn, białą i nieco już nadpsutą. Z szyi zwisały szare nerwy i zielonkawe tętnice.

— Isobel! Powiedz coś! Przywitaj się ze wszystkimi. — Poruszył głową, tak że się pochyliła.

Christine wybuchnęła płaczem. Rob patrzył z przerażeniem na monitor.

Cloncurry promieniał szyderczą dumą.

— Proszę. Pozdrawia was. Ale coś mi się zdaje, że teraz wolałaby już wrócić na swoje specjalne miejsce. Przez szacunek dla jej osiągnięć archeologicznych przygotowałem dla niej specjalne miejsce.

Wstał, zrobił krok do przodu i strzałem z volleya z wprawą posłał głowę przez pokój. Poleciała w kierunku stojącego w kącie kosza na śmieci i wylądowała w środku z głośnym stukotem.

— To się, kurwa, nazywa wsad. — Odwrócił się do kamery. — Trenuję to od kilku godzin. Ale zaraz, o czym to mówiłem? A, tak. Robert Dziennikarz. Tak zwany. Witam. Tak się cieszę, że możesz być z nami. Nie martw się, jak już mówiłem, twoja córka jest bezpieczna. Zobacz. — Pochylił się do przodu i skręcił kamerę, tak by obiektyw pokazywał Lizzie. Nadal była przywiązana do krzesła, ale żywa i, jak się zdawało, zdrowa. Kamera wróciła na miejsce. — Sam widzisz, Robbyyy. Nic jej nie dolega. Zdrowa jak pierdolona ryba. Czego nie można powiedzieć o Isobel. Przepraszam za ten mały żarcik z jej narządów. Ale nie mogłem się oprzeć. Taki fajny gag. Chyba mam w sobie coś z reżysera. A to była taka rzadka okazja. Wałęsam się po tych obszczanych tureckich uliczkach, nagle patrzę i oczom nie wierzę: Isobel Previn! Wielka pani archeolog. We własnej osobie! W lornion. Co to, kurwa, jest lornion? Więc pogłótkowałem trochę, jakąś sekundę. Znam swoich archeologów, wiem, że była koleżanką de Savary'ego, wiem, że uczyła nagradzaną Christine Meyer, wiem, że specjalizuje się w Asyrii i, przede wszystkim, w jazydach. Ale przecież jest na emeryturze, powinna zabawiać się wibratorami w Stambule? — Cloncurry zarechotał. — Tak, właśnie. Zbyt duży zbieg okoliczności. Więc chwyciliśmy ją, przykro mi, trochę obiliśmy i powiedziała nam całkiem dużo, Robbie, naprawdę sporo bardzo interesujących szczegółów. Wtedy mnie naszło, pochlebiam sobie, estetyczne olśnienie. Wpadłem na pomysł świetnego przedstawionka. Z kapturami, rondlem i jelitem cienkim w charakterze rekwizytów. Podobało wam się? Tak bardzo liczyłem, Robbie, że zdołam cię przekonać, że to Christine umiera na twoich oczach, pod tym kapturem i z macicą gotującą się w garnku. I że potem — to jest najlepsze — przyjedziesz do Irlandii i zobaczysz, jak Christine znowu umiera, w najbardziej odrażający sposób, wbita na pal. Czyż to nie genialne? Ilu ludzi ma okazję oglądać, jak dwukrotnie torturuje się na śmierć ich bliskich? Najpierw zamieniona w zupę. Potem nabita na pal. Producentom z West Endu płacą grube miliony za coś podobnego. Prawdziwy *coup de théâtre*! — Gestykulował w podnieceniu. — A to przecież jeszcze nie wszystko. Co powiecie o czysto

reżyserskich walorach krwawego widowiska w Irlandii? Czyż nie należą mi się brawa za ten oscarowy scenariusz? — Patrzył na nich tak, jakby serio spodziewał się burzy oklasków. — O, dajcie spokój. Naprawdę nie pojawił się w was ślad podziwu dla mojej maestrii? Za jednym zamachem zmyliłem trop i zafundowałem ci, Robbie, najgorsze psychiczne męczarnie, kiedy wierzyłeś, że zaraz zobaczysz, jak wbijam na pal twoją córkę. Potem miało się okazać, że to jednak będzie Christine. A ja siedzę tu sobie, cały i zdrowy, i oglądam to wszystko na telewizorze w HD. — Uśmiech mu lekko zbladł. — Ale wtedy moi kretyńscy pomocnicy zaczęli strzelać i wszystko spieprzyli, zanim zdążyli nadziać Christine na rożen. — Cmoknął z niezadowoleniem. — Mówię wam, strasznie trudno o dobrych ludzi dzisiaj. Szkoda, to byłoby takie pyszne. Takie pyszne. No, ale mówi się trudno. O czym to mówiliśmy? Co wy... co... — Urwał. Zdawało się, że patrzy błędnym wzrokiem, na twarzy malował się mu dziwny, obojętny wyraz. Rob popatrzył znacząco na Forrestera, który kiwnął głową w odpowiedzi. — Nie, bez obaw, nie dostaję pierdolca — zachichotał Cloncurry. — Mam go już od dawna. Nadkomisarz Forrest Gump na pewno to zauważył. Ale nawet szalony jak kot w marcu nadal jestem od was kilka razy bystrzejszy. Wiem, co wiecie. Na przykład pewnie się już domyśliliście na swój powolny sposób, że jestem w Kurdystanie. Skoro wpadła mi w ręce Isobel i jej trzustka, to chyba dość oczywiste. I wyznam, że to strasznie gówniane miejsce. Turcy są tacy podli wobec Kurdów. Naprawdę. To hańba. — Potrząsnął głową i głęboko odetchnął. — Mówię serio, to rasiści. A ja nie cierpię rasistów. Być może macie mnie za psychopatę bez serca, ale nim nie jestem. Głęboko gardzę rasistami. Bardziej od rasistów nienawidzę tylko czarnuchów. — Obrócił się na kręconym krześle, dwa razy, potem znowu spojrzął w obiektyw. — Dlaczego asfalty są takie tępe? No, śmiało, przyznajcie się. Nigdy się nad tym nie zastanawialiście? Co z tymi bambusami? Gdzie pójdą, syf. Może mają taki plan. Może się zbierają i myślą: Ej, zobaczmy, czy uda nam się wyemigrować do jakiegoś ładnego miejsca i zamienić je w sracz. Pojedziemy, zamieszkamy w gównianych domach i zaczniemy napadać i strzelać. Znowu. Potem ponarzekamy na białych. A pomyślcie o Pakisach. O Pakisach i Arabach. Boże, pomóż. Niech spierdalają i trzymają swoje kobiety pod derkami u siebie. Dlaczego nie skończą z tym zawroźdzeniem z meczetów. Nikogo to nie obchodzi. A co z Żydłakami, na okrągło lamentującymi o Holokauście? — Rechotał. — Lamentują i miauczą jak zgraja dziewczyn. Holokaust to, Holokaust tamto, proszę, nie bij, to Holokaust. Holokaust

gównokaust. Słuchaj, Mosiek, może już czas sobie odpuścić, żyć dalej. A poza tym, czy to naprawdę była taka zła rzecz? Czy aby na pewno? Przynajmniej sprawnie przeprowadzona, z zegarkiem w ręku. Ci Niemcy potrafią trzymać się planów i rozkładów jazdy. Nawet w wypadku bydłych wagonów. Wyobrażacie sobie ten chaos, gdyby to Angole tym kierowali? Nie potrafią nawet zapanować nad pociągami podmiejskimi, a co dopiero nad paneuropejską koleją do Śmierci. — Przybrał udawany cockneyowski akcent. — Chcielibyśmy przeprosić za opóźnienie pociągu do Auschwitz. Podróżnym zapewniono zastępczy transport autokarowy. Wagon restauracyjny zostanie ponownie otwarty w Treblince. — Kolejny chichot. — Jezu, Angole. Pieprzyć Angoli. Aroganccy zapijaczni idioci zawsze awanturujący się we mgle. A co z Amerykańcami? Boże, chroń nas od Amerykańców i ich pośladek. Pierdoleni Amerykańce z tymi wielgaśnymi dupami. O co tu chodzi? Czemu mają takie wielkie tyłki? Nie ustalili jeszcze związku między fiaskiem w Iraku a swoimi masywnymi zadami? No to proszę, mała podpowiedz, Ameryko. Chcecie wiedzieć, co się stało z tą bronią masowej zagłady? Jakaś tłusta dziwka w Los Angeles siedzi na niej w Dunkin Donuts. Tyle że sama nie zdaje sobie z tego sprawy, bo ma dupsko rozmiarów Neptuna i nic nie czuje. — Jeszcze raz zakręcił krzesłem. — Co do Japońców, to tylko chytre trolle z drygiem do elektroniki. No i Chinole: siedem sposobów na gotowanie brokułów i wygląd pajacyków. Rybożerne pojebry. — Urwał i zastanawiał się przez chwilę. — Lubię za to Polaków. — Wyszczrzył się. — No, w każdym razie rozumiecie sytuację. Wiecie, czego chcę. Macie świadomość, że mam Lizzie i trzymam ją przy życiu tylko i wyłącznie z jednego powodu: chcę dostać *Czarną księgę* i wiem, że ty wiesz, gdzie ona jest, Rob, ponieważ Isobel mi to powiedziała. Opowiedziała, co się stało w Lalisz. Musieliśmy wprawdzie odciąć jej jedno ucho, żeby to z niej wydusić, ale się udało. Zjadłem ucho. Nie, nie zjadłem. Nakarmiłem nim kurczaki. Nie, żartuję. Kogo to obchodzi? Rzecz w tym, że powiedziała nam wszystko. Ze ją tu wysłałeś, żeby zdobyła *Księgę*, bo sam nie mogłeś przyjechać, gdyż miejscowy stróż prawa, wymuskany pan Kiribali, wsadziłby cię do paki. Więc wysłałeś Isobel Previn, by odwaliła za ciebie robotę. Niestety, ja już tu byłem, wyciągnąłem jej wątrobę i przyrządziłem *à la provençale*. A zatem, Rob, masz jeszcze tylko jeden dzień. Moja cierpliwość się kończy. Gdzie jest *Księga*? W Charanie? Mardinie? Sogmatarze? Gdzie? Dokąd jechała Isobel? Torturowaliśmy ją, ile wlezie, ale była dzielną starą lesbą i nie chciała naprowadzić nas na trop. Muszę to wiedzieć. Jeśli nie



powiesz mi w ciągu dwudziestu czterech godzin, obawiam się, że Lizzie trafi do słoików po dżemie. Bo moja cierpliwość się wyczerpie. — Pokiwał głową z poważną miną. — Rozsądny ze mnie człowiek, jak wiesz, Robbie, ale nie daj się zwieść mojej oczywistej dobroci. Mówiąc między nami, bywam porywczy i czasami krew mnie zalewa. Teraz mówię do ciebie, Sally, tak do ciebie, pani eks-Luttrell, droga szlochająca Sally. Widzę, jak filujesz znad kamery tymi świńskimi oczkami. Słuchasz mnie? Przestań beczeć, ty rozpływająca się kurwo. Macie tylko jeden dzień, dwadzieścia cztery krótkie godziny, żeby to jeszcze raz przemyśleć. Potem wasza córka zostanie wepchnięta do słoja i pogrzebana żywcem. Zatem spodziewam się od was wieści, i to szybko. — Pochylił się w stronę wyłącznika kamery. — Albo będzie peklowanko.

Połączenie się urwało. Sally wróciła na sofę i cicho płakała. Rob podszedł do niej i objął ją ramieniem

To Christine pierwsza się otrząsnęła. Otarła oczy i powiedziała:

— No to wiemy, że jest w Urfie. Co oznacza, że musi rozumować w ten sam sposób co biedna Isobel. — Westchnęła głęboko.

— Masz na myśli tę teorię z Austenem Layardem? — spytał Rob.

— Oczywiście. A cóżby innego? Musiał dojść do tych samych wniosków co do losów *Księgi*. Myślę więc, że poleciał do Kurdystanu z Lizzie tym prywatnym samolotem.

Forrester skinął głową.

— Tak. Mógł tak robić od miesięcy. Pod fałszywym nazwiskiem itd. Skontaktujemy się z turecką kontrolą lotów.

Rob potrząsnął głową.

— Nie znacie Kurdystanu. Jeśli Cloncurry jest kuty na cztery nogi, a jest, to wylądował zupełnie niezauważony. Niektóre rejony są na dobrą sprawę poza turecką kontrolą. Poza tym mógł oczywiście polecieć do irackiego Kurdystanu i przekroczyć granicę. To ogromny i zanarchizowany region. Raczej nie Suffolk.

Sally wyciągnęła błagalnie ręce.

— To co zrobimy?

— Poszukamy tutaj. W Irlandii — powiedziała Christine.

— Nie rozumiem.

— Poszukamy *Czarnej księgi*. Nie ma jej w Urfie. Obawiam się, że biedna Isobel się myliła. Myślę, że *Księga* nadal jest tutaj.

Policjanci spojrzeli po sobie, Rob ściągnął brwi.

— Jak to?

— Siedziałam kilka dni w szafie. Miałam czas, żeby myśleć o *Księdze*. I znam historię z Layardem. Ale sądzę, że po prostu przekupywał jazydów pieniędzmi i dlatego wrócił. Uważam, że to ślepa uliczka.

— Zatem gdzie ona jest?

— Wyjdźmy na zewnątrz — powiedziała. — Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby to sobie poukładać. Dajcie mi kilka minut.

Posłusznie wyszli z biura, zjechali stalową windą na dół i wyszli na przyjemne letnie powietrze. Niebo nad Dublinem było teraz bladoniebieskie, od rzeki szedł lekki wietrzyk. Turyści patrzyli na starą łódź przycumowaną przy nabrzeżu. Dziwny rząd surowych posągów z brązu zajmował pół chodnika. Całą grupką wolno ruszyli na nadbrzeże.

Dooley wskazał na posągi.

— Pomnik ku czci ofiar Wielkiego Głodu. Głodujący stali w kolejkach tu w porcie, czekając na statki do Nowego Jorku. — Odwrócił się i pokazał na błyszczące nowe biurowce i szklane atria ciągnące się wzdłuż wybrzeża. — A tu wszędzie były burdele, przystanie i potworne slumsy, stara dzielnica domów publicznych. Monto. James Joyce chodził tu na kurwy. — Urwał, potem dodał. — Teraz tu wszędzie są bary i knajpki z kuchnią fusion.

— Wszystko się zmieniło, zupełnie zmieniło — wymruczała Christine. Potem zamilkła.

Rob popatrzył na nią i zorientował się, że coś jej chodzi po głowie. Jej wytrawny umysł pracował na pełnych obrotach.

Zatrzymali się przy reprezentacyjnym nowym mostku i patrzyli, jak szare wody rzeki wpływają niemrawo do Morza Irlandzkiego.

Christine poprosiła Forrester, by jeszcze raz powtórzył jej to dziwne słowo, które de Savary napisał przed śmiercią.

— Tryter.

— Tryter — powtórzył Rob skonsternowany.

— Tak. TRYTER.

Zaległo milczenie. Słysząc było tylko piski mew. Sally wypowiedziała na głos unoszące się w powietrzu pytanie.

— Co to, do cholery, może znaczyć?

— Nie mamy pojęcia — odrzekł Forrester. — W szwedzkim to osobowa forma czasownika „brakować”. Bóg jeden wie, jak to się ma do sprawy.

Rob patrzył na Christine i widział, że na jej twarzy błąka się niewyraźny uśmiech. Potem powiedziała:

— James Joyce. Otóż to. James Joyce. To jest odpowiedź.

Rob zmarszczył czoło.

— Nie widzę związku.

— O tym właśnie mówił mi Hugo, to były jego ostatnie słowa, zanim gang wtargnął do jego domu w Cambridge. — Mówiła szybko i równie szybko szła w kierunku kładki. — Kiedy się ostatni raz widzieliśmy, profesor powiedział, że ma nową teorię. Co do Whaleya i *Czarnej księgi*. Wspomniał też o Joysie. — Popatrzyła na Roba. — Wiedział, że usiłuję namówić cię do przeczytania *Ulissesa* albo *Portretu*...

— Raczej bez powodzenia.

— Tak, ale mimo wszystko. Zastanawiałam się nad tym, kiedy mnie wzięli. I teraz... — Wyciągnęła długopis z torebki i napisała wyraz w notesie.

TRYTER.

Popatrzyła na własne dzieło.

— Tryter. Tryter. Tryter. Nie ma takiego słowa. De Savary starał się wyprowadzić w pole zabójców.

— Co?

— Gdyby napisał całe słowo, mogliby je zobaczyć i Cloncurry, by się domyślił. Hugo nie miał pewności, czy sprawcy nie wrócą. Więc napisał słowo, które pozornie nie ma sensu. Ale takie, które, jak sądził, ktoś zdoła rozszyfrować. Może ty, Rob. Gdybyś je kiedykolwiek słyszał.

Rob wzruszył ramionami.

— Nadal nie łapię.

— Oczywiście, że nie. Nigdy nawet nie zajrzałeś do Joyce'a, mimo mojego entuzjazmu dla niego. A musiałbyś dobrze znać jego utwory. Hugo i ja uwielbialiśmy rozmawiać o Joysie. Mogliśmy dyskutować bez końca.

Dooley wtrącił zniecierpliwiony:

— Świetnie, zatem co znaczy to tryter?

— Nic nie znaczy. Ale wystarczy dodać dwie litery, by to zmienić. C i H. Wtedy otrzymamy... — Dopisała dodatkowe litery do słowa w notatniku i pokazała im: — Trychter!

Rob westchnął.

— To wspaniale, Christine. Ale czym lub kim jest trychter. Jak, u licha, może to pomóc Lizzie?

— To nie jest popularne słowo. O ile wiem, w literaturze angielskiej pojawia się tylko raz. I w tym właśnie sęk. Bo ustęp, w którym występuje, pochodzi z pierwszego genialnego dzieła Joyce'a. Z *Portretu artysty w wieku młodości*. Sądzę, że może zawierać ważny dla nas trop. — Popatrzyła na twarz dokoła. — Pamiętajcie, że Joyce znał Dublin jak własną kieszeń.

Wiedział o mieście wszystko: znał każdą legendę, każdą informację, każdą anegdotę i umieszczał to wszystko w swoich książkach.

— Tak — rzucił Rob powątpiewająco.

— Znałby też każdy sekret i mit dotyczący klubu Hellfire. I tego, co robili jego członkowie. — Christine zamknęła notes. — Myślę więc, że ów fragment może nam powiedzieć, gdzie znajdziemy to, czego potrzebujemy, żeby uratować Lizzie. — Popatrzyła przez rzekę. — A tam, zdaje się, jest księgarnia.

Rob się obrócił. Tuż po drugiej stronie nowego mostu, na drugim brzegu ospałej Liffey znajdowała się filia księgarni Eason.

Całą piątką przeszli przez rzekę i ku zaskoczeniu młodej sprzedawczyni weszli do sklepu. Christine z miejsca podeszła do działu z literaturą irlandzką. Wyjęła egzemplarz *Portretu artysty w wieku młodzieńczym* i zaczęła gorączkowo przerzucać strony.

— A tutaj... jest fragment, w którym pojawia się trychter.

— Czytaj na głos.

— Jesteśmy mniej więcej w połowie powieści. Stephen Dedalus, bohater, tytułowy artysta, idzie zobaczyć się ze swoim opiekunem naukowym, jezuickim dziekanem literatury angielskiej na dublińskim University College. Dyskutują o filologii. I tu się zaczyna interesujący nas passus. „A wracając do lampy — powiedział. — Również jej napełnienie jest ciekawym problemem. Trzeba wybrać czystą naftę i zachować ostrożność podczas napełniania [... ] nie wlać więcej, niż pomieści lejek”. — Popatrzyła po pełnych wyczekiwania twarzach zgromadzonych. — To dialog. Nie spodziewajcie się podkreślenia. Wróciwszy do książki, czytała dalej: „ — Jaki lejek? — Zapytał Stephen. — Lejek, którym wlewa się naftę do lampy. Ach, to to — zdziwił się Stephen. — To się nazywa lejek? Czy to raczej nie trychter?” [James Joyce, *Portret artysty w wieku młodzieńczym*, przeł. Jerzy Jarniewicz, Znak, Kraków 2005, str. 186 (przyp. tłum.).] — Przestała czytać.

Rob wolno pokiwał głową.

— No więc gadają o jakichś trychterach. Jak to się ma do klubu Hellfire?

— Fragment, który jest nam potrzebny, znajduje się stroną czy dwie wcześniej. — Christine przerzuciła kartki i przeleciała wzrokiem tekst. — O, proszę, mam. „Ale drzewa na Stephen's Garden pachniały deszczem, a nasączona wilgocią ziemia wydzielala cmentarny fetor [... ] i wiedział, że za chwilę, kiedy wejdzie do ponurego gmachu, uświadomi sobie zepsucie

innego rodzaju niż to, które stało się udziałem Basiora Egana i Whaleya Podpalacza".

Rob jeszcze raz skinął głową, tym razem niecierpliwie.

— Czekajcie, to nie wszystko. „Przeszedł przez sień i skręcił w korytarz po lewej, który prowadził do sali fizyki. Korytarz tonął w mroku i ciszy, ale ktoś nad nim czuwał. Skąd to wrażenie, że ktoś tutaj czuwa? Czy dlatego, że, jak słyszał, za czasów Basiora Whaleya kryły się tu jakieś schody?" [James Joyce, *Portret artysty w wieku młodzięcym*, przeł. Jerzy Jarniewicz, Znak, Kraków 2005, str. 181-182 (przyp. tłum.).] — Zamknęła książkę.

W księgarni panowała cisza.

— Ach — powiedział Dooley.

— Tak — rzucił Boijer.

— Ale to chyba nie może być tak oczywiste. — Sally ściągnęła brwi. — Tajemne schody? I tyle? Tak po prostu? Dlaczego w takim razie ten potworny gang tam nie zajrzał?

— Może nie czytają Joyce'a — wysnuł przypuszczenie Forrester.

— To brzmi sensownie — podsumował Dooley. — Z historycznego punktu widzenia. To odniesienie do Whaleya jest zgodne z prawdą. W St Stephen's Green znajdują się dwa wspaniałe wielkie domy. Jeden z nich, jestem pewien, został zbudowany na zamówienie Richarda Podpalacza Whaleya.

— Nadal tam stoi? — spytał Rob.

— Naturalnie. Chyba jeszcze teraz korzysta z niego uniwersytet.

Rop ruszył do wyjścia.

— No chodźcie. Na co czekamy? Mamy tylko jeden dzień.

Po kilku minutach intensywnego marszu dotarli na duży georgiański plac, gdzie wyniosłe szeregowe budynki wznosiły się nad majestatyczną zielenią murawy w środku. Rozświetlone słońcem trawniki i ogrody wyglądały bardzo zachęcająco. Rob wyobraził sobie przez chwilę bawiącą się tu Lizzie. Zdusił przesywający smutek. Strach jednak nie dawał się zagłuszyć.

Stary University College zajmował jeden z największych budynków przy placu. Elegancki i prosty, wzniesiony z szarego wapienia z Portlandu, zupełnie nie przystawał do zbrodniczych czynów Podpalacza Whaleya i jego jeszcze bardziej szalonego syna. Tabliczka na zewnątrz informowała: Newman House: część Narodowego Uniwersytetu Irlandii.

Dooley zadzwonił do drzwi, podczas gdy Christine i Rob kręcili się po chodniku. Sally postanowiła poczekać na ławce na placu, Forrester kazał

Boijerowi z nią zostać. Przez chwilę trwała jakaś dyskusja przez domofon, w końcu Dooley podał swój policyjny stopień i stanowisko i drzwi otworzyły się z rozmachem. Korytarz za nimi prezentował się niemal równie imponująco jak fasada: zdobiony był georgiańskimi sztukateriami, szarobiałymi i ogromnymi.

— Wow — zadziwił się Dooley.

— Tak, to nasza chluba.

Akcent brzmiał z amerykańska. Podszedł do nich mężczyzna w średnim wieku i schludnym garniturze. Wyciągnął rękę do Dooleya.

— Rayan Matthewson, dyrektor Newman House. Witam, komisarzu, witam...

Przedstawili się. Forrester pokazał odznakę. Matthewson zabrał ich do zagraconej recepcji.

— Ale panowie, włamanie było w zeszłym tygodniu. Nie bardzo rozumiem dlaczego teraz was przysyłają.

Rob miał złe przeczucia.

— Włamanie? — powiedział Dooley. — Kiedy? Nie rozumiem.

— Nic poważnego. Kilka dni temu jakaś grupka wyrostków włamała się do piwnicy. Przypuszczalnie narkomani. Nie udało nam się ich złapać. Dość mocno zdemolowali piwniczne schody. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. — Matthewson wzruszył ramionami. — Ale Garda zaraz przysłała posterunkowego. Już to załatwiliśmy. Spisał wszystko dokładnie...

Rob i Christine popatrzyli na siebie ze smutkiem. Ale Dooley i Forrester nie dali się jednak tak łatwo zniechęcić. Nadkomisarz streścił w kilku zdaniach historię Podpalacza i poszukiwań Cloncurry'ego. Ze sposobu, w jaki mówił, Rob się zorientował, że stara się nie zdradzić zbyt wiele, żeby nie zbić z tropu i nie przstraszyć mężczyzny. Mimo to, gdy skończył wyjaśnienia, dyrektor wyglądał na skonsternowanego i przerażonego. W końcu powiedział:

— Niewiarygodne. Zatem sądzicie, że ci ludzie szukali tajemnych schodów? Wspomnianych w *Portrecie*?

— Tak — odrzekła Christine. — Co oznacza, że prawdopodobnie się spóźniliśmy. Jeśli gang nic nie znalazł, to nic tu nie ma. *Merde*.

Dyrektor pokręcił energicznie głową.

— Tak naprawdę nie musieli się w ogóle włamywać. Mogli po prostu przyjść na któreś z organizowanych przez nas otwartych drzwi.

— Ze co proszę?

— Nie ma tu żadnej tajemnicy. Żadnej. Owszem, były sekretne schody, ale zostały odkryte w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Podczas dużego remontu. Teraz to są normalne schody serwisowe na tyłach budynku. Nie ma w nich już nic tajemnego.

— Czyli szukali w złym miejscu? — stwierdził Dooley.

Matthewson skinął głową.

— Cóż, na to mi wygląda. Co za okrutna ironia. Mogli po prostu przyjść i spytać, gdzie mieściła się ta ukryta klatka schodowa, powiedziałbym im przecież. Ale to chyba nie jest typowe *modus operandi* przestępców, prawda? Grzeczne zapytanie. No, no.

— To gdzie są te schody? — chciał wiedzieć Rob.

— Proszę za mną.

Po trzech minutach znaleźli się na tyłach budynku i patrzyli na wąską drewnianą klatkę schodową prowadzącą z parteru na półpiętro. Była ciemna, nieoświetlona i po obu stronach wyłożona ponurą dębową boazerią.

Rob przykucnął nad drewnianymi stopniami. Postukał knykциями w najniższy. Ku rozczarowaniu wszystkich rozległ się głuchy dźwięk. Christine zabębniła w drugi stopień.

Matthewson pochylił się zaniepokojony.

— Co robicie?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że jeśli coś tu jest ukryte, musi się znajdować pod jednym ze stopni. Więc gdybym usłyszał pusty dźwięk, może...

— Zamierzacie zerwać schody?

— Tak — powiedział Rob. — Oczywiście. Co nam pozostaje?

Dyrektor się zaczerwienił.

— Ale ten budynek jest pod ochroną, to jeden z najcenniejszych obiektów w Dublinie. Nie możecie wejść sobie ot tak, i rzucić się z łomem na zabytkowe wnętrze. Bardzo mi przykro, rozumiem waszą sytuację, ale...

Rob zmarszczył brwi i usiadł na schodach, próbując zapanować nad gniewem. Forrester zamienił kilka słów na boku z Dooleyem, który zwrócił się zaraz do Matthewsona:

— Wie pan, wygląda na to, że przydałaby im się odrobina farby.

— Nie rozumiem.

— Mówię o schodach — wyjaśnił. — Ciut zniszczone. Mały podmalunek dobrze by im zrobił.

Dyrektor westchnął.



— No tak, cóż, nie mamy pieniędzy, żeby zrobić wszystko. Sztukaterie w holu pochłonęły większość funduszy.

— My mamy — powiedział Dooley.

— Proszę?

— My mamy pieniądze. To znaczy Garda ma. Jeśli w ramach prowadzonego oficjalnie śledztwa będziemy musieli wyłamać kilka prętów przytrzymujących chodnik na schodach, oczywiście pokryjemy koszty naprawy. Wypłacimy uniwersytetowi odszkodowanie. — Dooley poklepał Matthewsona po plecach. — I głowę dam, że przekona się pan, iż policyjne refundacje bywają bardzo duże.

Mężczyzna zdobył się na uśmiech.

— Wystarczająco, by naprawić i odmalować kilka stopni? I może jeszcze z salę lub dwie?

— O, nie wątpię.

Matthewson uśmiechnął się szerzej; wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca.

— Dobrze. Myślę, że uda mi się wytłumaczyć z tego przed zarządem. Zatem zgoda, czyńcie, co musicie. — Urwał. — Choć zastanawiam się, czy aby na pewno szukacie w dobrym miejscu.

— Przychodzi panu coś innego do głowy?

— O, nie jestem pewien. To tylko taki pomysł.

— Proszę nam o nim opowiedzieć.

— Zawsze myślałem... — Popatrzył na schody. — Zastanawiam się czasami, dlaczego te schody, takie wąskie, łamią się u góry. Widzicie, tam? Zakręcają. Na samej górze. Bez żadnej uchwytnej architektonicznej przyczyny. To dość kłopotliwe, jeśli się niesie dużo książek. Łatwo się potknąć. Tak tu ciemno. Nie dalej jak w te święta jeden ze studentów złamał nogę w kostce.

Rob już wbiegał po stopniach, Christine za nim. Schody istotnie zmieniały bieg. Dochodziły do pokrytej boazerią ściany i ostro skręcały w lewo. Rob popatrzył na panele, potem zastukał w ścianę. Rozległ się pusty dźwięk.

Wszyscy popatrzyli na siebie. Matthewson miał rumieńce.

— Nie do wiary! Musimy chyba zdjąć boazerię i zobaczyć, co jest pod spodem. Mamy narzędzia i latarkę w piwnicy. Przyniosę.

— Pieprzyć to. — Rob sięgnął do kieszeni, wyciągnął szwajcarski scyzoryk i wysunął najgrubsze ostrze.

Cała szóstka milczała, kiedy wbił nóż w boazeryjny panel. Drewno dało się łatwo przebić. Było cienkie jak sklejka. Rob obrócił ostrze, żeby znaleźć punkt oparcia, potem nacisnął w dół i płaszczyzna zaczęła ustępować. Forrester, chwycił róg kwadratowego panela i razem oderwali cały, szeroki prawie na metr segment.

Pod spodem znajdowała się ciemna wnęka, z której buchnęła woń stęchlizny. Rob nachylił się i macał w środku ręką.

— Jezu, jak tu ciemno. Nic nie widzę.

Christine wyjęła komórkę, włączyła latarkę i ponad jego ramieniem skierowała snop światła do wnętrza otworu.

Rob i Forrester gapili się bez słowa, Dooley rzucił mięsem, a zszokowana Christine przyłożyła rękę do ust.

W głębi wnęki, pokryte pajęczynami i szarym kurzem leżało duże i bardzo zniszczone skórzane pudło.

Rob sięgnął do wnęki i stękawszy z wysiłku, wyciągnął pudło, które postawił na schodach.

Było okrągłe, z płaskim wiekiem; skóra była bardzo stara, popękana i zniszczona. Całość sprawiała wrażenie autentycznego osiemnastowiecznego przedmiotu, bardzo eleganckiego. Mogła to być na przykład torba podróżna jakiegoś lorda. Pasowała do stylu budynku, w którym tak długo spoczywała ukryta.

Znalezisko pokrywała gruba warstwa pajęczyn i kurzu. Christine oczyściła pobieżnie wieko i ich oczom ukazał się delikatny złoty napis: *TW, Anno Domini 1791*. Popatrzyła na Roba.

— Thomas Whaley.

— Napis został wykonany, zanim jeszcze pojechał do Ziemi Świętej i został Jeruzalemem Whaleyem.

Dyrektor kolegium wyglądał na wzburzonego. Przeształ z jednej elegancko obutej nogi na drugą.

— Słuchajcie, kochani, może zabralibyśmy to w jakieś inne miejsce? Po tych schodach ciągle kręcą się studenci i chyba wolałbym uniknąć niepotrzebnego rozgłosu.

Forrester i Dooley przyznali mu rację i zgodzili się przenieść gdzie indziej. Rob jeszcze raz uniósł pudło, trzymając je przed sobą jak bęben. Nie było ciężkie, tylko nieporęczne. Coś dużego obijało się w środku. Starał się trzymać je nieruchomo. Z każdą mijającą sekundą, każdą zmarnowaną sekundą, myślał o Lizzie. Z każdą taką sekundą była bliższa śmierci.

Z trudem pohamowywał się, żeby na wszystkich nie krzyknąć. Zaciśnął mocno usta i w milczeniu szedł za Matthewsonem po schodach, a potem wąskim korytarzykiem. W końcu znaleźli się w jasnym, eleganckim gabinecie dyrektora wychodzącym na drzewa i murawę St Stephen's Green.

Forrester zerknął przez okno na Sally i Boijera siedzących na ławce.

— Chwilka — powiedział i wyjął komórkę.

Rob postawił pudło na biurku Matthewsona, wzniesając obłok kurzu.

— Dobra — rzucił Dooley — Otwieramy.

Christine już badała pudło.

— To stare paski i sprzączki — wymruczała, usiłując odpiąć jedną. — Nie puszczaj.

Dooley walczył z kolejną.

— Zardzewiałe na amen.

Rob wysunął się naprzód z nożem.

— Moja córka czeka.

Ukląkł i po kolei przeciął pasy. Ostatni był najtwardszy: piłował go zajadle przez dobrą chwilę. W końcu skóra ustąpiła, pasek odpadł.

Rob zrobił krok do tyłu. Forrester uniósł czarne skórzane wieko ze złotymi tłoczeniami. Wszyscy jak jeden mąż zajrzeli do wnętrza, by zobaczyć *Czarną księgę* ogladaną po raz pierwszy od dwustu pięćdziesięciu lat.

Tyle że nie była to żadna księga, ale czerep.

— Jezu — jęknął Dooley.

Na dnie pudła znajdowała się czaszka.

Bardzo dziwna czaszka. Ewidentnie należała do człowieka, ale zarazem jakby była pozbawiona cech ludzkich. Miała skośne kości policzkowe i niemal ptasie, węzowe oczodoły, była ładna i azjatycka, a przy tym osobliwie szeroka i wyszczerzona w okrutnym uśmiechu.

Rob od razu ją poznał.

— Dokładnie coś takiego widziałem w Lalisz. Taką samą czaszkę. Jakby na wpół człowieka, na wpół ptaka. Co to jest, u licha. Christine, ty jesteś osteo... specjalistką. Co to?

Z zawodową wprawą sięgnęła do wnętrza skózanego pudła i wyciągnęła czaszkę.

— Bardzo dobrze zachowana — powiedziała, przyglądając się sklepieniu i kościom żuchwy. — Została wypreparowana i zabezpieczona przed rozkładem.

— Ale ile ma lat? I czy jest ludzka? Z tymi oczyma? Christine podeszła z czaszką do dużych szczeblinowych okien, przez które wpadało słońce. Uniosła ją do światła.

— Zdecydowanie należy do hominida. Ale to hybryda.

Otworzyły się drzwi gabinetu. Na progu stali Sally i Boijer. Patrzyli zszokowani na czerep w rękach Christine.

— Więc to jest to? — spytał Boijer. — To jest ta *Czarna księga*? Jakaś tam ludzka czaszka?

Rob skinął głową.

— Tak.

— Niezupełnie ludzka. — Christine obracała ją w dłoniach. — Na pewno z rodziny człowiekowatych, ale zachodzą poważne różnice w budowie w porównaniu z czaszką zwykłego *Homo sapiens*. Popatrzcie. Większa mózgowcześnie, przekrój strzałkowy i oczodoły... bardzo intrygujące.

— Zatem to krzyżówka człowieka... z czym? — spytał Rob.

— Nie mam pojęcia. Na pewno nie z neandertalczykiem. Ani *Homo habilis*. To mi wygląda na jakiś nieznany gatunek człowieka o bardzo dużej mózgowcześnie.

Rob nadal miał mętlik w głowie.

— Ale wydawało mi się, że ludzie nie mogli rozmnażać się z innymi gatunkami? Ze różne gatunki nie mogą się krzyżować?

— Niekoniecznie. Niektóre taksony mają zdolność krzyżowania międzygatunkowego. Na przykład lwy i tygrysy. To rzadkie, ale się zdarza. Hybrydyzacja nie jest ewenementem w ewolucji człowiekowatych. Różni eksperci uważają, że krzyżowaliśmy się z neandertalczykami. — Postawiła czaszkę na biurku. Białe zęby połyskiwały w świetle lampy. Sam czerep był kremowożółty i bardzo duży.

Dooley zaglądał do zatechłego skórzanego pudła.

— Jest coś jeszcze. — Sięgnął, wyciągnął złożony dokument i położył go na biurku obok czaszki.

Był to pognieciony, mocno zniszczony gruby pergamin — pożółkły i chyba bardzo stary: mógł liczyć nawet kilkaset lat.

Bardzo ostrożnie Rob go rozłożył i rozprostował. Słychać było szelest, rozeszła się wyraźna, choć nie niemiła woń. Zapach smutku, starości i pogrzebowych kwiatów.

Pochylili się nad znaleziskiem. Christine patrzyła ze zmarszczonym czołem. Widać było jakąś symboliczną mapkę i kilka linijek napisanych archaicznym, nieczytelnym pismem przy użyciu bardzo ciemnego atramentu.

— Aramejski — rzuciła Christine niemal natychmiast. — To aramejski. Zdaje się, że dość nietypowa odmiana. Pozwólcie mi się lepiej przyjrzeć.

Rob westchnął sfrustrowany: każda mijająca sekunda przyprawiała go o większy ból. Zerknął na czaszkę. Miał wrażenie, że z niego szydzi. Szydzi jak Jamie Cloncurry

Cloncurry! Rob się otrząsnął. Mają *Czarną księgę!* Ten bydlak musi się o tym natychmiast dowiedzieć. Spytał Matthewsona czy może skorzystać z komputera, i dyrektor pokiwał głową na znak zgody.

Rob podszedł do biurka, zalogował się i połączył z mordercą. Kamera działała. Po kilku sekundach na monitorze pojawiła się ożywiona twarz Cloncurry'ego z nieodłącznym złośliwym uśmiechem.

— O, przypuszczam zatem, że znalazłeś. Może na przystanku autobusowym? Albo w klubie bingo?

Rob uciszył go, podnosząc czaszkę.

Cloncurry patrzył oniemiały. Przełknął ślinę i dalej się gapił. Rob nigdy jeszcze nie widział go w stanie takiego zaskoczenia; zdawał się skonsternowany, zbity z tropu, niemal zszokowany.

— Masz ją, naprawdę ją masz — wydusił nienaturalnym ze zdenerwowania głosem. Znowu wbił wzrok w czaszkę. — A co z dokumentami, znalazłeś coś jeszcze?

Sally podała pergamin. Rob uniósł go do kamery i pokazał. Cloncurry odetchnął głęboko i ciężko, jakby spadł mu z serca ogromny kamień.

— Więc przez cały czas była w Irlandii. Czyli Previn się myliła. Ja się myliłem. Layard był fałszywym tropem. I to nawet nie jest pismo klinowe. — Potrząsnął głową. — Gdzie dokładnie ją znaleźliście?

— W Newman House.

Cloncurry milczał. Potem znowu potrząsnął głową i zaśmiał się z goryczą.

— Chryste? Pod tymi ukrytymi schodami? Jezus Maria. Mówiłem, żeby szukali dokładnie. Co za śmierdzące imbecyle. — Przestał się śmiać. Popatrzył beczelnie i pogardliwie w obiektyw. — Trudno, już nic się z tym nie da zrobić. Moi koledzy leżą w trumnach. Ale ty możesz uratować życie swojej córce, pod warunkiem że przywieziesz mi czaszkę i dokument. Okay? I chcę to dostać w ciągu... o Boże. Zaczyna się. Kolejny nieprzekraczalny termin. Ile takim durniom jak wy może zająć przyjazd tutaj? — Rob chciał coś powiedzieć, ale Cloncurry uniósł dłoń. — Zamknij się. Zrobimy tak. Dam ci jeszcze trzy dni. To na pewno dość czasu. Może nawet za dużo. Ale już taki jestem wspaniałomyślny. Tylko, wierz mi, moja cierpliwość się kończy. Pamiętaj, że masz do czynienia z psychopatą. — Zarechotał i wykrzywił groteskowo twarz, parodiując własne szaleństwo. — I jeszcze jedno, kochani. Nie zwracajcie sobie głowy i nie ciągnijcie tu ze sobą swoich kumpli z policji. Nie na wiele się zdadzą. Prawda? Bo ani Kiribali,

ani Kurdowie im raczej nie pomogą. Myślę, że macie tego świadomość. Zatem do dzieła, Rob. Pakuj się do samolotu, przywieź mi *Księgę*, a dostaniesz w zamian Lizzie. Całą. Masz siedemdziesiąt dwie godziny. *Finito*. Ostateczny termin. *Ciao*.

Obraz zgasł.

Forrester przerwał ciszę.

— Oczywiście, że będziemy musieli załatwić to oficjalnymi kanałami, dostać zgodę miejscowej policji. Zwrócę się do Home Office. Nie możemy wam pozwolić polecieć tam ot tak. To jest sprawa o morderstwo. Bardzo złożona. Jestem pewien, że to rozumiecie.

Rob zmrużył oczy.

— Oczywiście.

— Przykro mi, jeśli trąci wam to biurokracją, ale załatwimy wszystko bardzo szybko. Tyle że musimy działać ostrożnie. Ten gość to wariat, jeśli polecicie sami, nie ma żadnej gwarancji, że nie... no wiecie. Potrzebujemy miejscowego wsparcia. A to oznacza zaangażowanie oficjalnych czynników, uzyskanie zgody z Ankary, współdziałanie z Dublinem. To wszystko.

Robowi przypomniał się Kiribali. Jego jaszczurzy uśmiech. Groźby na lotnisku.

— Oczywiście.

Matthewson znowu przestępował z nogi na nogę. Ewidentnie rad byłby już pozbyć się z gabinetu dokuczliwego towarzystwa, ale grzeczność nie pozwalała mu powiedzieć tego otwarcie. Opuścili pomieszczenie, prowadzeni przez Roba, który niósł *Czarną księgę* — czaszkę i mapę w starym skórzanym pudle. Za nim szły Sally i Christine pogrążone w cichej rozmowie. Policjanci zamykali pochód i żywo dyskutowali, niemal się kłócąc.

Rob zobaczył, jak komisarz z Londynu wymachuje Boijerowi palcem przed nosem.

— O co, do cholery, tak się sprzecniają?

Christine wzruszyła ramionami.

— Kto ich tam wie — rzuciła z sardonicznym uśmiechem.

Szli dalej.

Rob popatrzył w lewo, na Sally, i w prawo, na Christine, i spytał:

— Myślicie o tym samym co ja?

— Tak — odrzekła Christine. — Policja to spieprzy.

— Właśnie. Ta gadka „skontaktować się z Home Office”. Jezu. — Czuł, jak wszystko przewraca się w nim z frustracji i gniewu. — I jeszcze chcą gadać z Kiribalim. Urwali się z księżyca? Przecież gość na bank ma konszachty z Cloncurrym. Kto jeszcze bydlakowi pomaga?

— A uzyskanie zgody z Ankary zajmie całe wieki — ciągnęła Christine. — Zrażą Kurdów i cała rzecz skończy się wielkim fiaskiem. Niczego nie rozumieją. Nigdy tam nie byli, nie widzieli Şanhurfy...

— No to może ty musisz pojechać. Teraz. — Sally ścisnęła dłoń Roba. — Zrób to. Zabierz *Czarną księgę*, tę czaszkę, cokolwiek to jest, i zawieź ją Cloncurry'emu. Po prostu wsiądź do samolotu, teraz, jutro, policja nie może cię zatrzymać. Zrób, czego ten bydlak chce. To nasza córka.

Rob wolno pokiwał głową.

— Macie rację. I znam kogoś, kto może pomóc... w Şanhurfie.

Christine uniosła dłoń.

— Ale Cloncurry'emu nie można ufać. Tu Forrester ma rację. — Z twarzą rozjaśnioną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca popatrzyła poważnie na Roba, potem na Sally. — Na pewno zależy mu na *Księdze*. Ale kiedy już mu ją oddamy, kiedy położy na niej łapsko, może i tak... zrobić, co będzie chciał. Rozumiecie? Jest psychopata. Jak sam mówi, lubi zabijać.

— To co robimy? — spytał z rozpaczą Rob.

— Może jest wyjście. Widziałam tę mapę.

— Że co?

— Kiedy byliśmy w gabinecie Matthewsona — wyjaśniła. — Pergamin jest napisany w późnym staroaramejskim, języku Kananejczyków. Sądzę, że mogę go odczytać. Prawdopodobnie.

— I?

Christine popatrzyła na skórzane pudło stojące u stóp Roba.

— Pokaż mi ją jeszcze raz.

Uniosł wieko, wyciągnął pergamin i rozłożył na kolanach. Christine skinęła głową.

— Tak też myślałam — wskazała palcem jedną z linijek starożytnego tekstu. — Tu jest napisane: „wielka czaszka przodków” pochodzi z „Doliny Mordu”.

— A to co takiego?

— To nie jest wyjaśnione.

— Wspaniale. A co jest dalej napisane? Tutaj. Co to znaczy?



— Jest mowa o Księdze Henocha. Ale nie ma cytatów, tylko nawiązanie.  
— Ściągnęła brwi. — A dalej: „Nasi przodkowie umarli w Dolinie Mordu”.  
Tak, tak, tak. — Pokazała inną linijkę tekstu. — Tu jest napisane, że dolina  
jest o dzień drogi w kierunku zachodzącego słońca od „miejsca kultu”.

— A to... ?

— Jakaś rzeka i doliny. Tu mamy kolejną podpowieź. Miejsce kultu  
nazywane jest też „Brzuchatym Wzgórzem”. No to mamy!

Rob miał pustkę w głowie. Był zmęczony i umierał z niepokoju o córkę.  
Zerknął na Christine. Na jej twarzy malował się zupełnie inny wyraz: czujna  
uwaga i ekscytacja. Popatrzyła mu w oczy.

— „Brzuchate Wzgórze”. Nie pamiętasz?

Rob potrząsnął głową, czując się jak idiota.

— Brzuchate Wzgórze to nic innego jak dosłowne tłumaczenie nazwy  
Göbekli Tepe.

Coś zaczęło Robowi świtać.

Nieco dalej na murawie policjanci ewidentnie kończyli naradę i ściskali  
sobie dłonie. Christine ciągnęła:

— Zatem według tego pergaminu dzień drogi na zachód od Göbekli Tepe  
znajduje się Dolina Mordu. I to stamtąd pochodzi ta czaszka. I tam też, jak  
podejrzewam, znajdziemy jeszcze wiele innych, podobnych. Musimy wziąć  
sprawy we własne ręce. Myśleć kilka ruchów do przodu. Możemy zmusić  
Cloncurry'ego, żeby to on przyjechał do nas. Musimy mieć coś tak ważnego,  
co zmusi go do oddania nam Lizzie żywej. Jeśli odkryjemy sekret, tajemnicę,  
do której wskazówki zawiera *Czarna księga*, czyli czaszka i mapa, jeśli  
rozkopujemy Wzgórze Mordu i poznamy prawdę, jaka się za tym wszystkim  
kryje, przyjdzie do nas i będzie zebrał. Ponieważ to w tej dolinie ukryty jest  
sekret. Ten, o którym w kółko bredzi. Sekret, którego poznanie złamało życie  
Jeruzalema Whaleya. Sekret, który Cloncurry chce na zawsze ukryć.  
Jedynym sposobem na zyskanie nad nim władzy jest rozkopanie doliny,  
poznanie tajemnicy i zagrożenie jej ujawnieniem, jeśli Cloncurry nie odda  
Lizzie. Tylko tak z nim wygramy.

Zbliżali się do nich policjanci, najwyraźniej zakończywszy definitywnie  
dyskusję.

Rob uściskał Sally i Christine za rękę. Wyszeptał do obu:

— Dobrze. Zróbmy to. Ja i Christine natychmiast polecimy do Şanhurfy.  
Sami. I dokopujemy się do tego sekretu.

— Tylko nic nie mówimy policji — zastrzegła Christine.

Rob odwrócił się do byłej żony.

— Nie masz wątpliwości, Sally? Muszę mieć twoją zgodę.

Patrzyła na Roba.

— Ufam ci, Robercie Luttrellu. — Jej oczy napełniły się łzami, ale udało jej się nad nimi zapanować. — Wierzę, że uratujesz naszą córkę. Więc tak. Proszę, zrób to. Tylko, błagam, błagam, przywieź Lizzie.

Forrester podszedł do nich, zacierając ręce.

— Czas biegnie, pora zbierać się na lotnisko. Musimy wprowadzić w sprawę Home Office. Będziemy naciskać, obiecuję.

Rob pokiwał głową. Za nadkomisarzem majaczył ponury szary fronton Newman House. Przez sekundę Rob wyobrażał sobie, jak wyglądał ów budynek, kiedy Whaleyowie organizowali tu hulaszczcze zabawy w migoczącym świetle latarni: widział przed oczyma młodych mężczyzn zrywających boki ze śmiechu, gdy podpalali czarne koty oblane whisky.

Jeszcze tego samego wieczoru Christine i Rob polecili do Turcji, wcześniej naopowiadawszy wierutnych kłamstw Forresterowi i Boijerowi.

Postanowili zabrać ze sobą *Czarną księgę*: Christine musiała okazać dokumenty potwierdzające wykonywany zawód i błysnąć najbardziej czarującym uśmiechem, żeby przesmuglować dziwną i zapewne ludzką czaszkę przez odprawę celną. W Turcji musieli być jeszcze ostrożniejsi. Polecili do Diyarbakiru przez Sztambuł, potem odbyli nocną sześciogodzinną podróż publicznymi środkami komunikacji do Şanhurfy. Nie chcieli zawiadamiać Kiribalego o swoim przybyciu, pojawiając się na miejscowym lotnisku, gdzie od razu rzuciliby się w oczy; nie chcieli, żeby Kiribali w ogóle wiedział, że są w Turcji.

Już sam pobyt w Kurdystanie był wystarczająco niebezpieczny.

W centrum zgiełkowej, tętniącej życiem Şanhurfy skierowali się do hotelu Charan. Rob odnalazł swojego człowieka — Radewana — kryjącego się przed gorącym porannym słońcem tuż przy wejściu do hotelu i zajadłe dyskutującego o piłce nożnej z innymi taksówkarzami. Minę miał dość skwaszoną. Ale pieski nastrój tłumaczył ramadan: wszyscy byli nie w sosie, głodni i spragnieni przez cały dzień. Rob przeszedł od razu do sedna i spytał, czy Radewan znajdzie kilka osób, które pomogłyby im w pracach wykopaliskowych w Dolinie Mordu. Zniżając głos, poprosił, by załatwił jakąś broń. Chciał być przygotowany na każdą ewentualność.

Z początku Radewan był ponury i pełen wątpliwości: poszedł skonsultować się ze swoimi niezliczonymi kuzynami. Ale wrócił już po godzinie z siedmioma przyjaciółmi i krewnymi: uśmiechniętymi kurdyjskimi młodzieńcami. Tymczasem Rob zdążył już kupić kilka używanych szpadli i wynajął dwa bardzo stare land-rovery.

Zapowiadało się na to, że będą to najpośpieszniej przeprowadzone wykopaliska w historii archeologii, ale nie mieli wyboru. Pozostały im tylko dwa dni na poznanie ostatecznej odpowiedzi na wszystkie pytania, dwa dni

na odkopanie Doliny Mordu i zmuszenie Cloncurry'ego do wydania Lizzie. Radewan załatwił broń: dwie śrutówki i jeden niemiecki pistolet, które ukryli w starym, zniszczonym worku. Taksówkarz mrugnął do Roba, kiedy dobijali targu.

— Widzisz, jak ja pomagam, mister Robbie. Lubię Anglików, oni pomagają Kurdom. — Wyszczrzył się z lubością, gdy dziennikarz wręczał mu zwitek dolarów.

Kiedy wszystko już załadowano do samochodów, Rob wskoczył za kółko i odpalił silnik. Rozpierała go niecierpliwość, miał wrażenie, że siedzi na rozżarzonych węglach. Już sam fakt, że przebywa w tym samym mieście co Lizzie i nie wie, gdzie ona jest i jak bardzo cierpi, sprawiał, że czuł się tak, jakby bez końca przechodził zawał. Miał bóle promieniujące do ramienia, palpacje, kołatanie serca. Bolała go szczęka. Myślał o uwięzionej córce przez cały czas, aż do momentu, kiedy ostatnie budynki Urfy rozplynęły się w mgiełce kurzu i szarości we wstecznym lusterku.

Obok niego siedziała Christine, trzech Kurdów z tyłu. Radewan prowadził drugiego land-rovera, podążającego tuż za nimi. Broń była ukryta w worku pod siedzeniem Roba, ' *Czarna księga*, dobrze umocowana, w bagażniku.

W miarę jak zbliżali się do celu, ożywione rozmowy Kurdów zamieniły się w szept, a potem milczenie. Cisza, jaka zaległa w samochodzie, współgrała z narastającą martwością pustynnych pustkowi. Żółtej, jałowej głuszy.

Upał był niewiarygodny: pełnia lata na skraju syryjskiej pustyni. Jechali na południe i Rob czuł, że Göbekli jest już blisko, ale tym razem przemknęli obok zjazdu na wykopaliska i przejechali dalej przez kilka wojskowych punktów kontrolnych drogą na Damaszek. Christine kupiła wcześniej bardzo dokładną mapę i sądziła, że wie, gdzie mają szukać doliny.

— Tutaj — rzuciła kategorycznym tonem przy jednym ze zjazdów.

Skręcili w prawo i przez pół godziny pędzili po bezdrożach. W końcu wjechali na wzgórze. Samochody się zatrzymały, wszyscy wysiedli. Kurdowie byli brudni, spoceni i buntowniczo nastawieni. Wyciągnięto szpadle oraz pozostały sprzęt i rzucono na piaszczystą ziemię.

Na lewo ciągnęła się wąska i pozbawiona roślinności dolina.

— To tu — orzekła Christine. — Dolina Mordu. Nadal nazywają ją Doliną Zagłady. Jest nawet zaznaczona na mapie.

Rob rozejrzał się i słuchał. Ale do jego uszu docierało tylko zawodzenie pustynnego wiatru. W całej okolicy panowała głucha cisza, osobliwa nawet jak na pustynię w pobliżu Göbekli.

— Gdzie są wszyscy? — spytał.

— Wyjechali. Ewakuowani. Przeniesieni przez rząd — wyjaśniła Christine.

— Że jak?

— Dlatego. — Pokazała ręką na lewo, gdzie w oddali połyskiwała ogromna, płaska, srebrna tafla.

— To wody z Programu Nawadniania Anatolii Południowo-Wschodniej. Eufrat. Nawadniają cały teren w ramach planu irygacyjnego. Zatopiono już kilka dużych stanowisk archeologicznych. Cały projekt budzi ogromne kontrowersje.

— Chryste, to tylko kilka kilometrów stąd.

— A woda płynie w naszym kierunku. Ale wał ją zatrzyma. Ten nasyp tutaj. — Ściągnęła brwi. Jej białą koszulę pokrywały kropki żółtego pyłu. — Chociaż musimy uważać. Wody zalewowe potrafią być bardzo szybkie. I nieprzewidywalne.

— I tak musimy się spieszyć — powiedział Rob.

Zeszli ze wzgórza do doliny. W ciągu kilku minut Christine pokazała Kurdom, co mają robić, i zaczęli kopać. Ogrom czekającej ich pracy przerażał Roba. Dolina miała ponad półtora kilometra długości, lekko licząc. W ciągu dwóch dni zdołają rozkopać zaledwie niewielką część. Może dwadzieścia procent. Przy sprzyjających wiatrach trzydzieści. I to tylko pod warunkiem że nie będą kopać zbyt głęboko.

Zatem będą potrzebowali szczęścia, żeby coś znaleźć. Do strachu i smutku, które go nie opuszczały, od kiedy wrócił na kurdyjską pustynię, dołączyły teraz narastające znużenie i uczucie zniechęcenia. Poczucie bezsensu wszelkich działań. Lizzie umrze. Umrze. A Rob czuł się bezużyteczny, do niczego: miał wrażenie, że utonie w daremności tych wysiłków, zostanie pogrzebany jak spragniona kurdyjska ziemia czekająca niecierpliwie, aż przykryje ją ogromne wieko srebrnej trumny: wody zalewowe Programu Anatolii Południowo — Wschodniej.

Wiedział jednak, że musi być silny, żeby doprowadzić rzecz do końca, więc próbował poprawić sobie jakoś nastrój. Pamiętał, co Breitner powiedział o Christine: że jest „jednym z najlepszych archeologów swego pokolenia”. Pamiętał też, że studiowała w Cambridge u samej wielkiej Isobel Previn.

Teraz Francuzka pewnie kierowała pracami: spokojnie, ale stanowczo mówiła mężczyznom, gdzie mają kopać, rozstawiając ich w różnych miejscach w dolinie. Przez godzinę lub dwie nad stanowiskiem pył wznosił się i opadał, szpadle dzwoniły i odgarniały ziemię. Gorący ponury wiatr ze świstem przelatywał nad Doliną Mordu.

Nagle jeden z mężczyzn upuścił szpadel. To był dalszy krewny Radewana, Mumtaz.

— Panno Meyer! — krzyknął. — Panno Meyer!

Podbiegła do niego, Rob za nią.

W pokrytej pyłem ziemi leżał fragment białej kości: była to ludzka czaszka. Nawet Rob to poznał. Christine wyglądała na zaintrygowaną, ale nie triumfującą. Skinęła głową.

— Dobrze. Kopcie teraz na boki.

Kurdowie nie zrozumieli. Christine powtórzyła Radewanowi, tym razem po kurdyjsku: kopcie wzdłuż. Niezbyt głęboko. Teraz chodziło o zbadanie jak największej powierzchni, zostały im niecałe dwa dni.

Mężczyźni pracowali zgodnie z instrukcjami najwyraźniej oczarowani uporem Christine. Rob znowu przyłączył się do kopania. Co kilka minut odkrywali następną czaszkę. Rob gorączkowo pomagał odsłaniać ziemię. Kolejna czaszka, następny szkielet. Gdy tylko natrafiali na kawałki kości, nie odkopywali ich w całości, Christine poleciła im, by w takim wypadku kopali obok.

Kolejna czaszka, kolejny szkielet. Rob zauważył, że należały raczej do niskich ludzi. Typowi łowcy-zbieracze, wyjaśniła Christine, mieli góra metr pięćdziesiąt dwa wzrostu. Byli mocnej budowy, ale raczej przeciętnego wzrostu, nawet jak na tamte czasy.

Kopali coraz szybciej i coraz bardziej pobieżnie. Słońce minęło zenit; Rob czuł też, że wielka ściana wody coraz bardziej się zbliża. Od zalewu dzieliło ich tylko kilka dni.

Mimo to kopali.

Nagle rozległ się kolejny krzyk, tym razem Radewana.

— Panie Rob! — zawołał. — Niech pan spojrzy. Bardzo duży człowiek. Jak Amerykanin. — Zeskrobywał ziemię z kości udowej. — Jak Amerykanin, który zjadł dużo McNuggetsów. — Kość była niemal dwa razy większa od wszystkich pozostałych.

Christine wskoczyła do rowu, Rob do niej dołączył. Razem odkopali resztę szkieletu. Trwało to trochę, bo rzeczywiście był ogromny. Miał co

najmniej dwa metry trzydzieści centymetrów długości. Odgarniali ziemię z miednicy, z żeber, z kręgosłupa, odsłaniając wielkie białe kości leżące w brudnożółtym pyłe. W końcu odsłonili czaszkę. Radewan wyciągnął ją za jednym pociągnięciem i uniósł do góry.

Rob gapił się w osłupieniu. Była olbrzymia.

Christine wzięła od Kurda ogromny czerep i przyglądała mu się badawczo. Ludzki, ale niezupełnie: dużo większy, o skośnych, ptasich oczodołach, wyraźnych kościach policzkowych, małej żuchwie i bardzo dużej mózgowcaszce.

Rob przypatrzył się z bliska wyszczerzonej szczęce z dobrze zachowanymi zębami.

— To jest... — Otarł twarz z soli, potu i kurzu. — To jest hominid, tak?

— Tak — powiedziała Christine. — Ale... — Obracała znalezisko w pełnym słońcu.

Czaszka była wypełniona ciemnożółtą ziemią, która nadawała dużym, skośnym oczodołom pusty i nieprzyjazny wyraz. Rob usłyszał skądś krzyk ptaka — samotnego drapieżnika krążącego wolno na niebie. Pewnie sępa zwabionego widokiem kości.

Christine starła z czaszki resztki żółtego pyłu.

— Ewidentnie hominid. Ewidentnie nie *Homo sapiens*. Nie przypomina niczego, co znamy. Bardzo duża mózgowcaszka, co sugeruje wysoką inteligencję.

— Wygląda trochę... z azjatycka. Prawda?

— Owszem, mongoloidalnie pod pewnymi względami. Ale spójrz na te oczy, na mózgowcaszkę. Zdumiewające. A jednak pasuje. Ponieważ myślę... — Popatrzyła na Roba. — Myślę, że mamy tu wyjaśnienie naszego przypadku hybrydyzacji. To jest ten drugi gatunek hominida. Skrzyżował się z mniejszymi ludźmi stąd, a efekt widzieliśmy pod postacią czaszki z *Czarnej księgi*.

Kurdowie kopali dalej. Szkielet za szkieletem. Liczba kości, które odkryli, przyprawiała niemal o mdłości. Słońce chyliło się ku linii horyzontu: dzień się kończył, a mężczyznom pilno było do domów na ucztę kończącą całodniowy post.

Kiedy Rob poczuł się zbyt wyczerpany, by kopać dalej, a widok białych kości i wyszczerzonych szczęk ogromnych czaszek już mu obrzydł, położył się na pokrytym pyłem wzgórzu i patrzył. Potem wyjął notatnik i zaczął pisać. Żeby złożyć w całość wszystkie kawałki łamigłówek. To był jedyny

znany mu sposób rozwiązywania zagadek: spisanie, nazwanie, uporządkowanie. I połączenie w jedną całość, w jedną opowieść. Pisał i czuł, jak przygasa słońce.

Kiedy skończył, podniósł głowę: Christine mierzyła kości i robiła zdjęcia szkieletów. Dzień dobiegł końca. Ciepły pustynny wiatr przybierał na sile. Rob czuł w powietrzu zapach wód zalewowych, były już tak blisko. Przypuszczalnie nie dalej niż trzy, może pięć kilometrów od nich. Popatrzył na wykopane rowy zmęczonymi oczyma. Odsłonili ogromne i wzbudzające żalność cmentarzysko: kostnicę praludzi zagrzebanych razem z człowiekowatymi olbrzymami. Ale prawdziwy sekret nadal spoczywał ukryty, Rob go nie odgadł, jego notatki nie miały sensu. Jeszcze nie zdołali rozwiązać zagadki, poznać tajemnicy. A zmrok, jaki zapadł nad pustynią, oznaczał, że pozostał im już tylko jeden dzień.

Serce Roba płakało za córką.



W drodze powrotnej do Şanhurfy rozmawiali o pergaminie i pojawiających się w dokumencie odniesieniach do Księgi Henocha. Rob zmieniał biegi, a Christine, przekrzykując warkot silnika, przedstawiała swoje teorie.

— Księga Henocha jest apokryfem.

— Czyli?

— Nie wchodzi w skład biblijnego kanonu, ale jest uważana przez niektóre pradowne odłamy chrześcijaństwa, na przykład Etiopski Kościół Ortodoksyjny, za świętą.

— Rozumiem.

— Ma około dwóch tysięcy dwustu lat i prawdopodobnie została napisana przez Izraelitów, choć pewności nie ma. — Patrzyła przed siebie na roztaczającą się dokoła pustynię. — Znaleziono ją wśród rękopisów kumrańskich zwanych zwojami znad Morza Martwego. Opisuje czasy, kiedy pięciu upadłych aniołów: pięciu szatanów albo czuwających i ich słudzy zamieszkali wśród ludzi. Ci aniołowie byli jakoby blisko Boga, ale nie potrafili oprzeć się urodzie kobiet, córek Ewy. Posiedli te niewiasty, a w zamian za to obiecali mężczyznom wyjawienie tajemnic pisma, budownictwa, sztuki. Te demony nauczyły także kobiety „całować fallus”.

Rob rozejrzał się po samochodzie i zdobył się na uśmiech. Christine też się uśmiechnęła.

— To jest określenie, które pojawia się w Księdze Henocha. — Christine wzięła łyk wody z butelki. — Brr. Ciepła.

— Mów dalej — poprosił Rob. — Księga Henocha.

— Tak. Małżeństwa mieszane między ludźmi a demonami dały początek rasie złych gigantów, Nefilimów.

Rob patrzył na pogrążoną w mroku drogę. Chciał zrozumieć, co mówi Christine. Naprawdę chciał. Bardzo się starał. Poprosił, żeby jeszcze raz powtórzyła, ale w końcu dał za wygraną. Nie mógł przestać myśleć o Lizzie.

Zastanawiał się, czy powinni zadzwonić do Cloncurry'ego. Wiedział jednak, że to głupi pomysł. Musieli go zaskoczyć, oznajmić nagle, że odkryli sekret — jeśli go w ogóle odkryją. Na tym opierał się cały plan.

Był zmęczony, przerażony, spalony słońcem i ciągle jeszcze pod wrażeniem grozy pustyni. Czuł bliskość megalitów Göbekli, które stały gdzieś tam na pustkowiu. Przypomnił sobie rzeźbę kobiety czekającej, żeby zgwałciły ją dzikie świny z ogromnymi penisami. Pomyślał o niemowlętach krzyczących w starych dzbanach.

A potem jego myśli znowu pobiegły do Lizzie i Cloncurry'ego, starał się odsunąć dręczący go strach.

Ostatnie kilometry drogi upłynęły w milczeniu i niepokoju. Kurdowie pożegnali się mrukliwie i poszli ucztować, Rob i Christine zaparkowali samochody i kompletnie wyczerpani wślizgnęli się do hotelu. Rob niósł *Czarną księgę* przyciśniętą mocno do piersi. Czuł, jak od zmęczenia mdleją mu ręce.

Nie mieli jednak czasu na odpoczynek. Rob był zmęczony, ale rozgorączkowany i chciał omówić swoje notatki. Gdy tylko znaleźli się w pokoju, jeszcze zanim Christine zdążyła się wykąpać, zarzucił ją pytaniami.

— Nie rozumiem tych dzbanów. Amfor z dziećmi w Göbekli.

Christine popatrzyła na Roba pełnymi miłości, ale przekrwionymi z niewyspania ciemnobrązowymi oczyma. Mimo to nalegał.

— Chodzi ci o sam fakt, że to były dzbany? To ci nie daje spokoju?

— Tak. Zawsze myślałam, że kultura z czasów Göbekli była... jak to określił Breitner... aceramiczna. Że tamte ludy nie znały garncarstwa. A tu nagle się okazuje, że ktoś się pojawił i nauczył tych gości, jak wyrabiać naczynia, na długo zanim tę umiejętność posiadły inne ludy.

— Tak, to prawda. — Christine urwała. — Z wyjątkiem jednego miejsca. Było miejsce, w którym ceramika była znana, jeszcze zanim pojawiła się ona w Göbekli.

— Jakie?

— Japonia. Kultura Jōmon.

— Że jak?

— Bardzo wczesna kultura neolityczna. Autochtoniczne ludy japońskie. Ajnowie, którzy nadal żyją na położonych najdalej na północ obszarach Japonii, mogą być z nimi spokrewnieni. — Wstała, potarła bolące plecy, podeszła do minibarku, wyjęła butelkę wody i łapczywie wypila. W końcu położyła się na łóżku i wyjaśniła: — Nie wiadomo, skąd się wzięły ludy

Jömon. Prawdopodobnie jako pierwsze zaczęły uprawiać ryż. A potem wytwarzać zaawansowaną technologicznie ceramikę, tak zwaną ceramikę sznurową.

— Kiedy to było?

— Szesnaście tysięcy lat temu.

— Szesnaście tysięcy lat temu?! — Rob popatrzył na nią zdumiony. — To ponad trzy tysiące lat przed powstaniem Göbekli.

— Tak. A niektórzy badacze są zdania, że kultura Jömon mogła poznać tę technologię od jeszcze wcześniejszych kultur. Na przykład tej z Kondon nad Amurem. Być może. Amur to rzeka we wschodniej Azji, znajdujemy tam ślady ceramiki pochodzące z jeszcze wcześniejszych okresów. To niezwykle zagadkowe. Te zadziwiająco rozwinięte ludy Północy. Pojawiają się i znikają. Niby są najprostszymi łowcami-zbieraczami i nagle wykonują zdumiewający, wręcz irracjonalny technologiczny skok do przodu.

— Co masz na myśli? Wręcz irracjonalny?

— Syberia, Mongolia Wewnętrzna, daleka północ Japonii. Ten region nie zapewnia raczej korzystnych warunków do rozwoju. To nie jest ciepły, słoneczny, Żyzny Półksiężyc, tylko mroźne, nieprzyjazne ziemie północnej Azji. Dorzecze Amuru to zimą jedno z najzimniejszych miejsc na ziemi. — Patrzyła na sufit. — Czasem się nawet zastanawiam, czy jeszcze dalej na północ nie istniała jakaś protokultura. Na terenach dzisiejszej Syberii. Dziś już nieznana, a która wcześniej promieniowała na te szczepy. Ponieważ w przeciwnym razie to po prostu jest zbyt dziwne...

Rob pokręcił głową. Siedział z rozłożonym na kolanach notatnikiem i uniesionym długopisem.

— Ale może nie wyginęły, Christine. Te kultury. Co? Może wcale nie zniknęły?

— Nie rozumiem?

— A te czaszki? Wyglądają, jakby pochodziły z Azji, mongoloidalnie. Może te wschodnie ludy nie wyginęły, tylko wywędrowały na zachód. Czy może istnieje jakiś związek między rozwiniętymi azjatyckimi szczepami a Göbekli?

Christine skinęła głową i ziewnęła.

— Tak, chyba tak. Niewykluczone. Jezu, Rob, jestem taka zmęczona.

Rob z miejsca skarcił się w duchu. Nie spali od dwudziestu czterech godzin, zrobili, ile mogli. Zbyt dużo od niej wymagał. Przeprosił ją i położył się obok niej na łóżku.

— Robbie, uratujemy ją — zapewniła. — Obiecuję. — Przytuliła go. — Obiecuję.

Rob zamknął oczy.

— Śpijmy.

Obudził go pełen przemocy sen. Śniło mu się, że go biją, że Cloncurry okłada go pięściami, ale kiedy oprzytomniał, okazało się, że odgłos uderzeń był prawdziwy. Przed hotelem ciemnymi ulicami Şanhurfy szli mężczyźni i walili w ogromne bębny, budząc ludzi na posiłek przed wschodem słońca — tradycyjny rytuał ramadanu.

Rob westchnął i przechylił zegarek, który leżał na nocnej szafce. Była dopiero czwarta rano. Gapił się w sufit, słuchając dudnienia bębnów. Christine pochrapywała cichutko.

Dwie godziny później to ona obudziła go szturchaniem. Wstał, zaspany i niemrawy, i wziął prysznic w orzeźwiająco zimnej wodzie.

Radewan z przyjaciółmi czekali już przed hotelem. Pomogli wepchnąć *Czarną księgę* do bagażnika. Kiedy sunęli pustynią do Doliny Mordu, Rob zjadł jajko na twardo z kawałkiem pity. Nie mieli czasu na porządne śniadanie w hotelu.

Rob obserwował kopiących Kurdów. Zachowywali się tak, jakby wiedzieli, że bez względu na wszystko, prace dobiegają końca, czuli już radość nadciągającego lenistwa. To był ostatni dzień. Jutro rano mijał termin ultimatum. Nieodwołalnie. Rob czuł, jak żołądek skręca mu się z napięcia.

O jedenastej wszedł na sąsiadujące z doliną wzgórze i popatrzył na płaskie, srebrne jezioro wód zalewowych. Teraz znajdowało się zaledwie jakieś półtora kilometra dalej, woda jakby przyspieszyła, przelewając się przez wzgórza i wypełniając doliny. Wał ich ochroni, ale postępująca powódź i tak stanowiła groźny widok. Na szczycie wału stał mały szałas pasterski, niczym strażnik chroniący ich przed potopem.

Usiadł na głazie i zrobił kilka notatek, nawlekając cenne perełki śladów na naszyjnik narracji. Nie dawał mu spokoju pewien tekst. Pamiętał, jak ojciec deklamował go w kościele mormońskim. Księga Rodzaju, rozdział 6: „A kiedy ludzie zaczęli się mnożyć na ziemi, rodziły im się córki. Synowie Boga, widząc, że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się tylko podobały”.

Przez pół godziny pisał, skreślał i pisał znowu. Był niemal u mety, niemal skończył. Zamknął notes, odwrócił się i zszedł do doliny. Zobaczył, że

Christine leży płasko na ziemi, jakby spała. Ale nie: wzrok miała skupiony, wbity w ziemię.

— Szukam anomalii — powiedziała, zerkając na niego. — I znalazłam. Dobrze! — Wstała, zaklaskała i młodzi Kurdowie natychmiast na nią spojrzeli. — Proszę, panowie. Niedługo wróćcie do domu do swoich rodzin i zapomnicie o wariatce z Francji. Ale póki co, proszę o jeszcze odrobinę wysiłku. Tam.

Radewan i jego przyjaciele podnieśli szpadle i ruszyli za Christine w inny zakątek doliny.

— Kopcie prosto. Tutaj. I nie za głęboko. Szeroko i płytko. Dziękuję.

Rob poszedł po swój szpadel, żeby dołączyć do Kurdów. Lubił z nimi pracować. To zajmowało myśli, pozwalało choć przez chwilę nie denerwować się tym, że ich wysiłki mogą się okazać daremne. I Lizzie. I Lizzie. I Lizzie. I Lizzie.

Kiedy kopali, spytał Christine o neandertalczyków. Kiedyś opowiadała, że pracowała na kilku stanowiskach, gdzie znaleziono ich szczątki. Na przykład w Moula-Guercy na brzegu Rodanu we Francji.

— Myślisz, że się krzyżowali z *Homo sapiens*?

— Niewykluczone.

— Ale obijała mi się o uszy taka teoria, że po prostu wyginęli.

— Owszem. Jednak mamy też dowody przemawiające za tym, że mogli się krzyżować z ludźmi. — Otarła rękawem pot z twarzy. — Niewykluczone, że nawet gwałtem dorwali się do puli ludzkich genów. Jeśli groziło im wymarcie, bo na przykład nie byli w stanie skutecznie rywalizować o pożywienie, próbowaliby desperacko przedłużyć własny gatunek. A byli więksi od *Homo sapiens*. Choć możliwe, że nie tak mądrzy...

Rob obserwował ptaka krążącego w powietrzu: jeszcze jeden sęp. Zadał następne pytanie:

— Jeśli istotnie się krzyżowali, to czy mogło to zaowocować zmianą zachowania ludzi. Ludzkiej kultury?

— Tak. Jedną z możliwości jest kanibalizm. Nie notujemy przypadków zorganizowanego ludożerstwa w kulturach ludzkich aż do mniej więcej trzystu tysięcy lat przed naszą erą. Jednak neandertalczyki byli zdecydowanie kanibalistyczni. Zatem... — Przechyliła głowę w zamyśleniu. — Jest możliwe, że zaszczepili ludziom niektóre cechy swojej kultury. Na przykład antropofagię.

Po niebie przemknął samolot Tureckich Sił Powietrznych. Christine dodała:

— Zastanawiałam się rano nad rozmiarami tych ogromnych hominidów. Wielkością kości, które znaleźliśmy.

— I?

— Hmm. Twoja teoria co do związku z Azją Środkową nawet pasuje. Pod pewnymi względami.

— To znaczy?

— Największy odkryty dotychczas hominid pochodził z tamtych rejonów, z Azji. Gigantopitek. Naprawdę olbrzymia mała człekokształtna, mierząca prawie trzy metry. Coś jakby yeti.

— Mówisz serio?

Skinęła głową.

— Żyły około trzystu tysięcy lat temu. Niewykluczone, że gatunek przetrwał jeszcze dłużej. Niektórzy badacze uważają, że wystarczająco długo, by jego wspomnienie utrwaliło się wśród *Homo sapiens*. Wspomnienie olbrzymich ludzi-małą. — Potrząsnęła głową. — Ale naturalnie to już jest wróżenie z fusów. Zdecydowanie bardziej prawdopodobne wydaje się, że gigantopitek wymarł na skutek rywalizacji z *Homo sapiens*. Tak naprawdę nie wiadomo, co się z nim stało. Niemniej... — Urwała i oparła się na szpadlu niczym rolnik odpoczywający na polu.

Nagle Robowi nasunął się oczywisty wniosek. Wyjął notes i rozgorączkowany zanotował kilka słów.

— Chcesz powiedzieć, że jest jeszcze trzecie wyjaśnienie, prawda? Może gigantopitek istotnie ewoluował, tyle że w znacznie poważniejszego rywala *Homo sapiens*. Czy taka ewentualność też wchodzi w grę?

Christine skinęła głową, ściągając brwi.

— Tak, to możliwe. Nie mamy dowodów ani za, ani przeciw.

Rob mówił dalej:

— Załóżmy więc, że tak się istotnie stało. Nowy hominid byłby zatem ogromny, agresywny i bardzo inteligentny, tak? Gatunek stworzony do radzenia sobie w ciężkich warunkach. Bezwzględny przeciwnik w walce o zasoby.

— Najprawdopodobniej.

— I ten wielki, agresywny hominid żywiłby także instynktowny strach przed naturą, niekończącymi się śmiercionośnymi zimami, okrutnym i srogim bogiem. I odczuwałby desperacką potrzebę prześlągnięcia go.

Christine wzruszyła ramionami, jakby nie do końca rozumiała sens ostatniej koncepcji. Nie miała jednak czasu odpowiedzieć, bo wołał ich Radewan. Kiedy Rob dotarł na miejsce, Christine już klęczała, oskrobując z ziemi nowe znalezisko.

U stóp Radewana leżały trzy duże dzbany.

Rob nie miał wątpliwości, co zawierają. Christine też, mimo to trzonkiem szpachelki rozbijała jeden. Prastare naczynie rozkruszyło się, na ziemię wyciekła cuchnąca maziowata treść: na wpół zmumifikowane, na wpół rozpuszczone niemowlęce zwłoki. Twarz nie zachowała się w tak dobrym stanie jak u dzieci, które znaleźli w Podziemiach Edessy, ale malował się na niej ten sam wyraz bólu i przerażenia. Mieli przed sobą kolejną ofiarę. Kolejne niemowlę pogrzebane żywcem.

Rob ze wszystkich sił odpychał myśl o Lizzie.

Kilku Kurdów zauważyło naczynie i szczątki niemowlęcia. Gestykulowali i kłócili się. Christine poprosiła, by kopali dalej. Ale teraz już krzyczeli.

Mumtaz podszedł do Roba.

— Mówią, że tu jest niebezpiecznie. Miejsce jest przeklęte. Oni widzą dziecko i mówią, że muszą jechać. Woda jest coraz bliżej.

Christine prosiła mężczyzn po angielsku i po kurdyjsku. Odpowiedzieli coś szybko Mumtazowi, który zaraz przetłumaczył:

— Mówią, że woda nadchodzi, żeby pogrzebać te ciała, i że to dobrze. Mówią, że teraz idą.

Christine dalej protestowała. Spór trwał w najlepsze. Niektórzy Kurdowie kopali, reszta tylko stała, dyskutując. Słońce wschodziło coraz wyżej, gorące i bezlitosne, połyskując na leżących odłogiem narzędziach. Mały, oślizgły trup dziecka prażył się w jego promieniach. Ohydny kawałek ciała. Rob czuł ogromne pragnienie zagrzebania go raz jeszcze, przykrycia ohydy. Wiedział, że jest bliski rozwiązania zagadki, ale równie bliski był swego rodzaju nerwowej kapitulacji.

Po chwili napięcie jeszcze wzrosło. Kilku Kurdów, na czele z Mumtazem, podjęło decyzję: odmówili kontynuowania prac. Nie bacząc na prośby Christine, weszli we trzech na zbocze i wsiadli do land-rovera.

Kiedy odjeżdżali, Mumtaz posłał Robowi dziwne, smutne spojrzenie.

Jednak czterech Kurdów zostało na miejscu, w tym Radewan. Ostatkiem swojego uroku oraz resztką pieniędzy Roba Christine zdołała ich przekonać, by dokończyli zadanie. Wszyscy podnieśli porzucone szpadle i zabrali się do

roboty. Kopali przez pięć godzin w poprzek doliny, przenosząc tylko tyle suchej, żółtej ziemi, by odsłonić to, co konieczne, i posuwać się dalej.

Odkryli fragmenty może trzydziestu szkieletów spoczywających obok dzbanów. Ale nie były to zwykłe kości, tylko zbieranina szczątków wielkich hominidów, hybryd oraz małych łowców-zbieraczy. Tworząca jeden wielki miszmasz. Wszystkie nosiły ślady obrażeń: oznaki gwałtownej śmierci. Potworne pęknięcia kości czaszki, otwory po włóczniach w kościach miednicy. Połamane ręce i nogi.

Odkopali pole bitewne. Miejsce konfliktu i potwornej rzezi. Odkryli Dolinę Mordu.

Christine popatrzyła na Roba, on na nią. Powiedział:

— Myślę, że skończyliśmy. A ty?

Pokiwała z powagą głową.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy. Czuł niemal euforię: całym sobą, w płucach, w sercu. Dokonał tego: poznał wielki sekret, który miał ukryć Cloncurry. Tajemnicę Genezis. A to oznaczało, że wreszcie ma bydlaka w ręku. Odzyska swoją córkę.

Z niepokojem — ale po raz pierwszy w ciągu tych gorzkich tygodni także z nadzieją — wybrał numer. Miał właśnie zażądać natychmiastowego powrotu córki, kiedy usłyszał jakiś głos.

— O, witam.

Rob obrócił się na pięcie. Jakaś postać stała nad nimi na zboczu wzgórza, między doliną a podążającym w stronę zachodu słońcem. Promienie były tak jasne, że nie był w stanie rozpoznać przybysza. Zamrugął i uniósł rękę.

— Czyżbym przytył? To smutne. Ale chyba mnie poznajesz?

Rob poczuł, jak ścina mu się krew w żyłach.

Na wzgórzu stał Jamie Cloncurry z pistoletem w dłoni. Mierzył w Roba. Towarzyszyło mu dwóch wielkich Kurdów z czarnymi wąsami, także uzbrojonych. Trzymali między sobą małą, skrzepowaną postać.

Lizzie! Była żywa, ale przerażona. Usta miała zakneblowane.

Rob popatrzył na boki, na Radewana i jego przyjaciół, szukając pomocy. Cloncurry zachichotał.

— O, nie spodziewałbym się z tej strony wsparcia, mister Robbie. — Ospałym ruchem ręki dał znak Radewanowi.

Kurd karnie kiwnął głową. Odwrócił się, popatrzył na Roba i Christine i potarł kciukiem o palec wskazujący.

— Anglik dużo pieniędzy. Dolary i euro. Dolary i euro.



Skinął na swoich przyjaciół, którzy odłożyli narzędzia i odeszli, zostawiając Roba i Christine samym sobie.

Rob patrzył — z otwartymi ustami, pokonany i przybity — jak Kurdowie spokojnie sadzą susami przez wzgórze w kierunku land-rovera. Radewan sięgnął do bagażnika i wyjął *Czarną księgą*. Zaniósł ją Cloncurry'emu i postawił na ziemi obok Lizzie. Morderca się uśmiechnął i skinął głową. Kurd wrócił do samochodu i wskoczył na przednie siedzenie. Chwilę później samochód odjechał, wzniesając tuman kurzu i uwożąc ze sobą strzelby i pistolet.

Pomarańczowy pył wisiał w powietrzu, jakby z wyrzutem, kiedy auto zniknęło za spalonym słońcem horyzontem. Rob i Christine zostali sami i bezbronni na dnie doliny.

Nad nimi stał uzbrojony Cloncurry z dwoma Kurdami. Jego połyskująca w pustynnym słońcu srebrna terenówka była zaparkowana kilkaset metrów dalej. Najwyraźniej pofatygował się tu na piechotę, żeby ich zaskoczyć. Z dobrym skutkiem.

Byli w pułapce. Lizzie klęczała na ziemi, skrępowana i zakneblowana, patrząc na ojca szeroko rozwartymi, zdumionymi oczyma, błagając o ratunek.

Ale Rob wiedział, że jej nie uratuje. Wiedział, co się stanie za chwilę. I że nie będzie to bohaterskie ocalenie.

Cloncurry zabije Lizzie na oczach ojca. Złoży w ofierze jego pierworodne dziecko, tu, na pustyni, z krążącymi w górze sępami i wronami. Za kilka minut Lizzie umrze, zabita w okrutny, bestialski sposób, a on będzie musiał na to patrzeć.

Cloncurry przywołał ich skinieniem uzbrojonej dłoni.

— Podejdźcie tam, gołąbeczki.

Rob popatrzył na córkę klęczącą w pyłe, bezbrzeźnie zdumioną i udręczoną. Potem spojrział na Cloncurry'ego z dziką nienawiścią. Jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie pragnął tak mocno zrobić komuś krzywdy — chciał poćwiartować mordercę gołymi rękoma, rozszarpać go własnymi zębami. Wyłupić mu oczy kciukiem.

Ale byli w potrzasku i nieuzbrojeni: musieli być posłuszni. Wykonując rzucane ospale polecenia, weszli na niewielkie wzniesienie pośrodku doliny, jakby piaszczysty pagórek, choć Rob nie miał pojęcia, dlaczego Cloncurry chce, żeby tam stanęli.

Wiatr szumiał melancholijnie. Christine wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać. Rob rozglądał się na boki w poszukiwaniu możliwości ucieczki. Ale ucieczki nie było.

Co robi Cloncurry? Rob zmrużył oczy i osłonił je dłonią. Morderca miał w ręku telefon lub inne urządzenie. Uniósł je i skierował w lewo, w stronę zbliżających się wód zalewowych i wału chroniącego ich przed zatopieniem.

W końcu się odezwał.

— Nie co dzień ma się okazję okaleczyć i zabić dziecko na oczach tatusia, zatem uważam, że pora na małą fetę. A nawet fajerwerki. A zatem, zaczynamy. Jesteśmy na fali.

Wcisnął guzik trzymanego w dłoni urządzenia. Ułamek sekundy później pustynią wstrząsnął huk eksplozji, po którym rozeszła się wyczuwalna fala uderzeniowa. Cloncurry wysadził ształas na wale. Kiedy dym i płomień się rozwiały, Rob zrozumiał dlaczego.

Razem z ształasem zniknęła połowa wału. Wody już przelewały się przez przepaścistą wyrwę, spływając kaskadami po zboczach doliny: hektolitry tryskającej i pędzącej wody, które bardzo szybko posuwały się w ich kierunku.

Chwycił mocno Christine i wciągnął ją na szczyt pagórka. Woda już przelewała się za nimi, lizała im stopy. Popatrzył w górę na wzgórze: Cloncurry się śmiał.

— Mam szczerą nadzieję, że umiecie pływać.

Fale zalewały dolinę, rozpryskując się u stóp Roba. Ściana ryczącej i pochłaniającej wszystko wody, unoszącej obrzydliwy ładunek. Na powierzchni podskakiwały kości, szczątki niemowlęcia i czaszki wojowników. Wkrótce brudna, wzburzona kipiela całkowicie otoczyła Roba i Christine. Wiedzieli, że jeśli wody nadal będą się podnosić, oboje utoną.

— Doskonale! — wykrzyknął Cloncurry. — Nawet nie wyobrażacie sobie, jak trudno było to wszystko zaaranżować. Musieliśmy przyjść tu w środku nocy, żeby poczynić odpowiednie przygotowania. Zainstalować w tym obrzydliwym małym szałasie mnóstwo ładunków wybuchowych. Trudna sprawa. Ale udało się wprost wybornie. Cóż za przyjemność.

Rob popatrzył na mordercę stojącego bezpiecznie na wzgórzu. Nie wiedział, co ma myśleć o tym człowieku, w którym szaleństwo mieszało się z pokrętną subtelnością. Wtedy Cloncurry wygłosił jedną ze swoich zwykłych, niemal telepatycznych uwag.

— Coś mi się zdaje, że jesteś ciut skonsternowany, mały Robbie. — Rob milczał, Cloncurry się uśmiechał. — Zachodzisz w głowę, jak to się stało, że taki totalny psychol jak ja wylądował po tej stronie wody? He? Podczas gdy wy, ci dobrzy, jesteście po tamtej stronie. Idącej na dno. Rob nadal nic nie mówił, Cloncurry wyszczerzył się jeszcze szerzej. — Obawiam się, że przez cały czas wszystkich was wykorzystywałem. Zmusiłem cię, żebyś odnalazł dla mnie *Czarną księgę*. Zaprząłem do pracy wytrawne, sławne umysły: Isobel Previn i Christine Meyer. Zgoda, ściałem tej pierwszej głowę, ale dopiero gdy już wykonała swoje zadanie, gdy pokazała mi, że *Księgi* na pewno nie ma w Kurdystanie. — Promieniał z dumy. — A potem czekałem sobie z założonymi rękami, aż wy, moi kochani, odwalicie resztę roboty, odczytacie *Księgę*, zlokalizujecie Dolinę Mordu, znajdziecie jedyny dowód wyjaśniający sekret Genezis. Zrozumcie, musiałem mieć pewność, gdzie znajdują się wszystkie dowody, żeby je zniszczyć na zawsze. — Wskazał na spienione wody. — I teraz zlikwiduję wszystko za jednym zamachem: zatopię po wieczne czasy. A pozbywając się dowodów, zabiję jednocześnie jedynych ludzi, którzy znają sekret. — Uszczęśliwiony spojrział w dół. — A tak, byłbym zapomniał, mam też *Czarną księgę*. Przynajmniej tak mi się zdaje. Pozwólcie, że się upewnię...

Pochylił się, chwycił pudło i jednym szarpnięciem zdarł wieko. Zajrzał do środka i wyjął czaszkę hybrydy. Przez chwilę gładził ją i tulił, a potem odwrócił przodem do siebie.

— Ach, biedny Jorik. Masz kurewsko dziwne oczy, ale naprawdę wspaniałe kości policzkowe. Ha!

Postawił czaszkę z boku, wyjął pergamin i rozprostował na kolanie, żeby odczytać.

— Fascynujące. Naprawdę fascynujące. Spodziewałem się pisma klinowego. Wszyscy się spodziewaliśmy. Ale późny staroaramejski? Cudowne odkrycie. — Zerknął na Christine i Roba. — Dziękuję, moi mili. Bardzo uprzejmie z waszej strony, że przywieźliście to taki szmat drogi. A potem jeszcze wszystko rozkopaliście.

Złożył dokument, umieścił z powrotem w pudle, położył na nim czaszkę i przykrył skórzanym wiekiem.

Rob obserwował to wszystko z ponurym, pełnym nienawiści wstrętem. Przegrana smakowała podwójnie gorzko z uwagi na świadomość, że Cloncurry ma rację. Cała strategia działania zabójcy była wręcz nieludzko perfekcyjna. Przechytrzył ich, wyprowadził w pole. Począwszy od Kurdów, do myśliwskiego domku i z powrotem: to nie była zwykła wygrana, to był prawdziwy triumf.

A teraz uczci go krwią.

Rob popatrzył na błyszczące od łez oczy córki i krzyknął do niej, że ją kocha.

Błagała go wzrokiem: Pomóż mi.

Cloncurry chichotał.

— Bardzo wzruszające. Jeśli się lubi takie sceny. Mnie osobiście przyprawiają o pawia. Tak czy siak, chyba powinniśmy teraz przejść do finałowego widowiska. Zanim się potopicie. Dość tych wstępów. — Popatrzył na fale obmywające stopy Christine. Jedna szczególnie ogromna czaszka podskakiwała na szemrzącym lustrze wody niczym jakaś ohydna zabawka kąpielowa.

— Oo, patrzcie, jeden z wapniaków. Przywitaj się z dziadziusem, Lizzie.

Kolejny wybuch śmiechu. Dziewczynka załkała głośniej.

— Tak, tak — westchnął głęboko szalencie. — Też nigdy nie przepadałem za swoją rodziną. — Odwrócił się i zawołał do Roba: — Masz dobry widok z pagórka? Doskonale. Bo teraz zrobimy coś z aztecka i chcę mieć pewność, że będziesz widział. Jestem pewien, że znasz procedurę.

Rozłożymy twoją córkę na skale, rozetniemy jej klatkę piersiową i wyrwiemy bijące serce. Można się przy tym trochę upaćkać, ale mój przyjaciel ma, zdaje się, chusteczki.

Trącił jednego ze swych towarzyszy. Stojący na lewo wąsaty Kurd chrząknął, ale nic nie powiedział. Cloncurry westchnął.

— Niezbyt elokwentni goście, cóż, kiedy innych nie ma. Jednak te wąsy dają do myślenia. Prawdziwe jak... szczerze złoto, prawda? — Uśmiechnął się. — No, moje dwie roztrajkotane kurdyjskie cioty, moglibyście z łaski swojej wziąć tę małą dziewczynkę i ułożyć ją na tamtej skale? — Pokazał im na migi, co mają zrobić.

Kurdowie skinęli głowami i wykonali polecenie. Chwycili Lizzie, zanieśli ją do dużego głazu i położyli na plecach — jeden z mężczyzn przytrzymał jej stopy, drugi ręce. Mała łkała i wyrywała się, Cloncurry obserwował całą scenę z uśmiechem.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze. A teraz najlepsza część. Właściwie, panie Robbie, powinniśmy mieć tu chacmool, kamienny ołtarz, na który mógłbym rzucić krwawiące, bijące serce twojej córki, ale z braku laku chyba nakarmię nim wrony.

Podał swój pistolet jednemu z Kurdów, sięgnął za pazuchę i wyciągnął nóż. Rozradowany wywinął nim kilka razy z podziwem, wodząc po ogromnym stalowym ostrzu promiennym i czułym spojrzeniem. Potem przeniósł wzrok na dziennikarza i puścił do niego oko.

— W zasadzie powinniśmy posłużyć się obsydianem, tak robili Aztecy. Używali sztyletów z ciemnego obsydianu. Ale taki nóż jak ten też się doskonale nada: duży, gruby i pamiętny. Poznajecie go? — Uniósł nóż, który błysnął w promieniach słonecznych, kiedy go odwrócił. — Christine? Coś ci przychodzi do głowy?

— Pierdol się — powiedziała Francuzka.

— Tak, chętnie. To tym nożem zrobiłem filety z twojej starej przyjaciółki Isobel. Zdaje się, że nadal jeszcze widać ślady jej sędziwej krwi na rękojeści. I maleńki kawałek śledziona. — Wyszczrzył zęby. — *Also*, jak mówią Niemcy. Do dzieła. Woda sięga wam już do kolan, utopicie się za jakieś dziesięć minut. A tak bardzo chcę, Robbi, żebyś opuścił ten padół, mając przed oczami obraz swojej córeczki z sercem żywcem wyrywaniem z drobnej piersi, bezradnie wołającej na pomoc swego żalostnego, beznadziejnego, tchórzliwego ojca. Zatem zabierajmy się do roboty. Chłopaki, chwycicie ją mocniej, o tak, właśnie tak. Tak, tak. Bardzo dobrze. — Uniósł nóż w obu

dłoniach i złowieszcze ostrze zamigotało w słońcu. Zamarł na chwilę. — Ci Aztecy byli tacy dziwni, prawda? Ponoć przybyli z Azji, przez Cieśninę Beringa. Jak ty, ja i Rob. Taki szmat drogi z północnej Azji. — Nóż błyszczał, oczy Cloncurry'ego także. — Pasjami lubili zabijać dzieci. Wręcz ubóstwiali. Początkowo mordowali tylko potomstwo nieprzyjaciół, podbitych przez siebie ludów. Ale u schyłku imperium już tak im odbiło, że zaczęli zabijać własny przychówek. Serio. Kapłani płacili nieszczęsnym azteckim rodzinom za oddawanie noworodków i niemowląt na rytualne mordy. Pomyślcie: cała cywilizacja dosłownie wybijająca samą siebie, pożerająca własne potomstwo. Fantastyczne! I do tego w jaki sposób: wyrwanie serca z piersi i trzymanie go jeszcze bijącego przed oczyma żywej ofiary. — Westchnął z zadowoleniem. — Jesteś gotowa, Lilibet? Mała Betsy? Moja kochana Betty Boo? Hmm? Pora na otwarcie torsiku?

Uśmiechał się wniebowzięty do Lizzie. Rob patrzył na to z posępną odrazą: Cloncurry dosłownie się ślinił, biała strużka kapłała mu z ust na zakneblowaną, wykrzywioną w niemym krzyku twarz dziecka. W końcu zacisnął obie dłonie na najdalszym końcu rękojeści, uniósł nóż jeszcze wyżej... Rob zamknął oczy, zdruzgotany ostateczną klęską.

Wtedy powietrze przeszył odgłos strzału. Strzału znikąd. Strzału z nieba.

Rob otworzył oczy Pocisk trafił Cloncurry'ego w rękę i oderwał mu dłoń.

Rob zamrugał i patrzył. Z odciętego nadgarstka płynęła krew. Nóż wpadł do wody.

Morderca gapił się na straszliwą ranę, skonsternowany. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zaciekawienia. I wtedy — znowu nie wiedzieć skąd — rozległ się kolejny strzał, który niemal pozbawił Cloncurry'ego ramienia. Wisiało teraz, już bez dłoni, na kilku czerwonych mięśniach, a z ziejącej rany tryskała krew.

Dwaj Kurdowie natychmiast puścili Lizzie, odwrócili się z wyrazem paniki na twarzach i kiedy powietrze przeszył odgłos kolejnego strzału, uciekli.

Cloncurry upadł na kolana. Trzecia kula najwyraźniej dosięgła go w nogę. Klęczał, krwawiąc i macając gorączkowo ziemię dokoła. Czego szukał? Dłoni? Noża? Lizzie leżała obok nadal związana. Rob stał po kolana w wodzie. Kto strzela? I gdzie jest pistolet Cloncurry'ego? Popatrzył w lewo: widział w oddali tuman kurzu, tak jakby w ich stronę zmierzał jakiś samochód, ale klębiący się pył nie pozwalał zobaczyć dokładnie. Czy Lizzie też zastrzelą?

Zrozumiał, że ma tylko jedną szansę. Teraz. Dał nura do wody, między unoszące się na wodzie kości i czaszki, i płynął na ratunek córce. Nigdy jeszcze nie walczył tak z falami, nigdy nie miał do czynienia z równie niebezpiecznym, piętrzącym się żywiołem. Walił zaciekle nogami, z całych sił przebierał rękoma, połykając haustami zimną wodę, i w końcu położył dłoń na suchej gorącej ziemi i wygramolił się na brzeg. Kiedy wstał, plując i dysząc, zobaczył kilka metrów dalej Cloncurry'ego.

Leżał i zasłaniał się ciałem Lizzie przed dalszymi strzałami. Z otwartych szeroko ust spływała ślina, miał właśnie zacisnąć je na gardle dziecka. Niczym tygrys zabijający gazelę. Zamierzał wpić się w jej szyję i przegryźć tętnicę.

Roba ogarnęła furia. Rzucił się przez piasek i dobiegł do Cloncurry'ego w chwili, kiedy ten zacisnął ostre, białe zęby na tchawicy dziewczynki. Kopnął go z rozmachem w głowę, odrzucając od córki. Potem zrobił to jeszcze raz: wymierzył kolejne kopnięcie i zaraz potem trzecie.

Z jękiem bólu morderca upadł jak długi na ziemię, jego na wpół oderwane ramię wisiało, bezużyteczne i odrażające. Rob wskoczył na niego, przyciskając kolanem zdrową rękę, tak by nie mógł się ruszyć. Teraz Cloncurry był na jego łasce. Tyle że Rob nie miał ochoty okazać łaski.

— Twoja kolej — rzucił.

Sięgnął do kieszeni po swój szwajcarski scyzoryk. Wolno i z namaszczeniem wyciągnął największe ostrze i obracał je przez chwilę w powietrzu, potem popatrzył w dół.

Uświadomił sobie, że się uśmiecha. Zastanawiał się, co zrobić najpierw, jaką ranę zadać, żeby przysporzyć mordercy jak najwięcej cierpienia przed nieuchronną śmiercią. Dźgnąć go w oko? Odkroić ucho? Oskalpować? Ale kiedy uniósł nóż, zobaczył coś we wzroku Cloncurry'ego. Jakby dzielił razem z nim ten hańbiący triumf. Pełne nadziei i aroganckie zło. Poczul, jak odraza ściska mu gardło.

Potrząsając głową, zamknął scyzoryk i schował z powrotem do kieszeni. Cloncurry nie ucieknie: wykrwawi się tu na śmierć. Miał przestrzeloną nogę, urwaną dłoń, roztrzaskane ramię. Był nieuzbrojony i okaleczony, umierał na skutek szoku pourazowego i utraty krwi. Rob nie musiał już nic robić.

Wstał i odwrócił się do Lizzie. Zdjął jej knebel, a ona natychmiast zaczęła krzyczeć: „Tatusiu, tatusiu, tatusiu!” I zaraz potem: „Christine!” Rob odwrócił się zawstydzony. W odruchu ratowania córki całkowicie zapomniał

o dziewczynie, ale ona ratowała się sama i już po chwili Rob wyciągnął rękę i pomógł jej wyjść ze spiętrzonej wody. Padła na ziemię, ciężko dysząc.

Usłyszał hałas. Odwrócił się i zobaczył, że Cloncurry czołga się po ziemi, wolno i z wysiłkiem, na wpół oderwane ramię wisiało bezwładnie, rana w nodze ziała żywym mięsem. Za sobą zostawiał krwawą smugę. Kierował się prosto do wody.

Zamierzał złożyć ostatnią ofiarę: z samego siebie. Samobójstwo. Jamie Cloncurry chciał się utopić. Rob patrzył, porażony i zszokowany. Morderca był już na brzegu. Z głośnym jękiem bólu podciągnął się jeszcze ostatni metr i zwałił z wielkim pluśnięciem w szlamowate, brudne fale. Przez chwilę jego głowa podskakiwała na powierzchni wśród szczyrzających się czaszek, błyszczące oczy patrzyły prosto na Roba.

Potem poszedł na dno; jego ciało opadało powoli, żeby dołączyć do kości swoich przodków.

Christine siedziała, potrząsając telefonem, upewniając się, że nadal działa. W końcu, jakimś cudem, pojawił się sygnał, udało jej się dodzwonić do Sally i przekazać jej dobre nowiny. Rob słuchał, na wpół oszołomiony i szczęśliwy, na wpół rozmarzony. Uświadomił sobie, że wpatruje się w horyzont, ale nie bardzo wiedział, czego tam szuka. Dotarło to do niego dopiero po chwili.

W oddali pędziły policyjne radiowozy rozbryzgując strugi wody. Kilka chwil później wzgórze zaroilo się od policjantów i żołnierzy — pojawił się też Kiribali. W czyściutkim garniturze i z szerokim, promiennym uśmiechem na twarzy. Wykrzykiwał rozkazy i rozstawiał swoich ludzi.

Rob usiadł na piasku i mocno przytulił córkę.



Dwie godziny później wracali wolno do Şanhurfy. Rob, Christine i Lizzie, owinięci w koce, siedzieli na tylnym siedzeniu największego radiowozu, jednego z wielu w długim konwoju kierującym się w stronę miasta.

Zapadał wieczór. Mokre ubrania schły w ciepłe pustyni, przyjemny, łagodny wietrzyk wpadał przez okna. Ostatnie promienie słońca układały się szkarłatnymi smugami na purpurowo-czarnym niebie.

Kiribali siedział z przodu obok kierowcy; odwrócił się, popatrzył na Roba i Christine, uśmiechnął się do Lizzie, potem powiedział:

— Cloncurry oczywiście przez cały czas opłacał Kurdów. Płacił im więcej niż my, więcej niż wy. Wiedzieliśmy, że od jakiegoś czasu coś się tu dzieje. Ot, choćby zabójstwo Breitnera. Jazydzi nie chcieli go zamordować, tylko przestraszyć. Niemniej jednak został zabity. Dlaczego? Ktoś namówił robotników na wykopalisku, żeby posunęli się ciut dalej. Wasz przyjaciel Cloncurry.

— Aha. A później...

Kiribali westchnął i strzepnął pył z ramienia.

— Muszę przyznać, że przez pewien czas nie wiedzieliśmy nic. Byliśmy skołowani i w kropce. Ale w końcu, całkiem niedawno, zadzwonili do mnie wasi wspaniali policjanci ze Scotland Yardu. Tyle że nadal mogliśmy tylko bezradnie rozłożyć ręce, Robercie, bo nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteście.

— Kiribali się uśmiechnął. — I wreszcie przyszedł do mnie ten młody Mumtaz. Wszystko nam powiedział, w samą porę. Dobrze jest mieć... kontakty.

Rob patrzył na Kiribalego, ledwie zwracając uwagę na jego słowa. Przeniósł spojrzenie na swoje dłonie. Były nadal lekko rdzawe od zakrzepłej krwi: krwi Cloncurry'ego. Ale nie przejmował się, miał to głęboko gdzieś: uratował życie swojej córce! Tylko to się liczyło. Przez głowę przewalała mu się fala niepokoju zmieszanego z ulgą i dziwną bolesną radością.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. W końcu Kiribali znowu się odezwał:

— Wiecie, że będę musiał zabrać pergamin, prawda? I czaszkę. Ją też. *Całą Czarną księgę.*

— Gdzie ją umieścicie?

— Ze wszystkimi innymi znaleziskami.

— To znaczy w muzealnych podziemiach.

— Naturalnie. Zmieniliśmy tam szyfr.

Wyprzedziła ich duża policyjna furgonetka, światła stopu świeciły rubinowo w zmierzchu.

— Musicie zrozumieć — ciągnął Kiribali. — Jesteście bezpieczni. To dobrze. Aresztujemy Kurdów na jakiś czas, potem ich wypuścimy, Radewana i jego głupich przyjaciół. — Uśmiechnął się uprzejmie. — Wypuszczę ich, bo muszę tu zachować pokój między Turkami a Kurdami. Ale wszystko inne zostanie zamknięte na zawsze.

Radiowóz jechał dalej. Wpadające przez okna ciepłe wieczorne powietrze było wspaniałe: świeże i łagodne. Rob wciągnął je do płuc, potem wypuścił, pogłaskał córeczkę po włosach. Zapadała w sen. I wtedy zobaczył, że zbliżają się do zjazdu na Göbekli. Był ledwie widoczny w poświacie wschodzącego księżycyca.

Zawahał się, potem spytał Turka, czy mogliby popatrzeć na Göbekli Tepe po raz ostatni.

Kiribali polecił kierowcy się zatrzymać, potem spojrzął na dziennikarza, uśmiechnął się pobłaźliwie do śpiących Christine i Lizzie. Skinął głową i zawiadomił pozostałe radiowozy, że spotkają się później w Urfie. Kierowca skręcił na drogę gruntową.

Jechali tą samą, dobrze znaną trasą, przez niskie wzniesienia, obok kurdyjskich wiosek z otwartymi ściekami, błakającymi się kozami i oświetlonymi na zielono minaretami. Jakiś pies się rozszczękał i rzucił w pogoń za samochodem. Gonił ich przez dobre kilkaset metrów, potem zniknął w mroku.

Posuwali się dalej w ciemnościach, w końcu wjechali na wzniesienie i zatrzymali się na szczycie niskiego wzgórza wychodzącego na świątynię. Rob wysiadł z samochodu, zostawiając córkę z głową ułożoną na kolanach Christine: obie głęboko spały.

Kiribali także wysiadł. Razem ruszyli pofałdowaną ścieżką prowadzącą do świątyni.

— No to niech pan mi powie — zagaił policjant.

— Co mianowicie?

— Co tam robiliście? W Dolinie Zagłady.

Rob przez chwilę bił się z myślami, potem wyjaśnił, z wahaniem. Przedstawił w zarysie sekret Genezis, najpobieżniej jak umiał. Ale to wystarczyło, by zaintrygować policjanta: w świetle księżyca Rob widział, jak Kiribali zrobił duże oczy. Potem się uśmiechnął.

— I sądzi pan, że rozumiecie. Że naprawdę udało wam się to rozgryźć?

— Może. Ale nie mamy żadnych dowodów, żadnych zdjęć. Wszystko pochłonęła powódź. Nikt nam nie uwierzy, więc to i tak nie ma znaczenia.

Kiribali westchnął pogodnie. Stali na szczycie małego wzgórza przy pojedynczym drzewie morwowym. Widać stąd było megality rzucające cienie w księżycowym blasku. Policjant klepnął Roba w plecy.

— Mój przyjacielu pisarzu. Dla mnie to ma znaczenie. Wie pan, że uwielbiam angielską literaturę. Proszę mi powiedzieć, na co wpadliście... Niech mi pan zdradzi sekret Genezis.

Rob oponował, policjant nalegał.

W końcu dziennikarz usiadł na kamiennej ławce. Wyjął notes i wyteżył wzrok, by odczytać swoje zapiski w świetle księżyca. Potem zamknął notatnik i zapatrzył się w pofałdowaną równinę. Komisarz usiadł obok i słuchał relacji.

— Biblijne opowieści o upadłych aniołach, ustępy w Księdze Henocha, sekret przekazany w rozdziale szóstym Księgi Rodzaju: uważam, że to wszystko są przejawy pamięci zbiorowej, wspomnienia krzyżowania się gatunków hominidów, pierwszych ludzi...

— Rozumiem — uśmiechnął się Kiribali.

— Uważam, że było to tak: Mniej więcej około dziesięciu tysięcy lat przed naszą erą pewien gatunek człowiekowatych wywędrował z Północy na tereny kurdyjskiej Turcji. Ci napływający hominidzi byli duzi. Być może pochodzili od gigantopiteka, największego znanego hominida. Sądząc po wpływach kulturowych, których pozostałości tu znajdujemy, musieli się wywodzić ze środkowo-wschodniej Azji.

Kiribali skinął głową. Rob ciągnął:

— Abstrahując od ich pochodzenia, nazwijmy ich po prostu ludami Północy. W porównaniu z *Homo sapiens* byli o wiele bardziej zaawansowani cywilizacyjnie i z pewnością zdecydowanie agresywniejsi. Znali

garncarstwo, budownictwo, rzeźbę, może nawet pismo, podczas gdy przedstawiciele gatunku *Homo sapiens* nadal żyli w jaskiniach.

Komisarz milczał, zamyślony. Rob kontynuował wywód:

— Dlaczego ci przybysze byli inteligentniejsi i brutalniejsi? Odpowiedź leży w ich korzeniach: pochodzili z Północy. Naukowcy od dawna spekulują, że surowsze warunki klimatyczne powodują, że wyostrza się inteligencja strategiczna. W epoce lodowej trzeba było planować z wyprzedzeniem, żeby przeżyć. A także bezwzględnie rywalizować o skąpe zasoby. Natomiast cieplejszy i łagodniejszy klimat sprzyja wykształcaniu się wyższej inteligencji społecznej i bardziej przyjacielskiej współpracy. Jednak ludzie na Północy mieli pewien problem, który zmusił ich do migracji. Możemy przypuszczać, że groziło im wyginięcie, co już wcześniej przydarzyło się neandertalczykom. Wydaje się, że mieli genetyczną skazę, predysponującą ich do skrajnej przemocy. Może surowość otoczenia wpoila im lęk, strach przed mściwym bogiem. Bóstwem, które łaknęło krwi, domagało się przebłagania ofiarą z ludzi. Z tej czy innej przyczyny ludzie Północy się zabijali, składali w ofierze swoich współpracowników. To była ginąca cywilizacja, tak jak później Aztecy. W desperacji szukali więc łaskawszych warunków bytowania i znaleźli: rajski klimat Żyźnego Półksiężyca. Migrowali na południe i zachód. Tam zaczęli się krzyżować z mniejszymi ludami kurdyjskich równin, łowcami-zbieraczami, prostymi jaskiniowcami i zapoznali ich z arkanami budownictwa, rzeźbą i religią: stąd ów zadziwiający skok cywilizacyjny, który doprowadził do powstania Göbekli Tepe. W rzeczywistości podejrzewam nawet, że świątynia została wzniesiona przez naszych północnych supermanów, żeby wzbudzić respekt i trwogę w łowcach-zbieraczach.

Gdzieś w ciemnościach zabeczała koza.

— Przez jakiś czas Göbekli Tepe musiało wydawać się łowcom-zbieraczom istnym rajem. Ogrodem rajskim, miejscem, gdzie bogowie chodzili między ludźmi. Potem jednak sytuacja zaczęła się zmieniać. Może zasoby pożywienia drastycznie się skurczyły. W rezultacie giganci z Północy zaprzęgli małych łowców do pracy: kazali im ścinać dzikie trawy kurdyjskiej równiny, mozolić się przy uprawie roli. Zaczęło się tajemnicze przejście na rolnictwo i osiadły tryb życia. Rewolucja neolityczna. I my, ludzie, staliśmy się helotami. Niewolnikami. Wyrobnikami polowymi.

— Chce pan powiedzieć, że to właśnie był upadek człowieka? — powiedział Kiribali. — Wygnanie z rajów?

— Niewykluczone. A co jeszcze bardziej gmatwa obraz, znajdujemy dziwne oznaki zmian w zachowaniach seksualnych, jakie się dokonały mniej więcej w tamtym okresie. Być może ludzie Północy lubili gwałcić małe kobiety jaskiniowe, zmuszać je do spółkowania ze świniami, jak pokazuje to posąg z waszego muzeum, czy do „całowania fallusa”, o której to praktyce wspomina Księga Henocha. Kobiety na pewno stały się świadome swojej seksualności. Jak Ewa w raju, odkryły swoją nagość i cielesność, kopulując z przybyszami. A kiedy te dwa gatunki hominidów się krzyżowały, niefortunne geny przemocy i ofiary były przekazywane dalej, aczkolwiek w osłabionej formie. Odziedziczyły je dzieci narodzone z tych związków.

Gdzieś w oddali zatrąbiła ciężarówka sunąca drogą na Damaszek.

— Zatem tak, to był upadek człowieka. Społeczność Göbekli i otaczających równin była teraz naznaczona traumą, przemocą i promiskuityzmem. To już nie był eden. Co więcej, uprawa roli zmieniała krajobraz. Żyło się tu coraz trudniej. A jak zareagowali ludzie Północy na te niepokojące zmiany? Wrócili do starych praktyk: zaczęli składać ofiary, żeby ugłaskać okrutne bóstwa natury czy demony we własnych głowach. Musieli to robić ludzką krwią. Grzebać żywe dzieci w dzbanach. — Rob zerknął w kierunku rozciągających się na wschodzie pustkowi.

Kiribali pochylił się do przodu.

— Co się wtedy stało?

— Docieramy teraz do udokumentowanej historii. Mniej więcej osiem tysięcy lat przed naszą erą przemoc i cierpienia stały się nie do wytrzymania. Miejscowi łowcy-zbieracze zwrócili się przeciwko najeźdźcom. Zaczęli stawiać opór. Doszło do wielkiej bitwy. W desperacji zwykli jaskiniowcy wymordowali przybyszów, których zdecydowanie przewyższali liczebnie. Następnie zagrzebali ciała poległych w dolinie, opodal grobów składanych w ofierze dzieci. Stworzyli w ten sposób wielki zbiorowy grób — niedaleko stąd. W Dolinie Zagłady.

— I wtedy zasypali świątynię!

Rob skinął głową.

— Göbekli Tepe zostało zagrzebane, mozolnie, żeby ukryć hańbę i na zawsze pogrzebać nasienie zła. Łowcy-zbieracze specjalnie zakopali wielkie sanktuarium, by nie pozostało żadne wspomnienie po tych potwornościach: wygnaniu z raju, spotkaniu ze złem. Ale bezskutecznie. Było za późno. Mordercze geny ludzi z Północy zmieniły już DNA *Homo sapiens*. Gen Göbekli stał się częścią ludzkiego dziedzictwa. I rozprzestrzenił się.

Posiłkując się Biblią i innymi źródłami, możemy nawet prześledzić jego drogę, odtworzyć migracje mieszkańców Göbekli, najpierw na południe, do Sumeru, Kanaanu i Izraela; przemieszczając się, roznosili geny przemocy i skłonności do rytualnych mordów. Stąd wczesne ślady ofiar z ludzi pojawiające się na tych terenach. Na ziemiach Kanaan, Izraela i Sumeru.

— Na ziemiach Abrahama — podsumował Kiribali.

— Tak. Prorok Abraham, który przyszedł na świat w pobliżu Şanhurfy, musiał mieć wśród swoich przodków ludzi Północy: był inteligentny, obdarzony charyzmą, miał cechy przywódcze. Oraz obsesję na punkcie ofiar z ludzi. Według Biblii był gotów zabić własnego syna na życzenie jakiegoś gniewnego boga. Abraham był także, rzecz jasna, ojcem trzech wielkich religii: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Religii Abramowych. Stworzył je na podstawie pamięci zbiorowej, którą dzielił z otaczającymi go ludźmi. Te wielkie monoteistyczne systemy wyrastają z traumy wydarzeń w Göbekli Tepe. Wszystkie opierają się na lęku przed wspaniałymi aniołami i srogim bogiem: a jest to podświadome zbiorowe wspomnienie wydarzeń, jakie się rozegrały na kurdyjskiej pustyni, kiedy silne i brutalne stworzenia zeszyły między nas. Co znamienne, we wszystkich tych religiach nadal obowiązuje ryt ludzkiej ofiary: w judaizmie pod postacią obrzezania, w islamie mamy ofiarę dżihadu...

— Albo zabijanie jeńców?

— No właśnie. A w chrześcijaństwie mamy powtarzający się motyw ofiary Chrystusa, pierwotnego Syna Bożego, umierającego na krzyżu. Zatem wszystkie te religie są przejawem stresu pourazowego, swego rodzaju koszmarem, w którym bez końca przeżywamy ponownie traumę tamtej inwazji z Północy, czasy, kiedy my, ludzie, zostaliśmy wyrzuceni z raju i zmuszeni do wyrzeczenia się lekkiego życia. Zmuszeni do harówki na roli. Do całowania fallusa. Do zabijania własnych dzieci, by zadowolić gniewnych bogów.

— Ale, Robercie, proszę mi powiedzieć, jaką rolę odgrywają tu jazydzi?

— Podstawową. Bo zachowały się tylko dwa źródła wiedzy na temat tego, co naprawdę stało się w Göbekli. Pierwszym jest grupa trzech kurdyjskich wierzeń: *alawizm*, *a-hle hakk*, czyli ludzie prawdy, oraz *jazydyzm*. Ich wyznawcy wierzą, że pochodzą bezpośrednio od czystej krwi jaskiniowców Göbekli. Są „Synami dzbana”. Synami Adama. Reszta ludzkości, jak twierdzą, pochodzi od Ewy, z drugiego dzbana, pełnego węży i skorpionów.

— Rozumiem...

— Mają podobne mity o raj. Ale nawet dla nich wydarzenia w Göbekli są jedynie mglistą, przerażającą reminiscencją szyderczych, przypominających ptaki aniołów, które domagały się czci. Tyle że nawet mglista pamięć zbiorowa ma ogromną siłę. To przez nią na przykład jazydzi nie żenią się poza obrębem własnej grupy. Kieruje nimi mityczny lęk przed skażeniem własnej krwi przemocą i skłonnością do mordów, jaką widzą w reszcie ludzkości. W nas wszystkich. Ludziach, którzy noszą gen Göbekli.

Kiribali milczał, przetrawiając to, co usłyszał.

Rob ciągnął:

— Przekłęci jazydzi dźwigają też straszliwe brzemię. Wstyd. Wprawdzie twierdzą, że są czyści, ale podświadomie wyczuwają prawdę: że niektórzy z ich przodków krzyżowali się ze złymi ludźmi Północy, pozwalając, by szerzył się gen Göbekli, zatem nieszczęścia świata są zasadniczo ich winą. Stąd właśnie biorą się ich ograniczenia, tajemniczość, osobliwe jazydzkie poczucie wstydu, które sami sobie narzucili. Z tego samego powodu nigdy nie oddalili się od miejsca, z którego pochodzą. Muszą chronić świątynię. Nadal się boją, że jeśli prawda ujrzy kiedyś światło dzienne, zostaną w gniewie wytepieni przez resztę ludzkości. Ich przodkowie nie obronili rodzaju ludzkiego przed ludami Północy. Ich kobiety współżyły z północnymi demonami. Niczym kolaborujące dziwki w okupowanej Francji.

— I to wyjaśnia też pochodzenie ich boga. Anioła-Pawia — dodał Kiribali.

— Zgadza się. Znajomość prawdy uniemożliwia jazydom czczenie normalnych bogów. Dlatego też otaczają kultem diabła, Malaka Tausa, Molocha, któremu składano ofiary ciałopalne z dzieci. Jest on symboliczną przeróbką złych nadludzi z Północy, z ich ptasimi oczyma. Przez wiele tysięcy lat ta dziwna religia, to wyznanie wiary było otoczone tajemnicą. Gen Göbekli szerzył się po świecie, przekroczył już Cieśninę Beringa i dotarł do Ameryki. Ale prawdziwy sekret jazydów, sekret pochodzenia, był bezpieczny. Dopóki nie zaczęto rozkopywać Göbekli Tepe.

— A kto był drugim źródłem? Powiedziałeś, że były dwa ośrodki wiedzy?

— Tajne stowarzyszenia, które pojawiły się w Europie w szesnastym wieku. Wolnomularze i im podobni. Ludzie zaintrygowani pogłoskami i powtarzającymi się opowieściami o dowodach, a nawet dokumentach, znajdujących się jakoby na Bliskim Wschodzie, które miały zagrażać

historycznym i teologicznym podstawom chrześcijaństwa, i w ogóle religii jako takiej.

Gwiazdy skryły się już wysoko na blednącym niebie.

— Te pogłoski szczególnie zaintrygowały co bardziej zdeprawowanych przedstawicieli antyklerykalnej angielskiej arystokracji — wyjaśniał Rob. — Jeden z nich, Francis Dashwood, odbył podróż po Anatolii. To, czego się w jej trakcie dowiedział, przekonało go, że chrześcijaństwo jest farsą. Powołał wtedy do życia klub Hellfire, zrzeszający podobnie myślących intelektualistów, artystów i pisarzy, którego *raison d'être* stanowiły pogarda i szydzenie z uznanej wiary. — Popatrzył na największy z megalitów i dodał: — Jego członkowie nadal nie mieli jednak rozstrzygającego dowodu na fałszywość czy nieprawdziwość religii. Dopiero kiedy Jeruzalem Whaley, z irlandzkiej gałęzi klubu, powrócił z wyprawy po Ziemi Świętej, poznano historię Göbekli Tepe. W Jerozolimie otrzymał od jazydzkiego kapłana tak zwaną *Czarną księgę*. Nie wiadomo dlaczego. Wiadomo za to, że księga była tak naprawdę pudłem: tym samym, które obecnie jest w waszym posiadaniu i zawiera tę dziwną czaszkę oraz mapę. Nie jest to ludzka czaszka, tylko czerep mieszańca. Mapa pokazywała cmentarzysko w pobliżu Göbekli, cmentarzysko złych bogów: Dolinę Mordu. Kapłan wyjaśnił Whaleyowi znaczenie i czaszki, i grobów.

Kiribali ściągnął brwi.

— Czyli?

— Jeruzalem Whaley poznał prawdę o pochodzeniu człowieka i o genezie religii. Dowiódł, że wiara jest farsą, przejawem pamięci zbiorowej, wspomnieniem przeszłego koszmaru. Ale odkrył coś jeszcze: a mianowicie fakt, że geny zła przeniknęły do rodzaju ludzkiego i że ta cecha obdarza jej nosicieli wielkim talentem, inteligencją i charyzmą. Czyni ich przywódcami, którzy wszakże wykazują skłonność do sadyzmu i okrucieństwa z powodu tej samej grupy genów. Wystarczyło, że popatrzył tylko na własny ród, żeby mieć dowód: zwłaszcza na swojego agresywnego ojca, który z kolei pochodził od Olivera Cromwella. Innymi słowy, Whaley odkrył przerażający fakt: że ludzie są skazani na przywództwo zwyrodnialców, ponieważ sadyzm i okrucieństwo są połączone z genami, które czynią z noszących je jednostek inteligentnych i charyzmatycznych przywódców. Geny ludzi Północy.

Kiribali chciał coś powiedzieć, ale dziennikarz uciszył go gestem dłoni: już prawie skończył.



— Zdruzgotany tym objawieniem, Jeruzalem Whaley ukrył dowody: czaszkę i mapę, czyli *Czarną księgę*, którą znaleźliśmy z Christine w Irlandii. Potem wyjechał na wyspę Man, załamany i przerażony. Był przekonany, że świat nie jest w stanie znieść prawdy; nie tylko tego, że wszystkie Abrahamowe religie są oparte na fikcji, zlepku reminiscencji dawnych lęków i rytuałów ofiarniczych, ale że wszystkie systemy polityczne, feudalizm, oligarchia, arystokracja, nawet demokracja, będą prawdopodobnie zawsze wytwarzać przywódców ze skłonnościami do przemocy. Przywódców, którzy lubią zabijać i składać ofiary, którzy będą wysyłać tysiące do okopów. Bez wahania skierują samolot w wieże pełne niewinnych ludzi. Zbombardują bezbronne wioski.

Kiribali patrzył na niego ponuro.

— I tak klub Hellfire został rozwiązany, a cała sprawa zatuszowana i utajniona. Jednak jedna rodzina zachowała pamięć o straszliwej prawdzie odkrytej przez Jeruzalema Whaleya.

— Rodzina Cloncurrych.

— Właśnie. Potomkowie Jeruzalema i Podpalacza Whaleyów. Bogaty, uprzywilejowany i krwiożerczy ród Cloncurrych był nosicielem genu Göbekli. Oprócz niego przekazywali następnym pokoleniom również wiedzę objawioną im przez Toma Whaleya. Stanowiła najgłębszą rodzinną tajemnicę, która nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego. Jej rozgłoszenie zaowocowałoby obaleniem elit na całym świecie oraz zniszczeniem islamu, chrześcijaństwa i judaizmu. To byłaby apokalipsa. Koniec wszystkiego. Za swoją misję uważali więc zagwarantowanie, by straszliwa prawda nigdy nie została poznana.

— I wtedy pojawił się biedny Breitner.

— Otóż to. Po wiekach spokoju rodzina Cloncurrych dowiedziała się, że archeolodzy pod jego kierownictwem odkopują Göbekli. Nie wróżyło to niczego dobrego. Gdyby znaleziono jeszcze czaszkę oraz mapę, a ktoś poskładałby elementy łamigłówek, prawda wyszłaby na jaw. Najmłodszy potomek rodu Jamie Cloncurry zwerbował zatem kilku bogatych koleżków, swoich akolitów, i utworzył coś w rodzaju minisekty, gangu, który miał tylko jedno zadanie: zniszczyć *Czarną księgę*. Tyle że na Jamiem Cloncurrym ciążyła jeszcze jedna rodowa klątwa: był nosicielem aktywnego genu Göbekli. Przystojny i charyzmatyczny był nie tylko doskonałym przywódcą, ale także psychopatą. Wierzył, że ma prawo zabijać, kogo i jak mu się żywnie

podoba. Ilekroć poszukiwania *Księgi* kończyły się fiaskiem, ujawniał się gen Göbekli.

Zapadło długie, bardzo długie milczenie.

W końcu Kiribali się podniósł. Obciągnął mankiety koszuli i poprawił krawat.

— Wspaniale. Bardzo lubię takie opowieści. — Spojrzał Robowi w oczy. — Najlepsze kawałki Biblii i Koranu to są dopiero piękne historie. Nie sądzi pan? Zawsze w nie wierzyłem.

Rob się uśmiechnął.

Kiribali przeszedł kilka metrów w stronę megalitów, wypolerowane okucia jego butów połyskiwały w świetle księżyca. Obejrzał się.

— To wszystko ma bardzo... ciekawy epilog, Robercie.

— Tak?

— Owszem. — Głos komisarza był lekko syczący. — Rozmawiałem z komisarzem Forresterem.

— Nadkomisarzem.

— Zgadza się. Powiedział mi coś bardzo interesującego o panu i Cloncurrym. Rozumie pan, domagałem się informacji. — Turek wzruszył ramionami niespeszony. — Wie pan, jaki jestem. I po kilku pytaniach Forrester wyznał mi, czego się dowiedział. Co udało mu się ustalić przez Internet.

Rob patrzył na Kiribalego.

— Luttrell. To niespotykane nazwisko. Dość charakterystyczne. Nie myłę się?

— Zdaje się, że szkocko-irlandzkiego pochodzenia.

— Zgadza się. W rzeczywistości — dodał — występuje też w okolicach Dublina. Ta gałąź Luttrellów w większości wyemigrowała do Ameryki, do Utah. Tam, gdzie się pan urodził. — Policjant poprawił marynarkę. — I tu pojawia się właśnie-ciekawy epilog: z dużą dozą prawdopodobieństwa, pewności niemal, pochodzi pan właśnie od nich: od dublińskich Luttrellów. A oni także należeli do klubu Hellfire. Pańscy przodkowie byli spokrewnieni z rodem Cloncurrych.

Nastąpiła znacząca cisza. Potem Rob stwierdził:

— Wiedziałem o tym już wcześniej.

— Wiedział pan?

— Tak. Przynajmniej się domyślałem. I Cloncurry też to wiedział. Stąd te jego ustawiczne aluzje do więzi rodzinnych.

— Ale to oznacza, że może pan mieć gen Göbekli. Zdaje pan sobie sprawę?

— Oczywiście. Nawet jeśli, nie jest to jeden gen, a grupa genów. Jestem dzieckiem nie tylko mojego ojca, ale i matki.

Kiribali skinął głową żarliwie.

— Tak, tak, tak. Matka jest bardzo ważna.

— I nawet jeśli jestem nosicielem niektórych z tych cech, to jeszcze nie znaczy, że mój los jest z góry przesądzony. Wszystko zależy od sytuacji. Otoczenie, środowisko także odgrywa niebagatelną rolę. Ta interakcja jest bardzo złożona. — Urwał. — Choć raczej nie zajmę się polityką.

Komisarz się roześmiał. Rob dodał:

— Myślę więc, że wszystko będzie w porządku. Dopóki ktoś nie da mi rakiet do ręki.

Kiribali trzasnął obcasami, jakby słuchając rozkazów niewidzialnego dowódcy. Potem się odwrócił, wyjął telefon komórkowy z kieszeni marynarki i ruszył w stronę samochodu, być może wyczuwając, że dziennikarz chce zostać sam.

Rob wstał, strzepnął pył z dżinsów i ruszył w dół znajomą żwirową ścieżką do serca świątyni.

Kiedy dotarł na poziom wykopaliska, rozejrzał się, przypominając sobie, jak żartował tu z archeologami. Tutaj także poznał Christine: kobietę, którą pokochał. Ale było to też miejsce, gdzie zginął Breitner i gdzie zaczęły się okrucieństwa ofiarniczych obrzędów. Dziesięć tysięcy lat temu.

Na niebie wisiał biały, obojętny księżyc. Dokoła stały głazy: nieme i władcze nocą. Rob wszedł między nie. Pochylił się i dotykał płaskorzeźb: delikatnie, niemal ostrożnie, z podziwem i obawą jednocześnie. Czując, trochę wbrew sobie, wyraźny respekt przed tymi wielkimi prastarymi kamieniami, przed tajemniczą świątynią w Edenie.

Oboje chcieli cichego i prostego ślubu, co do tego się zgadzali. Nie mogli tylko się zdecydować na miejsce. Ale kiedy Christine się dowiedziała, że odziedziczyła dom Isobel na Wyspach Książęcych, problem sam się rozwiązał.

— W ten sposób uczymy też jej pamięć, spodobałoby jej się to, wiem.

Piękny ogród Isobel doskonale nadawał się na taką ceremonię. Zaproсили zatem brodatego, niestroniącego od kieliszka popa, wynajęli kilku pieśniarzy, którzy skwapliwie przystali na honorarium w postaci piwa, znaleźli nawet rewelacyjne trio grające na buzuki. Zaproсили tylko rodzinę i najbliższych przyjaciół. Z Londynu przyjechał Steve z bardzo skromną reprezentacją współpracowników Roba, Sally przywiozła wielki prezent, matka Roba siedziała uśmiechnięta i dumna w swoim najlepszym kapeluszu. Pojawił się też Kiribali w śnieżnobiałym garniturze.

Prosta ceremonia odbyła się na słońcu. Lizzie w pięknej letniej sukieneczce, bosy, pełniła rolę drużby. Ksiądz stał na tarasie i monotonnym głosem intonował magiczną formułkę. Promienie słoneczne sączyły się przez sosny i krzewy tamaryszku, słychać było syrenę bosforskiego promu, który przepływał do Azji po ciemnoniebieskich wodach. Pieśniarze zaśpiewali, Rob pocałował Christine i stało się: zawarli związek małżeński. Rob znowu był żonaty.

Później odbyło się przyjęcie. Wypili mnóstwo szampana w ogrodzie, gdzie kot Ezechiel gonił za złotym motylem wśród krzaków róż. Steve gawędził z Christine, matka Christine gawędziła z popem, wszyscy fatalnie tańczyli przy dźwiękach buzuki. Kiribali deklamował wiersze i flirtował z paniami, zwłaszcza starszymi.

W połowie zabawy Rob znalazł się koło Forrestera w cieniu drzew na skraju ogrodu. Postanowił skorzystać z okazji, żeby wreszcie podziękować komisarzowi za przymknięcie oczu.

Forrester się zaczerwienił z kieliszkiem szampana przytkniętym do ust.

— Jak się domyśliłeś?

— Nie jesteś w ciemię bity, Mark, a pozwoliłeś nam, ot tak, odejść z *Czarną księgą*. To dlatego kłóciłeś się z Dooleyem w Dublinie, prawda?

— Nie rozumiem.

— Wiedziałeś, dokąd chcemy pojechać. Postanowiłeś nam trochę pomóc, dlatego namówiłeś Dooleya, żeby pozwolił nam zatrzymać *Czarną księgę*.

Forrester westchnął.

— Chyba tak. I owszem, wiedziałem, dokąd się wybieracie. Ale nie mogłem cię winić, Rob. Postąpiłbym tak samo, gdyby... gdyby moje dziecko było w niebezpieczeństwie. Trzymanie się procedur i droga oficjalna mogłyby się okazać katastrofalnie przewlekłe.

— Ale zadzwoniłeś do Kiribalego w samą porę. Więc mówię serio. Dziękuję, że... nad nami czuwałeś. — Rob z trudem dobierał słowa. Przez głowę przemknął mu straszliwy obraz twarzy Cloncurry'ego z obnażonymi zębami. — Drzę na samą myśl, co mogłoby się stać, gdybyś się w to nie włączył.

Forrester pociągnął z kieliszka i skinął głową.

— Jak ona się czuje?

— Lizzie? Zdumiewająco dobrze. Wygląda na to, że o wszystkim zapomniała. Tylko trochę boi się ciemności. Myślę, że to przez ten kaptur.

— Ale nie ma żadnego innego urazu?

— Nie. — Rob wzruszył ramionami. — Nie wydaje mi się.

— Magia wieku — rzucił Forrester. — Dzieci potrafią się całkowicie pozbiierać. Pod warunkiem że przeżyją.

Ucichli obaj. Rob patrzył na gości bawiących się w drugim końcu ogrodu. Kiribali podskakiwał, klaszcząc w czymś, co przypominało improwizowanego kozaka.

Forrester wskazał głową na tureckiego komisarza.

— To jemu powinieneś dziękować.

— Masz na myśli te strzały?

— Słyszałem. Niewiarygodne.

— Ponoć startował nawet na olimpiadzie czy jakoś tak. Jest doskonałym snajperem, strzały były rewelacyjne.

— I okazały się decydujące, tak?

— Tak — zgodził się Rob. — Kiribali widział, jak daleko jest Cloncurry, nie zdążyliby dotrzeć do nas na czas z uwagi na wody zalewowe. Więc po prostu wyjął swoją strzelbę myśliwską...

Muzyka była bardzo głośna. Trio buzuki naprawdę się starało. Rob dopił resztkę szampana.

Obaj mężczyźni ruszyli, żeby dołączyć do reszty towarzystwa. Podbiegła do nich Lizzie, śmiejąc się i śpiewając. Rob się pochylił i czule pogłaskał córkę po błyszczących włosach, mała zachichotała i wzięła ojca za rękę.

Patrząc na nich, trzymających się za ręce, uśmiechniętych i żywych, Forrester poczuł ostre ukłucie smutku i żalu. Ale temu poczuciu straty towarzyszyło coś jeszcze, coś znacznie bardziej zaskakującego: słaby i przelotny cień szczęścia.

\* \* \*

# Table of Contents

Od autora

Podziękowania

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51